

**HANS HELLMUT  
KIRST**

**BŁYSKAWICZNE  
DZIEWCZYNY**

Hermann Góring, już jako marszałek Rzeszy, stanął kiedyś przed gromadą wpatrzonych weni z uwielbieniem młodych ludzi i zapytał ich, kim chcieliby zostać. Niczym strzał z pistoletu zabrzmiał okrzyk: żołnierzami! Lecz pomiędzy tymi, niewątpliwie bardzo niemieckimi, młodzieńcami znajdowało się też jedno stworzenie rodzaju żeńskiego. Spostrzegłszy je, marszałek Rzeszy najpierw zająknął się, a następnie tonem lekceważącym, z odcieniem ludzkiej serdeczności zawołał: — Ach, ty — ty przecież jesteś tylko dziewczęciem!

Nie przeczuwał wówczas jeszcze, że niemieckie dziewczęta, nazywane „dziewczynami” lub „dziewojami”, już wkrótce okażą się niezbędne, gdyż nastanie czas, kiedy zabraknie mężczyzn. Zatem około pół miliona stawilo się na apel ojczyzny. Niektóre dostały się nawet na obszar dotychczas ściśle zastrzeżony dla mężczyzn: zostały bowiem zobowiązane do „służby pod bronią”. Jeśli wierzyć historykom, zawodowo zajmującym się badaniem tamtego okresu, to dziewczętom w żołnierskich mundurach okazywano niezmiernie mało szacunku. Ówczesne konserwatywnie usposobione otoczenie traktowało je nieufnie i unikało ich, nierzadko okazując im wprost pogardę.

W rzeczywistości „błyskawiczne dziewczyny” zasługiwały na to, by traktowano je jako szczerze idealistki. Niektóre z nich uważały swoją pracę za ważną patriotyczną powinność i starały się wykonywać swoje zadania jak najlepiej, w miarę własnej wiedzy i możliwości, a nawet z pewną dozą zapалу. O tym, jakie sposoby wykorzystania ich w walce

miano na myśli „na górze” wtedy, kiedy szło już o „ostateczne zwycięstwo”, można przeczytać we wspomnieniach ministra Rzeszy do spraw oświaty i propagandy oraz pełnomocnika Rzeszy do spraw wojny totalnej, doktora Josepha Goebbelsa:

*Mnóstwo kobiet zgłasza się teraz do służby na froncie. Należałoby je wprowadzić do walki na drugiej linii. Wtedy mężczyznom odechciałoby się myśleć przede wszystkim o wymiganiu się.*

W książce tej opowiem o losach kilku takich „błyskawicznych dziewczyn” zmuszonych do uczestniczenia w końcowych wydarzeniach wojny. Postaram się uczynić to w sposób możliwie realistyczny i w miarę konieczności wnikliwy. Pewne szczegóły, budzące odrazę bądź nasuwające wątpliwości, nie są wcale wytworem mojej wybujałej fantazji, gdyż mają pokrycie w faktach. Wynikają one, że się tak wyrażę, z natury rzeczy.

Wobec tego trudno życzyć Czytelnikowi przyjemnej lektury.

H.H.K.

# Prolog

Sceną wydarzeń jest pewne przemysłowe miasto w Zagłębiu Ruhry. Kiedyś było to rzeczywiście miasto przemysłowe, lecz pozostało po nim już tylko wielkie gruzowisko, podobnie jak po innych takich samych pobliskich miastach, stłoczonych jedno przy drugim jak komórki w plastrze miodu.

W huku i powtarzających się trzaskach wysoko buchały płomienie. Potężne chmury dymu unosiły się w powietrze, jak gdyby chciały ukryć obraz piekła, lecz daremnie. Wszędzie wciskał się ostry swąd spalenizny, dławiąc przedśmiertne krzyki ludzkie; pomimo to słyszało się dochodzące jak gdyby z niezmiernej oddali wołania o pomoc, z trudem wydobywane resztkami sił.

Wśród siarkowych oparów po nocnym bombardowaniu zamajaczyła ludzka postać. Była to dziewczyna. Zataczając się, szukała rękami jakiegoś oparcia i nie znajdowała go; potem przystanęła. Ubrana była w nadpaloną miejscami odzież — przypominającą mundur. Włosy miała pozlepiane potem, twarz brudną. Drobna z wyglądu istota podniosła ręce i wyciągnęła je przed siebie. Zatrzepotała nimi jak śmiertelnie raniony ptak skrzydłami. Był to wymowny gest bezradności.

Potyając się, zbliżył się ktoś do niej. Po jego podobnie prezentującym się mundurze znać było jeszcze, że jest to starszy szeregowy.

— Tylko bez paniki, dziewczyno! — zawołał; zabrzmiało to zupełnie jak „nie rób ze strachu pod siebie!” Widok rozdygotanego szczątka kobiecego wojska wśród zbombardowanych domów budził w nim chyba poczucie męskiej wyższości.

— Gdzie jest reszta? — zapytał.

Drżąc, wskazała za siebie.

— Ta mała nie może mówić — stwierdził starszy szeregowy — musiało nią mocną wstrząsnąć!

Jej gest, wyrażający niezmierny ból, dawał do zrozumienia: tam... tam, pod spodem!

— Wszyscy? — zapytał.

Zdołała przytaknąć tylko głową.

Starszy szeregowy wzruszył ramionami.

— Tak to wygląda — stwierdził. — Trzeba teraz zacisnąć zęby i nic, tylko brnąć przez...

Chciał powiedzieć „tylko brnąć przez ten gówniany dół”, a potem warknąć coś jeszcze o tyłku, jednak pohamował się. Wydało mu się, że wobec tego dygocącego dziecka jest w tej eh wili jak ojciec i musi ją jakoś pocieszyć. Sam miał zresztą zaledwie trzydzieści lat.

Wziął dziewczynę za ramię i pociągnął za sobą. Najwidoczniej zupełnie bezwolna, pozwalała się prowadzić niby lalka z porcelany. Wydawało się, że wystarczy ją lekko pchnąć, a stłucze się.

Podobne „fajerwerki współczesnej historii”, których ofiarą bezlitośnie padały nie tylko wielkie, ale także już średnie miasta, stały się dla tego starszego szeregowego chlebem powszednim. Czasy, w których robił on normalnie w spodnie, już dawno minęły. Nie sposób zresztą fajdać za każdym razem, kiedy ma się stracha. Pomimo wszystko rzecz ta wydaje się mieć pewną zaletę — człowiek odkrywa coś, co można nazwać poczuciem godności ludzkiej.

Starszy szeregowy zaprowadził wystraszoną dziewczynę do głębokiego schronu, do swego kapitana, który dowodził stąd resztkami odwołów. Z twarzy był on podobny ni to do papugi, ni to do sowy. Można się było w nim też dopatrzeć podobieństwa do nastroszonego czarodziejskiego ptaka z egzotycznej baśni. Jego oczy zdradzały niewątpliwą mądrość, a przy tym zrozumienie i współczucie.

— Patrzcie, panna Monika Hofer! — wykrzyknął na widok dziewczyny. — Wygląda pani na wyczerpaną. Niech pani najpierw odetchnie, proszę usiąść tu, przy mnie... A teraz proszę opowiedzieć, co się stało.

Monika nie była w stanie zdać mu relacji z tego, o czym chciał

wiedzieć. Spoglądała tylko na kapitana wzrokiem śmiertelnie zranionej sarny. Po tym, co przeżyła, nie potrafiła nic powiedzieć; po prostu nie mogła z siebie wydobyć słowa.

Starszy szeregowy wyręczył ją, okazując naturalne współczucie i posługując się przy tym trafnie dobranymi, po żołniersku zwięzłymi zwrotami.

— Nasza druga stacja pośrednia, panie kapitanie, całkiem rozwalona! Trafili w nią bez pudła. Z pięciu dziewcząt, które lam były na służbie, cztery wykitowały. Tylko Monika Hofer wyżyła, bo wyszła na chwilę; musiała akurat pilnie...

— Niech to diabli! — Zmęczony człowiek o ptasiej twarzy w stopniu kapitana zdążył już przywyknąć do tego, że raz po raz wyskubują mu pióra. — Niestety, podobne rzeczy zdarzają się ostatnio coraz częściej. Ale cóż można poradzić? Ostatecznie jest wojna.

Starszy szeregowy przytaknął ze zrozumieniem. Monika jednak nadal milczała. Siedziała blada, cicha, była naprawdę przerażona. Wydawało się, że jej sarnie oczy, wyrażające nieme zapytanie, są jeszcze większe niż zazwyczaj.

— Najlepiej będzie, jeśli odeśpimy wszystko — zaproponował kapitan ze współczuciem. Następnie zwrócił się do starszego szeregowego:

— Odprowadźcie naszą pannę z łączności do kwatery. Ale po drodze wstąpcie do izby chorych — można by w tym wypadku zastosować jakiś środek uspokajający.

Człowiek o ptasiej twarzy, chcąc zapewne dodać Monice otuchy, skinął jej ręką jak złamanym skrzydłem.

— Tylko bez zdenerwowania, moja droga — trzeba zachować spokój! Już jutro, mówię to z doświadczenia, świat będzie wyglądał zupełnie inaczej. Zobaczymy wtedy, co robić dalej.

Dwanaście godzin później „świat” wyglądał rzeczywiście inaczej; w każdym razie tak się wydawało. Pożary już ugaszono, rannych opatrzone, poległych zabrano z ulic, wiatr przepędził chmury dymu. Nie wyczuwało się już prawie przenikliwego odoru rozkładających się ciał.

Meldując się ponownie kapitanowi, Monika Hofer nie robiła już wrażenia tak przerażonej i wyczerpanej, nie była też tak brudna, jak

ostatniej nocy. Jej twarzyczka, przed kilkoma zaledwie godzinami trupio blada, teraz zaróżowiła się, prawdopodobnie po przemyciu zimną wodą. Mimo wszystko odzyskała wewnętrzne opanowanie, właściwe jej usposobieniu.

Kapitan stwierdził to z wyraźną ulgą. Przecież dopiero co poważnie niepokoił się o Monikę, którą znał jako stworzenie delikatne, wrażliwe jak mimoza. Trzeba się było z nią obchodzić jak z jajkiem. Wstrząs po ostatnich przeżyciach mógł u niej łatwo wywołać katastrofalne następstwa. Kapitan ucieszył się więc niezmiernie, że nadarza mu się pomyślna okazja pozbycia się odpowiedzialności za to przedziwne, samowolne dziewczę, i to w sposób całkiem niezauważalny.

Dobrotliwie, niemal po ojcowsku wyjaśnił jej:

— Po nocnym ataku bombowym placówka stała się niezdolna do wykonywania zadań. Dlatego i nasza rola jest tu skończona.

Nie oznaczało to nic innego, jak tylko to, że jednostka zostanie rozwiązana. Ta kolej losów wcale go nie zmartwiła, było to po nim znać, jakkolwiek usiłował pohamować mimowolne odruchy.

— A więc zostaną przeniesiona do innej jednostki — stwierdziła Monika. — W porządku, panie kapitanie. Jestem gotowa pełnić każdą funkcję zgodnie z poleceniem. Kiedy dostanę rozkaz wyjazdu?

— Powoli, dziewczyno. Nie śpieszmy się niepotrzebnie! — upominał ją ze zrozumieniem oficer. — Z moich dokumentów wynika, że już od dwóch lat nie miała pani urlopu. Zatem teraz możemy go pani udzielić, może nawet na jakieś trzy lub cztery tygodnie.

— Dziękuję, panie kapitanie. — Powiedziała bardzo cicho, ale zdecydowanie, niemal szorstko. — Nie ma takiej potrzeby.

— Mogłaby pani dzięki temu z pewnością sprawić radość swemu ojcu — stwierdził prostodusznie, niczego nie przeczuwając, kapitan. Jej ojciec był bowiem wysoko postawioną, ustosunkowaną i wpływową osobistością. — On bardzo troszczy się o panią. Kilkakrotnie telefował i dowiadywał się, jak się pani miewa.

— Dlatego też proszę, panie kapitanie — odparła Monika — żeby w sprawach służbowych stanowisko mego ojca nie wchodziło w grę.

Kapitan zaczerpnął trochę powietrza, zanim zdecydował się, jakie ma wobec takiego żądania zająć stanowisko. Po chwili odezwał się:

— Rozumiem pani motyw. Nie życzy sobie pani korzystać z żąd-

nych przywilejów, a przynajmniej nie z racji pozycji pani ojca. Przynosi to pani zaszczyt; najzupełniej!

— W takim razie oczekuję przeniesienia i niczego więcej.

Kapitan spojrział z zaciekawieniem na stojącą przed nim Monikę Hofer. Nie mógł właściwie zrozumieć tej dziewczyny. Co w rzeczywistości miała na myśli i co czuła? Co kryło się za jej ładnym buziakiem? Czy była serdeczna i wyrozumiała, czy tylko uprzejma, a w istocie zimna jak lód? Czyżby gdzieś w dalszym planie istniał poważny konflikt między ojcem a córką? Do tych spraw nie wolno się jednak mieszać; zwłaszcza gdy ma się do czynienia z takim ojcem! Nie mii więc sensu wypytywać o cokolwiek więcej.

— Mam przed sobą „zapotrzebowanie” — powiedział wreszcie — z centralnego stanowiska dowodzenia na obszar południowych Niemiec. Potrzebują tam dobrze wyszkolonych dziewcząt z łączności. Odpowiadałoby to pani?

— Każda propozycja mi odpowiada — odparła. Nie sposób było odgadnąć, czy jest to rzetelna zgoda, czy zwyczajna uległość, czy wreszcie zdumiewająca obojętność.

— W każdym razie w tej chwili nie mogę właściwie zaproponować pani nic lepszego — mówił dalej kapitan nie bez szczypty ukrytej ironii.

— Chodzi w tym wypadku o prawdziwą sielankę. Nieduży zamek na skraju lasu, otoczony winnicami, położony w pobliżu małego miasta ze średniowiecznymi budynkami z pruskiego niuru. Miejscowość nazywa się Friedrichsruh. Pobliska stacja kolejowa nosi nazwę Friedrichswalde. Ale „zapotrzebowanie”, które stamtąd nadeszło, jest pilne. Musiałaby się pani zdecydować natychmiast.

Monika Hofer skinęła głową. Wyraziła zgodę.



# 1. Mężczyźni lub po prostu chłopcy

— Teraz przyjadą, naprawdę!

Nowinę tę, z doskonale widocznym radosnym ożywieniem, obwieścił kapral Koralnik. Oblizwał wydatne wargi, jak gdyby wyczuwał na nich językiem najwspanialszy miód z Prowansji, zebrany z lawendy, rozmarynu i innych przedziwnych kwiatów i ziół. Należałoby przy tym z góry zaznaczyć, że do podobnie wytwornych smakowitości miał on rzeczywiście dostęp. Suma życiowych doświadczeń zmaterializowała mu się w postaci okazałych zasobów artykułów spożywczych.

— Teraz zacznij się tu dzieć tak, jak należy — dorzucił, informując w zaufaniu starszego szeregowego Helmreicha, by ten wraz z nim był gotów do roboty.

Koralnik powrócił właśnie z tak zwanego zameczku Fredrichsruh. Była to zabytkowa budowla, wzniesiona niegdyś przez jakiegoś wyzyskiwacza poddanych; jak wydawało się, także teraz starano się podtrzymać jej dawne przeznaczenie. Wcale nie przeszkadzało to kapralowi z zuchwałą pogardą nazywać to kosztowne cacko „rozsypaną się barokową rudera”.

Po wyjściu z zameczku pośpieszył do swego baraku, znajdującego się tuż obok, żeby się najpierw dobrze pokrzepić, ponieważ, „tam u góry” dane mu było uczestniczyć w „omówieniu sytuacji”. Był tam w charakterze specjalnie zaufanej osoby dowodzącego w tym miejscu generała, którego dla uproszczenia zwykł był nazywać „swoim” generałem.

Oczywiście na tego rodzaju narady nie wzywano go oficjalnie. Zatrzymywał się on w podobnych okazjach w pokoju sąsiadującym z salą, w której generał obradował ze swoimi oficerami. Koralnik zazwyczaj siadał przy uchylonych drzwiach łączących oba pomiesz-

czenia i chwycił wszystko, co tylko miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Teraz oto dopuszczał swego starszego szeregowego Helmreicha do ograniczonego uczestnictwa w tajemnicy, chociaż zdążył się już zorientować, że ten nie grzeszy nadmierną inteligencją. Lecz właśnie ta cecha czyniła go mile widzianym i bardzo użytecznym współpracownikiem.

— A cóż to będzie się działo jak należy? — zapytał Helmreich i spojrzął na Koralnika z wyrazem potajemnej poufalości w oczach. — Co się wydarzyło? Kto przyjeżdża?

— Przecież kobiety, chłopie! — Koralnik zagłębił się w fotelu, zarezerwowanym wyłącznie dla niego, pośród butelek z alkoholem, skrzynkami i puszkami kawy, wierny zasadzie: „Nie ma zdrowego ducha bez pełnego brzucha”. Roześmiał się lubieżnie. — Mnóstwo kobiet! Babki na kopy! Dziewczyny z łączności!

— Przecież kilka tego rodzaju dziewczynek lata już po naszym sztabie — stwierdził Helmreich dość zdziwiony. — Nie wystarcza ich?

Koralnik pokręcił z pobłażaniem głową.

— Przynies mi najpierw moją manierkę!

Starszy szeregowy poszedł natychmiast. Podobnie jak wierny niemiecki owczarek, stale był gotów okazywać • swoje oddanie. W ten sposób najłatwiej pokonywał trudności. Podał więc szybko Koralnikowi manierkę. Jeśli chodzi o tę manierkę, było to naczynie nader osobliwe, bardzo „specjalne”, bowiem stale napełnione szampanem, przeważnie pommery. Kapral miał zwyczaj popijać z niej małymi łykami — dzień w dzień już od wczesnego rana. Starszy szeregowy Helmreich przypuszczał, że być może płucze on nawet zęby szampanem — jeśli je w ogóle czyści.

Raczenie się szampanem stanowiło w tej jednostce przywilej przysługujący jedynie elicie. Poza panem kapralem był on dostępny tylko generałowi — „jego” generałowi. Koralnik bardzo obficie, a przy tym pomysłowo zaopatrywał go w wiktuały i trunki. Jednakże nigdy nie czynił tego rozrzutnie, lecz zawsze w postaci drobnych, zawczasu obmyślonych dostaw. Zresztą należało tylko uważać na to, by stale utrzymywała się wzajemna zależność.

Konrad Koralnik, kapral odpowiedzialny za zaprowiantowanie jednostki, wnikliwie przestudiował fjęcy^charaKzeru „swego” generała — jego mocne i słabe strony. Jeśli chodzi o powierzchowność, Koralnik

przedstawiał postać niepozorną, czasem może nawet świadomie groteskową, o grubych wargach, obwisłych policzkach i zaropiałych oczach. Za plecami koledzy przezywali go „kartoflanym nosem” lub „miesiączkiem w pełni”. Jego zaletą było to, że po prostu słyszał, jak trawa rośnie. Zawsze wiedział, skąd wiatr wieje, i węszył okazje niczym perigordzka świnia trufle. Był przy tym szczwanym lisem — starannie ukrywał swoje znajomości, możliwości i zamiary. Jeśli wobec wiernego niczym pies łańcuchowy Helmreicha uchylał z lekka od czasu do czasu rąbka tajemnicy, była to tylko jego, by rzecz, wewnętrzna strategia. Starszy szeregowy musiał mieć nieznacznym wgląd w istotę sprawy po to, by wiedział, jaką ma obrać drogę, i rozumiał, dokąd ona prowadzi.

— Powinieneś zdawać sobie sprawę, mój drogi — Koralnik wracał do tematu dziewcząt z łączności. — Dotychczas przydzielili nam około tuzina tych babek. Wszystkie oczywiście zniknęły gdzieś w regionach sztabowych. Prawdopodobnie pilnie ich tam potrzebowali i chyba dobrze wykorzystali. Ale akurat nadjeżdża nowa dostawa.

— Pięknie, więc dowożą nam babki. Ale co to nas obchodzi? Użytkownikami będą, jak zawsze, ci na górze.

— Mój drogi koguciku! — kapral siorbnał szlachetnego trunku i w zamyśleniu spojrzął na swoje ręce, podobne do czerpaków pogłębiarki; można się było po nich spodziewać, że potrafią mocno chwytać. — Kto tu jest na górze, a kto na dole, to się, nawiasem mówiąc, dopiero okaże. Zresztą tym razem, pomyśl sobie tylko, „zapotrzebowano” dokładnie czterdzieści sztuk tego dziurawego wojska i jest już na to zgoda. A więc będą one tu chodziły tanecznym krokiem i kręciły ponętnymi, mam nadzieję, pupciami.

— Człowieku! Będzie tego czterdzieści sztuk! Z osiemdziesięcioma cyckami! Cholernie miło tego słuchać!

— To mnóstwo kobiet! I pomyśl sobie tylko, że nawet nasz sztab nie potrafi im podołać. A to znaczy, że także na innych przyjdzie kolej. Na takich na przykład, jak ja i ty. Przy tym nie możemy absolutnie przeoczyć ważnej sprawy — kiedy te kobiety mają się tu urządzić, to ktoś musi im ustąpić miejsca. Rozumiesz, o co chodzi?

Helmreich podrapał się w głowę.

— Psiakrew! Czy przysłanie czterdziestu babek oznacza, że zwolnią się czterdziestu żołnierzy? A zatem wyśle się ich na najbliższy odcinek frontu?

— Tyś to powiedział! — Koralnik siedział, udając, że przygląda się zbliżającej się do niego musze.

— Kogo to będzie dotyczyć? Jak myślisz?

— W żadnym razie nie mnie. Przecież nie ma tu kto mnie zastąpić.

— A co będzie ze mną? — Helmreich był naprawdę zaniepokojony, głos drżał mu lekko. — Wpisz mnie na listę do wysyłki?

— Może się zdarzyć. Ale nie musi. Przynajmniej nie od razu. — Wydawało się, że Koralnik chce dać do zrozumienia, że tego rodzaju rozmowa go nudzi. — Czterdziestu kolegów wyleci, a z osiemdziesięciu jeszcze przedtem dostanie sraczki, aż wreszcie ustalą, kto odchodzi na front. A ja z tym, Bogu dzięki, nie będę miał nic wspólnego.

— Ale ty mógłbyś przecież mieć na to jakiś wpływ, gdybyś zechciał, bo któż by inny!

— Mógłbym. Bardzo możliwe. — Przeciągle odpowiedział. — Tylko po co miałbym się obciążać jeszcze tym?

— Też pytanie! Dlatego, że chciałbym zostać razem z tobą. Byłbym ci naprawdę bardzo wdzięczny, gdybyś...

— Och, mój drogi, cóż to znaczy wdzięczność? Czy ryby są wdzięczne wodzie, w której pływają? A zwierzę dziękuje trawie, którą pożera? Chciałbym jednak wiedzieć, co masz na myśli, bajdurząc o wdzięczności.

— Wszystko, co tylko zechcesz! — szybko odpowiedział Helmreich. — Na mnie możesz polegać pod każdym względem, sam wiesz. Na przykład, gdy babki już przyjadą, mógłbym im służyć za fryzjera, tak samo jak dotychczas naszym chłopakom. One tego potrzebują, od razu na to polecą.

— To brzmi zupełnie niegłupio — powiedział Koralnik z lekką nutką uznania. — Co prawda, nie jesteś szczególnie wybitnym działaczem mego przedsiębiorstwa, ale może się zdarzyć coś, czego dotychczas nie ma. Wydaje mi się, że masz pewne predyspozycje pod tym względem.

— A więc pozwalasz mi włączyć się do sprawy tych babek? Rozumie się, na twoich warunkach.

— Zobaczmy, czy uda się teraz ustawić te działania na właściwym torze. Nie będzie to wcale takie łatwe przy dzisiejszych układach. Przynajmniej, jeśli chodzi o naszego generała, to jest to godny pan. A jego adiutant, kapitan Rommelskirchen, jest mu posłuszny. Także z sierżantem Wegnerem, naszym geniuszem technicznym, można poroz-

mawiać w każdej chwili. Ale w tych sprawach może nam poważnie przeszkodzić porucznik Crusius, szef obsady stanowisk roboczych. I to nie tylko dlatego, że nie lubi on specjalnie komplikacji. Gorsze jest to, że nie może on mnie znieść.

Helmreich machnął ręką: — Z nim na pewno dasz sobie radę! — Co do tego miał absolutną pewność. — Ten Crusiifs to nic wielkiego; dudni jak pusta beczka, sam to mówiłeś. Tylko udaje ważniaka. Ale ty masz tu o wiele więcej do powiedzenia.

Koralnik nie odpowiedział ani tak, ani nie- Zanotował sobie tylko w pamięci, że Helmreich, ta płotka, trzepocze właśnie w jego sieci i w każdej chwili można go wrzucić do kadzi na sprzedaż. W odpowiednim momencie, za dobrą cenę.

— Załatwione, Helmreich. Jesteśmy w świetnym układzie. Ja ręczę za ciebie, a ty działasz na moją rzecz. Sani jeszcze zobaczysz, co potrafimy wspólnie zmajstrować!

Jeszcze tego samego dnia wieczorem kapral Koralnik odszukał sierżanta Wegnera. Przyniósł ze sobą dwie butelki włoskiego białego wytrawnego wina z regionu Frascati.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? ^- zapytał.

Sierżant spojrzął na intruza takim wzrokiem, jak gdyby go chciał wyrzucić. Następnie rzucił okiem na dwie butelki, które Koralnik ostentacyjnie postawił przed nim.

— A jednak jesteś dość sprytny, by trochę złagodzić swój zwyczaj rozmyślnego przeszkadzania w pracy.

Sierżant Anton Wegner był w tej specjalnej jednostce jednym z bardzo nielicznych uprzywilejowanych, którym dano do wyłącznej dyspozycji pokój w baraku obok zameczku- Oprócz niego w tak niezwykły sposób zostały wyróżnione jeszcze dwie osoby: szef obsady stanowisk roboczych porucznik Crusius, kompetentny po prostu we wszystkich sprawach — w tym, co tu się działo lub właśnie nie działo oraz w tym, co chciał, żeby się działo. Trzecim z uprzywilejowanych był oczywiście Koralnik, bo któż by inny.

W istocie jednak, jeśli ktokolwiek w ogóle zasługiwał w tej jednostce na tak niezwykle wyróżnienie, to był nim sierżant Wegner, geniusz w dziedzinie techniki łączności, działający na stanowisku dowodzenia

obszaru południowo-zachodniego. Wydawało się, że zamiast mózgu ma on maszynę matematyczną. Jego myślenie odbywało się najprawdopodobniej według uporządkowanych wzorów. Mawiano o nim nawet, że jeśli musi sobie ulżyć, to czyni to z niesłychaną dokładnością w przewidywaniach do tego pozycjach planu.

Jego lokum w baraku było zapełnione skomplikowanymi schematami ideowymi, projektami nowych wzorów aparatury przekazywania danych, modelami nowoczesnych urządzeń technicznych łączności uwzględniającymi najdrobniejsze szczegóły. Jednym słowem o sierżancie Wegnerze można było bez żadnej przesady twierdzić, że jest on rzeczywistym mózgiem tej bardzo utechnicznionej instytucji. Bez niego nie funkcjonowały jak należy połączenia, zwierzały się skomplikowane przełączniki, przestawały działać światła sygnalizacyjne.

— Jak się masz, znakomity niedołęgo! — zawołał wesoło Koralnik. — Niemordowanie siedzisz nad budzikiem, co? Ale dla kogo i po co właściwie pracujesz? Dla naszego umiłowanego Führera? Dla swego mecenasa, pana generała? A może przypadkiem już na użytek następnej wojny?

— Dla siebie — odpowiedział zwięźle Wegner.

— To brzmi wcale niegłupio — stwierdził kapral. — Czyżbyś był rzeczywiście aż tak dalekowzroczny, by zastanawiać się nie tylko nad swoimi sztuczkami z łącznością, ale także nad tą wielką kloaką, którą nazywają światem?

— Musiałbym to zacząć robić już o wiele wcześniej.

— Może pozostanie nam jeszcze dość czasu na wykopanie ścieków, byśmy nie podusili się w tym szambie?

Wegner pokręcił głową:

— Za późno już, a ty wiesz o tym tak samo dobrze, jak i ja.

— No, to pokrzepmy się! — Koralnik wskazał na przyniesione butelki. — Jeżeli nam nie starczy, to w każdej chwili może nadejść nowa dostawa. Pod tym względem przeżywam jeszcze najpiękniejszą wojnę z możliwością pierwszorzędnego popijania. Tylko dzięki temu poruszają się jeszcze spróchniałe kości.

Wegner w żadnym wypadku nie wyglądał na typowego sierżanta wielkoniemieckiego wojska. Miał około trzydziestu lat i sprawiał raczej wrażenie oderwanego od biurka uczonego. Był to nieduży mężczyzna, można by rzec — niemal filigranowy, z marzycielsko zadumany

spojrzeniem. Ubrany był skrajnie niedbale — szeroko rozpięty kołnierz, luźna kurtka, wymiętoszone spodnie, jasnożółte skarpetki i pantofle gimnastyczne.

— A więc i ty zdążyłeś się zorientować — mówił konfidencjonalnie Koralnik — że długotrwała ślota już niedługo przerodzi się w gwałtowną nawałnicę? Ale, czy my musimy się na nią wystawiać?

Sierżant, zanim odpowiedział, ze znanstwem degustował wspaniałe wytrawne białe wino.

— Nikt się przed tym nie uchroni! Muszą się odplacić nam wszystkim. Na razie żyjemy wśród pozornej sielanki — jedni lepiej, inni mniej dobrze. Jest to jednak tylko czekanie na wykonanie wyroku. Nasze dni są policzone, i to już od dłuższego czasu.

Słowa te były niesłychanie szczere i wprawiły Koralnika w niekłamanie zdziwienie. Co prawda, on i Wegner już od kilku miesięcy byli niemal zaprzyjaźnieni. Prawdopodobnie niepoślednie znaczenie miało pod tym względem ich cywilne usposobienie, nie do wyplenienia tak u jednego, jak i drugiego — Wegner był inżynierem i wynalazcą, a Koralnik zręcznym handlowcem. Pomimo to do tej pory sytuacja wojenna i polityczna była dla nich tematem tabu.

— Siedzimy tu jak na beczce prochu — ciągnął dalej sierżant. — Pewnego dnia tak zwani nieprzyjaciele, którzy nie są wcale tacy głupi, jak to się chętnie przedstawia, namierzą nasz świetny pod względem technicznym podziemny obiekt, a następnie kilkoma bombami zrównają go z ziemią, jak to się trafnie określa.

— Może się to zdarzyć, ale nie musi — odparł Koralnik.

— Czyżbyś się przypadkiem ostatnio lubował w optymistycznych przewidywaniach? — zapytał z niedowierzaniem Wegner.

— Gadanie! Jestem kupcem i umiem liczyć. Ostatecznie wiem, że nasze eldorado z punktu widzenia wojskowego jest dość dobrze zamaskowane dzięki pozorowanemu obiektowi, który znajduje się parę kilometrów na północ, i aż się prosi o zniszczenie.

— A zatem w ogóle nie masz pojęcia, jakie dzisiaj można robić zdjęcia lotnicze. Nawet z wysokości dziesięciu do dwunastu kilometrów odróżnia się każde wolno stojące drzewo, a na zdjęciu można już prawie policzyć liście. A tu nas niedawno znów straszyl jakiś samolot.

— No, a jeśli nawet! — Kapral udawał, że nie robi to na nim wrażenia. Pogoda ducha i opanowanie, niezależnie od tego czy udane,

czy prawdziwe, stanowiły wypróbowaną podstawę do ubicia dobrego interesu. — W końcu są tu w pobliżu także 'cztery baterie dział przeciwlotniczych, których zwiadowca nie mógł chyba nie zauważyć. Chłopie, teraz nasi kochani nieprzyjaciele wobec pewnego zwycięstwa nie zechcą przecież zabawiać się w bohaterów.

— Być może jesteś naiwny, mój drogi! Od kiedyż to wyżsi dowódcy wojskowi kierują się ludzkim rozsądkiem i rozwagą? Na przykład, czy to mądre i konieczne, by zwalniać i wysyłać na tak zwany front wyspecjalizowanych żołnierzy i potem zastępować ich dziewczętami?

— To już szaleństwo. Jednak pod pewnym względem bardzo obiecujące. Bo przecież z babkami można na pewno co nieco zwojować. Czy nie myślisz tak samo?

Wegner pokręcił głową.

— Żal mi tylko dziewcząt. Nie przeczuwają, co je czeka. Uczciwie i odważnie chcą stanąć w obronie narodu i ojczyzny, a trafiają do cuchnącego bagna.

— W tym miejscu chce mi się śmiać do rozpuku, kolego sierżancie. Z tego stawania w obronie ojczyzny! Tu chodzi o jędrne babki i krzepkich chłopów i nic poza tym. Chce im się kochać i parzyć, gdy tylko nadarzy się okazja. Z tym trzeba się liczyć i w odpowiednim czasie stwarzać odpowiednie do tego warunki.

— Twój sposób myślenia jest prostacki i powierzchowny — odparł Wegner; nie chciał pozwolić, by mu ktoś burzył obraz świata, w którym moralność zajmowała jeszcze poczesne miejsce. — Nie możesz przecież wszystkich niemieckich dziewcząt i kobiet mierzyć jedną miarą i określać je hurtem jako stworzenia niższej jakości. Pamiętaj, że jeśli wśród nich znajdzie się choćby jedna, która mogłaby być twoją żoną i matką twoich dzieci, to już wtedy jak prymitywny karciany domek rozsypie się teoria niemoralności.

— Oj, niepoprawny z ciebie marzyciel! Na wszystko patrzysz przez różowe okulary. I to coś podobnego, jeszcze teraz! Człowieku, możliwość pojawienia się jednej moralnej jaskółki jeszcze długo nie czyni obyczajnej wiosny. Po co mamy czekać na cud? Lepiej'spójrzmy na całą sprawę realnie! Z tym wiąże się fakt, że ty dysponujesz niekrępującym pokojem. A teraz, z ręką na sercu — nie wciągałeś tu raz i drugi którejs z naszych wojskowych babek?

— To cię obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg, rozumiesz?



— Dobrze, zgoda! Wcale mi nie chodzi o ciebie samego, tylko o twoją izbę, która prawie zawsze stoi pusta, bo ty najczęściej przesiadujesz w swoim załadowanym techniką podziemiu. Mógłbyś więc pomóc w nawiązaniu stosunków międzyludzkich i oprócz tego jeszcze dobrze zarobić.

Sierżant złapał się za głowę.

— Teraz dopiero zrozumiałem wiele spraw! A więc to wcale nie pogłoska, tylko szczerą prawdą, że oddajesz swoją izbę pewnym klientom do dyspozycji na noc, oczywiście nie bez odpowiedniej zapłaty.

— Przepraszam, muszę stanowczo zaprzeczyć! To oszczerstwo! Jestem przerażony, że także i ty fajdasz na to gnojowisko, które bez tego już dość śmierdzi. Nie doceniasz głębi mego charakteru! — Koralnik udawał oburzonego, lecz w oczach pobłyskiwały mu szelmowskie ogniki. — Z powodu tej jednej nocy! Przecież to najwyżej na godzinę. Przeważnie wystarcza pół godziny, i to wraz ze zmianą pościeli na świeżą.

— To cię może kosztować życie — ostrzegł go Wegner. — Porucznik Crusius czeka tylko na pretekst, by cię obdrzeć ze skóry. Już od dłuższego czasu węszy, co ty tu urządzasz. Całkiem niedawno próbował mnie o to wypytywać. Chciał przy tym znać szczegóły.

— Których ty mu oczywiście nie podałeś.

— Powiedzmy, że nie mogłem mu ich podać, ponieważ nic o nich nie wiedziałem, aż do tej chwili. Ale, o ile obaj znamy'Crusiusa, wiemy, że nie ustąpi. To człowiek zawzięty i może stać się bardzo niebezpieczny.

Koralnik machnął ręką.

— Dla kogo niebezpieczny? Dla mnie niekoniecznie.

— W każdym razie nie przepuści okazji, kiedy będzie ci mógł dosolić, jak to się mówi w twoim żargonie.

— Oj, chłopie! Na to nie może on pozwolić; zbyt dużo wiemy o sobie. Jeżeli jednak pomimo to poważy się, to go zniszczę, i to doszczętnie. Ale gdy tylko pojawią się tu kociaki, to tak czy owak wszystko ułoży się inaczej.

— Co sobie po nich obiecujesz? Wydaje mi się, że bardzo cię interesują. \*

— Musisz na to spojrzeć inaczej. Jak długo kobiety są w mniejszości, tak długo udają, że przystosowują się do sytuacji, a okrężnymi drogami skradają się do celu. Na przykład ta bestia Marianna. Generał

myśli, że wydobył ją na brzeg dla siebie, a ona grzecznie robi po prostu to wszystko, czego on sobie życzy. Ale w rzeczywistości zgarnia dla siebie wszystko co najlepsze, a oprócz tego omotuje go i na tysiące podstępnych sposobów wywiera na niego wpływ. W końcu wychodzi na to, że prawdziwym naszym dowódcą jest szczwana dziewczyna z łączności.

— Tu już przesadzasz! Jeśli osobiste, bardzo bliskie stosunki w pewnych okolicznościach przeradzają się być może w prywatne przywileje, to trzeba to jednak uważać za zjawisko wyjątkowe.

Koralnik pokręcił głową.

\*

— To tu, to tam sytuacja wyjątkowa, a w niej tkwi baba! A teraz wyobraź sobie, że wkrótce będzie ich już nie kilka, ale całe gromady. I zaczną uprzyjemniać mężczyznom życie, że się tak wyrażę, wspólnymi siłami. I zupełnie tak samo, również wspólnymi siłami, będą chciały decydować, co tu ma być grane. Wtedy nie będą już potrzebowały przystosowywać się, tylko całkiem po prostu spróbują podporządkować sobie tak zwane istoty rodzaju męskiego.

— Chłopie, to brzmi wprost obiecująco — zaśmiał się ironicznie sierżant Wegner.

— Bo tak też jest! — stwierdził kapral. — Jeżeli wśród tych dziewcząt z łączności znajdzie się choćby parę na tyle mądrych, że nie tylko będą wiedziały, czego chcą, lecz będą umiały także ocenić, jak daleko wolno im się posunąć, a więc co mogą na tym terenie zdziałać, to wówczas może tu rozgorzeć zupełnie ładny pożar.

— A może będzie to tylko słomiany ogień?

— Najważniejsze, że będzie się palił, a potem dymił! A od dymu łzawią oczy i widzi się wtedy jak przez mgłę, traci się ostrość spojrzenia i osmalają się serca i tyłki. Będziemy przy tym musieli pilnie starać się o materiały palne. Kiedy o tym myślę, to już w tej chwili ogarnia mnie okropne pragnienie. Nasze zdrowie, kolego!

Na razie nie działo się nic niezwykłego. Wszystko przebiegało zwyczajnym codziennym trybem — przynajmniej wydawało się, że tak jest. Zmiana dyżurów na centralnym stanowisku dowodzenia na obszar południowo-zachodni w podziemnym schronie odbyła się o wyznaczonej godzinie. Przy każdej zmianie trzydziestu sześciu żołnierzy obejmo-

wało dyżur na osiem godzin. Byli to wciąż jeszcze mężczyźni. Pełnili służbę dokładnie według planu. Pozostały czas spędzali na spaniu, jedzeniu i trawieniu. Zrozumiały, że w tym samym czasie odbywały się też szkolenia światopoglądowe i ćwiczenia sportowe. Było to zarówno nieuniknione, jak i nie lubiane.

Ponurych znaków czasu nie zauważano tu prawie. Wyczuwały je tylko wyjątkowo wrażliwe umysły, które wciąż jeszcze zachowywały tę niezmiernie cenną właściwość. Nie rozległo się dotychczas żadne ostrzeżenie, w niczym sercu nie zatlił się nawet błędny płomyczek obawy. Nikt jeszcze nie przeczuwał, że na najbliższą wiosnę, w roku 1945, zwali się do gigantycznego zbiorowego grobu wielkoniemiecka Rzesza. Że już niedaleko, tuż za węglem, czai się okrutna śmierć.

Nie. Ten ustronny światek, złożony z baraków i schronów podziemnych, obok zameczku Friedrichsruh, wciąż jeszcze był sielanką. W świątku tym miał panować porządek, a więc był porządek, tak jest! I to wcale niezły. Pomieszczenia były czyste. Nie brakowało bielizny pościelowej, były natryski, czysta woda, pod dostatkiem mydła, obfite wyżywienie. Dzięki Koralnikowi wydawano tygodniowe przydziały tytoniu i wina.

O, serce niemieckiego wojaka, czegoż ci jeszcze trzeba!?

Żołnierzy, którzy pełnili tu służbę, ani razu nie dręczyła obawa, że ktoś ich może przenieść na front. Ufali swojemu generałowi Blütenbergerowi. On to przecież zapewniał ich lub raczej kazał zapewniać, że ich służba tu, na węźle łączności stanowiska dowodzenia, jest niezmiernie ważna ze względu na toczącą się wojnę, jeśli zgoła nie decydująca o jej losach.

Ów generał był oficerem jak z powieści. Jednym słowem, wspaniała postać. Pełen wzniosłego a zarazem budującego poczucia obowiązku, którego najwyższym celem jest obrona świętej ojczyzny do ostatniej kropli krwi. Nie musiała to być od razu własna krew.

W każdym razie niejednokrotnie mawiano, że ze szlachetnie zarysowanych ust tego generała nigdy nie padło nieprzychylnie słowo pod adresem Führera, Rzeszy bądź Wehrmachtu. Zawsze starał się zachowywać jak dżentelmen starej, jego zdaniem, najlepszej szkoły i w ten sposób odpowiednio uzewnętrzniać swoją rycerskość.

Stanowisko dowodzenia na obszar południowo-zachodni było w najściślejszym tego słowa znaczeniu „jego” jednostką. Przebąkiwano zresztą, że naczelny dowódca Wehrmachtu, Adolf Hitler we własnej

osobie, powierzył mu ją. Nie ulegało wątpliwości, że miała ona niezwykle, jedyne wprost w swoim rodzaju znaczenie. Można ją było nazwać nowoczesną dyspozytornią wojny, a może po prostu — triumfalnym osiągnięciem nieujarzmionego niemieckiego ducha.

I oto znów zaprosił generał do „letniego zameczku myśliwskiego” swoich najbliższych i, jak uważał, najbardziej oddanych współpracowników. Narada odbywała się w jego gabinecie. Pomieszczenie to doskonale odpowiadało jego osobowości i pozycji. Na ścianach wisiało kilka szerniałych ze starości portretów przodków poprzednich właścicieli zamku, na przemian z pełnymi wyrazu porożami ubitych jeleni. Na podłodze były rozpostarte wspaniałe, jakkolwiek już mocno przydeptane, pokaźnych rozmiarów zwierzęce skóry.

Generał uśmiechał się z ojcowską łaskawością do czterech mężczyzn, na pozór z oddaniem weń wpatrzonych. Jednym z nich był jego adiutant, kapitan Rommelskirchen, grzeczny, robiący nader miłe wrażenie mężczyzna. Jakkolwiek w istocie był on niewiele wart, to jednak wydawał się niezbędny jako niezawodny potakiwacz. Tuż obok, niemal ramię w ramię, przycupnął starszy sierżant Himmelsheimer, szef kompanii łączności. Znany był z tego, że wywiązywał się doskonale, wręcz wzorowo ze wszystkiego, cokolwiek mu rozkazano lub powierzono.

Trzecim w tym zespole był porucznik Crusius, szef obsady stanowisk roboczych. Do jego zadań należało opracowywanie planów dyżurów oraz wydawanie w tym zakresie poleceń wszystkim żołnierzom łączności i kierowanie nimi, poza tym zaś kontrolowanie kuchni, kantyny, izb żołnierskich i ustępów, lecz oczywiście oprócz kasyna w zameczku. Jego oficjalny tytuł brzmiał: dowódca kompanii sztabowej. Generał uważał, że ma wystarczające podstawy, by cenić sobie jego zdolności.

Czwartym w towarzystwie, którego uczestnicy uważali, że jest doborowe, było właściwie zero, ktoś nijaki, dziwaczny odludek, kapitan doktor Säbisch. Jako człowiek był to osobnik nawet dość przyjemny, przede wszystkim bez reszty oddany generałowi. Jednakże w tym wojskowym otoczeniu musiał się czuć jak obcy. Przyjmował to na pozór spokojnie; stale był uprzedzająco grzeczny, chociaż dobrze wiedział, że na przykład porucznik Crusius wcale nierzadko lubi go nazywać pasożytem na żywym ciele wojska.

Niejako na obrzeżu tego koła znajdował się jeszcze ktoś piąty. Był to

usłużny duch, stwarzający pozory, że jest obecny tylko po to, by jak cień dbać o materialne dobro generała i jego gości, jednym słowem kapral Koralnik. Na wyczarowanych skądś przez niego butelkach szampana, położonych na lodzie, widniały wprawdzie takie same etykiety, a jednak zawierały różne trunki.

Podczas gdy Koralnik „swemu” generałowi serwował najlepsze z możliwych, a mianowicie pommery brut royal, to współpracownicy generała chłęptali jedynie podrzędną lurę. Kapral lubił sobie pozwalać na takie wytworne żarciki. Był on mianowicie zdania, że facetów, którzy zebrali się wokół „jego” generała, można śmiało uznać za ograniczonych kołtunów, niezdolnych nawet odróżnić wody mineralnej od końskich sików. Czynienie podobnych uwag niezmiernie bawiło Koralnika, wystrzegał się jednak wypowiedania ich na głos.

Generał przemówił do swoich oficerów:

— Już wczoraj poinformowałem was, panowie, w ogólnym zarysie, że już niedługo powinniśmy oczekiwać przybycia jeszcze czterdziestu dziewcząt z wojskowej służby pomocniczej. Pociągnie to za sobą poważne zmiany i niewątpliwie doprowadzi do pewnych komplikacji. Zresztą pragnę w tym miejscu zaznaczyć, że rozmyślnie nie wezwałem na tę naradę naszej pani Warnke...

Miał na myśli komendantkę dziewcząt z łączności, która niedawno przybyła na teren stanowiska dowodzenia obszaru południowo-zachodniego i już działała na miejscu, w zamku.

— Nie powinniśmy jeszcze obciążać tymi sprawami naszej szanowej pani Warnke. Przede wszystkim chętnie bym się dowiedział, czy zastanowiliście się, panowie, nad tym, w jaki sposób najskuteczniej (pomyślał zaś — najwygodniej) zapanować nad sytuacją. — W miarę jak padały brzemiennie w znaczenie słowa generała, adiutant Rommelskirchen uważał za wskazane w zadumie przechylać to w prawo, to w lewo pokrytą pięknymi kędziorkami baranią głowę. Starszy sierżant Himmelsheimer wpatrywał się w generała z wyrazem ufego oddania. Kapitan doktor Säbisch udawał pogrążonego w głębokim zamyśleniu. Kapral Koralnik pozostawał na dalszym planie i, mrugając, patrzył przed siebie, jak gdyby na swoje butelki szampana.

Tylko porucznik Crusius pragnął wykazać się jako zdecydowany człowiek czynu, mający dar zarówno szybkiego rozpoznawania, jak i pokonywania przeszkód.

— Panie generale, każdy wydany rozkaz musi być wykonany; po żołniersku, bez zarzutu. Jeśli wynikną przy tym trudności, należy je pokonać.

— Jakież to trudności dostrzega pan, Crusius? — generał rozmyślił nie użył sformułowania „obawia się pan”...

— Kiedy zjawi się tu czterdzieści bab — przepraszam, chciałem powiedzieć: dziewcząt z łączności — będzie to znaczyło, że musi być tyle samo mężczyzn. Jasna sprawa, dokąd. Będzie sporo złej krwi, jeśli coś takiego się przeciągnie. A więc jest wskazane, by żołnierzy, których to będzie dotyczyć, jak najszybciej postawić wobec faktów dokonanych, nim zaczną się zastanawiać. To się nazywa czynnik zaskoczenia! Jestem do tego gotów pod warunkiem, że pozostawi mi się zupełnie wolną rękę.

— Powiedział pan, zupełnie wolną rękę? — wydawało się, że kapitan Rommelskirchen został nagle wyrwany ze swojej głębokiej zadumy. — Czy to przypadkiem znaczy, że chce pan całkiem samodzielnie, za naszymi plecami decydować, kto ma być przy tej okazji ugotowany?

Starszy sierżant Himmelsheimer zadał natychmiast w tę samą dudkę:

— Ponadto rozumie się przecież, że trzeba mieć wzgląd na organizację, którą wspólnie z niemałym trudem stworzyliśmy. Pozwalam sobie nadmienić, że nasza jednostka musi nadal działać bez zarzutu, jak dotychczas.

Kapitan doktor Säbisch wyczuł, że i on musi zająć stanowisko w tej istotnej wymianie poglądów:

— W tym miejscu mogę tylko przytaknąć — skinął głową. — Nie powinno się tak lekko pozbywać tego, co się okazało dobre.

— Co tam! — Crusius z niezadowoleniem machnął ręką. — Niezwykle sytuacje można rozwiązywać tylko stosując surowe, energiczne pociągnięcia. W dziejowej walce naszego narodu najlepsi mężczyźni potrzebni są na froncie. Cała reszta ma znaczenie drugorzędne. I jeśli pan tego nie pojmuje, panie kapitanie, to...

— Stop! — zawołał generał Blütenberger. Zabrzmiało to prawie jak „leżeć!” Zupełnie jak gdyby poskramiał psy, każąc im zachowywać się spokojnie. — Bardzo proszę was, panowie! W mojej obecności więcej wzajemnego zrozumienia!

Generał należał do ludzi, którzy do niepotrzebnych komplikacji

czują odrazę jak do brudnej wody. Poza tym nosił on imiona Feliks i Baldur, co jego zdaniem wcale nie było przypadkowe. Niektórym paniom, które wyróżniał, chętnie pozwalał, by nazywały go Feliksem. Natomiast zaprzyjaźnieni z nim mężczyźni, świadomi wartości germańskich pierwiastków w niemieckiej kulturze, mieli prawo zwracać się do niego per Baldur.

— Potrzeby frontu mają pierwszeństwo i jest to rzeczą tak zrozu miała, że zbędna jest jakakolwiek dyskusja na ten temat. — Oświadczył z namysłem. — Uznawanie tej prawdy nie znaczy, że wolno pod jakimkolwiek pozorem dopuścić do osłabienia naszej organizacji. Muszę więc co najmniej stwierdzić, że wśród obecnych tu — w tym miejscu w sposób najzupełniej oczywisty zaliczył do nich też Koralnika — nie ma osób zbędnych. Lecz w żadnych okolicznościach nie możemy zrezygnować również ze specjalistów, jak na przykład z sierżanta Wegnera.

Skoro wyróżnił w tej chwili sierżanta Wegnera, to miało to z pewnością jakieś znaczenie. W obsadzie stanowiska dowodzenia właściwie wszyscy wiedzieli o napiętych stosunkach pomiędzy nim a porucznikiem Crusiusem. Była to antypatia oczywiście obustronna.

Kapitan Rommelskirchen w każdym razie nie miał nic pilniejszego do zrobienia, jak tylko jeszcze raz zademonstrować całkowitą zgodność poglądów własnych z poglądami przełożonego.

— Należy zresztą mieć na uwadze, że dziewczęta z kobiecej służby pomocniczej, których właśnie oczekujemy, mogą zastąpić jedynie żołnierzy najniższych stopniem, ponieważ ich wykształcenie jest przypu szcześnie niewystarczające do pracy na kluczowych posterunkach. Z tego nieuchronnie wynika, że oddani zostaną tylko szeregowi.

— Czy pan tak samo się na to zapatruje, poruczniku Crusius? — zapytał generał.

— Rozumie się, panie generale! — padła natychmiastowa odpowiedź.

Blutenberger skinął porucznikowi głową w sposób wyraźnie przyjazny. Zdawał sobie przy tym sprawę, że porucznika „tak jest” lub „rozumie się” niekoniecznie dowodzi całkowitej zgodności poglądów. Raczej wiadomo było, również generałowi, że dowódca jego kompanii sztabowej jest zawsze gotów interpretować rozkazy tak, jak uważa za słuszne w danej chwili.

Tym też należy sobie tłumaczyć wiele z owych komplikacji, które na tę jednostkę Wehrmachtu wielkoniemieckiej Rzeszy miały później spadać jak niszczące lawiny.

Bezpośrednio po naradzie na „najwyższym szczeblu”, jak generał raczył osobiście nazywać te swoje odprawy, miało miejsce godne uwagi wyzwanie — porucznik Crusius poprosił kaprała Koralnika, by poszedł razem z nim.

— Zacerpnijmy trochę świeżego powietrza i rozprostujmy nogi! — zabrzmiało to prawie przyjaźnie i po koleżeńsku.

Koralnik odpowiedział na pozór z wdzięcznością:

— Nie powinno to nam zaszkodzić.

Pilnie przyglądał się porucznikowi, wiedząc, że i on go obserwuje. Wydawało się, że rozpoczynają grę w kotka i myszkę, nie wiedząc jeszcze, kto z nich jest kotem, a kto myszą.

Ich wspólny spacer odbywał się wokół letniego zameczku myśliwskiego Friedrichsruh. Trudno przypuszczać, by byli oni świadomi nieprzeciętnej podobno piękności tego obiektu. Przynajmniej w tej chwili nie obchodziło ich to, że tu właśnie przed dziesiątkami lat powstały natchnione opisy tej budowli, jak na przykład ten:

„... mrokiem lasów obramowane Friedrichsruh! Baśniowy obraz ciszy i samotności. Wciąż od nowa rozjaśniające się w porannym brzasku, nie do ugaszenia w wieczornym zmierzchu i olśniewająco iskrzące się wśród księżycowej nocy. Wygląda jak zbudowane z dźwięków muzyki Bacha i Mozarta, dostojne i lekkie, podobne do kwiatu wykwitłego z kamienia. Jego okna są niby oczy wpatrzone w odległą dal pełnego tajemnic świata...”

Porucznik Crusius, będąc człowiekiem czynu, praktykiem i realistą, podobnie jak kapral Koralnik, dobrze wiedział, czego chce; kierował się w stronę zamaskowanych pomieszczeń żołnierskich w pobliżu lasu. Po drodze okrążył schron podziemny, w którym znajdowało się stanowisko dowodzenia wraz z całą aparaturą ostrzegania, kierowania i dowodzenia. Nie wydawało się, by specjalnie lubił ten zespół, co można było tłumaczyć faktem, że nie znajdował się on, na razie, w zasięgu jego władzy.



Baraki mieszkalne, do których wkrótce dotarli, były wyposażone dość skromnie, co wynikało z warunków wojennych. Miały jednak światło elektryczne i bieżącą wodę. Były tam nawet natryski, z których wolno było korzystać rano i wieczorem, ale oczywiście nie w wypadku tak zwanej małej potrzeby. Prawdziwy wojak nie zważał jednak na podobne zakazy, zresztą trudno byłoby wymagać od żołnierzy, by z najmniejszą ludzką potrzebą latali do latryny. Tym bardziej, że zbudowano ją w pewnej odległości od baraków. Była urządzona w tak zwanym wojenno-klasycznym stylu — składała się z grzędę i wilczego dołu.

Porucznik Crusius wiele znaczącym gestem wskazał na ten przybytek końcowego aktu trawienia, jak gdyby zamierzał wygłosić doniosłą prawdę:

— Oto właśnie, mój drogi, jeden z naglących problemów, które mamy przed sobą. Może pan się domyślić, co chciałbym przez to powiedzieć?

Kapral przytaknął ruchem głowy. Był w stanie pojąć także lak subtelną sprawę. Dziewczeta z łączności, które dotychczas zatrudniano na stanowisku dowodzenia, a był ich niecały tuzin, zakwaterowano w zameczku. Tam wystarczała im jedna nieduża ubikacja, w pobliżu której miały też umywalkę i natrysk. Urządzenie to wszakże w żaden sposób nie mogło wystarczyć na dalszą metę, skoro miała tu nastąpić zapowiedziana inwazja kobiet. Obraz dziewcząt, kucających wśród chłopaków na grzędzie, w budzie skleconej z desek, mógłby się naturalnie wydawać ponętny niektórym żołnierzom, lecz podobna sytuacja była po prostu nie do przyjęcia.

Zanim Koralnik zdążył wypowiedzieć swoje myśli na ten temat, Crusius zapytał go, jak gdyby mimochodem:

— Czy na odprawie u generała nie uderzyło pana przypadkiem coś niezwykłego?

— Chyba nie. Może tylko to, że pan generał tym razem nie zaprosił na naradę pani Warnke, naszej komendantki dziewcząt z łączności.

— Dobrze pan zauważył — powiedział Crusius.

— Jakoś dziwne mi się to wydało, zwłaszcza kiedy się pomyśli, z jak wielką uprzejmością pan generał stale odnosił się do tej pani...

— ...co, jak uważam, jej się należy! — przerwał mu porucznik

ostrożnie, gotów ubezpieczyć się na wszelki wypadek. Jego odezwanie podziałało na Koralnika jak syrena okrętowa, mająca zapobiec nieoczekiwanemu zderzeniu statków.

— To jest dama, tak jest! Wspaniała, niemiecka kobieta. Absolutnie godna szacunku.

Koralnik w tym momencie najchętniej zawołałby: „Dlaczego więc nie zejdziesz się z nią od razu?” Wystrzegał się jednak tak wyraźnego, bezpośredniego wyrażania własnych poglądów. To, o czym właśnie mówili, było dość niebezpieczną rafą, którą należało uważnie omijać.

— Jest to z pewnością oryginalna i podziwu godna pani. Przypuszczam, że pan generał na pewno nie chciał jej bez potrzeby trudzić. Tym bardziej, że chodzi w tym wypadku o rozstrzygnięcie wymagające męskiego rozsądku i zdecydowania, z uwzględnieniem istniejących możliwości. Mówiąc inaczej, pan generał przywiązuje wagę do tego, by nikt nie wtrącał się do pańskich postanowień, panie poruczniku.

— Ja również tak to odbieram! — Crusius z zadowoleniem skinął głową. Ten kapral — pomyślał sobie — to z pewnością podstępna bestia, ma jednak dość otwartą głowę, a to prawdopodobnie powstrzymuje go od prawienia niewczesnych głupstw. To, co porucznik powiedział głośno, zabrzmiało prawie tak, jak gdyby między dwoma prawdziwymi mężczyznami nastąpiło zawarcie koleżeńskej ugody: — Jest pan gotów wesprzeć mnie?. Chciałbym tu jak najszybciej zaprowadzić porządek.

— Ależ, ma się rozumieć! — pośpiesznie odpowiedział Koralnik. — A jak pan uważa, panie poruczniku, miałoby wyglądać to wsparcie?

— Każę pana uwolnić od najgrubszej, brudnej roboty. — Crusius wskazał barak A. — Ta stodoła musi być w każdym razie opróżniona natychmiast. To, niestety wywoła poważne przesunięcia w pozostałych pomieszczeniach. Z tym musi sobie jednak dać radę starszy sierżant Himmelsheimer. Tak czy owak, najwyższy czas, aby ten śpiący rycerz nabral wreszcie ikry.

Załatwiono więc jeden problem. Sprawa była jasna. Jedni wydają rozkazy, nie zważając na to, że są one niesłychanie głupie. Inni, którzy słuchają rozkazów, muszą je wykonywać, ślepo posłuszni, nie zastanawiając się, czy to ma jakiś sens, czy też nie ma go wcale. Rzeczą najważniejszą jest maszerować równo, nie wychylać się!

— W każdym razie pan, Koralnik — ciągnął dalej porucznik —

zadba o to, żeby opróżniony barak natychmiast odnowić. I to bardzo starannie we wszystkich szczegółach. Do tego dojdzie jeszcze, co pan z pewnością może załatwić, nowe, solidne umeblowanie.

— A oprócz tego jeszcze specjalny ustęp, a też instalację do podmywania się.

— Właśnie! I wszystko to ma być możliwie solidne! Proszę stale pamiętać o tym, że generał życzy sobie, by nad tymi prawdopodobnie żwawymi kociakami roztoczyć jak najtroskliwszą opiekę. Zróbmy mu tę przyjemność. Czyste ciało puszcza zdrowe bąki.

— Jeśli o to chodzi, panie poruczniku, jestem tego samego zdania co pan. Natomiast na kompletne odnowienie z góry zapatruję się pesymistycznie. Chodzi o dostawców i rzemieślników.

— Chodzi tylko o znajomości i o nic więcej, a pan je przecież ma. Niech je pan teraz wykorzysta. Proszę wykazać się swoimi uzdolnieniami.

— Bądź co bądź nie będzie to takie tanie.

— Ewentualne wydatki da się jakoś pokryć. Znajdziemy już źródła, z których można będzie trochę urwać.

— A skąd mam wziąć potrzebną siłę roboczą?

— Człowieku, przecież zazwyczaj nie jest pan aż tak tępy! Wystarczy, by zażądał pan tych rosyjskich jeńców, co to siedzą w dawnej oborze. Walkoni się ich tam około pół setki. Trzeba im także podłożyć trochę ognia pod ociężałe tyłki.

Brzmiało to wszystko dość prosto, jednak w istocie nie było wcale takie proste. Choćby dlatego, że Rosjanie, nędzne, wycieńczone ludzkie istoty odziane w łachmany, traktowani jak bydło, byli zatrudniani jako stała ekipa do sprzątania i oficjalnie podlegali kapitanowi Rommelskirchenowi. Czyżby Crusius tą okrężną drogą próbował przypadkiem utrzczeć nosa adiutantowi generała?

— Drogi panie Koralnik! — powiedział protekcjonalnym tonem porucznik, umyślnie akcentując swój dobry nastrój. — Nasza obecna sytuacja przedstawia się mianowicie tak, że należy ją rozwiązać w całości! Gdyby przy tej okazji na kogoś padło podejrzenie, że sabotuje robotę, mógłby z pewnością wzbudzić niezadowolenie pana generała.

Wypowiedź ta była całkiem wyraźna; zawierała jednocześnie propozycję i pogróżkę. Nie dało się zaprzeczyć, że znaczyła mniej więcej tyle:

albo zmierzasz razem ze mną do tego samego celu, albo załatwię cię!  
Oczywiście za pomocą oszczerstw przed przełożonymi.

Crusius skierował się z kolei w stronę kilku Rosjan, których zadaniem było utrzymywanie w należyтым porządku alejek w parku zamkowym. Zbliżywszy się do tych obdartych postaci, stanął w lekkim rozkroku i przyglądał im się przez dłuższą chwilę. Jeńcy udawali, że go nie zauważają; pochyłili się tylko i zaczęli jeszcze pilniej pracować, nie chcąc wzbudzić niezadowolenia.

— Nie wyglądają wcale na niedożywionych — stwierdził Crusius.  
— Wprost przeciwnie, nabierają tłuszczu. Zabawiają się tą robotą, widocznie nie pilnuje się ich należycie i dlatego nie są dostatecznie wykorzystywani.

Aha — pomyślał Koralnik. — To były oczywiście wskazówki dla mnie, a jednocześnie pociski do użycia w nieuniknionej wojnie pomiędzy oficerami sztabu odnośnie do zakresu kompetencji.

Odpowiedział więc:

— Zagadnienie wykorzystywania i utrzymywania rosyjskich jeńców kapitan Rommelskirchen regularnie omawia z plutonowym Zanderem. Prawie nikogo nie dopuszczają do udziału w tych rozmowach.

— To jeszcze zobaczymy! — wykrzyknął rezolutnie Crusius. — Zander, ten wymagłowany plutonowy, powinien by się raczej nazywać Flądra. W każdym razie należy on wciąż jeszcze do mojej kompanii sztabowej. Już ja go pogonię!

— Chciałbym tylko zwrócić pańską uwagę na to, że plutonowy Zander został tu wyznaczony, ponieważ nieźle zna język rosyjski.

— No, to co z tego? Słyszałem od kogoś, że pan też zna rosyjski. — Crusius chętnie przybierał postawę przełożonego wiedzącego właściwie wszystko. — A może to nieprawda?

— Nie, panie poruczniku. Ta umiejętność należy, że się tak wyrażę, do rzemiosła wojennego. Bo przecież nie wystarczy tych nieprzyjacielskich Kanaków kopać w tyłki. Musimy umieć im powiedzieć, dlaczego to robimy. A oprócz tego w miarę możliwości wyznać się w tym, co oni tam szwargoczą po swojemu.

W owym okresie Koralnik, korzystając z chwil wypoczynku, których sam sobie nie żałował, uczył się języka angielskiego, a dokładniej — jego amerykańskiej odmiany. Ostatecznie potrafił z grubsza

wyliczyć sobie, że już niedługo nie Niemcom, lecz właśnie Amerykanom będzie dana możliwość kopania wszystkich dostępnych tyłków.

— Bardzo dobrze, Koralnik — pochwalił porucznik — jeżeli pan także włada językiem rosyjskim, to Zander nie jest już jedynym, który może się porozumieć i w ogóle obchodzić z tymi podludźmi. Dzięki temu uda się wyjaśnić całe mnóstwo bzdur, których się tu nagromadziło diabelnie dużo.

— Rozkaz, panie poruczniku! — powiedział Koralnik. A swoje przy tym pomyślał.

Tak zwane wielkie luzowanie męskich uczestników wojny przez kobiety nastąpiło kilka dni później. Po dokładnym zaplanowaniu i starannym przygotowaniu przedsięwzięcie to wydawało się przebiegać bez żadnych komplikacji. Zupełnie tak, jak trzeba! Należało przecież przygotować ostateczne zwycięstwo, a tu miało się do czynienia z drobiazgami.

Gdy dwunastotonowa ciężarówka marki Henschel wraz ze swoim damskim ładunkiem nadjechała głośno warcząc, nad Friedrichsruh na bladym, przedwiosennym niebie wisiało oślepiająco jaskrawe słońce, jak gdyby pragnęło wziąć udział w wydarzeniu i możliwie dokładnie oświetlić widowisko. Pokryty kurzem olbrzym podjechał, kołyszając się, na parking przy zameczku. Był to plac, na którym zazwyczaj odbywały się apele i zbiórki, i który wykorzystywano również jako boisko sportowe.

Z głuchym łoskotem opadła tylna kłapa ciężarówki. Chichocząc, piszcząc i śmiejąc się wysiadało mnóstwo zwawych, niecierpliwych dziewcząt z łączności — z torbami, walizami i plecakami. Rozglądały się dookoła z wielkim zaciekawieniem, spodziewając się ujrzeć słoneczne pogodne lotnisko. To, co zobaczyły, poniekąd odpowiadało ich oczekiwaniom. Słońce świeciło, wokół rozpościerały się lekko lśniące lasy. W dodatku ujrzały zupełnie sielankowo wyglądający zamek! Całkiem możliwe, że niejedna z nowo przybyłych od razu postanowiła z tego oto pocztówkowego krajobrazu wysłać pozdrowienia — do mamusi i tatuśka.

— Chłopie, one szczebioczą jak jaskółki! — ze szczerym zachwytem

stwierdził starszy szeregowy Helmreich. Wiele obiecujący „spęd” dziewcząt zdołał go wprowadzić w niecodzienne podniecenie. — Patrz tylko na to! — odezwał się do kaprała Koralnika, który stał tuż obok. — Jak im tam podskakuje pod bluzkami, a jest tego osiemdziesiąt sztuk.

Kapral Koralnik, jak się wydawało, nie miał ochoty przepuścić okazji obejrzenia jedyne go w swoim rodzaju widowiska, podobnie jak jego pozostali koledzy. W barakach prawie wszystkie okna, przynajmniej częściowo zwrócone w tę stronę, były ciasno oblegane przez ciekawskich, którzy bez najmniejszego skrępowania przyglądali się dziewczętom. Tomy można by zapełnić opisem, co wyrażały ich uśmiechy.

Nie było też szczególnie trudno odgadnąć, jakie zachcianki uzewnętrzniały się. Z różnorodnego gwaru dolatywały bowiem strzępy epitetów, jak na przykład „krowie cycki” lub „kobyli zadek”, a nawet „duże usta”. To ostatnie miało związek z owymi opiniami, które wypowiedziano w kantynie przy kieliszku, jakoby duże usta miały związek z dużą szparą.

Ktoś zawołał:

— Patrzcie na tę z długimi nogami! Chłopie, co to będzie, kiedy te nogi oplotą cię od dołu! — na co pozostali zaczęli bić brawo. Jednak to wszystko, co ci chłopcy demonstrowali jako znajomość rzeczy, w istocie wyrażało tylko bezradne zakłopotanie i zdziwienie. Żołnierze po prostu nie wiedzieli, jak mają się zachować w nowej sytuacji.

Starszy szeregowy Helmreich ujmował tę sprawę znacznie prościej:

— Zamknijcie z łaski swojej te wstrętne pyski! — zawołał do kompanów. — Dopiero co udało się wam, świntuchy, wymigać od przeniesienia, a znów nie myślicie o niczym innym, tylko o dziewczuchach. Macie dziurawe mózgi!

Na odpowiedź nie musiał długo czekać:

— Nie próbuj nam tylko ześwinić przyjemności, ty głupi Heini! A może jesteś impotentem?

— Niesamowite — powiedział Koralnik. — Podskakują te dziewczątka, niczego nieświadome, jak na powitanie wiosny. Nie wiedzą tylko, czy zobaczą jeszcze coś takiego jak wiosna.

W odległości zaledwie kilku metrów od ciężarówki, z której wysypały się dziewczęta, stało w gotowości czterdziestu żołnierzy, zluźwanych przez „babki”, z tornistrami, torbami i kartonami po

Persilu lub kostkach Maggi. Sztwywnych, ponurych, zobojętniałych. Przed nimi żwawo uwijał się starszy sierżant Himmelsheimer, na zewnątrz okazały niby tokujący indor.

— No, koledzy! — zawołał. — Za Wielkoniemiecką Rzeszę, naszego Führera i Kanclerza Rzeszy!

Żołnierze wsiedli do tego samego samochodu, którym przywieziono ruchliwe „pszczołki”. Słyszeli przy tym wołania w rodzaju: „Trzymajcie się, koledzy!” i „Nie dajcie się!” a także „Powodzenia!” Na to jeden z nich odrzyknął: „Pocałujcie się we własne dupy!”

Potem powieźli ich — żywą karmę dla molocha wojny. Chmury kurzu wzbily się i zasłoniły odjeżdżających przed spojrzzeniami patrzących — jeśli w ogóle ktoś jeszcze to czynił. Wydawało się, że o tamtych, którzy dopiero co byli kolegami, nikt już nie pamięta.

Tymczasem dziewczęta z łączności ustawiły się w trzy szeregi, dokładnie według wzrostu. Czynności te generał obserwował z zameczku przez lornetkę.

— Świetny materiał — odrzekł — to się wyczuwa od razu. Na to stojący obok niego adiutant przytaknął:

— Miejmy nadzieję, że tak jest istotnie.

Na placu apelowym komendantka Warnke zajęła się swoimi dziewczętami. Starła się przy tym zachowywać jednocześnie jak matka, siostra i przyjaciółka.

— Witajcie! — zawołała do nich czystym jak dzwonek głosem, który zależnie od okoliczności mógł mieć też brzmienie chropawe lub blaszane. — Nazywam się Warnke. Przydzielono mi was i jestem za was odpowiedzialna. Postarajmy się więc wspólnie, by ułożyło się nam jak najlepiej. A teraz — do meldunku!

Na to jedna z dziewcząt najwidoczniej zapragnęła się dobrze zaprezentować wobec pani Warnke swoją sprężystością i natychmiastowym wykonaniem rozkazu. Przyjęła więc postawę zasadniczą i wyrecytowała:

— Melduję przybycie trzydziestu ośmiu osób pomocniczej służby wojskowej kobiet!

— Trzydziestu ośmiu? — zdziwiła się pani Warnke. — To znaczy, że dwóch brakuje.

— Przyjadą później, prawdopodobnie pociągiem — zapewniła ją dziewczyna. — Na pewno już jutro. Nie zdążyły na przesiadkę.

— Sprawdzę to jeszcze — odpowiedziała surowo komendantka. — Nie będę tolerowała objawów opieszałości. Dyscyplina jest w naszej wspólnocie najwyższą wartością. Na razie wprowadźcie się do swoich pomieszczeń. Dalsze rozkazy wydam, gdy tylko znajdziemy się w komplecie. Rozejść się!

Żwawo, jak na skrzydłach, wpadły dziewczęta do swego baraku. Z tego wszystkiego, co tu się działo, nic jeszcze nie rozumiały. Trudno też byłoby chyba tego od nich wymagać.



## 2. Dziewczęta lub po prostu babki

Stacja kolejowa wyglądała jak zbudowana w zmniejszeniu. Wydawała się bowiem zagubiona wśród wybujałej roślinności, a przy tym zaniedbana — zielsko pomiędzy szynami, wydeptane ścieżki, łuszcząca się fasada budynku zawiadowcy. Tylko z trudem udawało się odczytać jej nazwę — **Frkdrichswalde**.

Odnosiło się wrażenie, że wojna tu jeszcze nie dotarła. Brakowało choćby najdrobniejszych znaków świadczących o tym, że kiedyś nadszedł „wielki czas” i teraz oto znów przemija. Ta mała stacyjka była jakaś nierealna — otoczona winnicami i laskami, opanowana przez radośnie ćwierkające ptactwo; wprost sielanka w stylu psiej budy, wyrzuconej na pobocze lasów świata.

W ciągu dnia przychodziły tu dwa pociągi. Jeden o 1 1.05 i jechał dalej na południe, a drugi o 16.16 — w przeciwnym kierunku. Żaden z nich nie zatrzymywał się dłużej niż na jedną minutę. Zresztą, po co? Czym właściwie było Friedrichswalde? Przyjazd, postój i już odjazd — byle dalej! Zresztą rzadko tylko ktoś tu wsiadał bądź wysiadał.

Tym razem było inaczej. Z pierwszego wagonu wysiadła, objuczona lorbą i walizą, dziewczyna z pomocniczej służby łączności — Monika Hofer. Ostrożnie postawiła swój bagaż na peronie i dopiero potem uważnie rozejrzała się. Nieśmiało, z odcieniem raczej nieufności niż ciekawości, uśmiechnęła się na widok pięknej, na pierwszy rzut oka bezładnej okolicy.

Nagle spostrzegła ze zdumieniem, że na drugim końcu peronu stoi jeszcze ktoś. Osóbka ta stała, jak się wydawali, podobnie jak ona, zagubiona i opuszczona i tak samo umundurowana. Furażerkę z połyskującym w słońcu orzełkiem miała zawadiacko nasuniętą na czoło. Na

lewym ramieniu munduru widniała odznaka kobiecej pomocniczej służby łączności — stylizowana błyskawica.

Dziewczyna ta była przeciwieństwem Moniki. Poruszała się zamaszyście, bagaż rzuciła niedbale na ziemię i zostawiła go tam, gdzie upadł. Potem, nie zwlekając, ruszyła tanecznym krokiem na spotkanie Moniki Hofer, jawnie demonstrując kobiecą pewność siebie.

— Jestem Zuzanna Singer — przedstawiła się. — Przypuszczam, że zdążamy do tego samego celu.

— Prawdopodobnie chyba tak jest — stwierdziła tamta powściągliwie. — Nazywam się Monika Hofer.

— To świetnie, podobasz mi się! — zawołała Zuzanna bez najmniejszego skrępowania. — Mam nadzieję, że i ja ci się podobam.

Zywiołąwą propozycję przyjaźni uzupełniła jednak natychmiast zdumiewająco szczerze brzmiącym ostrzeżeniem:

— Co prawda, ludzie mówią, że dobre ze mnie ziółko. Czy to cię nie zniechęca?

Monika uśmiechnęła się:

— Trudno mi powiedzieć. Zresztą ja też nie jestem bez wad.

Zuzanna zaczęła się jej przyglądać nieco uważniej i najpewniej doszła do wniosku, że ta mała to zupełnie przyjemna dziewczyna. Robi wrażenie dobrze wychowanej, prawdopodobnie pochodzi z dość dobrego środowiska, a więc potrzebuje ochrony. Taka mogłaby z powodzeniem być jej przyjaciółką. Z pewnością nie wejdzie jej w paradę, gdy ona zechce wziąć w obroty jakiegoś gorącego chłopca. Z drugiej strony można by ją, wraz z tą jedwabistą aksamitną łagodnością, z powodzeniem wykorzystywać jako osłonę przed niespodziewanymi atakami mężczyzn.

Miała już własne doświadczenia, od których zresztą specjalnie nie stroniła, gdy nadarzała się okazja. Zuzanna, starsza o cztery lub pięć lat od Moniki, wyglądała na doświadczoną dziewczynę, a wcale nierzadko sama się nawet z tym obnosiła. Patrząc na nią, widziało się jędrną, dopiero co bujnie rozkwitłą piękność. Miała puszyste kędzierzawe blond włosy, różową buzię z wdzięcznie zadartym nosem i wydatne, czerwone usta. Znać było, że jest ona z tych, które nie dają sobie w kaszę dmuchać.

— Wygląda na to, że wylądowałyśmy na pełnym zadupiu—wykrzyknęła świadomie prowokacyjnie. Usiłowała przy tym uważnie

przyjrzeć się, jak zareaguje Monika, lecz nic nie zauważyła. — Nie widać orszaku, który by miał nas powitać. Jak ci się to podoba?

Monika wzruszyła ramionami:

— Trzeba się chyba z tym pogodzić.

— Nie będziemy potulne! — zapewniła ochoczo Zuzanna. — Nie damy się wykołować tym chłopom!

Wtem dojrzała w dali kolejarza, który zachowywał się tak, jak gdyby miał zamiar „coś” zrobić. Zawołała więc do niego niespodziewanie ostrym, dźwięcznym głosem.

— Hej, panie nieruchawy! Tak, do pana mówię, czy pan źle słyszy? Niech no pan poruszy szczudłami i przylezie tu! Nie pogryziemy pana, niech pan na to nie liczy!

Na wołanie podszedł do nich niziutki, dziwacznie przysadzisty, nieporadny człowieczek, przypominający dzwonnika z Notre Dame, jakkolwiek nie miał zdeformowanych kończyn. Uśmiechał się krzywo, szczerząc żółtoszare owcze zęby; jego usta wyglądały jak cieniutka czerwona kreska. Jednak, będąc przecież mężczyzną, był oczywiście niezmiernie oczarowany nietuzinkowymi przedstawicielkami płci pięknej, które pojawiły się tak niespodziewanie.

— Nie ma tu żywego ducha, który by nas przyjął — powiedziała Zuzanna — a przecież przyjeżdżamy na wezwanie. Czy może nam pan pomóc?

— Czy panienki chcą się dostać do Eichenbergu, czy do Friedrichsruh?

— A cóż to za różnica? Niech no pan nas oświeci, oczywiście tylko pod tym względem.

— Bardzo chętnie bym to uczynił, proszę panienki, naprawdę, ale nie mogę. Nie wolno mi. Chodzi o zachowanie tajemnicy, panienka rozumie?

— Człowieku, nie trzeba od razu ze strachu robić w spodnie! Czy pan nie widzi, do jakiego towarzystwa my należymy?

Nie wiadomo, czy urzędnika kolei państwowych przekonał ten argument, czy też jego rozsądek stopniał pod żarem spojrzenia Zuzanny, w każdym razie przestał skąpić swojej specjalistycznej wiedzy i przemówił:

— A więc jest tak — w Eichenbergu strzela się, a we Friedrichsruh kręci się korbką. — Ta zawodowa chińszczyzna nie wymagała wyjaś-

nień; dziewczęta z łączności wiedziały, o co chodzi — w jednym miejscu stacjonowała artyleria przeciwlotnicza, a w drugim — jednostki łączności. Tak łatwe było wyjaśnienie tego „strzelania” i „kręcenia korbką”.

— Zupełnie proste! — zawołała Zuzanna. — My obie mamy się udać do Friedrichsruh. Niech no pan powiadomi tych niemrawych facetów, że mają nas natychmiast odebrać.

— To znaczy, dokąd by panienka chciała? — wzdragał się kolejarzyna, wijąc się niczym liszka, która wpadła do salaterki z sałatą. — Oni tam mają tajny numer, a mnie oficjalnie pod żadnym pozorem nie wolno go podawać.

— Drogi panie, wcale nie musi nam pan podawać tego numeru — włączyła się teraz Monika Hofer. — Wystarczy tylko zadzwonić tam. Ostatecznie chodzi o sprawę pilną. Gdybyśmy musiały odjechać z powrotem, miałyby pan poważne przykrości. I my także. Ale pan na pewno tego nie chce.

Mówiąc to, wydawała się lekko zakłopotana, a może nawet wzruszająco bezradna. Zuzanna z uznaniem stwierdziła, że powściągliwie sugestywna łagodność Moniki to niezwykle skuteczna sieć do omotania mężczyzny. Dopiero co poznana przyjaciółka była zarówno śliczna, jak przebiegła, a jednocześnie pozostawała wcieleniem grzeczności. Zuzanna wiedziała, że dziewczęta tego typu mają dar pokonywania najtrudniejszych przeszkód i rozpraszania złośliwych uprzedzeń; nawet skałę potrafią zmienić w ciasto.

W samej rzeczy krasnal z wielkoniemieckich kolei państwowych ożywił się. W każdym razie wpatrywał się w Monikę z podziwem; znać było, że miota się pomiędzy poczuciem obowiązku a sympatią. Dziewczyna ta wydawała mu się podobna do pięknego łabędzia, natomiast druga ślicznotka przypominała mu raczej ponętą lamparcicę.

Nagle poczuł ulgę, bo wpadł na pomysł, dzięki któremu pozbywał się wszelkich kłopotów. Lekko drżącą ręką wskazał w kierunku zaplecza stacji:

— Tam, naprzeciwko, przy magazynie, ktoś z jednostki z Friedrichsruh ładuje nadesłane towary. Niech panienki zwrócą się do niego. On panienki zabierze ... chyba.

— Z pewnością jest gotów to zrobić — Zuzanna oświadczyła to z przekonaniem dziewczyny, której nikt jeszcze nigdy nie odprawił z kwitkiem. — Ostatecznie jest to tylko mężczyzna!

• Tak zwany magazyn był taki sam jak stacja. Wyglądał, jakby się miał laid a chwila rozsypać. Wydawało się, że samo zbliżenie się do niego stenowi zagrożenie dla życia.

Jednakże zdawał się nie dostrzegać tego człowieka, który łopaciastymi dłońmi mocno chwycił rozmaite skrzynie i kartony i ładował je na niewielką ciężarówkę. Miało się wrażenie, że nikt i nic nie jest w stanie oderwać go od pracy.

— Co to za typ? — Zuzanna przyglądała się pracującemu jak mrówka osobnikowi nie bez zainteresowania. Na razie nie umiała tego, skrzętnie, jak na pokaz, pracującego człowieka, zakwalifikować do którejś z licznych szufladek, przeznaczonych dla poszczególnych typów mężczyzn. — On mi się jakoś nie podoba.

— A ja jestem innego zdania — odezwała się *do* niej Monika. — Wydaje mi się, że to zupełnie porządny człowiek.

— Jak na to wpadłaś, że to akurat porządny człowiek? — zdziwiła się Zuzanna. — Przyjrzyj się tylko dokładnie temu facetowi. Przecież to skrzyżowanie chomika z łasicą i lisem. Z tego nie może wynikać nic dobrego.

Monika uśmiechnęła się nieznacznie — prawie niezauważalnie. Potem wraz z Zuzanną podeszła do pracowitego wojaka. Był to kapral. Wcale nie spostrzegł dziewcząt, a może tylko udawał, że ich nie widzi. W każdym razie nadal starannie układał swoje skrzynki i kartony.

— Hej tam, panie pracowniku fizyczny! — zawołała Zuzanna i podeszła jeszcze krok bliżej. — Dzień dobry lub heil Hitler, jak pan woli.

— Dzień dobry! — odpowiedział z miejsca. Teraz dopiero wyprostował się. Dziwna rzecz, wydawało się, że praca wcale go nie zmęczyła, nie miał ani zadyszki, ani potu na czole.

Gdy spostrzegł, kto do niego mówi, na pomarszczonej, przypominającej jamnika twarzy pojawiło się coś w rodzaju radości.

— Niech będzie pochwalony, moje kochane panny! — zawołał. — Jeśli mogę cokolwiek dla was zrobić, powiedzcie mi tylko słówko.

Zuzanna ciągnęła dalej:

— Czy rzeczywiście jesteście kochane, to się okaże dopiero wtedy, kiedy przyjedziemy do Friedrichsruh. Bo właśnie tam musimy się dostać. To jest Monika Hofer, a ja jestem Zuzanna Singer. Obie tworzymy całość.

— Bardzo pięknie! Monika i Zuzanna, Zuzanna i Monika. Macie ładne imiona, w sam raz dla was. A mnie nazywają tata Koralnik. Dziwne, co? Tata — bo mam pod opieką mnóstwo osób rodzaju męskiego, a ostatnio też żeńskiego, które — zdarza się — są jeszcze do pewnego stopnia dziećmi.

— Człowieku, ależ to zupełnie inna sprawa! — zaśmiała się z niego Zuzanna. — Natomiast, jeśli chodzi o kochanie, dobrotliwy tatuńciu, to w naszym wypadku nie wchodzi to w rachubę. Tym bardziej, że nie jesteśmy już nieświadomymi małymi dziećmi. T niech pan nie usiłuje tego z nami próbować, panie kapralu! Ręczę, że nie wyszłoby to panu na zdrowie!

— Całkiem błędnie mnie pani ocenia — odezwał się Koralnik, mocno ubawiony. — Ale jeszcze to pani zrozumie. W każdym razie zabieram was obie do Friedrichsruh; oczywiście, jeśli sobie tego życzyście.

— Pod jakimi warunkami? — zapytała przezornie Zuzanna.

— Zdaje mi się, że spodziewa się pani po mnie mnóstwa rzeczy, co? Wyobraża pani sobie, że mam ochotę sięgnąć pani ręką między nogi i od razu panią zgwałcić? Nie ma tego rodzaju zapotrzebowania, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Ale jest wielu łapczywych na te rzeczy. Wkrótce się pani przekona.

— Czy to ma być ostrzeżenie? Chce pan nas uświadomić?

— Przypuszczam że uświadamianie nie jest tu chyba potrzebne. Zwłaszcza, że coś takiego jest sprawą gotowości, sprzyjających okoliczności, wzajemnej sympatii... A poza tym dopiero w tej chwili doszło do mnie, że pani ma na nazwisko Singer. Zdaje się, że już je słyszałem i to od naszej Marianny Dengler. A może jestem w błędzie?

— Wcale nie — odpowiedziała Zuzanna. — Marianna jest moją kuzynką. Jak się jej powodzi?

Na to kapral zmarszczył się, stając się jeszcze bardziej podobnym do jamnika. — Powodzi się jej dobrze; cieszy się z życia. — Powiedział to i pomyślał sobie tak samo. Jeśli chodzi o Mariannę Dengler, była to osoba najściślej współpracująca z dowódcą, generałem Blütenbergerem, a być może łączyło ją z nim coś więcej. Poza plecami nazywano ją „panną generałówną”.

Wobec tego zbiegu okoliczności Koralnikowi, obytemu ze stosunkami panującymi w wojsku, wydało się zupełnie oczywiste, że ta Zuzanna

Singer nie została tu przeniesiona zwyczajnie, przypadkowo; należało raczej uznać, że została „zapotrzebowana”. Widocznie pewne stosunki odegrały pod tym względem rolę.

— A pani? — Koralnik zwrócił się do Moniki. — Ma pani tu także kogoś w rodzaju kuzynki?

— Monika ma mnie — osadziła go Zuzanna. — Ale, czy wolno mi zapytać, panie kapralu, kiedy ma zamiar pan powieźć nas tą dryndą do Friedrichsruh? Jeszcze dzisiaj, czy dopiero za parę tygodni?

— Bardzo dowcipna z panny osóbką — stwierdził Koralnik. — Na pewno już niedługo.

Boczna brama prowadząca do obozu odgrywała rolę głównego wejścia, gdyż prawdziwa główna brama, która wiodła do zamku, została w celu zamaskowania zamknięta i zaryglowana; w jej pobliżu nie było ani pojazdów, ani ludzi. Oficjalnie nie było tu nikogo.

Gdy kapral Koralnik podjechał pod bramę swoją ciężarówką z dwoma wyjątkowo ładnymi dziewczętami, stojący tam wartownik zdziwił się niezmiernie, lecz nie dał tego po sobie poznać. Był przecież na służbie. A jego przełożonym był porucznik Crusius.

— Koralnik z pojazdem i ładunkiem może wjeżdżać! — zawołał głośno. — Dziewczęta ze służby pomocniczej wraz z bagażem, z dokumentami w pogotowiu, udadzą się do baraku A, wejście od frontu, pierwsze drzwi na prawo.

Monika Hofer i Zuzanna Singer wysiadły. Koralnik podał im bagaż i zawołał: — Powodzenia, dziewczęta! — wyszczerzając przy tym zęby jak kobold. Nim ruszył dalej, pomachał im czapką niby chorągiewką sygnałową.

Barak A, od tej chwili zarezerwowany dla dziewcząt ze służby pomocniczej, został już starannie odnowiony, pokryty nowym dachem i świeżo pomalowany w szaro-żółto-zielone ochronne plamy. Lśniące czystością wnętrze wprost zachęcało do wejścia. Tuż na prawo od drzwi wejściowych pyszniła się odznaka mieszkańek baraku — metrowa błyskawica.

Przez drzwi wejściowe wchodziło się do przedpokoju, szerokiego na jakieś dwa metry, z drzwiami po obu stronach. Na tych z lewej umocowana była tabliczka z napisem „mieszkanie prywatne”. Był to

pokój mieszkalny i sypialnia urzędującej tu „przywódczyni”, czyli komendantki Eryki Warnke. Z korytarza na prawo wchodziło się do jej pomieszczenia służbowego, czyli biura. Tam zazwyczaj „pracowała”, korzystając z przydzielonych mebli; sporządzała codzienne plany służb i załatwiała niecierpiące zwłoki sprawy administracyjne.

Pomieszczenia urządzone były z rozmyślną prostotą. Wojna nie pozwalała na luksusy. Nie przeszkadzało to jednak zachowaniu solidności; pewne wartości należało przecież doceniać. Rozumie się oczywiście, że wszystko lśniło tu czystością; było — jak by tu powiedzieć — czyste jak same dziewczęta z łączności. Zresztą Eryka Warnke zawsze starała się świecić przykładem.

Za tą „strefą dowodzenia”, w długim korytarzu, widniały drzwi — pięć po prawej i pięć po lewej stronie. Prowadziły one do dziesięciu pomieszczeń, które robiły wrażenie przestronnych. Każde z nich zapewniało lokum czterem osobom. Godny szczególnej uwagi był fakt, co zresztą często podkreślano, że niedawno w każdym z tych pokoi musiało się zmieścić co najmniej ośmiu żołnierzy — poprzedników dziewcząt z pomocniczej służby łączności. Generał osobiście oświadczył: „Tak też powinno być — nasze młode damy zasługują na to”.

— Witajcie, dziewczęta! — dziarsko wykrzyknęła komendantka Warnke, gdy Zuzanna Singer i Monika Hofer weszły do jej pokoju. Była to osoba pewna siebie, sprężysta i ruchliwa, o sportowych, szeroko zarysowanych ramionach i przenikliwym spojrzeniu, rzucanym spod gładko przyczesanych włosów. Przedstawiła się, oznajmiła gotowość do życzliwej współpracy i wyciągnęła prawą rękę:

— Ale najpierw dokumenty, jeśli wolno prosić!

Zuzanna i Monika wręczyły jej swoje rozkazy wyjazdu i karty personalne ze zdjęciami. Eryka Warnke studiowała te papiery bardzo wnikliwie, demonstrując w ten sposób zawodową dokładność; tę „praktykę” opanowała wyśmienicie.

— Przybywacie z różnych jednostek, jak widzę. Gdzieście się poznały?

— Na stacji Friedrichswalde, po przyjeździe, przed godziną — poinformowała Zuzanna. — Przywiózł nas tu pewien kapral. Sam siebie nazwał „tata Koralmik”; wydało mi się to dość dziwne.

— Ach, ten! Zgrywa się tu raz po raz, widocznie podoba mu się rola opiekuna. — Panna Warnke stwierdziła to z nutką wzgardliwego



niezadowolonia. — Nie przypuszczani jednak, że byłyście tak naiwne, by się dać nabrać na coś podobnego. Pozwólcie, że powiem wam tylko jedno: trzymajcie się z dala od tych natrętnych chłopów. Jest to zasada numer jeden. A teraz was zakwateruję!

Spojrzała na wykaz leżący na biurku, zastanawiając się niewątpliwie nad sprawą dla siebie bardzo istotną. Obie dziewczęta, które dopiero co poznała, nie były, jak to się mówi, „jednego chowu”. Gdyby tak było, wówczas należałoby je, zgodnie ze starą zasadą, niezwłocznie rozdzielić, żeby zapobiec tworzeniu niepożądanych grup. Natomiast, jeśli jest to znajomość z przypadku, jak ta oto, nic nie stoi na przeszkodzie, by umieścić je w jednym pokoju.

— Numer dziewięć — zdecydowała panna Warnke. — Są tani jeszcze dwa wolne łóżka i dwie szafki, na prawo od drzwi. Możecie je zająć.

A do Zuzanny Singer powiedziała:

— Żeby było łatwiej, będę do ciebie mówiła Zuziu.

— Ależ ja się tak nie nazywam! — zaprotestowała Zuzanna ku wielkiemu zaskoczeniu swojej przełożonej, która w tym wypadku nie była nastawiona na najmniejsze sprzeczki. — Mam na imię Zuzanna. Jedna z moich ciotek miała sukę pinczerkę, na którą wołała „Zuzia”. O ile pamiętam, było to kochane zwierzę, ale pomimo to nie życzę sobie, by w ten sposób zwracano się do mnie.

Hryka Warnke nie ukrywała zdumienia z powodu tak niecodziennej pretensji. Zapewne zadawała sobie pytanie, do czego w ogóle może dojść, jeśli już tak błaha sprawa grozi wywołaniem przykrej kłótni.

— Zuzanna to akurat nie bardzo niemieckie imię — powiedziała tonem nagany. — Poza tym mamy tu jeszcze jedną dziewczynę, która nazywa się tak samo.

— No, to można nas nazywać „Zuzanna pierwsza” i „Zuzanna druga” — zaproponowała Zuzanna Singer.

Nagle odezwała się Monika Hofer:

— Czy nie można sobie wyobrazić, że ta druga Zuzanna zgodzi się, by ją nazywać Zuzią?

Propozycja sama w sobie nie była zła, lecz Eryka Warnke usłyszała wewnętrzny dzwonek ostrzegawczy. Nie mogła podwładnym pozwalać na zbyt wiele uporu i samodzielności. Mały kamyk może wywołać lawinę. Tego rodzaju objawy należało zlikwidować — zgodnie ze starą,

niezawodną zasadą wszystkich powołanych do dowodzenia: tłumić w zarodku!

— O tym, co tu się dzieje, ja sama decyduję i sama za to odpowiadam — oświadczyła stanowczo. — Rozumie się, że chętnie skorzystam z użytecznych inicjatyw, jeśli mają one służyć dobru naszej wspólnoty. Jednak nigdy nie ścierpię niekompetentnego wtrącania się. Rozumiemy się?

— Tak jest! — odpowiedziała Zuzanna. — Zrozumiałam to doskonale.

— Tak — przytaknęła Monika Hofer.

— No, to dobrze! Jednak uwzględniając, jak to mam w zwyczaju, twoją prośbę, będę cię nazywała Zuzanną. Nie musisz mi za to dziękować. Wprowadzicie się obie do swojego pokoju, a następnie, najpóźniej w ciągu godziny, zameldujecie się u kapitana doktora Säbischa na rutynowe badania.

— Czujemy się zupełnie zdrowe — odezwała się Zuzanna.

— Jeśli się okaże, że tak jest istotnie, to zostanie to stwierdzone przez doktora Säbischa; takie są przepisy. Bezpośrednio po badaniu lekarskim macie się stawić u porucznika Crusiusa. Porucznik jest kompetentny w sprawie przydzielenia wam zadań w pomocniczej służbie łączności, a więc to on stwierdzi, do jakiej pracy szczególnie się nadajecie.

— Czy to już wszystko? — Zuzanna nie mogła się powstrzymać od zadania pytania. Pobrmiewała w nim nutka zuchwalstwa, którego panna Warnke zdawała się nie słyszeć.

— Następnie możecie się udać do swego pomieszczenia lub pójść do kantyny na filiżankę kawy. Ale bądźcie ostrożni! Ta kantyna to jedyne miejsce, gdzie mogą się spotykać wszyscy żołnierze, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Wydaje mi się, że ci tak zwani mężczyźni są na tę okazję szczególnie łośni, a z tego wynikają pewne kłopoty. Słuchajcie więc mnie i zachowujcie się powściągliwie, bo możecie sobie oparzyć palce, a może i coś więcej.

Kapitan doktor Säbisch spędzał codziennie trzy lub cztery niezmiernie nudne godziny przyjęć w tak zwanej izbie chorych. Był to prowizoryczny budynek, wyłączony ze zwykłego życia służbowego. Sprawowano w nim opiekę nad „cieleśnie uszkodzonymi”. Jednak niezmiernie rzadko zjawiał się tu jakiś żołnierz.

Żołnierze mogli doktorowi opowiadać, co im się żywnie podobało. On na to tak czy tak nie zważał, bo sam wiedział lepiej, co im dolega. Gdy któryś przychodził na przykład z ciężkim wzdęciem — a cierpiał na nie podobno też Führer — to pomocna okazywała się rycyna. Przy napadach gorączki i podobnych cierpieniach stosował pastylki w różnych kolorach i rozmaitej ilości. Chorzy byli najczęściej symulantami i łatwo było ich zdemaskować.

Gdy tylko istniało podejrzenie jakiejś poważnej choroby, doktor Säbisch zwykł załatwiać sprawę krótko. Mianowicie zarządzał niezwłoczne przewiezienie chorego do najbliższego szpitala. Metoda ta chroniła go przed niepotrzebnymi komplikacjami i sprawiała, że każdy wołał po trzykroć zastanowić się, nim zdecydował się przyjść do niego.

Nic dziwnego, że pan doktor dysponował mnóstwem wolnego czasu, dzięki czemu godzinami przesiadywał w zameczku, w przytulnie urządzonym kasynie. Co prawda godziny wytchnienia ulegały często poważnemu zakłóceniu, ponieważ niektórzy koledzy oficerowie z zasady nie przepuszczali okazji pokpienia z niego.

Generał, będąc gentlemanem, wytwornie powstrzymywał się od kpin. Natomiast jego adiutant, kapitan Rommelskirchen, nie był wcale niechętny tym wątpliwego rodzaju dowcipom. Lecz oprócz tych dwóch panów był przecież jeszcze porucznik Crusius, który jego, lekarza, upodobał sobie nazywać konowalem. Wieczorami, przesiadując w kasynie przy kieliszku, niejeden raz żartowano sobie z niego niewybrednie, a on wysiłał się, by to jakoś znieść.

Wśród tej niewesołej atmosfery przybycie czterdziestu szczerych wielkoniemieckich dziewcząt z pomocniczej służby łączności stanowiło dla doktora przebłysk radości. Roztaczanie opieki nad nimi, chociażby tylko pod względem zdrowotnym, sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Tym bardziej, że mógł się nareszcie zaprezentować jako licząca się osobistość i autorytet lekarski. Lecz oto, kiedy już zakończył około czterdziestu badań, bez wyjątku miłych, niespodziewanie pojawiły się dwie spóźnialskie i to nie byle jakie, bo Monika Hofer i Zuzanna Singer. Była to przyjemna niespodzianka i zarazem godne zakończenie całości, po prostu — kropka nad i. Doktor Säbisch miał możność ze znanstwem stwierdzić, że obie dziewczyny to godne przedstawicielki płci pięknej. Jedna z nich mogła uchodzić za Wenus w pełni rozkwitu, druga przypominała raczej Madonnę. Zuzanna nadawałaby się na modelkę

dla Botticellego; Monika prawdopodobnie i^fetodziłaby artystyczne zainteresowanie Cranacha.

— Proszę się rozebrać — zlecił doktor Säbisch. — Chciałbym panie zbadać dokładnie.

Zuzanna Singer, jak się zdawało, nie miała nic przeciwko temu; ostatecznie nie miała nic do ukrywania, lecz — wprost przeciwnie — wszystko do pokazania. Jednak wystarczyło jej jedno spojrzenie na Monikę; od razu zrozumiała, że należałoby rzecz potraktować z pewnym dystansem.

Twarz Moniki robiła w tej chwili wrażenie jeszcze bardziej bladej i obojętnej niż dotychczas. Odezwała się z wyczuwalnym chłodem:

— Nie czuję się pod żadnym względem chora.

Doktor Säbisch spojrział na nią wzrokiem na wpół zaskoczonym, na wpół zachęcającym. Potem przemówił:

— Stwierdzenie czegokolwiek jest w tym wypadku wyłącznie moją sprawą. Może się pani nie obawiać, proszę mi zaufać. Jestem przecież lekarzem.

— Chwileczkę, panie doktorze! — Zuzanna stanęła pomiędzy nim a swoją przyjaciółką. — Jeśli chodzi o mnie, mogę się ostatecznie rozebrać, jeśli widzę w tym jakiś sens. Ale i dla mnie nie jest zupełnie jasne, dlaczego życzy pan sobie obejrzeć nas z najdrobniejszymi szczegółami. Zakrawa to na przegląd rekrutów, połączony z oględzinami całego ciała. Uważam, że jest to zupełnie nie na miejscu.

Twarz doktora zaczerwieniła się z gniewu.

— Co pani sobie wyobraża?! — krzyknął na nią. — Odmawia pani wykonania rozkazu?

— Mam wątpliwości, czy jest pan uprawniony do wydania tak niedorzecznego rozkazu. Wygląda raczej na to, że przekracza pan swoje uprawnienia. Monika i ja zostałyśmy dopiero co zbadane pod względem stanu zdrowia i to bardzo dokładnie.

Stwierdzenie to, być może, nie pokrywało się z prawdą, jednak w tej chwili nie sposób było go obalić. Doktor przez moment niepewnie przekładał jakieś papiery, po czym oświadczył, już znacznie uspokojony:

— Nie znajduję tu wyników badania lekarskiego.

— I nie mogą tu być — odparła Zuzanna, pewna wygranej. — O ile mi wiadomo, tego rodzaju dokumenty przesyła się w ślad za przeniesio-

nym. A pan przecież wie, jak wolno często idzie służbowa poczta. Zresztą w dziejowych zmaganiach narodu niemieckiego są rzeczy ważniejsze od naszych świadectw lekarskich. Przypuszczam, że pan, jako niemiecki patriota, zdobędzie się na wyrozumiałość w tej sytuacji. Kapitan Säbisch musiał najpierw strawić ten wyrafinowany chwyt.

— No, dobrze — oświadczył po chwili i odkasznął z zakłopotaniem. — Wobec tego poczekam na te orzeczenia i potem zadecyduję, co należy czynić. A teraz możecie odejść!

Monika i Zuzanna nie dały sobie tego powtarzać. Pomknęły jak sarenki, a lekarz patrzył za nimi z mieszanymi uczuciami. Gdy stracił je z oczu, z przyzwyczajenia umył ręce. Następnie sięgnął po słuchawkę telefoniczną i przeprowadził dwie rozmowy — jedną z Eryką Warnke, a drugą z porucznikiem Crusiusem.

Mieszkanie i zarazem miejsce pracy porucznika Crusiusa mieściło się w baraku C, położonym pośrodku rejonu jednostki. Stanowił je jeden jedyny pokój, do którego wchodziło się z zewnątrz. Wewnątrz stało proste łóżko polowe podobne do tego, którego, jak fama głosiła, używał też Führer. Gdy Crusius układał się wieczorem do snu, mógł się czuć bardzo bliski zwierzchnikowi Wehrmachtu.

Ów żelazny mebel do spania znajdował się w najbardziej odległym kącie pokoju. Sam środek pomieszczenia zajmowało biurko; piętrzyły się na nim akty, rozkazy dzienne, przepisy, plany służb, wykazy personalne i gazety. Można było nawet dojrzeć kilka książek. Takie nagromadzenie papierów dawało wyraźnie do zrozumienia: jestem poważnie zajęty, proszę mi nie przeszkadzać.

Nie wydawało się jednak, by zameldowanie się obu nowych dziewcząt z łączności zakłóciło lokatorowi spokój. Wprost przeciwnie! Zapowiedziano mu je telefonicznie, a on własnoręcznie przystawił im dwa krzesła, oczywiście tuż przed swoim tak pełnym ekspresji biurkiem.

— Heil Hitler! — zawołał, gdy Monika Hofer i Zuzanna Singer weszły dość służbiście. — Serdecznie witam, moje panie! Wchodźcie, wchodźcie! Proszę się rozgościć! — Zapraszającym gestem wskazał oba ustawione już siedziska. — Pogawędzimy trochę, jeżeli to paniom odpowiada!

Powitanie było nad wyraz przyjemne. A przy tym nawet zupełnie

niezwykle, bo normalnie tego rodzaju uprzejmości wobec podwładnych nie stosowano, a tym bardziej nie czynił tego ktoś w rodzaju Crusiusa. Grzeczność nie była nawet wskazana — ludzie urodzeni na panów powinni zachowywać dystans.

Porucznik Crusius pragnął kiedyś — a było to marzenie jego młodości — osiągnąć stopień rotmistrza. Brzmiał on bowiem wytwornie i kojarzył się ze szlachetnymi wierzchowcami; tych jednak w tej wojnie brakowało. Crusius odczuwał wszakże potrzebę posiadania wokół siebie czegoś ze świata własnych marzeń, więc całe swoje otoczenie wyobrażał sobie jako poniekąd związane z kawalerią. Dbając o zachowanie pewnego związku znaczeniowego, miał zwyczaj dzielić ludzi, z którymi się stykał, na typy koni: wierzchowe, wyścigowe, cugowe, pociągowe i robocze.

Podobnie postąpił też w wypadku tych dwóch dziewcząt. Zuzanna była w jego oczach dorodną klaczką. Natomiast Monika miała wszelkie dane po temu, by uchodzić za rasową klacz do skoków mającą delikatne pęciny. Był pewien, że już pierwsze spojrzenie znawcy nie myliło go.

Kiedy z widoczną życzliwością przyjrzał się już dziewczętom, oświadczył im:

— Kieruję tu przydzielaniem zadań służbowych specjalistom łączności, czyli odpowiadam za to, by wszystko przebiegało bez zarzutu, jak po maśle. — Potem zadał świeżo przybyłym, jak mu się wydawało, bardzo obiecującym dziewczynom, kilka pytań, żeby wyrobić sobie pogląd o ich umiejętnościach: w jakim zakresie przeszkolone, gdzie, w jakim charakterze i jak długo dotychczas pracowały w łączności? Centrale telefoniczne -----jakiej pojemności? Dalekopisy — jakich systemów? Aparatura świetlnego zobrazowania, centralnej oceny, przekazywania sygnałów?

Odpowiedzi dziewcząt wypadły nad wyraz pozytywnie — jego potakiwanie głową wyraźnie o tym mówiło.

— Dobrze! Nawet bardzo dobrze! — stwierdził. — Są zatem wszelkie przesłanki przemawiające za tym, by obie was zatrudnić na stanowisku dowodzenia w podziemnym schronie.

— Zapewne powinniśmy się z tego cieszyć — powiedziała Zuzanna z najpiękniejszym uśmiechem, jakim obdarzyła ją natura. — A pan w sprawach czysto służbowych będzie naszym bezpośrednim przeło-

nym. Czy możemy się zwracać do pana w razie, gdyby się coś nie wiodło?

Crusius skinął głową:

— Ma się rozumieć, w każdej chwili będę do waszej dyspozycji, podobnie jak wszyscy moi podwładni. — Mówiąc to spojrzął na nie puszczając do nich oczko. — Poza tym u mnie nie będziecie musiały się rozbierać.

Zuzanna popatrzyła na niego zaskoczona.

— A więc pan kapitan już opowiedział panu, co się wydarzyło i, jak przypuszczam, zinterpretował to po swojemu. Myśmy jednak w niczym nie zawiniły; zwłaszcza że, o ile wiem, nie ma przepisu, który...

Porucznik wielkodusznie zaprzeczył ruchem ręki.

— Ależ, bardzo panią proszę! Ostatecznie znam doktora Säbischa i jego metody badania żołnierzy płci żeńskiej.

— I nie pochwała pan ich, panie poruczniku?

— Nie podobają mi się specjalnie, ale w tych sprawach nie ja jestem kompetentny, lecz raczej wasza opiekunka, panna Warnke, która pozostaje ze mną w stałym kontakcie. Ona zapewni wam opiekę i pomoc także pod tym względem, o ile to leży w jej mocy.

Przy tych słowach z wielką uwagą przyglądał się Monice Hofer. Stała ona wprawdzie ze spuszczonymi oczyma, lecz dzięki temu, myślał sobie, przedstawiała piękny obraz kobiecej uległości. Jak gdyby tylko do niej odezwał się:

— W razie jakiegoś nadzwyczajnego wydarzenia proszę mnie uważać za ważnego partnera do rozmowy.

To brzmi jak bezinteresowny odruch opiekuńczy — domyślała się Zuzanna Singer — a czegoś podobnego będziemy na pewno potrzebowały w tym towarzystwie; z rozmaitych zresztą powodów.

Poza tym oferta ta stwarzała wrażenie, że porucznik szczególnie upodobał sobie prześliczne, niebieskie oczy Moniki Hofer. Trochę dziwne było przy tym co prawda to, że Crusius ani słowem nie wspomniał o jej, Zuzanny, pokrewieństwie z Marianną Dengler. Jako oficer sztabu powinien właściwie wiedzieć, że są kuzynkami.

Nie padło jednak ani słowo na ten temat. Porucznik odprowadził je do drzwi i pożegnał słabo brzmiącym „heil Hitler!”

Gdy dziewczęta znalazły się na dworze, Zuzanna powiedziała wesoło:

— No, to było przecież bardzo obiecujące — i roześmiała się głośno. — Jestem teraz niesłychanie ciekawa, jak to w ogóle wszystko leci w tym interesie!

Niektóre z tych rzeczy, jakie mogły się wydarzyć poza zwyczajną służbą, wyszły na jaw jeszcze tego samego dnia we wczesnych godzinach wieczornych. Stało się to w środowisku, które w pewnych okolicznościach mogło być nawet dość miłe, to jest w tak zwanej kantine.

Pomieszczenie to, zbite z desek, stanowiło część baraku kuchennego i w godzinach południowych służyło za jadalnię, lecz — zgodnie z rozkazem porucznika Crusiusa — osobno dla każdej płci. Od godziny 12.00 do 13.00 zajmowali je mężczyźni, a od 13.00 do 14.00 — dziewczęta. Potem odbywało się, z początku na wniosek kapitana Rommelskirchena, a potem na jego zarządzenie, gruntowne sprzątanie, wykonywane przez rosyjskich jeńców.

Jednakże po południu, już od godziny 15.00, sala jadalna zmieniała się — przeznaczano ją bowiem do prowadzenia wykładów i innych zajęć szkoleniowych. Przy tym nadal z zachowaniem ścisłego podziału — osobno chłopcy, osobno dziewczęta, oczywiście oprócz wspólnie obchodzonych uroczystości.

Oczywiście wieczorem, między godziną 19.00 a 21.30 lokal jeszcze raz zmieniał charakter; mianowicie stawał się kantyną. Porucznik, tym razem nieoczekiwanie poparty przez komendantkę dziewcząt, Erykę Warnke, ostrzegął przed takim rozwiązaniem. Okazało się to jednak bezskuteczne wobec wielkodusznego polecenia, wydanego w tej dość drażliwej sprawie.

Generał był mianowicie innego zdania i wyraził swoją zgodę na ten wątpliwej wartości eksperyment. Być może stało się to za radą adiutanta, kapitana Rommelskirchena. Było to oczywiście jeszcze jedno jego zagranie, skierowane przeciwko porucznikowi Crusiusowi, odpowiedzialnemu za przydział zadań służbowych. Można także przypuszczać, że Marianna Dengler, kuzynka Zuzanny Singer, chodząca stale jak cień za generałem, miała w tym też swój udział, chcąc utrzyć nosa Fryce Warnke, której nie cierpiała.

W każdym razie, począwszy od tej chwili, w kantine nieuniknione



stało się pomieszanie obu płci, naturalnie nie bez nadzoru, sprawowanego przez „odpowiedzialną osobę”.

Tego wieczoru funkcję tę pełnił sierżant sztabowy Himmelsheimer. Siedział on jak cerber przy wejściu i rozglądał się czujnym wzrokiem, w każdej chwili gotów do działania.

Działalność kantyny w całości — podobnie jak inne przedsięwzięcia — organizowała grupa zaopatrzeniowa kaprala Koralnika. Nic nie mogło się tu stać bez jego woli, gdyż to on opanował wszystkie tajniki służb kwatermistrzowskich. Rozumiał, że żywność potrzebna jest po to, by było czym się opychać, a poza tym napoje do popijania... Żołnierzom sprzedawano w kantynie najczęściej lekkie piwo, a dziewczęta ze służby pomocniczej dostawały herbatę i ciastka. Niezastąpiony wprost okazał się w tych sprawach poczciwy starszy szeregowy Helmreich, nazywany kreaturą Koralnika.

Sam Koralnik na takich wieczorkach w kantynie miał zwyczaj siadywać tuż obok wyszynku, przy stoliku specjalnie dla niego zarezerwowanym. Pozwalał, by mu towarzyszyło paru przez niego wybranych kolegów; było to czymś w rodzaju zaszczytnego wyróżnienia. Każdy z nich dostawał dużą filiżankę herbaty; miała ona jednak pewną cenną właściwość — była wzmocniona odrobiną rumu. Jaka to była odrobina — duża czy mała — zależało w każdym przypadku od ochoty i humoru kaprala. Tym razem miał on ogromną chęć i był w wyśmienitym nastroju.

Poznać to można było po zadowoleniu malującym się na twarzy, chociaż, nie potwierdzał tego wyraz jego oczu. Przyglądał się na wpół ciekawie, na wpół pożądliwie dziewczętom z łączności, których część obsiadła stoliki, a reszta wyczekiwała, stojąc tu i ówdzie. Wpadła mu przy tym w oko zwłaszcza jedna — przepyszna Zuzanna Singer. Z tą człowiek mógłby wiele dokazać. Gdyby miała na to ochotę...

Obok Koralnika siedziało krępe, nabite chłopisko, plutonowy nazwiskiem Bleibtreu. Był to podręczny geniusza w dziedzinie techniki łączności Antona Wegnera, uważany przez niego za kompletnego matoła. Sierżant Wegner, jego tak zwany przełożony, także był obecny, lecz jak zwykle ukrył się w najbardziej odległym zakątku, by — sącząc małe piwo — ślęczyć nad przyniesioną ze sobą dokumentacją techniczną.

Z tego Wegnera to prawdziwy poszukiwacz! Ale on, Bleibtreu, był

ulepiony z zupełnie innej gliny. Tamtego nazywano „łagodnym Antosem”, natomiast on miał przezwisko „wesoły Oskar” — wiadomo, chłopak z nie byle jaką ikłą. Zdarzało mu się popisywać nią zwłaszcza wtedy, kiedy rozochocił się pokazniejszą dawką alkoholu, jak właśnie teraz.

— Spójrz, chłopie, na ten specjał! — zachęcał go Koralnik. Wskazał mu przy tym rozmyślnie Zuzannę Singer, która wraz z kilkoma innymi dziewczętami zatrzymała się w pobliżu drzwi. — Czy to nie ślicznotka?

Lekko zamroczonego podoficera wystarczyło tylko z lekka pobudzić, by rozgorzał żywym płomieniem. Tym bardziej, że poczuł się sprowokowany jako znawca kobiet.

— Dobra! — wrzasnął. — To najsmakowitszy kąsek z całej oferty! I bardzo dobrze pasuje do numeru moich spodni!

— Chcesz przez to powiedzieć — odezwał się Koralnik z udaną obojętnością — że jesteś w stanie dosiąść tej kobyłki?

— Człowieku! — Bleibtreu pogardliwie machnął ręką. — Przecież podrywałem już nie takie baby!

— Uważaj, bo mnie rozśmieszysz! — prowokował go w dalszym ciągu kapral. — Idę o zakład, że nie odważysz się!

Stwierdzenie to, rzucone od niechcienia niby przynęta, mogło nie tylko pobudzić do zawodów pocziwego głupca, lecz nawet wywabić na plac nie byle jakiego znawcę. Toteż plutonowy Bleibtreu od razu wpadł w pułapkę.

— Co, ja się nie odważę?! — ryknął oburzony. Poczul się dotknięty, że ktoś nie docenia jego męskich zalet. — Mój drogi! Ja się znam na kobietach. Ten pulchny numerek tylko czeka, by ją ktoś pogłaskał po tyłku.

— Bardzo możliwe, że ona tylko na to czeka — stwierdził Koralnik. — Ale kto się ośmieli sprawdzić, czy tak naprawdę jest? Chyba nie ty!

Bleibtreu wypiął pierś.

— Co mi dasz, jeżeli ci to udowodnię?

— No, dobrze, każdy wyczyn ma swoją cenę. A za taką demonstrację, ale całkiem jednoznaczną, jestem gotów dać trzy butelki wina.

— Pięć — zażądał Bleibtreu. — Najlepszego gatunku. Najlepiej mozelskiego. Ma być łagodnie i słodkie. Tyle się należy.

— Podwyższam na sześć — zareplikował potentat zaopatrzeniowy. Mógł sobie na to pozwolić, bo na wino, i to w dodatku słodkie, popyt był tu nieduży. Ciężkie czasy zapewne łatwiej przetrwać za pomocą mocnych trunków. Słodką lurą, jakiej domagał się Bleibtreu, zapchane były jego magazyny, toteż chętnie pozbywał się tego artykułu.

— Sprawa załatwiona! Pokaż więc, na co cię stać!

Plutonowy Bleibtreu nie dał sobie tego powtarzać. Wyprostował się i, chwając się lekko, ruszył przed siebie. Sztywnym krokiem przemierzył salę; dla nie wtajemniczonych wyglądało to mniej więcej tak, jak gdyby miał zamiar pobiec do ubikacji.

Przechodząc obok Zuzanny Singer podniósł rozwartą prawą dłoń w taki sposób, jak to się robi przy regulacji ruchu. Następnie lubieżnym, zamaszystym gestem opuścił ją na pośladek dziewczyny. Rozległo się wyraźne, ostre plaśnięcie.

Stojący najbliżej, słysząc odgłos uderzenia, odwrócili się i patrzyli na tę niezwykłą parę w niemym zdziwieniu i napiętym oczekiwaniu. Umilkły wszystkie rozmowy. Co się stało? Co teraz nastąpi?

— Mały żart! — zaśmiał się szyderczo Bleibtreu wśród nic dobrego nie wróżącej ciszy. — To w dowód najwyższego uznania!

Zuzanna tylko przez parę sekund trwała w niezmiernym zdumieniu. Lecz nagle odwróciła się twarzą do plutonowego, zamachnęła się i wymierzyła mu głośny, niezwykle mocny, świetnie ulokowany policzek. Cios był celny. Rzecz można — strzał w dziesiątkę.

Wydawało się, że Bleibtreu straci równowagę. Na jego twarzy malował się wyraz ni to zapierającego dech zdziwienia, ni obezwładniającego przerażenia. Widzowie też właściwie nie wiedzieli, co sądzić o tym zajściu. Czyżby się tu ktoś pomylił, czy też był to przypadek, a może z konieczności stali się tylko świadkami zamierzonej, brzemiennej w skutki zaczepki?

Wśród śmiertelnej ciszy rozległ się dźwięczny głos kaprala Koralka. Z trudem ukrywając złośliwą radość, stwierdził on niemal serdecznym tonem:

— No, skoroś poklepał, to masz za swoje!

Komentarz ten był niezwykle trafny, w dodatku wygłoszony przez osobę ze wszech miar właściwą. I w samej rzeczy chyba źle zrozumiany; przywołał on plutonowego Bleibtreua z powrotem do życia.

— Na... na... na co pani sobie pozwala! — sapnął do Zuzanny

Singer, czerwony na twarzy jak burak. — Jak pani śmie obrażać przełożonego? I to czynnie!

— Też mi przełożony! — odparła chłodno Zuzanna. — Jest pan tylko świntuchem i niczym więcej.

Tymczasem Monika Hofer stanęła tuż. obok swojej przyjaciółki, jak gdyby chcąc zademonstrować, że jest gotowa udzielić jej wszelkiej pomocy. Jak się zdawało, także kilka innych dziewcząt z łączności miało ochotę zwrócić się przeciwko plutonowemu, który, ich zdaniem, zachował się w sposób typowo męski, a przy tym wstrętny. Niektóre okazywały rzetelne oburzenie; po innych znać było, że są niezmiernie ubawione.

Nagle do incydentu wmieszał się ktoś jeszcze i to w sposób dość decydujący. Interwencja nastąpiła ze strony zupełnie nieoczekiwanej, a mianowicie sierżanta Wegnera. Szybko zbliżał się, wprost pędził ze swego kącika po to, by stanąć pomiędzy dziewczętami a winowajcą rodzaju męskiego.

Ci spośród obecnych, którzy bezpośrednio w zajściu nie uczestniczyli, przyglądali się widowisku z coraz większym zainteresowaniem. Wyglądało na to, że niebawem rozwinie się ono wspaniale. Stojący nieco dalej wspinali się na palce, wdrapywali na stołki. Koralnik wszedł nawet na stół; spektakl był zupełnie w jego guście.

Donośnym głosem, jednakże wcale nie tonem z dziedzica koszarowego, sierżant Wegner zażądał:

— Proszę łaskawie przeprosić, plutonowy Bleibtreu! Panna z pomocniczej służby wojskowej ma do tego prawo.

— Co takiego, co?! Ja mam przeproszać?! — dyszało oburzeniem chłopisko z fatalnie zaczerwienionym lewym policzkiem. — Kiedy ta bezczelna baba odważyła się wypolerować mi gębę?

Na to niespodziewanie odezwała się Monika, przyjaciółka Zuzanny:

— Jedno słowo mogłoby załagodzić sprawę i to byłoby najlepsze rozwiązanie — powiedziała spokojnie, prawie łagodnie. — Można by potem szybko zapomnieć o tym, co tu się przed chwilą wydarzyło.

Sierżant Wegner spojrział na Monikę Hofer z nagłym zdziwieniem; w tej chwili widział tę dziewczynę po raz pierwszy.

Oczywiście — domyślił się skwapliwie — mamy do czynienia z wyjątkowo tolerancyjnie usposobionym stworzeniem. Ludzie tego typu z miejsca stawali mu się nad wyraz sympatyczni. Poza tym w ogóle

wydało mu się, że jest bardzo miła. Od razu odczuł chęć bliższego poznania jej.

— Propozycja odpowiednia i postawiona we właściwej chwili — stwierdził głośno. — A zatem, plutonowy Bleibtreu! Wystarczy teraz, byście powiedzieli „żałuję tego, co się stało”, a przykra sprawa prze stanie istnieć.

Bleibtreu stał uparcie w miejscu, lekko pochylony do przodu, wciąż jeszcze gotów do obrony, pełen nagromadzonej wściekłości. Napiętą ciszę przerwało nagle wołanie z głębi sali. Nie był to głos Koralnika, wydawało się, że raczej starszego szeregowego Helmreicha:

— No, dalej chłopie, rób, co ci radzą! Bierz ogon pod siebie!

Bezceremonialne wezwanie wywołało ogólny, żywiołowy śmiech. Gdyby to ktoś umiejętnie wykorzystał, mogłoby dojść do zmiany nastroju i wyjaśnienia sytuacji. Plutonowy był jednak człowiekiem bez jakiegokolwiek poczucia humoru. Nie potrafił skorzystać ze sprzyjającej okazji. Rozejrzał się osłupiały i wrzasnął:

— To mnie trzeba przeprosić! Ta megera dołożyła mi. Do czego to dojdzie, kiedy napaści na przelożonych pozostaną bezkarne? Gdzie właściwie jesteśmy, do diabła!

I oto dopiero teraz, kiedy daremne okazały się wszelkie próby załagodzenia kłótni, do akcji wkroczył również sierżant sztabowy Himmelsheimer w charakterze pełniącej obowiązki „osoby odpowiedzialnej” tego wieczoru. Ponieważ obowiązywała go abstynencja, już i tak był w złym humorze. Nie wypił nawet piwa, a ta pluskwa Koralnik nie poczęstował go dyskretnie herbatą z rumem. Przekrzykując ogólną wrzawę, rozkazał:

— Nakazuję natychmiastowe zakończenie dzisiejszego wieczorku w kantynie. Wszyscy uczestnicy spotkania towarzyskiego udadzą się niezwłocznie do swoich pomieszczeń. Pozostaną tam, gotowi w każdej chwili do stawienia się na wezwanie!

Jeszcze tego samego pełnego wydarzeń dnia, późnym wieczorem, wszechstronnie wykorzystywana kantyna znów zmieniła swoje przeznaczenie. Stała się mianowicie czymś w rodzaju sali sądowej.

Wydarzenie to poprzedziła konferencja, można by rzec, na wyższym szczeblu. Sierżant sztabowy Himmelsheimer udał się do zameczku

Friedrichsruh, żeby o tym, co się stało, poinformować adiutanta generała, kapitana Rommelskirchena. Ten skierował się następnie do samego generała, który w jadalni spożywał właśnie kolację wspólnie z porucznikiem Crusiusem, kapitanem doktorem Säbischem, stale towarzyszącą mu Marianną Dengler i kierowniczką dziewcząt, Eryką Warnke. Na szczęście nie zachodziła już potrzeba przerywania posiłku. Panie i panowie zdążyli bowiem zjeść deser — lody waniliowe z przepysznyimi malinami.

Generał Blumenberger wysłuchał meldunku adiutanta z pozornie niewzruszonym spokojem. Dzięki doskonałemu opanowaniu niemal zawsze udawało mu się pod maską jowialnego zwierzchnika ukryć własne niezadowolenie. Tym razem w jego głosie pobrzmiwały wszakże odgłosy nadciągającej burzy.

— Sprawę należy niezwłocznie wyjaśnić i załatwić — zarządził. — Pan się tym zajmie, poruczniku Crusius, razem z naszą szanowną panią Warnke, jeśli wolno mi panią o to prosić. Przypuszczam, że będziecie państwo działać wspólnie i osiągnięcie zgodnie wypracowany, zadowalający wynik. Zastrzegam jednak sobie osobiście podjęcie ostatecznej decyzji.

Marianna Dengler z podziwem uśmiechnęła się do swego generała. Zupełnie jak gdyby był bohaterem z „Pieśni o Nibelungach”, a już co najmniej dzielnym wojownikiem najczystszej germańskiej krwi. Blumenbergera uradowało jej żarliwe spojrzenie; odczuł je jako potwierdzenie własnej męskości.

— Nasz Wódz i Kanclerz Rzeszy — zakończył więc swoje wskazówki — powiedział kiedyś, a byłem przy tym obecny: „to, co służy nam wszystkim, ma głęboki sens!” Tę prawdę musimy mieć stale na uwadze, co dzień, o każdej godzinie i w każdej sytuacji.

Obecni przytaknęli zgodnie, jakkolwiek nie słuchali nawet uważnie. Słuchanie już się nie opłacało; na pamięć znali slogany, jakie miał zwyczaj wygłaszać. W każdym razie porucznik Crusius wraz z Bryką Warnke ruszył w drogę do kantyny, do swojej „pracy”.

Pozornie wydawało się, że oboje przeniknięci są wspólnym poczuciem odpowiedzialności. W rzeczywistości i jemu, i jej chodziło o własne pozycje, zakres kompetencji, możliwość wywierania wpływu. Jednakże uśmiechali się do siebie. Eryka Warnke uważała przy tym, że może być prawie pewna swojej przewagi. Czyż kot nie potrafi zbić z tropu nawet

najgroźniejszego brytana, jeśli tylko uda mu się wykryć psie słabostki? Powiadają, że nawet słoń wpada w przerażenie na widok nagle pojawiającej się myszy.

Tymczasem kantyna całkowicie zmieniła wygląd. Talent organizacyjny Koralnika i zęczość ludzi, których sobie dobrał, dokonały pełnego przeobrażenia. Teraz, prawie dokładnie pośrodku pustej sali, stał duży, do czysta wyszorowany stół. Zasiedli właśnie za nim porucznik Crusius i kierowniczką dziewcząt, panna Warnke. Naprzeciwko ustawiono kilka krzeseł — dla przesłuchiwanym.

Sierżant sztabowy Himmelsheimer zatrzymał się, służbiście wyprężony, w pobliżu drzwi wejściowych. Widocznie był gotów pełnić obowiązki woźnego sądowego. W wypadku, gdyby to się okazało konieczne, mógłby się stać przykładowym archaniołem zemsty, wprawdzie bez miecza ognistego, lecz za to ze służbowym pistoletem.

Jako pierwszego „świadka” przywołano kaprala Koralnika. On zaś tylko na to czekał. Podbiegł więc, stanął na baczność i wykrzyknął coś, co brzmiało jak „heil Hitler!” Na pytania, które mu zadawano, odpowiadał ochotczo, z miną dobrodusznego głupka — odgrywał swoje typowe przedstawienie, na którym porucznik Crusius oczywiście już się poznał. Trudno było oczekiwać, że Koralnik będzie się zachowywał jak słoń we własnym składzie porcelany. Nie był więc Crusius specjalnie zaskoczony, kiedy Koralnik z wielkim żalem oświadczył:

— Przykro mi, nie wiem o niczym. Nic nie słyszałem o tym, co tu się podobno stało.

Crusius usiłował odwołać się do jego tak zwanego ducha koleżeństwa.

— Mój drogi Koralnik! Ma pan przecież oczy stale otwarte, orientuje się pan we wszystkim i przez to niejednemu koledze już pan pomógł. O ile wiemy, plutonowy Bleibtreu zatrzymał się przy waszym siole i usiadł bezpośrednio przy panu. Zatem zapewne spostrzegł pan, że wstał on nagle, a potem podszedł do panny Singer ze służby pomocniczej.

— No właśnie — zawołał Koralnik. — Przypominam sobie, że nagle wstał. Wspominał, że idzie się wysikać... przepraszam, pani Warnke, chciałem powiedzieć, że naszła go chęć pofolgowania drobnej ludzkiej potrzebie. Było to dla mnie całkiem zrozumiałe, ponieważ wyżłopał... chciałem powiedzieć — wypił, pokazał ilość herbaty. Kiedy

wstał ze swego krzesła, nie śledziłem już jego drogi, bo byłem pewny, że trafi do klozetu bez mojej pomocy.

— Niech pan zaniecha uprzejmie tych sztuczek, Koralnik — zwrócił mu uwagę porucznik bez śladu surowości. — W każdym razie powstało wówczas poważne zamieszanie.

— No, tak. Oczywiście. Było pewne zamieszanie, takie dość ogólne. Ale bardzo krótko, wkrótce było już po wszystkim. Szczegółów z tym związanych nie mogłem obserwować od swego stołu. Nie miałem też wcale takiego zamiaru. Według wypróbowanej zasady: bez potrzeby niczego nie rozdmuchiwać.

— Panie kapralu! — zaprotestowała komendantka dziewcząt, panna Warnke, spoglądając surowo. — Proszę, niech pan przyjmie do wiadomości, że tu się niczego nie rozdmuchuje. Dochodzenie jest niezbędne, zwłaszcza że pan generał je zarządził. Nie radzę panu odmawiać współpracy przy wyjaśnianiu tego wypadku. Czyżby pan miał zamiar osłaniać plutonowego Bleibtreua?

— Przypuszczenie to jest tego rodzaju, że muszę zdecydowanie zaprzeczyć! — powiedział Koralnik, gotów nadal składać wyjaśnienia. — Jeśli mój pogląd...

— Dziękuję! — przerwał mu Crusius. — Poglądy nas nie interesują. Może pan odejść, kapralu.

On zaś przyjął postawę zasadniczą i odszedł; jeszcze tylko pozwolił sobie na lekkie, porozumiewawcze przymrużenie oka w kierunku porucznika.

Porucznik natomiast zwrócił się z troską do panny Warnke:

— Chciałbym pani powiedzieć, że uważam za rzecz niezbyt odpowiednią zadawanie podchwytliwych pytań, wywierających na ludzi nacisk. Podobne metody prowadzą tylko w ślepy zaułek.

Eryka Warnke zacerpnęła głęboko powietrza; zapewne po to, aby nie stracić panowania nad sobą.

— Jeśli staje pan w obronie swoich ludzi, to rzecz jeśli do pewnego stopnia zrozumiała. Ale jednocześnie przyzna mi pan że chyba, że dziewczęta, które mi powierzono, nie mogą być łowną zwierzyną dla żołnierzy, którzy tu służą. Jeśli nie będziemy energicznie zwalczali początków złego, może ono zagrozić wszelkiej dyscyplinie, a przez to także naszej gotowości bojowej.

— Co do tego jesteśmy zupełnie zgodni — przytaknął Crusius ze



zrozumieniem. — Może nawet bardziej zgodni niż pani przypuszcza. W końcu zmierzamy do tego samego celu. Czy mogę zaproponować, żebyśmy, kontynuując postępowanie, przesłuchali plutonowego Bleibtreua?

Obwiniony zbliżył się sztywnym krokiem, z miną niedocenionego poczciwca, zgrywając się na obrażonego. Z uzdolnień aktorskich nie był z pewnością tak dobrze znany jak kapral Koralnik, jednakże jego występ nie pozostał całkiem bez wrażenia. Zanim zdążono mu zadać jakiegokolwiek pytanie, zapewnił:

— A więc miałem zachować się nieobyčajnie? I to akurat ja! A tymczasem wszyscy wiedzą i można to udowodnić, że odnoszę się do naszych niemieckich dziewcząt i kobiet tylko z najwyższym szacunkiem — choćby ze względu na moją czcigodną matkę. Poza tym mam siostrę, z którą...

— Co pana jednak nie powstrzymało — panna Warnke dość energicznie przerwała potok jego wymowy — od dotknięcia jednej z moich dziewcząt w sposób najbardziej nieodpowiedni. Wymierzył pan klapsa Zuzannie Singer.

— Ale przecież to nie było dokładnie tak. Jest to, że tak powiem, pomyłka, i to godna pożałowania. Obok tej panny Singer, to znaczy Zuzanny, przechodziłem całkiem przypadkowo. A ponieważ przy wejściu do kantyny był piekielny tłok — stało tam pełno kolegów i dziewcząt — to może naprawę otarłem się o nią. Całkiem możliwe, że wówczas dotknąłem jej także poniżej krzyża. Ale nie umyślnie! W żadnym wypadku!

Po tej wypowiedzi polecono sierżantowi sztabowemu Himmelsheimerowi, by zechciał przywołać obie dziewczyny — Zuzannę Singer i Monikę Hoier. On zaś nie tylko przywołał je, lecz wezwał w sposób najzupełniej służbowy. Starał się przy tym usilnie o zachowanie tonu, jaki uważał za wskazany w stosunku do podwładnych.

Komendantka Warnke zaprotestowała natychmiast:

— Panie sierżancie! — zawołała do niego. — Nie jest pan w żadnym wypadku uprawniony do rozkazywania moim dziewczętom tak, jak pan rozkazuje swoim żołnierzom.

Szefa kompanii łączności niepomiernie zdziwiło to upomnienie. Uznał je nie tylko za bezprawne, lecz poza tym też za bezwstydne; przecież on tylko spełniał swój obowiązek i nic ponadto. Szukając

pomocy, spojrział w stronę porucznika Crusiusa; natychmiast zrozumiał, że nie ma co liczyć na jego wsparcie. Co gorsza, tamten go tylko ofuknął!

— Ja też, sierżancie, jestem stanowczo za tym, żeby nasze dziewczęta ze służby pomocniczej były zawsze traktowane w sposób wysoce poprawny. Proszę uprzejmie mieć to na uwadze. Jeśli nie zastosuje się pan do tego, to nie jest pan właściwym człowiekiem na tym stanowisku!

— Tak jest, panie poruczniku! — Himmelsheimer trzasnął obcasami. Bardzo poprawnie oddał niemieckie pozdrowienie, następnie wykonał w tył zwrot i odmaszerował.

Crusius był przekonany, że właśnie w tej chwili udało mu się dokonać na szachownicy trzech posunięć, które rozszerzały jego pole manewru i dawały mu przewagę. Po pierwsze, wyraźnie wytłumaczył sierżantowi sztabowemu, że ma on nad sobą nie tylko kapitana Rommelskirchena, lecz także porucznika Crusiusa; i z tym musiał się sierżant pogodzić. Po drugie, dał do zrozumienia komendantce Warnke, że może na niego liczyć pod warunkiem zachowania wzajemnej gotowości do współpracy. Po trzecie zaś, jeszcze raz wyraźnie zaznaczył, że jest gotów w tym wypadku działać jako zdecydowany obrońca dziewcząt z łączności.

Wprost wyczuwał, że świetnie ocenił sytuację. Świadczyło o tym zachowanie Zuzanny Singer i Moniki Hofer. Wydawało się, że uśmiechają się do niego z pełnym zaufaniem.

Zuzanna, zapytana w sprawie owego policzka wymierzonego w kantinie, oświadczyła:

— A więc, ten plutonowy uderzył mnie niespodziewanie, bez żadnego ostrzeżenia, w pośladek i to dość mocno. Zrobił to bez wątpienia z rozmysłem.

— Mogę to potwierdzić — zapewniła Monika Hofer. Widziałam z najdrobniejszymi szczegółami.

— Na jakiegokolwiek zastanowienie się nie było po prosi u czasu — powiedziała Zuzanna. — Gdy poczułam uderzenie, zareagowałam zupełnie odruchowo. — Z błyszczącymi oczyma zademonstrowała cios ręką. — Wyrznęłam go po prostu w twarz! Było mi wtedy zupełnie obojętne, czy mam do czynienia z podoficerem, czy z jakimś innym chłopem. Był to po prostu odruch — tak to się nazywa?

— W tym miejscu bardzo panią przepraszam, panno Singer! — niemal surowo odezwał się Crusius. — Nasi oficerowie i żołnierze nie są w końcu żadnymi „chłopami”. Znajdujemy się w niemieckim wojsku, a nie w jakimś domu publicznym. Proszę, niech pani ma to na uwadze. A ponieważ ślady tego policzka są jeszcze widoczne i to bardzo wyraźnie, zatem mogło w tym wypadku chodzić nie tylko o odruch, lecz raczej o całkiem rozmyślnie działanie.

— Stanowczo sprzeciwiam się takiemu stwierdzeniu — odparła panna Warnke. — Gdyby przypadkiem ktoś odważył się uderzyć mnie, i to bez względu na to, gdzie, prawdopodobnie zareagowałabym tak samo jak Zuzanna. Takie działanie to obrona konieczna. Tak jest.

Porucznik z zastanowieniem pokręcił głową.

— Pojęcie obrony koniecznej nie wydaje mi się stosowne. Pod tą nazwą rozumie się przecież zupełnie coś innego.

— Czy mogę sobie pozwolić na pewną uwagę w tej sprawie? — zapytała Monika Hofer swoim łagodnym głosem.

— Ależ tak, to zrozumiałe — zgodził się skwapliwie Crusius na jej propozycję.

— A więc, chciałabym zwrócić uwagę — powiedziała Monika — że w tym wypadku, ze względu na istniejące okoliczności, rzeczywiście mamy do czynienia z aktem obrony koniecznej. Zarówno kodeks cywilny, jak i kodeks karny definiują obronę konieczną jako akt obrony w celu odparcia aktualnie dokonywanej niezgodnej z prawem napaści na siebie bądź inną osobę. W tym kontekście odwołuję się do postanowienia, według którego obrona konieczna nie podlega karze śmierci również wówczas, gdy w jej trakcie, na skutek przerażenia, obawy lub przestraszenia reakcja wykracza poza zwykłe granice prawne. Zatem zbędna jest jakakolwiek dyskusja na temat, czy Zuzanna działała stosownie, czy też nie. Decydujące znaczenie ma w tym wypadku jedynie i tylko zachowanie się plutonowego Bleibtrea. Potwierdzi to na pewno pan sierżant Wegner.

Ponieważ przebieg przesłuchania zagrażał uwikłaniem w skomplikowane specjalistyczne zagadnienia prawne, Crusius ucieszył się, że akurat padło hasło wywoławcze „sierżant Wegner”.

— Dziękujemy wam, drogie panie. Uwzględnimy wasze wywody; to się rozumie samo przez się. Teraz jednak możecie odejść — obie.

Zuzanna Singer i Monika Hofer uczyniły to z widoczną przyjemnością. Bezpośrednio po ich odejściu porucznik Crusius zwrócił się do Eryki Warnke.

— Teraz, przy nieuniknionym przesłuchaniu sierżanta Wegnera, nie wolno nam przeoczyć pewnych rzeczy. Tego mianowicie, że on i plutonowy Bleibtreu raczej nie są przyjaciółmi. Wegner, nasz geniusz techniczny, jest odludkiem, całkowicie pochłoniętym swoimi pomysłami. Bleibtreu to znów realista i praktyk. Bardzo by chciał przejąć obowiązki Wegnera, o czym tamten dobrze wie. Należy stąd wnosić, że każdy z nich, gdy tylko nadarzy się okazja, będzie próbował u trzeciego nosa drugiemu. Niech mi pani pozwoli działać; już ja wiem, jak postępować z takimi typami.

Gdy zjawił się Wegner, Crusius od razu zastosował jedną ze swoich szczególnych metod. Zapytał go mianowicie:

— Czy ma pan zamiar urządzić tu coś w rodzaju striptizu? Na to geniusz techniczny odparł, mocno zmieszany:

— Trip... jak to?... Nie...

— Proszę więc uprzejmie zapiąć górny guzik kurtki.

Panna Warnke ani drgnęła, kiedy sierżant, mocno stropiony, mocował się z guzikiem. Powiedziała do niego:

— Pan wie oczywiście, o co chodzi. A więc, proszę nam opowiedzieć możliwie zwięźle, ale zgodnie z prawdą, jak przebiegało wiadome zajście.

Wegner skinął głową.

— Tak, więc... obie panie stały nie opodal wyjścia z kantyny. Zobaczyłem, jak plutonowy Bleibtreu podszedł do jednej z nich i dotknął jej w nieprzyzwoity sposób.

Porucznik Crusius włączył się:

— Plutonowy zeznał, że chciał się udać do ubikacji. Przy tym, ponieważ pod tymi drzwiami było bardzo tłoczno, musiał się przeciskać pomiędzy stojącymi tam ludźmi. Przy tej okazji podobno... no, więc powiedzmy — zderzył się z panną Singer ze służby pomocniczej.

— Nie, to nie tak było — odparł Wegner. — On podszedł do panny Singer i to zupełnie prosto. Widziałem to dokładnie, siedziałem obok przy stole.

Porucznik spojrział teraz znacząco na Erykę:

— Czyżby pani miała jeszcze jakieś pytanie do tego świadka?

Potrząsnęła głową:

— Nie, nie mam już pytań.

Na tym zakończono dochodzenie, które praktycznie nie wydobyło na światło dzienne nic, co nie byłoby znane już wcześniej. Stało się jednak jasne, że zarówno Eryka Warnke, jak i porucznik Crusius usiłowali uniknąć ukarania stron, jakkolwiek czynili to z bardzo różnych pobudek. Dzięki temu miało się okazać, że cała sprawa to po prostu wiele hałasu o nic. Miał tu jednakże coś do powiedzenia także generał.

Feiiks Baldur Blütenberger przetrwał pierwszą wojnę światową jako porucznik, by w niespokojnych czasach, które po niej nastąpiły, dorobić się stopnia majora, służąc w tak zwanym wojsku, rzekomo stutysięcznym. Z tej to Reichswehry zwolnił się i przeszedł do przemysłu. U Siemens w Berlinie awansował na dyrektora wydziału prac rozwojowych. Na stanowisku tym udało mu się wprowadzić istotne ulepszenie w polowym aparacie telefonicznym *wzór 29*, używanym w niektórych jednostkach wojskowych. Następnie, po kilku ćwiczeniach rezerwy awansowany na pułkownika, potrafił uszczęśliwić wielkoniemiecki Wehrmacht unowocześnieoną radiostacją polową *wzór 36*. W wyniku wzajemnego oddziaływania wojskowych doświadczeń i zmysłu wynalazczego powstały później owe serie urządzeń Blütenbergera, nadające się do łączenia w zestawy rozmaitej wielkości. Za ich pomocą na przykład meldunki o nalotach nieprzyjacielskich z dozorowanego obszaru powietrznego można było natychmiast przetwarzać na szczegółowe rozkazy dla obrony przeciwlotniczej. Dzięki tym innowacjom w dziedzinie wysoko rozwiniętej techniki łączności możliwe stało się później urządzenie centralnego stanowiska dowodzenia w potudniowoniemieckim zameczku Friedrichsruh. Był to obiekt o szczególnym znaczeniu.

Mało kogo zaskoczył fakt, że Blütenberger, pułkownik, a wkrótce potem generał major, na mocy rozkazu Führera z dnia 5 grudnia 1943 roku powołany został do kierowania centralnym stanowiskiem dowodzenia, a zatem do praktycznego wykorzystywania najnowszych wyników badań i rozwiązań technicznych. Nikt prawie z tego powodu się nie dziwił.

Od tego czasu „generał”, jak wkrótce zaczęto nazywać Blütenbergera, objął nadzór nad całym systemem. Był przy tym zdania, że „jego” ludzie bardzo go szanują, poważają, a czasem nawet kochają. Czuł się co najmniej blisko związany, niemalże uczuciem, z Marianną Dengler. Oficjalnie figurowała ona jako dama recepcyjna; w żołnierskiej gwarze nazywano ją „Vozida”\*. W dowód głębokiej sympatii generał pozwolił jej, by, będąc z nim sam na sam, mówiła mu po imieniu.

Gdy porucznik Crusius i komendantka Eryka Warnke bezpośrednio po zakończeniu dochodzenia w sprawie spoliczkowania zjawili się w zamczku Friedrichsruh, okazało się, że generał jest już do pewnego stopnia zorientowany w incydencie. Przynajmniej co do tego, że kuzynka Marianny, to znaczy Zuzanna, ma jakieś kłopoty. Poza tym zaś, gdy Crusius i jejmość Warnke zdali mu relację z przesłuchiwania uczestników zajścia i świadków, uznał, że jest świetnie poinformowany o samym wydarzeniu i jego kulisach.

— No, tak — powiedział generał Blütenberger, gdy tamci skończyli. Wydawało się, że mocno się nad czymś zastanawia, a on tymczasem cieszył się, że ktoś podziwia jego twórczą zadumę. Po chwili obojgu oświadczył, dając do zrozumienia, że to, co mówi, jest wynikiem głębokiej refleksji: — Przede wszystkim musimy sobie wciąż zadawać pytanie: co jest pożyteczne dla naszej wspólnoty, co pomaga nam w wywiązywaniu się z zadań? Poza tym wbicie klina między naszych żołnierzy i tak bardzo nam potrzebne dziewczęta ze służby pomocniczej miałyby oplakane skutki.

— To, panie generale, nie wydaje się wcale takie łatwe.

— Trzymajmy się więc tej myśli! W naszym wypadku jeden z żołnierzy dał się skusić ponętną powierzchownością; przy tej okazji posunął się o krok dalej, niżby wypadało. A dziewczyna, spontanicznie reagując, posunęła się też o krok za daleko. Nie widzę zatem szczególnego powodu do podniecenia. W każdym razie jakakolwiek kara byłaby nie na miejscu. Jednakże dla uspokojenia umysłów jestem skłonny uznać za słuszną propozycję sierżanta Wegnera, myślącego jak zawsze rozsądnie. Plutonowy Bleibtreu powinien przeprosić. Powiedzmy, przed zebraną załogą, tym razem damską.

\* Skrót od niemieckiego „Vorzimmerdame” — dama z przedpokoju (wątpliwego gatunku dama) — (*przyp. tłum.*).

— Uważam, że to rozstrzygnięcie jest bardzo słuszne i mądre — odezwała się komendantka Warnke.

Crusius pokręcił głową.

— Ten Bleibtreu nigdy tego nie zrobi! Będzie twierdził, że coś podobnego uwłacza jego godności — żołnierza i mężczyzny.

— Niech go pan do tego skłoni — zachęcił generał podwładnego.  
— A jeśli nie posłucha od razu, niech mu pan wyda rozkaz! Byłoby śmiechu warte, gdybyśmy nie potrafili uporać się z tą niedorzeczną sprawą!

### 3. Nie ma dymu bez ognia

Niełatwe miała zadanie do wykonania Eryka Warnke, chcąc mocno ująć w garść dziewczęta z łączności. Była jednak pewna, że dopnie swego. Jeśli ktokolwiek w ogóle był zdolny wpędzić tę trzódkę na właściwą łączkę, to tylko ona!

— Moje dziewczęta! — ten sposób zwracania się do podopiecznych brzmiał, rzecz można, dość familiarnie, lecz nie było w nim nadmiernej poufalości. — Dotychczas — powiedziała — stanowiłyśmy tu mniej szość i nie było nam zbyt łatwo przeciwstawiać się przekonaniu mężczyzn o ich wyższości. Odtąd jednak, nareszcie wzmocnione liczebnie, jesteśmy zwartym pododdziałem, który już coś zuaczy i obok którego nikt nie przejdzie, nie zauważając go.

Było ich w tej chwili czterdzieści osiem młodych dziewcząt, w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Zostały zakwaterowane w baraku A i podzielone — po dwanaście — na cztery drużyny. Na czele każdej drużyny stała drużynowa; jednak nie mianowana rozkazem, tylko wyznaczona do pełnienia tej funkcji. Był to pomysł komendantki, panny Warnke, a wynikała zeń nieoceniona wprost korzyść — dzięki niemu można było w każdej chwili zmienić drużynową, gdyby nie była dość posłuszna bądź lekkomyślnie popełniła błąd.

Rozkład dnia dziewcząt przedstawia! się następująco: O 6.30 pobudka za pomocą muzyki z głośników, które zainstalował sierżant Wegner, zachęcony przez swego kolegę Koralknika. Melodię dobierała zazwyczaj Eryka Warnke — raz był to Mozart, kiedy indziej niemiecki śpiew chóralny lub dziarski marsz. Następnie rozlegał się pierwszy komunikat, wygłaszany do mikrofonu przez pannę Warnke:

— Mamy nowy dzień, dziewczęta! Powitajmy go z radością i bądź-



my gotowe do dzieła — dla Führera, narodu i ojczyzny. A teraz zwawo do roboty!

„Zwawo do roboty” znaczyło: wstawanie, ślanie łóżek, mycie, gimnastyka poranna; wszystko to musiało się odbyć do godziny 7.15. Na gimnastykę poranną należało przychodzić w ściśle określonym stroju — biało-niebieskim kostiumie gimnastycznym, pod nim jednak winny znajdować się majteczki i biustonosz. Panna Warnke bardzo zważała na to, by przy tym zajęciu nie było dokładnie widać damskich kształtów. Bo kiedy dziewczęta na wolnym powietrzu stawały w rozkroku, wykonywały skłony do tyłu lub inne ćwiczenia służące wzmocnieniu ciała, wówczas nagle, jak na komendę, pojawiali się ciekawscy rodzaju męskiego. Zbiegali się zewsząd, czaili za narożnikami. Nawet rosyjskich jeńców, jak można było zauważyć, magicznie przyciągały tego rodzaju występy. A to groziło zaniedbaniem porannego sprzątanía obiektu.

— Nie zwracajcie uwagi na tę męską fanfaronadę! — rozkazywała komendantka energicznym tonem. — Niech wasza pogarda będzie dla nich karą! Niech im się wydaje, że ich nie widzimy, jak gdyby ich tu nie było. Wtedy od razu przestaną węszyć dookoła. — W rzeczywistości wcale nie wyglądało na to, by to życzenie miało się spełnić — przynajmniej nie natychmiast, z dnia na dzień.

Czas między 7.15 a 8.00 był najprzyjemniejszą porą w ciągu przedpołudnia — podawano śniadanie! Składały się na nie — dzięki talentowi organizacyjnemu Koralnika! — świeże ntleko, żytni chleb, wiejskie masło i marmolada z prawdziwych owoców. I to wszystko w dowolnej ilości.

Po śniadaniu odbywał się apel poranny, na którym odczytywano „rozkaz dzienny”. Działo się to bezpośrednio przed barakiem kobiecym; rozpoczynał się punktualnie o 8 i trwał zazwyczaj kilka minut. W ciągu tych kilku minut miał miejsce wielki występ Eryki Warnke. Wiedziała ona, że w tym czasie zarówno ona, jak i jej dziewczęta, teraz już w pełnym umundurowaniu, ukradkiem są obserwowane. Żołnierze różnych stopni czekali tylko na jakieś potknięcie, błąd, niezręczność. Hyli, rzecz można, zaprogramowani na to, by cieszyć się z jej niepowodzenia. Dlatego musiała demonstrować dyscyplinę.

Komendantka z zadartą głową stała przed frontem i kazała drużynowym składać meldunki o gotowości zespołów do pracy — na szczęście drużyny były jeszcze kompletne. Następnie przechodziła wyprężona

wzdłuż szeregów i wydawało się, że nie ujdzie jej uwagi nic, co w jakikolwiek sposób nie jest w porządku — czy to rozwichrzone włosy pod furazerką, czy źle ułożone fałdy munduru, czy choćby nawet nie całkowicie wyczyszczona plama. A gdy tylko spostrzegła ślady po zabronionym malowaniu warg, natychmiast reagowała, podkreślając swoje niezadowolenie.

— Niemiecka dziewczyna jest prosta i naturalna — mawiała w takich wypadkach. — Aryjska piękność promieniuje od wewnątrz, a sztuczne środki tylko jej szkodzą.

Tym razem uwagę jej przyciągnął biust jednej z dziewcząt stojących w pierwszym szeregu; przyjrzała mu się z wyraźną dezaprobatą. — Czy to prawdziwe, Elfrydo? A może poprawiłaś go sobie trochę? Zamelduj się u mnie bezpośrednio po apelu.

Następnie zwróciła się do wszystkich:

— Niemieckie dziewczęta! Myślcie wciąż o tym, czego oczekuje od was Führer, i postępujcie zgodnie z jego oczekiwaniami. Strzeżcie swojej czci i godności, kiedy, począwszy od dziś, będziecie wraz z oficerami i żołnierzami pracowały w tej jednostce aż do chwili, w której wspólnie osiągniemy ostateczne zwycięstwo. Nie pozwólcie się mężczyznom sprowokować, nawet w lesie lub międzybarakami. Doszły mnie słuchy, że w toalecie przy schronie podziemnym miały miejsce pewne incydenty. Ten, kto nie potrafi panować nad sobą, zdradza własną niedojrzałość i sam stawia siebie poza zbiorowością. Zresztą wiosenne nastroje są jeszcze zbyt wczesne; noce są chłodne. W razie, jeśli którejś z was zrobi się zbyt gorąco koło serca lub gdziekolwiek, to w takim wypadku zimny prysznic nieraz działa cuda.

— O co jej właściwie chodzi? — zapytała Zuzanna. Mówiła wprawdzie szeptem, lecz dostatecznie wyraźnie, by słyszano ją w najbliższym otoczeniu. — Do czego zmierza ta stara wrona? Chce nas zanudzić czy uśpić?

— Nie doceniasz jej, Zuzanno — po cichu ostrzegła ją stojąca obok kuzynka Marianna. — To bardzo wyrafinowana bestia i dobrze wie, skąd wiatr wieje.

Ku wielkiemu zdziwieniu zebranych na apelu dziewcząt ukazał się nagle porucznik Crusius, za którym grzecznie dreptał plutonowy Bleibtreu. Komendantka uroczyście powitała porucznika pozdrowie-

niem „heil Hitler” i uściśnięciem dłoni; plutonowego nie zaszczyciła nawet spojrzeniem. Następnie powiedziała głośno:

— Plutonowy Bleibtreu pragnie złożyć wam, moje dziewczęta, oficjalne przeprosiny. Chodzi mianowicie o przykre wydarzenie w kanynie. W ten sposób cała ta sprawa powinna skończyć się raz na zawsze.

Bleibtreu z zakłopotaną miną stanął przed frontem kobiecej zbiorowości i właśnie zamierzał otworzyć usta, gdy zupełnie nieoczekiwanie rozległ się jasny, czysty głos Zuzanny Singer.

— Ja w każdym razie rezygnuję z przeprosin nie w porę! Bez ła ski! — Wykrzyknęła to tonem, który zabrzmiał niemal jak „niech mnie gdzieś pocałuje ten gówniarz!”

Plutonowy na przemian to bladł, to czerwieniał, patrząc przy tym błagalnie na porucznika Crusiusa. Lecz on też wydawał się trochę zbity z pantałyku i wytrzeszczał oczy na niesforną Zuzannę jak na istotę z innego, dla niego obcego świata. Stojące w szyku dziewczęta zaczęły zachowywać się niespokojnie, a niektóre nawet, jak wydawało się, z trudem tylko tłumili śmiech.

Komendantka Warnke błyskawicznie oceniła, że znów nadeszła decydująca dla niej chwila próby. Tym razem w obecności porucznika Crusiusa, który też czekał na to, by przemówiła. Lecz ona nie miała zamiaru wyświadczać tej przysługi ani jemu, ani nikomu innemu! Rozkazała więc twardym jak stal głosem:

— Żołnierz służby pomocniczej Singer! Wystąp!

Kiedy już Zuzanna, umyślnie niedbale, wykonała komendę, panna Warnke podeszła do niej.

— Cóż ty sobie właściwie wyobrażasz? Kim jesteś — jak ci się wydaje? Proponuję ci przyjęcie przeprosin, które mają zasadnicze znaczenie dla wzajemnej współpracy w naszej jednostce.

— A ja uważam, że to nie ma sensu.

— Nikt cię, Zuzanno, nie pyta o zdanie w tej sprawie. Nie chodzi o ciebie, o twoje osobiste motywy, lecz o sprawy najwyższe, ogólne! Rozumiesz?

— Rozumiem — powiedziała Zuzanna, i to nawet z uśmiechem. Z powrotem wstąpiła do szeregu.

Eryka Warnke skinęła głową w stronę Crusiusa.

— Czy mogę pana prosić, panie poruczniku, o spowodowanie, by plutonowy Bleibtreu wywiązał się ze swego zadania?

Crusius skinął lekko na Bleibreua, a ten zaczął układać słowa, ale, będąc naprawdę zdenerwowany, wydobywał je z siebie jękając się.

— W wiadomej sprawie... być może pomyliłem się... czego w tej chwili żałuję... Jestem gotów przyznać, że niewłaściwe zachowanie... Nigdy nie chciałem... i ponieważ jest mi bardzo przykro...

Zapłatał się do reszty; przerwał swoją przemowę i stał jak baran. Porucznik krzyknął do niego oburzony:

— Człowieku, proszę się wziąć w garść!

Było już jednak za późno. Wydawało się, że dziewczęta pomimo pięknej pogody nagle się przeziębily. Wszystkie zaczęły chrząkać i kaszleć. Niektóre wprost dusiły się. Tak właśnie bywa, kiedy nie wolno jawnie okazywać wesołości i pośmiać się z dobrego żartu. Plutonowy Bleibtreu stał i patrzył jak cielę na malowane wrota. Panna Warnke opanowała się i krzyknęła:

— Rozejść się! Jeszcze porozmawiamy! — Gromada dziewcząt rozpierzchła się jak spłoszone stado rozgęganych gęsi.

— Już ja je nauczę, jak tu się należy zachowywać — oświadczyła groźnie panna Warnke.

Porucznik Crusius patrzył na nią z niekłamanym podziwem. Najwyższe uznanie — pomyślał — zdaje się, że to wspaniała kobieta. I nie ma z nią żartów. Na takiej można chyba polegać bez reszty.

Tego samego dnia od razu po obiedzie Zuzanna Singer udała się do swojej kuzynki Marianny Dengler, która zaprosiła ją do zameczku Kampfental, „żeby trochę poplotkować”. Spotkały się w przedpokoju pomieszczeń służbowych generała.

Usiadły na stojącej w kącie kanapie, przed którą stał mały stolik, a na nim dopiero co otwarta butelka szampana.

— Z pozdrowieniami od Baldura — wyjaśniła Marianna. Zuzanna wiedziała już, że jest to jedno z dwóch imion generała.

— Mam nadzieję — upewniła się więc — że nie przeszkadzam.

— W każdym razie nie w obiedzie! — Marianna potrząsnęła ufryzowaną główką. — Po posiłku Baldur ma zwyczaj udawać się do swego osobistego apartamentu. Wypoczywa tam przez pewien czas, a potem pracuje nad dziennikiem działań wojennych.

Na to Zuzanna z właściwą sobie wesołością zapytała: — To on się tam wysypia bez ciebie?

Udzielenie odpowiedzi na to pytanie zostało Mariannie oszczędzo-

ne. Stało się bowiem coś zupełnie nieoczekiwanego. Rozległo się krótkie, lecz wyraźne pukanie do drzwi. Bezpośrednio po nim do pokoju wszedł kapitan Rommelskirchen, adiutant generała Blütenbergera.

Spojrząwszy na niego, Zuzanna stwierdziła, że w przypadku tego człowieka tak zwana natura pozwoliła sobie na szereg wyskoków. Przed nią pojawiło się przedziwne skrzyżowanie chomika z zającem, kota z lisem, pinczera z jamnikiem. Niebyło to uosobienie męskiej urody, lecz był to jednak mężczyzna.

Na jego twarzy ukazał się niepewny uśmiech.

— Bardzo proszę o wybaczenie, jeśli przeszkadzam, szanowna panno Dengler — powiedział do przyjaciółki generała.

— Czy mogę panu przedstawić moją kuzynkę, Zuzannę Singer, panie kapitanie?

— Cieszę się, że mogę panią poznać. — Rommelskirchen czynił wysiłki, by spojrzeć na Zuzannę promiennym wzrokiem. Jednocześnie wskazał pudełko, które przyniósł ze sobą. — Wczoraj dostałem w paczce z podarkami bombonierkę królewieckich marcepanów. Pomyślałem sobie, że może mógłbym sprawić pani małą przyjemność. Obu paniom, jeśli się panie zgodzą.

— Bardzo to miłe z pańskiej strony, panie kapitanie! — zapewniła go Marianna Dengler.

— Ja również dziękuję — przyłączyła się Zuzanna Singer. Przyglądała się kapitanowi tak uważnie, że wprawilo go to w widoczne zakłopotanie. Wybąkał smacznego i coś na temat pięknej pogody. Potem niespodziewanie szybko wyszedł.

Ledwie zamknął za sobą drzwi, Zuzanna zapytała:

— Jaką rolę on tu odgrywa?

— Och! — machnęła ręką Marianna. — On jest czymś w rodzaju echa lub raczej tuby Baldura i niczym więcej. Chciał cię poznać. Wygląda na to, że jest tobą mocno zainteresowany.

— Zamierzasz mi go przypadkiem zaoferować?

— Istnieją też zupełnie inne możliwości. Na przykład Warnke zaproponowała generałowi przydzielenie do dyspozycji, to znaczy do jego sztabu, jeszcze jednej dziewczyny ze służby pomocniczej. Mogłabyś nią być ty — znów byłybyśmy razem.

— To puste gadanie — osądziła Zuzanna. — Warnke nigdy się nie da na to nabrać!

— Decyzja w tej sprawie należy do generała. Pytał mnie o zdanie, a ja od razu pomyślałam o tobie. Baldur natychmiast wielkomyślnie zaakceptował to. Możesz więc w każdej chwili przeprowadzić się do nas. Na razie jako maszynistka. Cała reszta ułoży się później.

— A cóż to miałyby znaczyć „cała reszta”? Cz\ po zakończeniu pisania na maszynie miałabym wspólnie z generalskim i\ hem spożywać mnóstwo marcepanów? W miarę możliwości w jego łóżku, które potem byłoby pełne okruchów... A może pośpieszyłby wówczas na pomoc adept nauk lekarskich, Säbisch, z najlepszymi środkami zapobiegawczymi w kieszeni? Jeżeli go nie ubiegnie nasz przedstawiciel rasy panów, ten porucznik Crusius, najdzielniejszy chyba wśród nich bojowy ogier?

— Uważam, że przesadzasz i niesłusznie ironizujesz — osądziła kuzynka. — W istocie są to bardzo porządni i sympatyczni ludzie. Warto z nimi współpracować. Jeśli może się wydarzyć coś jeszcze, będzie to pozostawione wyłącznie twojej własnej inicjatywie. Nikt nie będzie cię do niczego zmuszał. To, co się dzieje poza pracą służbową, jest sprawą bardzo osobistych układów.

— Widzę już, że zupełnie dobrze się tu zaaklimatyzowałaś. — Zuzanna wypiła łyk szampana i skosztowała marcepana. — Przy tym uchwyciłaś też u boku swego generała oczywiście najlepszą pozycję z tych, które są tu w ogóle do zajęcia. W porównaniu z nią wszelkie inne kombinacje mają znaczenie drugorzędne.

Marianna Dengler uciekła się do teatralnego gestu.

— Jesteś bardzo wymagająca, nie chciałabym powiedzieć, że do pewnego stopnia nedorzecznie. Czyżbyś chciała doprowadzić do tego, że nadal będziesz zależna od tej Warnke? Nawet generał czasem się jej obawia. Trudno tu cokolwiek jeszcze dodać. Ona, ze swoim zarozumiałym sposobem bycia, wydaje się trochę nieobliczalna. Oczywiście ma swoją jedną jedyną świętość — Hitlera. Jeśli chodzi o jej Adolfa, nie uznaje żadnych żartów, o ile w ogóle wie, co to jest żart.

— Czy to jest lesbijka?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że nikt nie jest tego zupełnie pewny. Co prawda, ludzie poszeptują o tym od czasu do czasu, jednak nie ma na to konkretnego dowodu. Jeżeli jest tak rzeczywiście, to w każdym razie umie to doskonale ukrywać. Ale dlaczego pytasz? Czyżbyś była tym zainteresowana?

W odpowiedzi na to pytanie Zuzanna wybuchnęła śmiechem

brzmącym jak fanfary w tonacji C-dur. — Oj, kuzynko! — z trudem chwytała powietrze. — Któż by miał ochotę na sypianie z taką ideologiczną hieną! Te typy nawet w upojeniu seksualnym wypływają tylko elitarną ślinę.

Na to Marianna Dengler nie potrafiła się powstrzymać od uwagi: — No tak, można być na to uodpornioną, jeśli w grę wchodzi taka Monika Hofer.

— Oszaleję! — wykrzyknęła Zuzanna, skrajnie ubawiona. — Czyżbyś była zazdrosna o tę małą, która przyjechała tu razem ze mną? Bardzo cię proszę! Dopiero co ją poznałam, możesz więc spokojnie wyłączyć ją z gry. Zajmijmy się raczej innymi możliwościami, które w moim wypadku wchodzi w rachubę w związku z twoim luksusowym pobylem w tym miejscu. Jak przedstawiają się więc sprawy na przykład ze starszym sierżantem?

— Szef kompanii Himmelsheimer — oświadczyła z przekonaniem Marianna — to jednak mężczyzna gorszego gatunku i to pod każdym względem. W tej chwili próbuje on uwiesić się u boku kapitana Rommelskirchena. A jest to adres całkiem fałszywy. Byłoby lepiej dla niego, gdyby sobie ułożył stosunki z Crusiusem.

— A co myślisz o sierżancie Wegnerze?

— Czy on cię może interesuje?

— Co w tym wypadku znaczy „interesuje”? Poznałam go i przyjrzałam mu się nieco bliżej. Wydaje się, że jest to porządny, miły człowiek, ale jednocześnie bujający w obłokach marzyciel. Zbyt wiele nie da się jednak osiągnąć z nim.

— Kompletna pomyłka! — roześmiała się Marianna w nos kuzynce. — Ten Wegner odgrywa u nas, a zwłaszcza u generała, rolę bardzo szczególną. Baldur bardzo go ceni z powodu jego talentu i uzdolnień w dziedzinie techniki łączności. Gdyby nie ten sierżant, to można uczciwie powiedzieć, że generał byłby zgubiony z kretesem. Ostatecznie, poza Baldurem, Wegner jest tu jedynym prawdziwym specjalistą w dziedzinie łączności. Ma się rozumieć, Wegner wie o tym doskonale. A jednak jeszcze nigdy w żaden sposób nie wykorzystał swojej wyjątkowej pozycji; i to trzeba zapisać na jego korzyść. Jest to człowiek niezwykle skromny. I jakiś dziwny — jak odludek.

— A zatem nie masz tu nikogo poza drobnymi płótkami. Choć są to ludzie nawet utalentowani i uczciwi. Nieźle sobie radzą, ale nie mają

nic do powiedzenia. I to ma być już wszystko? Nawet na dalszym planie nie ma kogoś, na kogo się czeka i kogo niektórzy obawiają się, bo od niego zależy ich los?

Marianna Dengler uśmiechnęła się.

— Tylko jeden jedyny przychodzi mi na myśl. Mianowicie pewien kapral nazwiskiem Koralnik. Natknęłaś się już na niego?

Zuzanna potaknęła ruchem głowy. — Tego osobnika spotkałyśmy na stacji kolejowej, gdy tylko przyjechałyśmy. Zagadał nas dokumentnie, ale w końcu przywiózł nas do jednostki. Łatwo przy tym odgadnąć, że tylko zgrywa się na skończonego bałwana. W istocie to jeden z tych, którzy nigdy nie wystawiają się na niepokodę. Tacy zawsze wiedzą, gdzie się schować na czas burzy.

— Dziewczyno, przejrzałaś go na wylot. Mówię ci, ta bestia, Koralnik, to istny fenomen na niebywałą skalę. Przy tym pomysłowością przypomina całą czeredę chomików. Ściąga tu wszystko, cokolwiek może się przydać, a czego gdzie indziej nie sposób dostać. Korzysta z tego i kasyno, i kantyna. Jeżeli ktoś chce żyć na przyzwoitym poziomie, nie może lekceważyć jego zapasów.

— I to dotyczy też twego generała?

— Nawet jego! Gdy tylko potrzebuje szampana lub koniaku, dobrego wina lub innych specjałów, wtedy nie traci nadziei i jak w dym udaje się do Koralnika. A Koralnik to załatwia! Wieczorami Baldur spędza z Koralnikiem niejedną godzinę. Obaj świetnie się rozumieją. Myślę, że to jest zupełnie ludzkie.

— O czym też oni tak gadają? Wyśmiewają się z siebie?

— Grają w szachy. Przy tym Koralnik jest jedynym na całą okolicę, który pod tym względem prawie dorównuje Baldurowi, na całe szczęście nie zupełnie!

Ten szczywany lis — pomyślała Zuzanna — pozwala generałowi wygrywać. Warto by sobie to wyobrazić — po jednej stronie szachownicy skrzyżowanie Jowisza z pawiem, a po drugiej mieszaniec chomika z psem łańcuchowym, w wykoślawionych butach, workowatych spodniach i wygniezionej kurtce mundurowej. Pęknąć można ze śmiechu, prawda?

Zuzanna była szczerze zdziwiona.

— Ten gnom Koralnik musi mieć coś w sobie. Byłoby wskazane przyjrzeć mu się nieco bliżej.



— Lepiej nie wdawaj się w to, Zuzanno — ostrzegła ją kuzynka.  
— Koralnik to strasznie sprytna sztuka. A mój Baldur powiedział, że gdyby Koralnik żył w czasach Napoleona, to stałby się u niego tym samym, co Fouché. Nie rozumiem tylko, co to ma znaczyć.

Tego samego dnia po południu porucznik znów uznał, że ma jak zwykle podstawy do pewnego niezadowolenia ze „swego” generała, gdyż ten tylko wygładza wszystko, a niczego nie załatwia gruntownie. Przyjrzał się bowiem rosyjskim jeńcom porządkującym teren między barakami i stwierdził, że nie są to pracowite pszczołki. Potem zauważył sierżanta Wegnera. Ten znów najwidoczniej chciał właśnie udać się na przechadzkę z dziewczyną z łączności, Moniką Hofer.

Nie był naturalnie w stanie usłyszeć, co tych dwoje ma sobie do powiedzenia. Przypuszczał jednak, że zanosi się na coś bardzo osobistego. W rzeczywistości Wegner wyjaśniał ciekawej Monice, na czym polega główna zasada działania dalekopisu, który sam udoskonalił. Dalekopis ten był w stanie skracać zadane teksty i przedstawiać je za pomocą znaków cyfrowych.

W każdym razie porucznikowi Crusiusowi bardzo nie podobał się ten obrazek. Lecz zanim zdążył zastanowić się nad możliwością szybkiej i skutecznej interwencji, został wezwany do generała. Do tego zaproszenia trzeba było się zastosować.

Generał F.B. Blütenberger przyjął go w sposób wyraźnie służbowy i natychmiast przystąpił do swoich wywodów.

— Dotychczas dopisywało nam jeszcze szczęście. I jakkolwiek nie ma wątpliwości co do ostatecznego zwycięstwa, co jest zrozumiałe samo przez się, to jednak sytuację wojenną można w tej chwili określić... powiedzmy —jako nieco zawiłą. Nie możemy zupełnie wykluczyć, że Amerykanie, którzy zyskują coraz większą przewagę, mogą dotrzeć i tu — może nawet w niezbyt odległej przyszłości. Pan rozumie, co to znaczy?

Crusius skinął głową. Istniał tak zwany Gekados (Geheime Kommandosache) tajny dokument, który generał udostępnił zaledwie kilku oficerom. Zgodnie z tym dokumentem, w razie konieczności należało uruchomić plan alarmu *Rot*, który nakazywał obronę specjalnego obiektu za pomocą wszelkich posiadanych środków i bez względu na

straty. W każdym razie miało to trwać tak długo, aż w schronie podziemnym zostanie zakończone wysadzanie wszystkich urządzeń węzła łączności i stanowiska dowodzenia oraz niszczenie wojskowych dokumentów technicznych i personalnych.

— Wprawdzie już kilkakrotnie omawialiśmy plan alarmu *Rot* — ciągnął generał — lecz, niestety, wciąż od nowa zmieniają się pewne założenia. Tym razem dotyczy to czterech baterii artylerii przeciwlotniczej, które były wyznaczone do osłony naszego obiektu.

— Czyżby min lv być wycofane?

— Niestety, mój drogi. Ponieważ w wypadku decydującej bitwy, jak mi oznajmiono, baterie te zostaną przydzielone najbliższemu związkowi taktycznemu do obrony przeciwlotniczej. Właściwie dział kalibru osiem koma osiem nie konstruowano w tym celu, ale podobno znakomicie nadają się one do walki naziemnej, przykład do zwalczania czołgów.

— Mogę to potwierdzić — przytaknął Crusius. — Sam to widziałem w Polsce, we Francji i w Rosji. — Znów miał okazję pochwalenia się swoim frontowym doświadczeniem. Został przecież kilkakrotnie odznaczony: posiadał Krzyż Żelazny I klasy. Jednakże nie miał Złotego Krzyża Niemieckiego, na który, jego zdaniem, bezwzględnie sobie zasłużył. Sprzątnął mu go, jak to się mówi — sprzed nosa, jego ówczesny dowódca dywizji, zresztą też generał tego samego gatunku, jak ten tu Blütenberger, a więc ustosunkowany.

Ale więcej o tym przy okazji. W tym momencie należało ze znajomością rzeczy stwierdzić: — Musimy zatem liczyć się z sytuacją, w której całkowicie będziemy pozostawieni sami sobie.

— Sam pan to powiedział — stwierdził generał. — Przy tym należy jeszcze pamiętać, że zaledwie przed paroma tygodniami musieliśmy odesłać czterdziestu żołnierzy. Na ich miejsce przybyły dziewczęta ze służby pomocniczej. Lecz przecież tych dziewcząt nie możemy i nie wolno nam obciążać obowiązkami po tych, którzy odeszli - w każdym razie nie drogą przymusu.

— A co by było, gdyby dziewczęta ochotniczo służyły się do dyspozycji?

Generał milczał przez chwilę.

— Myślałem już i o tym — powiedział w zamyśleniu. — I.ecz nie

wchodzi w grę ponoszenie odpowiedzialności za coś podobnego. Decydować mogłoby raczej stanowisko panny Warnke.

— Ona nam w tym pomoże, panie generale, jestem tego zupełnie pewny. Ona ma w ogóle niezwykle zalety; piekielnie krótko trzyma swoje dziewczęta. Wyobrażam sobie, że trzeba do niej odpowiednio podejść, odwołać się do jej honoru jako niemieckiej kobiety, która ma wnieść cząstkę do ostatecznego zwycięstwa. Podejmuję się to jej wytłumaczyć.

Generał patrzył na swego porucznika z pewnym zdziwieniem. Crusius bowiem dotychczas omijał komendantkę dziewcząt wielkim lukiem, a teraz znów sam z własnej woli ofiarował się nakłonić tego niepokromionego babsztyla do współdziałania. Zastanawiał się więc generał, czy istotnie dzieją się cuda na niebie i ziemi, czy też przypadkiem coś się nie zgadza. Głośno więc powiedział:

— A więc dobrze, poruczniku! Nadzwyczajne sytuacje wymagają zastosowania nadzwyczajnych środków. Dlaczegoż by nasze niemieckie dziewczęta nie miały sprostać obowiązkowi, gdy nadejdzie chwila, by walczyć za Führera i ojczyznę?

Pierwszym osobnikiem pici męskiej, któremu udało się pomyślnie wdrzeć do „baraku kobiecego”, był starszy szeregowy August Helmreich. Koledzy zazwyczaj z upodobaniem przezywali go „August”\*, a on ze stoickim spokojem udawał, że tego nie słyszy. Dziewczęta ze służby pomocniczej odnosiły wrażenie, że jest to żwawy, zawsze wesoły chłopak o bystrym, przedsiębiorczym spojrzeniu i przyjemnym głosie.

— Stale do usług, moje panie! — zawołał do nich. — Jestem Helmreich, wasz opiekun.

— No, no, a pod jakim to względem? — zapytała go natychmiast Zuzanna Singer. Z nieomylnym wyczuciem pojawiała się zawsze tam, gdzie wywiązywały się jakieś zabawne sytuacje.

— Ogłoszono wojnę totalną — powiadomił starszy szeregowy, porozumiewawczo mrugając. — I dlatego moja opieka nad wami ma być też absolutnie totalna. Zatem jesteście panie upoważnione do dysponowania mną pod każdym względem i .w dowolnej mierze.

\* Biazcn (nicm.) — (*pi:yp.ilum.*).

Zuzanna roześmiała się ubawiona. Razem z kilkoma innymi, podobnie ubawionymi dziewczętami patrzyła na młodego człowieka, który niespodziewanie dostał się do tylnej części baraku.

— Któż to nasłał na nas coś podobnie oryginalnego jak pan?

Inicjatora tego typu występów nie trzeba było długo szukać. Przecież Helmreich należał do ekipy zaopatrzeniowej Koralnika, który zgodnie z rozkazem dziennym odpowiedzialny był za opiekę nad dziewczętami z łączności poza czasem ich zajęć służbowych. W tej właśnie chwili wyjaśniło się, co należy przez to rozumieć.

Helmreich był w swoim żywiole i wkroczył do akcji skutecznie. Przyniósł ze sobą więc potężne stopy prawie nowiutkiej bielizny pościelowej, oświadczając świadom swojej misji:

— Będziemy wymieniać co trzeci dzień. Żołnierzom przysługuje to tylko raz na tydzień. Ale na tym właśnie polegają pewne subtelne różnice; tak, jak się należy.

Nic dziwnego, że dziewczęta od razu zaczęły gustować w podobnych występach. Zwłaszcza gdy starszy szeregowy przy taszczył cały stos mydła, nawet lekko perfumowanego. Na koniec zaoferował jeszcze pastędo zębów, krem kosmetyczny i szampon do włosów. Nikt nie pytał o gatunek tych artykułów. Dziewczęta były zadowolone, że podobne rzeczy jeszcze w ogóle istnieją.

Następnie August Helmreich, puszczając filuternie oko i zgrywając się na ulubieńca kobiet, przedstawił jeszcze ciekawszą ofertę:

— Dziewczęta, jak wygląda sprawa waszej bielizny osobistej?

— A cóż to, miły chłopaczku? — padło natychmiast pytanie. — Czyżbyś chciał wetknąć nos także w nasze intymne sprawy?

Helmreich obronnym gestem zaprzeczył podejrzeniom o nieskromność.

— Nasi koledzy, żołnierze — wyjaśnił — mają po dwie pary kalesonów i dwie koszule. Jeden komplet noszą, a drugi mają w zapasie. Dla was, moje panie, przepisy służbowe przewidują po trzy komplety. To z pewnością jest za mało, co? Zatem postaramy się, żeby każda z was w przyszłości miała do dyspozycji pół tuzina.

— Też pomysły! — powiedziała rozbawiona Zuzanna Singer. — Czyżby drogi papa Koralik wpadł na to?

— A któż by inny?! — krzyknął rozpromieniony Helmreich. — Ale

to wszystko to jeszcze nic. W pobliżu odkryliśmy pralnię, która będzie dla nas regularnie prac. Oprócz tego macie od zaraz, dziewczęta, do dyspozycji pierwszorzędnego fryzjera. A mianowicie mnie we własnej osobie!

Wiadomość ta wywołała prawdziwą furorę. Bo która kobieta czy stara, czy młoda, potrafi obejść się bez fryzjera? Żywo paplające dziewczyny otoczyły starszego szeregowego, zagadywały go, wypytując o jego umiejętności.

Chcąc zademonstrować, co potrafi, Helmreich wyjął z kieszeni grzebień i nożyczki i pokręcił nimi przed błyszczącymi z zaciekawienia oczyma dziewcząt. Następnie wyszukał sobie spośród nich modelkę, której „strzecha” pilnie domagała się uczesania i artystycznego ułożenia. Zabrał się z werwą do pracy, a dziewczęta otoczyły go, popiskując z radości i głośno wyrażając uznanie dla jego pracy.

Wybuchy wesołości nie mogły ujść uwagi komendantki, Eryki Warnke; w każdym razie nie mogło to trwać zbyt długo. Przebywała w swoim pokoju biurowym przy głównym wejściu do baraku i właśnie zajęta była sporządzaniem wykresu dyżurów. Jednocześnie, już mniej więcej od godziny, dobiegały do niej z głębi baraku jakieś hałasy. Początkowo przeszła nad tym wielkodusznie do porządku. Postanowiła bowiem pozwalać swoim dziewczętom na odrobinę swobody. Przecież były jeszcze bardzo młode i oczywiście tylko dzięki młodzieńczej beztrosce potrafiły się bezgranicznie cieszyć z byle niedorzeczności. Nie mogło się to wszakże wynaturzać, a już w żadnym wypadku przeciągać w nieskończoność. Każdej przesadzie należało w miarę możliwości we właściwym czasie położyć kres.

Panna Warnke postanowiła więc sprawdzić, co tam się właściwie dzieje. Gdy z przerażeniem stwierdziła, co się wyprawia w drugim końcu baraku, własnym oczom wprost nie mogła uwierzyć. Oto jedna z jej podopiecznych przycupnęła na stołku pośrodku korytarza, a jakiś osobnik rodzaju męskiego czesał jej włosy, jak fryzjer. Pokażna zaś liczba jej koleżanek przyglądała się temu procederowi z nie ukrywanym zainteresowaniem.

— Co tu się dzieje? — zapytała komendantka głosem nawykłym do

razie jest nam całkowicie zbędny blagier', który chciałby w naszym baraku otworzyć salon fryzjerski z zupełnie oczywistych powodów. A to by prowadziło tylko do osłabienia dyscypliny.

— Bądź co bądź jakiś wykwalifikowany fryzjer powinien zadbać o nasze włosy.

— Dbałość o włosy to rzecz nie tylko pożądana — ciągnęła Eryka Warnke — lecz zupełnie oczywista w wypadku niemieckich dziewcząt i kobiet. Nie może to jednak mieć *n*\C wspólnego z zalotnością, próżnością i efekciarstwem. Aryjczycy przywiązują wagę do naturalnego wdzięku. To zaś nie wymaga niczyjej pomocy. Same strzyżemy i czeszymy włosy. Jeśli to konieczne, to dziewczęta pomagają sobie wzajemnie.

Zuzanna ani myślała się poddać: — W zasadzie całkowicie się z panią zgadzam — oświadczyła. — Mim o to nie rozumiem, dlaczego mamy się wyrzekać usługi, którą nam zaoferował fachowiec, jeśli on tak czy owak jest na miejscu o każdej porze do dyspozycji i gotów jest stosować się do naszych życzeń. Poza tym, o ile dobrze wiem, to wytyczne w sprawie dziewcząt z pomocniczej służby wojskowej względnie pomocniczej służby łączności zawierają pewne postanowienia w punkcie dwudziestym drugim litera a. Zgodnie z nim, oprócz higieny osobistej powinny być zapewnione regularne usługi świadczone przez zawodowego fryzjera. Czyżbym była błędnie poinformowana?

Eryka Warnke zakipiała wewnątrz gniewem na zuchwałość, z jaką ta oto Singer waży się ośmieszać ją przed swoimi koleżankami; opanowała się jednak.

— Jesteś poinformowana, co prawda, nie błędnie, ale za to niedokładnie. Dlatego, że punkt dwudziesty drugi, na który się powołujesz, zawiera nie tylko literę a, lecz także literę b. Z jej treści wynika, że w każdym wypadku należy uwzględniać istniejące w danym momencie możliwości, a przełożony według własnego uznania decyduje, czy i w jakim stopniu mają pierwszeństwo obowiązki służbowe.

Komendantka przypuszczała, że za pomocą tego wyjaśnienia powstrzyma swoje owieczki przed demonstrowaniem dalszych objawów krnąbrności. Lecz w tym momencie zabrała głos Monika Hofer. Panna Warnke orientowała się już, że chociaż to dziewczę za każdym razem udaje płochliwą sarenkę, to jednak potrafi, i to w najbardziej nieoczekiwanych momentach, puścić na otoczenie delikatny smrodek.

— Czy nie byłoby rozwiązaniem najwygodniejszym dla wszystkich — odezwała się Monika — gdyby można było urządzić tu coś w rodzaju punktu fryzjerskiego, czynnego w godzinach z góry ustalonych i w neutralnym miejscu? Na przykład przy komendzie?

Ten ruch na szachownicy był niesłychanie podstępny, gdyż mówiąc o „komendzie”, ta mała miała na myśli nic innego, jak tylko pokój służbowy Eryki Warnke. Należało więc natychmiast odeprzeć atak.

— Pomimo całej życzliwości, Moniko, pomimo gotowości do ustępstw uważam, że zmienianie przeznaczenia pomieszczeń w naszym baraku nie jest ani wskazane, ani dopuszczalne. Chciałabym jednak zaproponować coś innego. Od czasu do czasu mogłybyście się udawać małymi grupkami do najbliższego miasteczka, oczywiście za każdym razem za moją zgodą.

Monika Hoter uśmiechnęła się powściągliwie i skromnie.

— Pozwoli pani, że zwrócę pani uwagę, iż takie rozwiązanie będzie kosztowało nie tylko sporo pieniędzy, lecz także wymaga czasu. Tymczasem na miejscu, w jednostce, uczesanie zajmie niewiele ponad kwadrans, a poza tym będzie bezpłatne.

Komendantka roześmiała się. — Czy ty naprawdę wierzysz, że ten starszy szeregowy oferuje wam swoje usługi ze zwykłej, ludzkiej życzliwości? Koń by się z tego uśmieł. Żadna z was nie jest chyba aż tak naiwna! Zresztą, skończmy już tę dyskusję. Przemyślę sobie całą sprawę raz jeszcze. Dowiedcie się później, co postanowiłam'.

Dziewczęta z pomocniczej służby łączności zostały w ten sposób odprawione. Odeszły posłusznie, jedna za drugą, przestępując z nogi na nogę niczym kaczki. Monika wyszła pierwsza, a Zuzanna ostatnia.

Tyka Warnke popatrzyła za nimi w zamyśleniu. Potem chwyciła słuchawkę telefonu i kazała się połączyć z kapralem Koralnikiem.

Koralnik zgłosił się dziarsko, z nutką wyczekiwania w głosie. Jak prawie zawsze, usposobiony był do wygłoszenia jednego ze swoich żarcików. Przetawiał się jednak natychmiast na styl służbowej rzeczowości, gdy tylko usłyszał, kto sobie życzy z nim rozmawiać. Jednak nie zdążył nawet w ogóle zapytać, czego pani sobie życzy, gdyż komendantka od razu na niego napadła:

— Szanowny panie kapralu! Pański starszy szeregowy Helmreich

włóczył się po moim rewirze i naprzykrzał dziewczętom ze służby pomocniczej. Niech pan mu tego zabroni natychmiast i na zawsze! Doskonale pan wie, że żołnierzom nie wolno zatrzymywać się w baraku kobiecym.

— Łaskawa pani — odpowiedział Koralnik (jako stały bywalec kasyna mógł sobie pozwolić, by w ten sposób zwracać się do niej, a w każdym razie uzurpował sobie do tego prawo). — Rozumie się, że wiem o tym. Pozwolę sobie jednak zwrócić pani uwagę na fakt, że Helmreich nie jest „moim starszym szeregowym”, lecz należy do kompanii sztabowej i jest podwładnym porucznika Crusiusa.

— Do czego pan zmierza?

— Do niczego określonego, łaskawa pani. Pozwalam sobie jedynie zwrócić pani uwagę na parę faktów. Na to mianowicie, że starszy szeregowy Helmreich, o ile jestem zorientowany, ani nie składał wizyty w baraku kobiecym, ani się tam nie wałęsał, lecz raczej usiłował wykonywać zleczone czynności zaopatrzeniowe. Nic mi natomiast nie wiadomo, jakoby zaczepiał on pani podopieczne. W tym wypadku jednak, jeśli pani skłania się do takiej oceny, moglibyśmy bez kłopotu zwolnić starszego szeregowego. Wystarczyłby odpowiedni meldunek złożony przez panią do kompetentnej osoby. W takiej sytuacji ja mógłbym przejąć jego obowiązki.

— Proszę sobie darować prawienie moim kosztem tanich dowcipów, panie Koralnik. Sprawa jest bardzo poważna. W każdym razie domagam się, żeby zabronił pan temu Helmreichowi spoufalać się z moimi dziewczętami. Na przykład przez wątpliwej wartości ofertę świadczenia im usług fryzjerskich.

Koralnik był nadal uprzedzająco grzeczny.

— Bardzo proszę o wybaczenie, łaskawa pani. Ja przecież nie mogę Helmreichowi ani zabraniać, ani rozkazywać. Przecież nie jestem jego przełożonym; jest nim porucznik Crusius. Poza tym niech mi pani pozwoli jeszcze zauważyć, że nie podlegam pani służbowo. Niestety, nie. Czy wolno mi prosić, by pani także ten szczegół miała na uwadze?

Eryka Warnke uważała za wskazane zakończyć tę rozmowę szorstko. Bezpośrednio po niej zamówiła rozmowę telefoniczną, po której wiele sobie obiecywała. Miała rozmawiać z porucznikiem Crusiusem.

— Panie poruczniku — zaśpiewała do niego słodko. — Pewne wydarzenia sprawiają, że byłoby wskazane, byśmy się oboje wspólnie



naradzili. Powinniśmy omówić jedną sprawę. Zupełnie spokojnie i naturalnie ściśle poufnie.

Crusius zareagował nad wyraz życzliwie, a może nawet z zachwytem.

— Co za zbieżność myśli! — zawołał do niej. — Dokładnie o to samo, szanowna, łaskawa pani, chciałem panią prosić.

Porucznik Crusius zjawił się w owym baraku A, w którym zakwaterowano dziewczęta z łączności, krótko po godzinie osiemnastej.

Słońce dopiero co zaszło, zapadająca ciemność sprzyjała planom dowódcy kompanii. Ostatecznie nie wszyscy od razu musieli wiedzieć, dokąd się udaje. Chociaż teczka, którą niósł pod lewą pachą, nadawała jego przedsięwzięciu pozory czynności służbowej.

Eryka Warnke dysponowała, o czym oczywiście wiedział, dwoma izbami tuż przy głównym wejściu — pokojem służbowym i drugim, z napisem „pomieszczenie prywatne” na drzwiach. Do tych właśnie drzwi zastukał porucznik — dość delikatnie, ale nie bojaźliwie.

— Kto tam? — zapytał głos ze środka.

Crusius wymienił swoje nazwisko wraz ze stopniem i dorzucił:

— Melduję się z prawdziwą przyjemnością!

Drzwi tylko lekko uchyliły się. Panna Warnke wydawała się trochę zmieszana.

— Nie spodziewałam się, że przyjdzie pan tak szybko.

— Jestem żołnierzem jednostki szybkiej — zażartował Crusius. — Pani telefonowała, więc przyszedłem. I to z ochotą przyszedłem.

— Wprawia mnie pan w prawdziwe zakłopotanie — odpowiedziała trochę sztucznie. — Wzięłam właśnie prysznic i nie jestem akurat ubrana zbyt salonowo. Mam na sobie jedynie szlafrok.

— Co mi absolutnie nie przeszkadza, moja najczcigodniejsza — zapewnił ją z werwą.

— No, jeśli tak jest rzeczywiście, to niech pan wejdzie!

Crusius nie dał sobie tego powtarzać.

— Proszę, niech pan usiądzie! — Panna Warnke wskazała skórzany fotel, który prawdopodobnie pochodził z wyposażenia zameczku.

Wygodnie rozparty porucznik przyglądał się gospodyni i myślał sobie w duchu: Ależ to kawał kobiety! To, co zazwyczaj pozostawało ukryte pod niezgrabnym mundurem, uwydatniło się teraz w całej

okazałości — jędrne, strone piersi, mocne uda i do tego kształtny pośladek, zaokrąglony, ale nie wypięty. Cienki szlafrok z niebieskiego jedwabiu raczej uwydatniał to wszystko, niż zakrywał.

Zrozumiałe, że Crusius nie ruszył od razu do ataku. Chociażby ze względu na samego siebie i stopień wojskowy winien był zachować opanowanie. Lecz pomimo to wyrzucał sobie. — Gdzież ja miałem oczy, że nie spostrzegłem od razu, jakim wspaniałym okazem pełnej krwi wierzchowca jest ta Eryka; po prostu wspaniała klacz wyścigowa. — Do tego należało bądź co bądź dodać fakt, że na całym terenie jednostki Eryka jest jedynym stworzeniem rodzaju żeńskiego, mającym do dyspozycji własną izbę, czyli tak zwany niekrepujący pokój.

— Szanowna łaskawa pani wyraziła życzenie porozmawiania ze mną. Jak pani widzi, jestem tu, gotów na pani rozkazy.

Wyraził swoją myśl raczej symbolicznie, gdyż nie znać było po nim tej gotowości — siedział przecież wygodnie. Przy tym, zauroczony, wpatrywał się w jej szlafroczek nie sięgający nawet kolan.

Zauważyła, że spogląda na nią z zachwytem, uznała jednak za wskazane jeszcze przez jakiś czas potargować się. Nie czyniła tego wcale z powodu fałszywego wstydu, bo przecież jego jędrnym niemieckim ciałem mógł władać duch zdrowego pożądania. Z kolei Eryka wiedziała, co ma do zaoferowania. Usiadła w wyraźnie obiecującej pozie na swoim łóżku polowym. Było to legowisko o zwyczajnych wymiarach czasu wojennego — metr szerokości, dwa metry długości. Wyróżniało się tylko tym, że panna Warnke nie musiała sypiać przykryta kocem w powłoce w biało-niebieską kratkę. Na jej łóżku wszystko lśniło nieskazitelną czystością.

Porucznik Crusius przysiadł się do niej, nie odkładając swojej teczki. Kiedy po chwili ją otworzył, pojawiły się nie tylko dokumenty służbowe, lecz także butelka wina.

— Najlepsza z najlepszych — zapewnił ją. — Odpowiednie dla nas obojga. — Przemilczał oczywiście, że to Koralnik wziął tę butelkę z zapasów generała.

— Rozpieszcza mnie pan, mój drogi — zagruchała z uznaniem panna Warnke.

Siedząc, skłonił się lekko; jednocześnie przysunął się do niej nieco bliżej.

— Nikt bardziej nie zasługuje na rozpieszczanie niż pani, moja uwielbiana.

Jego wzrok wpijał się w spore, odsłonięte partie kobiecego ciała. W widoczny sposób zmierzał do tego, by stać się dla tej łani jeleniem. Eryka nie odsuwała się już od niego ani o centymetr. Dawała mu do zrozumienia, że jego próby zbliżenia nie tylko jej **nie** przeszkadzają, lecz po prostu sprawiają przyjemność. Żeby jednak zachować pewne pozory przyzwoitości, szepnęła:

— Ależ my mamy jeszcze tak wiele do omówienia.

— Mamy, moja Eryko! — mocno objął ją ramieniem. — Ale to nie musi być zaraz. Najważniejsze jest tylko to, że rozumiemy się oboje. Resztę pozostawmy na potem.

Przyciągnął ją do siebie, a ona mu się nie wrywała. Poczul zapach jej skóry. Jego pożądanie wzmoгло się, gdy ona zaczęła się pocić z żądz i oczekiwania. Szlafrok ześlizgnął się z niej, a jemu przypomniła się zasada, którą stale wyznawał: Cokolwiek robisz, niemiecki człowieku, rób z przekonaniem i dokładnie! Eryka Warnke najpewniej pragnęła dać wyraz temu samemu pogładowi. Przestały działać jakiegokolwiek hamulce — uleciały jak zeschnięte liście z podmuchem jesiennego wiatru.

— Zaczynaj! — szepnęła Eryka, mocno przyciskając się do niego. — Chodź tu! Och, Konstancyne! — tak miał Crusius na imię. — Nareszcie, nareszcie... połączmy się!

Gwałtowny jak wulkan wybuch namiętności nic mógł się oczywiście zmieścić na wąskim łóżku polowym. Zsunęli się na podłogę, nogami odepchnęli na bok krzesła i stół, przetoczyli się na dywan, szepieni razem jak dwie żaby w okresie godowym.

Nie krzyczeli jednak z rozkoszy. Nie tylko dlatego, że za ścianą mieszkały ciekawskie dziewczęta; wcale nie o to chodziło. Znacznie bardziej dlatego, że wyuzdanie nie pasowałoby do ich niemieckiego jestestwa.

Gdy Crusius nasycił się już, ona dyszała ciężko, wciąż jeszcze nie zwalnając uścisku, i szeptała: — O, Boże! jakiś ty wspaniały! Wydawało mi się, że ziemia pode mną drży.

— Tak właśnie jest, moja kochana Eryko — wyjąkał, kompletnie wyczerpany, lecz jednocześnie całkowicie zaspokojony.

# Rzeczą niezwykłą było to, że ziemia rzeczywiście drżała. Zaledwie kilka kilometrów od miejsca miłosnych uciech.

Amerykański dywizjon bombowy nadleciał z hukiem. Przyjęły go, ujadając jak psy, baterie artylerii przeciwlotniczej. Jednak ich salwy okazały się nieskuteczne. Skłoniło to później kaprała Koralnika do wygłoszenia defetystycznej uwagi:

— Wygląda to jak wycie psa do księżycy.

W każdym razie było słycać gwizdy i wybuchy bomb, a towarzyszyły im jaskrawe błyski. Amerykanie zrzucili swój ładunek. Gdzieś niedaleko, a więc na wiadomy obiekt.

Crusius i panna Warnke zauważyli odległe wybuchy, lecz to im specjalnie nie przeszkadzało w ich zajęciach. Było to w czasie wojny na porządku dziennym. W tych stronach nocami wciąż spadały bomby. Jednakże po chwili Konstantyn Crusius wyzwolił się z objęć swojej Eryki. Głaszcząc z wdzięcznością jej pierś, powiedział: — Pozwolisz, kochanie, że załatwię krótki telefon? Zresztą nie przywiązuję żadnej wagi do tego, że mogą mi zarzucić zaniedbanie.

Eryka nadal leżała na dywanie; była zadowolona po wspnianym przeżyciu i gotowa do dalszych uciech.

Przyglądała się od dołu Konstantynowi i stwierdziła, że jest on piękny i postawny, można by rzec — wspaniały; przypominał Zygfrйда. Stał teraz promiennie nagi w całej okazałości, podnosząc słuchawkę telefonu i żądając połączenia ze stanowiskiem dowodzenia w podziemnym schronie.

— Co tam się dzieje? — wypytywał, świadomy własnej ważności.

Wysłuchał meldunku, który złożył mu sierżant. Potem, nie mówiąc nawet „dziękuję”, odłożył słuchawkę. Aby wrócić do swojej Eryki, która, gotowa przyjąć go, czekała na dywanie.

— Nie zaszło nic szczególnego — zakomunikował jej, jednocześnie delikatnym ruchem dotykając najważniejszego strategicznego punktu w topografii kobiecego ciała. — To tylko głupi Amerykanie. Ci marnotrawcy amunicji rzeczywiście nabrali się na nasz numer. Te bałwany zbombardowały dokładnie atrapę naszego obiektu, którą zbudowano tu, w okolicy, by ich zmylić.

— Dzięki temu — domyślała się panna Warnke — możemy nie obawiać się dalszych zakłóceń.

— Możemy zatem, moja wspaniała kochanko, bez przeszkód robić to, co przedtem. Masz na to ochotę?

— Czy mam ochotę?! — wykrzyknęła radosnym, lekko przytłumionym głosem. Mimo to przekornie uwolniła się z uchwytu jego rąk. Miała bowiem bardzo praktyczne podejście do każdej w życiu sytuacji. — Jeśli pozwolisz — szepnęła — pójdę jeszcze raz pod prysznic. Możesz tymczasem skorzystać z mojej umywalki.

Wspaniała kobieta — myślał Konstantyn Crusius, pełen uznania. — Ma pański gest nawet w najbardziej delikatnych sytuacjach. Rdzennie niemiecka kobieta wysokiej klasy, bliska mi duchowo i godna mnie. — I zanim wyszła z pokoju, uszczypnął ją w pośladek.

Potem podszedł do umywalki i umył co należało; oczywiście w przeświadczeniu, że nie ma rzeczy ważniejszej od higieny. To mu zresztą nie przeszkodziło opróżnić pęcherz do umywalki.

Odprężony, umyty, oczekując niezmordowanie na dalszy ciąg, opadł niedbale na łóżko.

Eryka weszła i energicznym ruchem zrzuciła z siebie szlafrok. Położyła się na nim, a on poczuł, że jej jeszcze wilgotna i zimna skóra łaknie ciepła. Mokre włosy opadły mu na twarz, co jeszcze bardziej wzmogło jego pożądanie. I podobnie podniecające było to, co szeptała mu do ucha:

— Czuję się nieskończenie wdzięczna tobie, mój Konstantynie. Jesteś wyjątkowy, oboje więc stanowimy niezniszczalną jedność.

— Tak jest! — powiedział. — Niezniszczalną jedność. Tak też musi pozostać.

## 4. Trudno wykąpać kota, nie mocząc go w wodzie

Rankiem, po owym nocnym intermezzo, sierżant Wegner udał się w odwiedziny do swego kamrata Koralnika. Znalazł go w magazynie żywnościowym.

— Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, stary chomiku — powiedział na powitanie.

— Takie jak ty stworzenie, ty do niczego nie nadający się geniuszu techniczny, nie jest mi w stanie przeszkodzić — odparł kapral. — Czego się napijesz, białego czy czerwonego?

Nie chodziło w żadnym razie o białe bądź czerwone wino, lecz o kolory termosów Koralnika. W białym mieściła się jego dzienna porcja dobrze schłodzonego generalskiego szampana. W czerwonym przechowywał mocną aromatyczną prawdziwą kawę.

— A może masz chęć golnąć coś wysokoprocentowego? — zachęcał go Koralnik. — Przydałoby ci się może, przecież Amerykanie nocą całkiem blisko znosili swoje jajka.

— Właściwie nie potrzeba — Anton Wegner usadowił się wygodnie w osobistym fotelu Koralnika. — Zwłaszcza gdy pan generał znajduje, że wszystko przebiegało nader pomyślnie. Wyraził pogląd, że skoro Amerykanie zbombardowali nasze atrapy, to z pewnością będą uważali, że my jesteśmy już ugotowani.

— Czyżby generał był kompletnie pijany? — zapytał Koralnik. — W takim wypadku musiałbym mu ograniczyć przydział alkoholu, żeby jego szare komórki działały jako tako.

— Był — opowiadał Wegner — jak zwykle. — Miało to znaczyć, że był jak zwykle lekko wstawiony; przeważnie wprowadzało go to w usposobienie szczególnie zycchiwe. — Generał zjawił się u nas w schronie bezpośrednio po ataku bombowym, kazał sobie zameldować

o sytuacji i następnie oświadczył: „całkowity sukces”<sup>1</sup>. Był niesłychanie dumny, że Amerykanie dali się nabrać na jego atrapy.

— Któż to miałby się dać nabrać na te wysoce strategiczne bzdury? — zapytał z zastanowieniem Koralnik. — Amerykanie na pewno nie są kretynami. Przecież dzień w dzień wysyłają swoje samoloty rozpoznawcze. Jeżeli będziemy mieli pecha, to od razu wykryją, że dali się zwieść dziecinnej sztuczce. A potem przylecą tu znowu i przywiozą jeszcze kilka ton bomb.

— Ja też tak uważam — dorzucił sierżant Wegner. — Ale generał myśli właśnie inaczej. A ponieważ sam siebie uważa za wielce utalentowanego stratega, to zademonstrował jeszcze jeden przeblysłk genialnej inteligencji, który mnie prawie zwałił z nóg.

— Słucham cię z zapartym tchem, chłopie! — rzucił Koralnik, trochę zaniepokojony. Jeżeli spokojny, rzeczowy Wegner poczuł się zmuszony do skrytykowania generała, to czymś to śmierdziało. — Za każdym razem, kiedy stary popisuje się genialnymi pomysłami, zaczynam pesymistycznie spoglądać w przyszłość.

— Tym razem masz do tego pełne prawo. Generał, wsparty przez kilku strategów, wpadł mianowicie na znakomity pomysł. Baterie przeciwlotnicze, które dotychczas osłaniały nas, mają być niezwłocznie przerzucone na front. W ten sposób zamierza się zademonstrować lotnictwu rozpoznawczemu, że nie ma tu już nic, co warto by osłaniać.

— Toż to graniczy już prawie z kompletnym rozmiękczeniem mózgu! — Koralnik nie wiedział, czy się oburzyć, czy też śmiać. — Usuwa więc oddział, który nas broni, a my, całkiem bezradni, będziemy wystawieni na ataki lotnicze.

— Bądź co bądź — poddawał pod rozwagę Wegner — jest tu pomieszczenie, prawie zupełnie bezpieczne od bomb; nasze stanowisko dowodzenia w podziemnym schronie.

— Nie wierzysz chyba poważnie w to, że generał wasz teletechniczny i radiotechniczny cyrk dla wybranych każe zmienić w schron przeciwlotniczy dla wszystkich?

— Na pewno nie. Ale, przynajmniej w razie konieczności...

— Z pewnością nie będzie czasu na zabawę w chowanego — zauważył Koralnik. — Zatem trzeba będzie samemu zatroszczyć się o siebie.

— Co zamierzasz wykombinować?

— Już wykombinowałem. Znasz winną piwnicę obok mego bara-

ku? Kazałem ją ostatnio rozbudować tak, by choć trochę była odporna na bombardowanie — trzy metry pod ziemią, podparta mocnymi stemplami, z wąskim wejściem. Cztery osoby zmieszczą się tam wygodnie i tobie właśnie oferuję jedno miejsce. Na wypadek, gdy nie będziesz akurat zajęty na stanowisku dowodzenia, kiedy tu, na górze zrobi się gorąco.

— Koralnik, człowieku! Przedstawiasz ofertę, która mnie wprost zaszczycza. Przynajmniej w świetle dziś obowiązujących zasad, według których podobno dla nikogo nie ma lepszego jedzenia ani specjalnego przydziału, ani wyróżnienia, zwłaszcza kosztem innych. Do diabła, Konradzie! Że też zaufałeś mi w podobnej sprawie! Rozumie się, że przyjmuję ofertę.

Koralnik nie oczekiwał innej odpowiedzi.

— Do ostatecznego zwycięstwa — powiedział, a jego ton nie pozostawiał żadnej wątpliwości, co naprawdę myśli — pozostało nam zaledwie kilka tygodni. Powinniśmy je więc wykorzystać zgodnie z pięknym, popularnym hasłem: „Wykorzystaj wojny czas, bo pokój dobieje nas”.

— Czegoż ci jeszcze trzeba, Koralniku, ty opasły wieprzu? Masz przecież wszystko, czego dusza zapagnie — pod dostatkiem alkoholu i żarcia.

Koralnik rozjaśnił się w uśmiechu: — Samo jedzenie i picie to jeszcze nie wszystko. Ostatecznie istnieją także wyższe wartości, które tak nazywamy, pomimo że gnieżdżą się trochę niżej. A my tu mamy teraz zgraję pełnokrwistych żołnierzy i stadko miłych dziewcząt...

— Bój się Boga! Nie myślisz chyba zmieniać tego obozu w dom rozpusty? Gdyby ta Warnke tylko coś spostrzegła, wykończyłaby cię bez litości.

— Tego ta dama nie zrobi — powiedział Koralnik, mrużąc porozumiewawczo oko. — Wiem ja o naszej Eryce coś, czego nikt nie powinien wiedzieć. Jest to poniekąd jej delikatna tajemnica, którą dzieli z pewną kompetentną osobistością z naszej jednostki, a ja, nieproszony, uczestniczę w niej jako trzeci, zgodnie ze swoją dewizą: „słuchaj jak trawa rośnie!”

— Z nią naprawdę nie ma żartów! — ostrzegł go Wegner.

— Ona też chce mieć własne przyjemności. A ja jej to ułatwiam, w dodatku z wyprzedzeniem, ażeby nam też nie poskąpiła odrobiny uciech. To przecież ludzka rzecz.



Anton Wegner ogromnie się zainteresował: — Go znaczą te aluzje?.  
Rzeczywiście wiesz coś o niej?

— Wiem po prostu, co zrobiła!

— Co zrobiła?

— Dała się rozłożyć. Wczoraj w nocy.

— Rzeczywiście? Nie mogę uwierzyć.

— Zdziwisz się jeszcze bardziej, kiedy ci powiem, komu udała się ta sztuka.

— W każdym razie nie tobie, bo jesteś tym trzecim, wtajemniczonym. Jednak łatwo bym ciebie o to posądził. Ty nie zawahałbyś się przed niczym.

— Ale ja nie cierpię na zwyrodnienie gustu. Nie będę już jednak dłużej wystawiał twojej ciekawości na próbę. To porucznik Crusius jest właśnie tym drugim.

— Co, on?! Jestem nieludzko zaskoczony!

Wegner był niesłychanie ubawiony, lecz od razu zaczął się zastanawiać. — Nic lepszego nie mogło się nam przydarzyć.

— Dlaczego tak myślisz?

— Dzięki temu ci obydwójce będą zajęci sobą, a nas pozostawią w spokoju.

Koralnik uśmiechnął się drwiąco. — Wyobrażam sobie, co ty w tej chwili myślisz. Gdy Crusius będzie się zabawiał w łóżku Eryki Warnke, to tym samym odwróci uwagę od Moniki Hofer, którą chciałbyś się z miłości bliżej zainteresować. Jest jednak rzeczą wątpliwą, by te nadzieje mogły się w ogóle spełnić. Może się przecież zdarzyć, że Crusius sam sobie zechce udowodnić, jakim to on jest ognistym kochankiem. A kiedy już w tym zasmakuje, może nabrać ochoty do zabawiania się w Casanowę także z innymi.

— Kiedy mówisz o tym, chłopie, odnoszę wrażenie, że wpadliśmy w moralne bagno.

— A może właśnie w układy niemal rajskie. Chciałbym ci przedstawić nową tak zwaną korzystną propozycję, i to z uwagi na naszych spragnionych miłości żołnierzy i nasze dziewczęta. Pozostawisz mi więc do dyspozycji swój pokój wtedy, kiedy będziesz odwałał nocną służbę na stanowisku dowodzenia. Po powrocie ze służby zastaniesz swoją budę za każdym razem sprzątniętą, ze świeżą wodą i świeżą bielizną pościelową. Odwdzięczę ci się według twego życzenia, na przykład wiktuałami, ale przede wszystkim wytrawnym winem. Gdy tylko interes

zacznie prosperować, będziesz dostawał trzy do pięciu butelek za noc. Dobrze?

— Dobrze — odpowiedział Wegner ciesząc się, że Koralnik jest zaskoczony jego natychmiastową zgodą, toteż od razu ją uzupełnił: — Jednak pod jednym warunkiem. Musisz liczyć się z tym, że Monika Hofer znajduje się pod moją opieką. I pomożesz mi, kiedy będę się starał ją osłonić. — Znaczyło to, że nikt inny nie śmie się do niej zbliżyć.

Kapral wyszczerzył zęby: — Chciałbyś z nią chyba, no, wiesz już, co?

— Daruj sobie, proszę, tego rodzaju impertynencje. — Wegner mówił zupełnie poważnie. — Monika Hofer jest niespotykane czysta, nie zepsuta. Ogromnie byłoby szkoda, gdyby się tu dostała pod koła. Zrobię wszystko, by temu zapobiec.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Moim zdaniem to kobieciątko jest cichą wodą, która rwie brzegi. Wygląda na taką, co to może sprawić niejedną niespodziankę.

— Monika jest z gruntu przyzwoita!

— Dobrze, Anton, dobrze, ale może się zdarzyć — poddawał pod rozwagę kapral — że nawet przy tak statecznej dziewczynie ktoś sobie ładnie oparzy palec.

— Wiesz, Koralnik? Zaryzykuję jednak.

Porucznik Crusius zamaszyście, z elegancją kroczył przez rewir baraków. Buty miał wyczyszczone na wysoki połysk, u pasa po prawej stronie przymocowany futerał pistoletu, z wyraźnie zaznaczającą się zawartością. Oprócz tego na głowie miał tym razem nie wygniecioną czapkę polową, lecz sztywną i sprawiającą wrażenie nowej — czapkę garnizonową.

Pod lewą pachą niósł kilka spiętych razem papierów. Prawą posługiwał się do oddawania honorów żołnierzom. Od 20 lipca 1944 roku czyniło się to nie przez przyłożenie prawej dłoni do nakrycia głowy, lecz przez wykonanie tak zwanego niemieckiego pozdrowienia, a więc wyciągnięcie prawego ramienia.

Pozdrowienie to narodowi socjaliści przyjęli ze sposobu bycia istniejącego niegdyś w rzymskich legionach. Ze zmianą tą żołnierze godzili się niechętnie; dlatego też oddawali to niemieckie pozdrowienie mniej lub bardziej niedbale. Wprawdzie sam generał puszczał to płazem,

ale nie darował tego porucznik Crusius. Niektórzy zresztą nazywali go żartobliwie „nasz przywódca Hitlerjugend”. Był on nim istotnie i to nie tylko dawniej, lecz także teraz.

W każdym razie, gdy tylko ktoś pozdrowił go nie dość dziarsko, przywoływał go z powrotem, a następnie „ćwiczył” z nim tak długo, aż wreszcie oddawanie honorów było dostatecznie sprężyste. Na skutek tego żołnierze usiłowali go w miarę możliwości omijać, co nie uchodziło uwagi tego narodowosocjalistycznego oficera z doświadczeniem frontowym, lecz przede wszystkim koszarowym. Gdy wojacy kluczyli jak zające, przyjmował to za oznakę szacunku.

Crusius skierował się w stronę baraku kobiecego. Po drodze, jak gdyby mimochodem, rzucił kilka prostackich uwag w żargonie żołnierskim. Krzyknął więc na przykład do nie dość poprawnie oddającego honory starszego szeregowego:

— Wciągnijcie z łaski swojej tyłek. A może go komuś chcecie zaproponować? To nie u nas! Miejsce pedałów jest w kaciecie!

Uśmiechał się przy tym niby to zachęcająco. Bo ostatecznie nie uważał tego za pogroźkę, lecz raczej za żart. Crusius bardzo pragnął, by uważano go za dowcipnego.

W pobliżu baraku kobiecego spostrzegł dwóch żołnierzy, którzy wyraźnie podkradali się do pomieszczeń dziewcząt z łączności. Przywołał ich obu do siebie. Podbiegli wystraszeni i stanęli przed nim w postawie zasadniczej. Byli pewni, że czeka ich piekielna awantura. Okazało się jednak, że Crusius jest usposobiony dość łagodnie i tylko ich pouczył:

— Czegoś podobnego nie należy robić. Nie przekradajcie się potajemnie do naszych koleżanek w mundurach. Spotykajcie się z nimi otwarcie i grzecznie, bez żadnych kręctw. Potem sprawy mogą się ułożyć rozmaicie. Jesteście przecież niemieckimi żołnierzami, a nie lubieżnymi pijaczynami.

Potem znów jego niezadowolenie wzbudziło kilku rosyjskich jeńców. Widocznie usiłowali oni doprowadzić do porządku dróżkę, u Crusiusa prawdopodobnie ogarnęła obawa, że kurz, który się przy lym unosił, może przyprószyć blask jego butów.

Plutonowy Zander, nadzorujący Rosjan, siedział na ławce ogrodowej i drzemał. Na widok Crusiusa jednak podniósł się. I to niezwłocznie.

— Melduję grupę roboczą przy pracy — wyrecytował, tłumiąc

ziewanie. — Zatrudnionych dwunastu ludzi. Czyszczenie dróg i poboczy. Czy pan porucznik coś rozkaże?

Zaprzączył ruchem ręki, usposobiony niemal łagodnie, lecz po chwili odezwał się:

— Ci ludzie, plutonowy Zander, to jeńcy, a nie pensjonariusze. Odpowiednio do tego trzeba się z nimi obchodzić. Zgodnie z prawem wojennym, ściśle według przepisu, ale ostro. Zrozumiałeś?

— Tak jest, panie poruczniku! — krzyknął Zander, chociaż nie wiedział, do czego Crusius zmierza.

— Rosjanie mają się dostosować do naszych porządków. A to znaczy, że do osób, którym należy się szacunek, mają się odnosić z szacunkiem! — Miał przy tym na myśli samego siebie.

— Tak jest, panie poruczniku — potwierdził skwapliwie Zander. W rzeczywistości miał wszystko gdzieś. Najważniejsze, by jemu dano spokój.

— Gdy tylko się tu pojawię, ci ludzie — właściwie Crusius chciał powiedzieć „ci durnie” — mają niezwłocznie ustąpić z drogi, a następnie stanąć na poboczu i nie ruszać się, jakby byli wkopani w ziemię. Natomiast, jeśli chodzi o oddawanie przez nich honorów, to wcale o to nie dbam. Jednak dyscyplina musi być.

— Tak jest, panie poruczniku — potwierdził Zander z senną uległością. — Czy pana kapitana Rommelskirchena, bo jemu podlegają jeńcy wojenni, mam o tym poinformować? Czy pan sam to załatwi?

— Dość tego gadania! — przerwał mu Crusius. — Co ci jeńcy porabiają i jak się ich tuczy, oficjalnie wcale mnie nie obchodzi; przynajmniej w tej chwili jeszcze nie. Ale gdy tylko zostaną zatrudnieni tam, gdzie sięgają moje kompetencje, to znaczy na terenie, który podlega wyłącznie mnie, to będą obowiązywać jedynie moje rozkazy. Jasne?

Plutonowy Zander udawał, że rozumie. W rzeczywistości czuł się mocno bezradny, a może nawet zdezorientowany. Miotany był to w jedną, to w drugą stronę, pomiędzy rozkazami surowego Crusiusa a poleceniami wyrozumiałego, przystępnego kapitana Rommelskirchena. Zewsząd czyhała niepewność, która poważnie przeszkadzała w uprawianiu spokojnej drzemki.

Tymczasem porucznik Crusius dotarł do baraku kobiecego. Gdy znalazł się tam, zastukał do drzwi służbowego pokoju komendantki. Uczynił to dyskretnie, ale, pewien powodzenia, z wyczekującym uśmiechem na twarzy.

W odpowiedzi usłyszał jasny głos Eryki: — Proszę wejść!

Crusius otworzył drzwi, wetknął głowę do środka, jawnie ucieszony, że zastaję ją w tym pokoju samą. Zdjął z głowy czapkę i pomachał nią na powitanie.

— Proszę odważyć się wejść — zażartował.

Eryka Warnke wybiegła zza swego biurka.

— Ty! Więc jesteś tu! — zawołała z radością. — Przez cały czas myślałam tylko o tobie, Konstancyne. — Pierś jej falowała, oddychała ciężko. — Ale już przyszedłeś.

— I to, że tak powiem, w sprawie czysto służbowej — odpowiedział, mrugając do niej porozumiewawczo. — To najlepszy pretekst do spotkania z tobą.

Zamknął drzwi i oparł się o nie od środka, jak gdyby chciał je zabarykadować. Rozpostarł szeroko ramiona, trzymając czapkę w prawej, a papiery w lewej ręce. Eryka nie wahała się ani chwili — padła w jego objęcia. Uczyniła to tak gwałtownie, że rozległ się odgłos zderzenia ich ciał.

Crusius wypuścił z rąk czapkę i dokumenty i objął swoją Erykę z całych sił. Jego ręce przesunęły się do dołu, zatrzymując na pośladkach. Tak, jak według jego wyobrażeń dawni Germanie zapewne wyrażali swoją miłość — bohater trzyma w uścisku bohaterkę; jednocześnie zdobywanie i oddawanie się, całkowita jedność mężczyzny i kobiety, błogosławiona przez bogów.

— Chcesz — tchnęła gorącym oddechem — byśmy przeszli do mego pokoju?

— Niczego bardziej nie pragnę niż właśnie tego! — przycisnęła ją lżejsze mocniej. — Ale może byśmy z tym trochę poczekali i najpierw zajęli się sprawami służbowymi, by nie powstały na nasz temat żadne brzydkie posądzenia.

— Jak chcesz — Eryka uwolniła się z jego objęć, jednak dopiero wówczas, gdy kilkakrotnie zapewnił ją, że jest jego jedyną Eryką.

Posłusznie usiadła przy biurku. Stał za nią, a jego spojrzenie padło na portret Hitlera, wiszący na przeciwległej ścianie — Adolf ze

szczoteczką wąsa pod nosem i orlim spojrzeniem naczelnego wodza. Obok wisiał plakat, obwieszczający gotyckimi literami:

*Nas nie oślepi sztuczny blask.  
Gdyż chodzi o narodu byt.  
Ten życia cel do głębi znać  
I do zwycięstwa mamy trwać.*

Takie nader banalne, hitlerowskie rymowanie Crusius prawdopodobnie uważał za wielką niemiecką poezję. W każdym razie na plakat spoglądał z upodobaniem.

— Jak pięknie, jak jasno i trafnie! — wykrzyknął. — Jesteś właśnie taka, jaką sobie wymarzyłem! Istota obdarzona zdolnością kochania bez zastrzeżeń. Jednocześnie do szpiku kości niemiecka kobieta. Takich nam potrzeba, byśmy mogli zwyciężyć.

— I takich mężczyzn, jak ty! Wiem, mój Konstantynie, że musimy się jeszcze sprawdzić, Jednak razem, tobie i mnie, wspólnymi siłami, na pewno się to uda.

Tym odezwaniam się mimowolnie poruszyła temat, który zamierzał z nią omówić.

— Jak wiesz, jestem odpowiedzialny za utrzymanie najwyższej gotowości obronnej tego obiektu — powiedział. — Obowiązkowi temu podporządkowuję się z ochotą. Jeszcze niedawno byłem w stanie zagwarantować tę gotowość. Tymczasem zabrano mi stąd czterdziestu zdolnych do walki żołnierzy, a potem zastąpiono ich twoimi dziewczętami. I właśnie stąd wynika problem, z którym muszę się uporać.

Okazało się, że Eryka Warnke, zresztą zgodnie z oczekiwaniami, świetnie wczuła się w sytuację.

— Zdaje mi się, że cię rozumiem — zapewniła go. — Zapewne myślisz o tym, że odesłanych żołnierzy mogą zastąpić moje dziewczęta?

— Bardzo trafnie zgadłaś — Crusius spojrzał uszczęśliwiony na swoją Erykę. Czyż ona nie jest cudowna? Podobnie wspaniała istota, jak on sam.

— Ostateczne zwycięstwo jest wprawdzie pewne — oświadczył — ale nikt go nam nie da w prezencie. Musimy je wywalczyć. Wspólnymi siłami. Wyobrażałem to sobie tak, że moi żołnierze będą się bili ze zrozumiałych względów w pierwszej linii, a twoje dziewczęta, że się tak wyrażę, w drugim rzucie.

— Z bronią w rękę? — dopytywała się Eryka Warnke.

Przytaknął: — To zupełnie zrozumiałe. Będę wówczas pewny skuteczności twego wsparcia.

— Oczywiście, możesz być pewny, Konstancynie.

— Ale jak zachowają się twoje dziewczęta? Zechcą wziąć w tym udział?

Eryka zastanawiała się nie dłużej niż przez sekundę.

— Moje dziewczęta są mi posłuszne — odpowiedziała trochę przeciągle. — Jak mogłyby nie chcieć?

Gdy Crusiusowi napomykano o trudnościach, uruchamiał on coś w rodzaju żołnierskiego szóstego zmysłu.

— Obawiasz się może jakichś sprzeciwów?

Spojrzała na niego z czułością i oddaniem.

— Moje dziewczęta są wysokiej klasy, to najlepszy materiał. W samej rzeczy — tu w jej głosie zabrzmiała lekka nutka niepokoju — może znajdą się dwa, a może trzy wyjątki. Ale i te potrafię wziąć w garść przy odpowiednim podejściu.

— Jestem pewny, że dasz sobie z tym radę, Eryko. Musisz tylko odwołać się do ideowości swoich dziewcząt. Sama wiesz przecież, według motta: „Jestem niczym, mój naród jest wszystkim”. Lub coś podobnego, w tym rodzaju. Zresztą sama już wpadniesz na właściwy wątek. Chodzi o to, żeby się włączyły „ochotniczo”.

— O tym — powiedziała Eryka Warnke, spoglądając na niego kusząco — jeszcze pomyślimy i to na pewno z pozytywnym rezultatem. Ale to trochę później, jeśli mogę ci zaproponować. A teraz zajmijmy się tym, za czym nam się ckną. Obojgu.

Prawie w tym samym czasie kapral Koralnik spotkał Zuzannę Singer, o której trudno było wyrazić się inaczej, jak tylko, że jest ogromnie atrakcyjna. Wydawało się, że spotkanie jest przypadkowe. Wyglądało na to, że dziewczyna akurat przebiegła Koralnikowi drogę.

— Cieszę się, że panią widzę, panno Singer — zagaił rozmowę. — Miałaby pani ochotę trochę ze mną pogawędzić? A może pani nie rozmawia z kimś tak niskim stopniem?

Na to Zuzanna odpowiedziała mu w zwyczajnym u niej rubasznym stylu:

— Czego pan chce ode mnie, panie Czujne Ucho? Może pan

wykombinował, że mnie upije, a potem gdzieś zawlecze i schrupie? Człowieku, ja nie jestem przecież puszką konserwy, którą każdy otwiera, kiedy mu się tylko podoba.

Koralnik roześmiał się, a w jego śmiechu pobrzmiwało pochlebstwo. Ta Zuzanna, niech ją licho weźmie, mocno mu przypadła do serca. Do tego serca, które z pewnością nie było czyste jak u dziecka, lecz raczej czarne jak smoła. Nie przeszkadzało to mu jednak, że na widok pięknej kobiety zaczynało bić szybciej.

— Cholernie przyjemnie słuchać o schrupaniu, panno Singer — odpowiedział i ze znanstwem mlasnął językiem. — Musiałbym być idiotą, by tego nie pragnąć, ale to nie musi stać się zaraz. Teraz chciałbym zaprosić panią i zapoznać z moimi lokalami i możliwościami.

— Dlaczegoż by nie? Zaproszenie zostało przyjęte. Przypuszczam też, że pan świętoszkowato nie obstaje przy tym, by pana tytułować papą Koralnikiem. Przyjdziemy więc do pana później, powiedzmy — o czwartej po południu; na filizankę kawy.

— Będzie to najlepsza kawa, jaką pani w życiu pila.

— Czy pan całkiem dobrze słyszał, panie kapralu? Wyraźnie powiedziałam „przyjdziemy”.

— Zawsze słyszę całkiem dokładnie, a już zwłaszcza to, co pani mówi, panno Singer. A ponieważ pani, jak panią oceniam, nie potrzebuje żadnej przyzwioitki, zamierza pani przyprowadzić ze sobą kogoś, kto jest dla pani miły i drogi. Będzie to więc prawdopodobnie któraś przyjaciółka. Spodziewam się, że panna Hofer. Obie będziecie u mnie mile widziane.

Po południu Koralnik powitał obie dziewczęta tak, jakby był właścicielem luksusowej restauracji, przyjmującym swoich ulubionych gości. Zaparzył mocną, aromatyczną kawę i kazał przynieść z kuchni kasyna ciepły jeszcze placek owocowy. Stół był nakryty śnieżnobiałym obrusem.

Obie przyjaciółki próbowały smakowitości, którymi zostały poczęstowane. Wesóło usposobiona Zuzanna zapytała z przymrużeniem oka:

— Czy u pana jest tak codziennie, panie Koralnik? A może mamy do czynienia z tak zwaną taktyką podrywania, którą zapewne uprawia się także w zameczku?

— Zgadza się i jedno, i drugie — zapewnił ze śmiechem. — Jeżeli na coś sobie pozwalają goście kasyna, to i ja sobie na to za każdym razem



pozwalam. Poza tym, jak pani już zapewne słyszała, jestem przebiegły i podstępny jak niedobry pies, co to ładne dziewczątka gryzie w łydki.

— A więc zaprosił nas pan nie tylko ze względu na nasze śliczne buziaki?

— Czyżbym wyglądał na takiego? Zdradzę paniom małą tajemnicę handlową. Jestem niezwykle łąsy na dobre układy z wpływowymi ludźmi. A ponieważ wam obydwom, jak słyszałem, zaproponowano pracę w sztabie u generała, usiłuję przezornie wejść z wami w bliższą komitywę. Oto, proszę pań, mój sposób na nawiązanie potajemnego kontaktu.

Zuzanna roześmiała się serdecznie, Monika uśmiechnęła się w milczeniu. Koralnik natomiast z zadowoleniem zacierał ręce.

— A zatem prawdą jest to, co ludzie opowiadają, że pan tu trzyma w ręku wszystkie nici? — zapytała obcesowo Zuzanna.'— I że pańskim uszom nic nie ujdzie?

— Najlepsze uszy — oświadczył — mają przeważnie małe pieski, a do takich i ja się zaliczam. Bardzo często spożywam posiłki w kasynie, ale zatrzymuję się w przedsionku generalskiej jadalni, do której drzwi są szeroko otwarte. Degustuję tam potrawy, które podaje się na stół, ale po to tylko, by najlepsze kąski wybrać dla siebie. Poza tym nasłuchuję, o czym się mówi. Robię to zresztą niezbyt uważnie, jednak rzeczy naprawdę ważne prawie nigdy nie uchodzą mojej uwagi. Potem pozwalam, by z mojej wiedzy korzystali niektórzy moi przyjaciele, do których mogłybyście obie też się zaliczać.

Zuzanna zaniósła się jasnym śmiechem.

— Uznanie dla pańskiego dobrego słuchu, panie Koralnik, i uprzejme podziękowanie za pańską ofertę. O tym, czy ją przyjmujemy — wolimy się na razie nie wypowiadać. W każdym razie chwilowo skłaniamy się raczej do odpowiedzi odmownej.

Koralnik zachował się jak ktoś w najwyższym stopniu zaskoczony.

— Chyba źle słyszę, dziewczęta! Roztaczam przed wami tu najponętniejsze perspektywy, a wy, zamiast obydwoma rękami chwytać szansę, jeszcze się wahacie? Ktoś inny powiedziałby na pewno, że macie nie po kolei w główkach. Spróbujcie mi wyjaśnić, co się łęgnie w waszych pięknych główkach.

Zuzanna odezwała się w tonie szczególnie przyjaznym:

— Ja po prostu nie chcę w żadnym wypadku pozostawać w zależno-

ści od kogokolwiek, a już zwłaszcza w takiej, która potem może się wymknąć spod kontroli. Wystarczy, bym pomyślała choćby tylko o mojej kuzynce Mariannie Dengler. Ale ona popełniła swoje bezgraniczne głupstwa w zasięgu władzy generała, dzięki czemu może z tego czerpać mnóstwo korzyści. A to jest możliwe tylko u niego i tylko dla niej. Dla mnie nie wchodziłoby to w rachubę.

— A jakie są pani motywy, panno Hofer? — dopytywał się Koralnik.

— Chcę tu odbywać służbę, podobnie jak wszystkie pozostałe dziewczyny — odpowiedziała Monika. — Nie uznaję żadnego faworyzowania, niezależnie od tego, na czym się ono opiera, podobnie jak brzydę się rozmyślnym wyrządzeniem krzywdy.

Wypowiedziała to tak poważnie i dobitnie, że realicznie Koralnikowi zachwiał się w posadach cały obraz świata. Czyżby te dwie dziewczyny były z gatunku owych rzadkich ptaków, co to nie mają ochoty bezwarunkowo dostosować się do okoliczności i które nie jedzą od razu wszystkiego, co się im poda?

Był gotów zaufać im, bo przynajmniej usiłowały stosować własne warunki gry. Lecz dokąd miało to prowadzić?

— Bądźcie spokojne, dziewczęta — pocieszył je, a brzmiało to uczciwie. — Przyjmijcie propozycję i dajcie nura do sztabu. Bo, o ile mi wiadomo, już jutro mają zainscenizować ohydne widowisko — dziewczęta z łączności jako kobiety ze strzelbami. Jest to fantastyczny pomysł, wysmażony wspólnie przez waszą Erykę Warnke i naszego Crusiusa. Oboje są przecież ostatnio wzajemnie serdecznie związani.

— No tak, chodziły ostatnio słuchy, że sypiają ze sobą — stwierdziła Zuzanna. — Ale, czy to musi od razu prowadzić do tego, że chcą z nas nagle zrobić bohaterskie dziewice?

— W normalnych warunkach nie — odpowiedział Koralnik. — Ale nawet normalne warunki w pojęciu tych ludzi nie wyglądają normalnie. Gdyby ta wielkoniemiecka zakochana para myślała tylko o tym, jak się wzajemnie mocno zabawić, to osobiście przynosiłbym im nawet do łóżka zamrożonego szampana z zapasów naszego generała. Ale to są ludzie niebezpieczni.

— Zakochani i niebezpieczni? — zapytała z niedowierzaniem Monika.

— Właśnie dlatego, że zakochani! To są przełożeni, a w dodatku

zadają się ze sobą. Ale przecież sztywny Konstantyn jest tu dowódcą załogi, a radosna Eryka waszą komendantką. Dotychczas prowadzili ze sobą wojny podjazdowe, czasem byli nawet skłóceni jak pies z kotem, generał nie sprzeciwiał się, bo dzięki temu miał zawsze ostatnie słowo. Stale pełnił rolę sędziego polubownego.

Zuzanna bez trudu zrozumiała, jakie to ma praktyczne znaczenie.

— To znaczy, że teraz, kiedy już się zgadzają pod każdym względem, mogą wspólnie o wszystkim decydować tak, jak sami uważają za słuszne? Nawet nie oglądając się na zgodę generała?

— Mądre dziewczątko — pochwalił ją kapral. — Tak właśnie będzie to wyglądać. Dlatego posłuchajcie mojej rady i urywajcie się w kierunku kasyna w zameczku. Praca jest tam przyjemna, wyżywienie bardzo dobre, a na nieco dalszym planie będę też zawsze ja, kochany, dobry Koralnik, gotowy do roztoczenia nad wami opieki.

Życzył im bez wątpienia dobrze i usiłował im przerzucić coś w rodzaju złotego mostu ponad zagrażającymi trudnościami. Jednak na razie zabrakło dziewczętom okazji do dania mu odpowiedzi na propozycję, gdyż właśnie ukazał się sierżant Wegner.

Anton Wegner nosił mundur, jak zwykle, niedbale. Wyglądał raczej na cywila niż na żołnierza. Odpowiednio do tego też się poruszał, chodząc spacerowym kroczkiem. Gdy ujrzał obie panny, zgiął się w ukłonie.

— Przepraszam, jeśli przeszkadzam. Zupełnie przypadkowo przechodziłem obok. — Przy tym kłamstwie jego błada twarz lekko się zaróżowiła. — Jeśli mogę się do czegokolwiek przydać tobie, Koralnik, lub paniom, to jestem do dyspozycji.

— Pozostawanie w dyspozycji to dobra rzecz, może się czasem przydać — z radosnym ożywieniem odpowiedział Koralnik. Jednocześnie przyglądał się Monice i Wegnerowi. Stwierdził od razu, że jedno i drugie usiłuje na siebie nie patrzeć. Trudno było o bardziej oczywisty dowód. Śnieg nie musi być wystawiony wprost na słońce, by stopniał. Zauważył też, że Zuzanna uważnie obserwuje swoją przyjaciółkę, a w dodatku i Wegnera, przy czym patrzy na nich z wyraźną życzliwością.

— Zapewne zainteresuje to panie — odezwał się tonem zachęty właściciel składu delikatesów, Koralnik — że z naszego przyjaciela Wegnera zdeklarowany pięknoduch; powiadają o nim, że nosi „Fausta”

w tornistrze. I jeszcze jedna cecha łączy go z Goethem — jest on namiętnym miłośnikiem przyrody.

— Rzeczywiście? — wydawało się, że Monikę zainteresował ten fakt.

Wegner żywo zaprzeczył tej opinii: — Ależ, nic podobnego. Ja tylko w wolnym czasie chętnie spaceruję i przy okazji próbuję poznawać rośliny. W żadnym razie nie uważam siebie za badacza przyrody, wykształconego w dziedzinie botaniki. Zajmuję się tym jedynie dla przyjemności.

Monika zaczęła zerkać na Wegnera niby przypadkowo, nie zatrzymując jednak na nim spojrzenia na dłużej. Koralnik nie przepuścił okazji rozdmuchania dopiero co roznieczonego, lecz już dość dobrze widocznego płomyka.

— Jeśli dobrze pamiętam, to wczoraj niedaleko stąd, na skraju lasu odkryłeś pierwsze zwiastuny wiosny — śnieżyczki i krokusy.

— Już o tej porze? — z ożywieniem zapytała zawsze powściągliwa Monika. — Chciałabym je zobaczyć.

— Jeżeli pani sobie tego życzy, panno Moniko, to przypuszczam, że nasz miłośnik przyrody Wegner z przyjemnością zechce je pani pokazać.

Koralnik mówiąc to spojrzał na Zuzannę i wydało mu się, że ona się z nim zgadza.

— A zatem, moi drodzy, nie zwlekajcie!

Wegner i Monika, jak wskazywało ich zachowanie, bardzo chętnie przyjęły tę propozycję. Wyszli, uśmiechając się, lekko zakłopotani.

Zuzanna Singer i Konrad Koralnik zostali przy resztkach kawy i placka. On zachowywał się tak, jak gdyby wystrzegał się nadmiernego przybliżenia do niej. Być może dbał o zachowanie pewnego dystansu; prawdopodobnie po to, by móc się jej lepiej przyjrzeć.

— Dość oryginalna dziewczyna ta Monika — powiedział po chwili. — Niezwykle przyjemna, bardzo sympatyczna, ale trudna do przejrzenia, co?

— Dlaczego pan tak myśli?

— Robi wrażenie bardzo ostrożnej, lak niewiele mówi.

— Czego o panu, panie Koralnik, chyba nie można powiedzieć. Poza tym dopiero co próbował pan odegrać rolę kogoś w rodzaju stręczyciela.

— Czyżbym to rzeczywiście robił? — Uśmiechnął się wręcz przymilnie. — Sama pani widzi, panno Singer, jak piekielnie wielostronnie jestem uzdolniony.

— W każdym razie coraz wyraźniej to dostrzegam.

— Zresztą pani także nie miała zastrzeżeń do tego wiosennego spaceru. Poza tym ja, jako wytworny pan, za jakiego zresztą mogę uchodzić, nie nazywałbym tego od razu stręczycielstwem. Tym bardziej, że przecież wzajemnie sobie odpowiadają, z czego najprawdopodobniej zdają sobie sprawę. Ja natomiast uważam, że z tego, co dobre, należy dzisiaj korzystać na każdy sposób i w każdym miejscu, gdy tylko nadarzy się okazja. Jutro może być już za późno.

Zuzanna zrozumiała, że jest to propozycja. Nie przyjęła jej jednak tak od razu — to nie było w jej stylu! Postanowiła najpierw z grubsza zbadać teren.

— Wygląda na to, że w tym całym cyrku generał jest atrakcją numer jeden. A na którym miejscu lokuje pan siebie? Czy przypadkiem nic na drugim?

— Posiada pani umiejętność prawienia oryginalnych komplementów — Koralnik odczuł aluzję jako wstrząsająco prostą, i ku jego radości, trafną. — Podobne komplementy smakują mi jak miód lipowy, który cenię sobie szczególnie. Zresztą słoik tego specjału lub nawet dwa mogę oddać do pani dyspozycji.

— Usiłuje pan zmienić temat, panie numer dwa!

— Nie chcę ani zmieniać tematu, ani nosić numeru. Gdy słyszę wyraz dwa, kojarzy mi się to z drugą klasą i drugorzędnością. A ja się za takiego wcale nie uważam. Być może powinna pani na tę sprawę patrzeć tak: ja bez generała mógłbym się tu urządzić wcale dobrze, ale pytanie, czy generał dokazałby tego samego beze mnie? Oto drobne spostrzeżenie, panno Singer, ale poufne, tylko dla pani.

Zuzanna nie zapytała od razu, czym sobie zasłużyła na taki zaszczyt. Natomiast nadal ostrożnie badała sytuację stawiając pytania. — To, co pan w tej chwili powiedział — czy to oszustwo, czy też może pan to udowodnić?

— Jeśli się nie mylę kompletnie, panno Zuzanno — odpowiedział, po raz pierwszy zwracając się do niej po imieniu — to spodziewa się pani uzyskać jakiś wgląd w moje możliwości.

— Pod tym względem nie myli się pan, panie Konradzie Koralnik. — Ona także, niby mimochodem, wypowiedziała jego imię. — Ale proszę mnie nie pytać, dlaczego mnie to naprawdę interesuje.

— Przecież wcale nie muszę — powiedział, wyczuwając jej intencje. — Wobec tego ruszajmy na zwiedzanie.

Pierwszy przystanek. Jego własne zapasy, zmagazynowane w pomieszczeniu, w którym się właśnie znajdowali. W szafach, skrzyniach i pudłach leżały ułożone w stopy puszki wybornych konserw, butelki szlachetnych trunków, tuziny puszek z kawą.

— Wytworne drobiazgi, dzięki którym nasze życie nie jest tak bardzo szare — rzucił niby od niechcenia Koralnik.

Drugi przystanek. Magazyn żywnościowy obozu. Rozmieszczony w kilku sąsiednich pomieszczeniach. Zabezpieczony specjalnymi zamkami, do których klucze miał tylko kapral. Na podłodze i półkach piętrzyły się stopy pękatych worków z mąką, ryżem, grochem, fasolą. Oprócz tego góra kartonów z mydłem, pastą do zębów, środkami do prania.

Wreszcie trzeci przystanek. Specjalna piwnica winna, na głębokości trzech metrów pod ziemią. Wejść do niej można było dopiero po podniesieniu wzmocnionych żelaznymi okuciami drzwi spustowych, przykrywających wąskie schody, które prowadziły w ciemność. Na dole znajdowały się butelki win i szampanów najwyższej jakości. Należały do nich baterie zarówno starego burgunda, jak i bardzo wytrawnego chablis i najszlachetniejszego dom perignon. Nawet generał tylko z rzadka dostawał coś z tego do skosztowania.

Na widok takich skarbów Zuzanna zrobiła wielkie oczy. A Koralnik sycił się jej zdziwieniem. Było jej trochę trudno wyobrazić sobie niefrasobliwe z pewnością korzystanie z tych specjalów. Uciekła się do pewnego, wówczas często używanego żartobliwie powiedzonka: — Bardzo dobrze, panie bobrze.

— Mogę więc przypuszczać, że mój pokaz podobał się pani? — zapytał przezornie Koralnik.

— Nawet zaimponował — dorzuciła Zuzanna. Zdawała sobie sprawę, że rozmowa ich doszła właśnie do bardzo delikatnego i jednocześnie decydującego punktu.

Spojrzał na nią serdecznie.

— Mógłbym sobie całkiem dobrze wyobrazić dopuszczenie pani do udziału w moim przedsięwzięciu. Mam nadzieję, że nie zrozumie pani źle tej propozycji.

— W razie, jeśli ma to być bezpośrednia oferta — odpowiedziała mu — to, o ile pana znam, będzie związana z zupełnie konkretnymi warunkami. A zatem, z jakimi?

— Wolałbym nie nazywać tego warunkami, lecz raczej oczekiwa-

niami — powiedział Koralnik. — Przede wszystkim wyznają zupełnie otwarcie, że pani mi się podoba, nawet bardzo. Do tego należy dodać, że potrafię docenić pani szczególne ustosunkowanie, na przykład przyjaźń z pani kuzynką, Marianną Dengler, a tym samym z generałem, co również się zgadza. Wreszcie, skoro pani mnie tak zdecydowanie posądza o brak ludzkich uczuć, byłbym za tym, byśmy się oboje życzliwie odnieśli do bardzo subtelnych zapewne uczuć pomiędzy moim przyjacielem Wegnerem a pani przyjaciółką Moniką.

— Ależ z pana przebiegła bestia — roześmiała się Zuzanna. — Pan mnie po prostu usiłuje przekupić.

— Zgoda, w samej rzeczy bardzo bym chciał być bestią, panno Zuzanno. Ostatecznie jestem tylko mężczyzną. Ale właśnie takim, który wie, że są rzeczy, jakich się nie dostanie za całe składy towarów, jeśli nie ma tego, co powszechnie nazywamy wzajemną sympatią. Mnie w każdym razie podobają się kobiety w pani stylu. Poza tym zawsze pragnąłem mieć wokół siebie przyjaciół. A jednak wciąż niewiele mam tak jednych, jak i drugich.

— To, co pan powiedział w tej chwili, jest słodziutkie jak cukierek. Mimo to muszę się jeszcze zastanowić, czy powinnam należeć do kręgu pańskich przyjaciół.

— Rozumiem panią doskonale. Potrzeba na to trochę czasu, a my go już prawie nie mamy. Jednak, jakkolwiek ułożą się sprawy, niech pani będzie ostrożna, zwłaszcza gdy tu zacznie się komedia obrony.

— Pańskim zdaniem znaczy to zapewne, że powinnam wziąć w ciup swoją rozgadaną buzię! I nie odzywać się nawet wtedy, gdy ktoś będzie do mnie pyskował?

— Zuzanno, mogę pani powiedzieć tylko tyle — najmądrzej jest zachowywać jak największą ostrożność.

— Cóż więc, mam krakać razem z wronami?

— A czy w tej chwili dzieje się inaczej? W takich parszywych czasach trzeba być chytrym jak lis, a jednocześnie silnym jak lew.

— Co mamy w takim razie robić z tak zwanymi wyższymi wartościami, jak honor, miłość ojczyzny, poczucie obowiązku, poświęcenie dla ojczyzny, woła obrony? Przecież w tym duchu nas wychowano, a te wartości w tym miejscu i w tej chwili są bardzo pożądane.

Koralnik przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Znać było po nim, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę. Wreszcie odezwał się:

— A cóż tu jeszcze znaczy honor? Czy to honor pragnąć Krzyża

Żelaznego, który z łatwością może się przemienić w krzyż nagrobny? Nie. A jak rozumieć miłość ojczyzny? Zdobywać teren, tracić go, pozostawiać za sobą spaloną ziemię, niszczyć czyjaś ojczyznę, a swoją własną narażać na zgubę? Nie. Czym w istocie jest ojczyzna? Tym, co Hitler rozumie przez to słowo i o czym jego zwolennicy drą się na cały świat? Nie. Co znaczy poczucie obowiązku? Wykonywanie tego, co nakazują jacyś idioci, a co się wylęgło w głowach popleczników naszych władców? Nie. A woła obrony? Kogo i czego należy bronić? Zachodu czy generalskiego śniadania, tak zwanej tysiącletniej Rzeszy czy obłądnych marzeń zdziczałych kołtunów? Nie, nie popełnię nic podobnego. Moją ostatnią mądrością jest odmowa — ostatni rozdział w mojej niemieckiej czytance.

Zuzanna przysłuchiwała się temu, co mówił Koralnik, początkowo zaskoczona, a potem przerażona.

— Źle pan mówi, panie Konradzie. To znaczy, może się dla pana źle skończyć, jeżeli pan podobne wynurzenia skieruje pod niewłaściwym adresem. Czy pan częściej pozwala sobie na wygłaszanie podobnych przekonań? Może to pana jak nic kosztować głowę.

Kiedy Koralnik już ulżył swemu sercu, momentalnie zmienił się z powrotem w lekko przyczajonego chomika.

— Cóż wielkiego powiedziałem? Nic. W razie, gdyby ktoś jednak utrzymywał co innego, będę w najwyższym stopniu zdziwiony. Powiem też wtedy coś na temat przykrych nieporozumień i nie budzących zaufania podejrzeń. Ktoś taki jak Koralnik nie myśli o niczym więcej, tylko o swoich skrzyniach z żywnością!

— Godny uwagi z pana człowiek, panie Konradzie. Nie ma innej rady, jak tylko zostać pańskim przyjacielem. Nie wiem, czy ktokolwiek chciałby mieć pana za wroga.

— Czynimy postępy — stwierdził Koralnik naprawdę ucieszony. — Taka jest zresztą potrzeba chwili. Zobaczymy, jak uda się pokonać te ostatnie przeszkody. W każdym razie jutro rano niech pani nie będzie zbyt zaskoczona, kiedy Eryka Warnke wezwie dziewczęta do walki o ostateczne zwycięstwo. Chyba nie ludzi się pani, że natychmiastowe przeniesienie was w pobliże frontu, do jakiejś baterii przeciwlotniczej, może mieć jeszcze znaczenie?

— Będę się przed tym broniła — powiedziała Zuzanna Singer. I z zagadkowym uśmiechem dodała: — na swój sposób.



Następnego dnia rano rozpętało się coś, co można by nazwać wielką akcją w celu „zmobilizowania woli obrony ze względu na konieczność osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa”. Przynajmniej Eryka Warnke tak by to nazwała, a to naprawdę nie było w tym wypadku bez znaczenia.

Miejszem akcji był plac apelowy przed barakiem kobiecym.

Dziewczęta z łączności stanęły w szyku wyprężone, w czystych mundurach. Na komendę „flagę podnieść” wciągnięto flagę na maszt. Było to codzienne poranne widowisko. Dziewczęta, niektóre jeszcze dobrze nie rozbudzone, obojętnie czekały, nie zwracając na nic uwagi.

Potem jednak przed frontem dziewcząt stanęła Eryka Warnke. Donośnym głosem oznajmiła: — Oto, moje dziewczęta, nadeszła chwila.

Także i to przyjęły obojętnie. Kilka z nich ziewnęło. Z pewnością Warnke znów spłodziła parę pomysłów. W sprawie dyscypliny, zachowania się i porządku w baraku kobiecym.

Ale wkrótce wylazło szydło z worka.

— My, moje dziewczęta, podjęłyśmy tu służbę, by zastąpić żołnierzy. Było to konieczne ze względu na wojnę. Możemy być dumne z tego, że okazałyśmy się ich godne.

— Do czego tym razem zmierza ta stara wrona? — szepnęła jedna z dziewcząt w drugim szeregu.

Zuzanna Singer, która stała przed nią, radziła od niechcenia: — Cierpliwości. Ona już lada moment wystrzeli z grubej rury.

— Oto ramię w ramię stoimy z naszymi żołnierzami, złączeni we wspólnym wielkoniemieckim dążeniu do ostatecznego zwycięstwa — pawiła Eryka Warnke dźwięcznym głosem. — W niezniszczalnej wierze w Führera, naród i ojczyznę. Gotowe do wykonania każdego zadania, jakie postawi przed nami los. Od tego zadania nikt nie może, nie chce i nie śmie się uchylać, moje dziewczęta!

Tymczasem te jej dziewczęta stały mocno skonsternowane. Dość im było tego, co miały do zrobienia dotychczas. Zuzanna Singer, ponieważ była przygotowana na to widowisko, okazała się w istocie raczej rozweselona niż zaniepokojona.

— Patrzcie no, kto tu nadchodzi! — szepnęła po cichutku.

Zbliżał się porucznik. Za nim kroczyli czterej podoficerowie. Crusius maszerował na ich czele sztywno, sprężysto, wyzywająco. Skłonił się przed Eryką Warnke w sposób ostentacyjnie oficjalny, a jego podoficerowie zatrzymali się za nim jak wrośnięci w ziemię. Odwrócił się w stronę

dziewcząt, przyjrzał się im wesołym, energicznym spojrzeniem frontowca i sam rozpoczął przemówienie.

— Wszyscy stanowimy wielką, sprzysiężoną wspólnotę, na równych prawach i z równymi obowiązkami tak dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Należy do nich nieodłącznie zaszczytna służba pod bronią i z bronią w rękę. Moi żołnierze i ja jesteśmy gotowi razem z wami pełnić tę zaszczytną służbę; rozumie się — bez zastrzeżeń. Sens i celowość takiej gotowości przyjęła ze zrozumieniem również wasza komendantka, szanowna pani Warnke.

Eryka spojrzała na niego rozpromieniona, lecz szybko przyjęła właściwą postawę.

— To jest nasz patriotyczny obowiązek, a my się z niego wywiążemy.

Crusius jeszcze raz skłonił się przed nią z wdzięcznością i uznaniem. Następnie zapowiedział:

— Zapoznamy więc teraz nasze drogie koleżanki z łączności z najważniejszymi rodzajami broni: pistoletami, granatami ręcznymi i karabinami maszynowymi. Będziemy zadowoleni, gdy was odpowiednio przeszkolimy w tym zakresie.

Po niektórych dziewczętach znać było, że wyobrażają sobie znacznie ciekawsze rodzaje zadowolenia. Pilnowały się jednak, by się nie zdradzić, co o tym myślą naprawdę. Spojrzenie ich komendantki było zupełnie niedwuznaczne.

Ona z kolei zaczęła przechodzić przed frontem dziewcząt, przyglądając się im badawczo, od czasu do czasu rzucając całkiem niedwuznaczne zdania: „To jest bardzo pożądané” lub „Chyba żadna nie chce pozostać na uboczu”. A wreszcie: „Czyżby któraś nie miała ochoty dobrowolnie wziąć w tym udziału?”

Łatwo było domyślić się, co przez to zamierzała osiągnąć. Usiłowała sprowokować do ujawnienia się odpornej, żeby później przykładowie ją ukarać. Oczywiście uznała, że Zuzanna Singer nadaje się do tego celu.

— Mam rację, Zuzanno? — zapytała bez ogródek.

Zuzanna była jednak zbyt przebiegła, by dać się na to złapać, w dodatku była na to przygotowana. Spojrzała na Erykę Warnke niemal wesoło i odpowiedziała:

— To brzmi obiecująco.

Monika Hofer, która stała tuż obok, uśmiechnęła się jeszcze raz. Łagodnie i powściągliwie.

Eryka Warnke musiała przyznać, że te dwie tym razem nie poszły na

jej lep. Kto więc w takim razie? Przecież umówiła się z Konstantynem Crusiusem, że wystara się przynajmniej o jeden ostrzegawczy lub odstrasżający przykład, w celu onieśmiania opornych dziewcząt. Gdy przechodziła dalej wzdłuż frontu, jej spojrzenie padło na Gundulę Lehnert.

Stała ona w trzecim szeregu i była jedną z tych, które w oczach panny Warnke mogły uchodzić za pozbawione polotu, nieskore do okazywania zapału, a czasem nawet krnąbrne. Pomijając zupełnie fakt, że Gundula wywodziła się ze środowiska o bardzo wątpliwej wartości. Była nieślubnym dzieckiem sprzątaczkii, i to jednym z trojga, z których żadne nie miało „legalnego” ojca.

Właśnie ona nadawała się na ofiarę! Eryce Warnke wydawało się, że instynkt jej to podpowiada.

— A cóż się z tobą dzieje, Gundulo? Nie robisz wrażenia zbyt zachwyconej. Może nie masz ochoty przystać na to bez zastrzeżeń? Masz coś przeciwko temu?

— Ona się nie sprzeciwia — powiedziała szybko Zuzanna Singer. — Nikt tu się nie sprzeciwia.

— Bądź uprzejma nie wtrącać się! — upomniała ją surowo. — Rozmawiam w tej chwili z Gundulą. I od niej chcę usłyszeć, jak zapatruje się na to zarządzenie. A więc?

Gundula Lehnert wcale nie odczuła, że jest to wyzwanie i robiła wrażenie nawet lekko polectanej tym, że nagle znalazła się w centrum zainteresowania. Odpowiednio więc zareagowała:

— Myślałam, że mamy tu pracować w łączności, a nie jako zapasowa jednostka bojowa.

— Patrzcie ją! Pomyślałaś sobie coś, Gundulo! Ale co dokładnie? Odmawiasz przyłączenia się do naszej zaprzysiężonej wspólnoty? — Eryka Warnke przybrała surową minę, ale w skrytości ducha była ucieszona i zadowolona. Ta niczego nie świadoma mała od razu dała się nabrać na jej prowokację.

— Zdaje mi się, że wolno mi być zdania, że czegoś podobnego nie można od nas wymagać. Major Sommer, w którego jednostce przedtem byłam, kilka razy tak nam mówił: „Dziewczęta, możecie brać w ręce wszystko, co wam każą, wolno wam też sięgać po wszystko, na co macie ochotę — ale nawet palcem nie wolno wam tknąć broni palnej!” Dokładnie tak powiedział pan major.

— Gundulo! — głos Eryki Warnke zabrzmiał tym razem ostro

i jadowicie. — Nie jesteś już u swego majora, u którego mogłaś się czuć bardzo dobrze. Teraz znajdujesz się u nas, gdzie wyrazy „obowiązek" i „odpowiedzialność" pisze się dużymi literami. A ponieważ tobie nie podoba się to w sposób zupełnie oczywisty, musimy niezwłocznie wyciągnąć w stosunku do ciebie odpowiednie konsekwencje, które sama sobie zawdzięczasz.

— Proszę powiedzieć, co tu mają do rzeczy konsekwencje? — zapytała Zuzanna Singer, wcale nie tłumiąc głosu. — Gundula była tylko pytana o własne zdanie i wyraziła je.

— I to całkowicie wystarcza! — wrzeszczała piskliwie Eryka Warnke. — U nas działa się wraz z innymi dobrowolnie albo wcale. I dlatego, Gundulo, przyniesiesz natychmiast swoje rzeczy! Zostaniesz przeniesiona do najbliższej baterii przeciwlotniczej. Odejdiesz w ciągu godziny.

Dziewczęta milczały. Były jak ogłuszone. Nawet Zuzanna szepnęła ledwie dosłyszalnie: — Co za podstępne świństwo! — Uśmiech Moniki Hofer nawet w tej chwili nie zgasł jeszcze zupełnie.

Konstantyn Crusius spojrzał w błyszczące niebieskie oczy swojej Eryki. Oboje w tej chwili najchętniej padliby sobie w objęcia. Ponieważ to jednak na razie nie było możliwe, podał jej przynajmniej rękę i przyciszonym głosem, ale z uznaniem, zapewnił:

— Świetnie zrobione, moja kochana. To podziąła! Teraz z pewnością cią zrobimy swoje.

Ponieważ porucznik Crusius uważał się nie tylko za wybitnego taktyka, lecz też za urodzonego stratega, zdążył więc już opracować plan przeszkolenia dziewcząt z łączności. Najpierw przedstawił im czterech podoficerów, których przyprowadził ze sobą.

— Przypuszczam, że znacie już tych panów; być może niektóre z was nawet dość dobrze. — Porozumiewawcze w jego intencji przymrużenie oka miało dawać do zrozumienia, że nic, co ludzkie, nie jest mu obce. — Ale teraz są oni waszymi instruktorami! I w tym charakterze powinno się im udać nauczyć was trochę nowych rzeczy. Człowiek uczy się przez całe życie.

Następnie Crusius zabrał się do instruowania swoich podoficerów. Czynił to bezpośrednio wobec dziewcząt z łączności, które potem od czasu do czasu miał nazywać dziewczynami wojny błyskawicznej.

Oczywiście przy okazji tego instruktażu nie zabrakło też dowcipów z koszarowego dziedzińca.

— Jak wiecie, broń to żona żołnierza, ale nie musi to od razu stosować się także do istoty rodzaju żeńskiego, która się nią posługuje. A więc, jeśli zechce się wam zbadać coś namacalnie, to ograniczcie się uprzejmie tylko do pistoletów. W żadnym razie nie liczcie na nasze dziewczęta. Jeżeli któryś się na to poważy, to zerznę mu tyłek. Jasne?

— Tak jest, panie poruczniku — wrzasnęli podoficerowie, gotowi do dzieła.

Każdemu instruktorowi przydzielono osiem lub dziewięć dziewcząt. Grupy te wymaszerowały w kierunku zalesionego terenu za barakami. Już wcześniej przygotowano tam wszystko do ćwiczenia numer jeden — strzelanie z pistoletu *wzór 08*.

Dość masywne, zbyt ciężkie dla kobiecych rąk pistolety leżały w drewnianych skrzyniach, których wieka były otwarte i jakby zapraszały, by zajrzeć do wnętrza. Do kilku drzew przybito tarcze strzeleckie przedstawiające ludzkie sylwetki. Był to zatem „nieprzyjaciół”, do którego należało celować. Dwa miejsca były zaznaczone wyraźniej niż reszta — głowa i okolica serca.

Instruktorem grupy trzeciej, w której znajdowały się Zuzanna i Monika, był plutonowy nazwiskiem Wittmann, zażywny muskularny chłopisko o tubalnym głosie. Wspaniała okaz męczyzny — przynajmniej w swoim własnym pojęciu.

— Zaczynamy od podstawowych czynności. Najpierw napełniamy magazynek, następnie ładujemy broń. Potem będziemy strzelać — z początku na odległość dziesięciu metrów. To jasne jak słońce. No, to co? Dacie sobie radę?

— Nie wyobraża pan sobie, kolego plutonowy, z czym my sobie potrafimy dać radę — odezwała się Zuzanna Singer. — Czy pan już kiedyś przewlekał nitkę przez małe uszko igielne? Do tego trzeba mieć całkiem pewną rękę i dobre oko. A my mamy i jedno, i drugie.

— Ale to przecież zupełnie inna sprawa — odpowiedział instruktor i poczuł się niezwykle zakłopotany.

— Ma pan przypadkiem nas za niedorajdy? — zapytała zaczepnie Zuzanna. — Wprost nie chce mi się wierzyć, by tak było!

— Dość gadania, dziewczyno! Lepiej pokaż, co potrafisz — zawołał do niej.

W odpowiedzi na wezwanie Zuzanna chwyciła jeden z przygotowa-

nych i naładowanych już pistoletów. Potem odbezpieczyła go. Trzymała jednak pistolet nie tak, jak to się zwykle robi, to znaczy w prawej ręce. Uchwyciła go obiema rękami.

— Obieram dalszy cel po prawej stronie — powiedziała. Cel ten był jednak odległy od niej nie o dziesięć metrów, lecz prawie dwadzieścia pięć. Szybko wystrzelała do niego cały magazynek. Osiem strzałów i osiem trafionych. Przy tym wszystkie ułokowane w twarzy sylwetki na tarczy. W czole, pomiędzy oczyma, w ustach.

— No, to rzeczywiście proste jak drut, prawda? — odezwała się drwiąco.

Plutonowy Wittmann stał osłupiały ze zdziwienia.

— Dziewczyno, to jest robota! Moje uznanie! Czy inne też przypadkiem potrafią tak samo?

I rzeczywiście, jeszcze kilka dziewcząt w tej grupie dokonało tego samego. Co prawda, wypadło to nie tak świetnie, jak u Zuzanny Singer, ale jednak podziurawiły parę tarcz tak, że wyglądały jak ser szwajcarski. Plutonowy przypisał te wyniki swoim znakomitym metodom nauczania.

Pobiegnął zatem od razu do porucznika Crusiusa, obwieścić mu swój sukces. Crusius, wraz z komendantką Warnke, zatrzymał się nieco dalej, w głębi. Niby na stanowisku dowodzenia.

— Panie poruczniku, te babki, to znaczy dziewczęta, są po prostu świetne — wyrzucił z siebie z zachwytem Wittmann. — One nie tylko trafiają na sto procent, do tego jeszcze pukają jak kłusownicy! Kto by się spodziewał?

— Po moich dziewczętach — powiedziała Eryka Warnke z widoczną dumą — trudno było spodziewać się czegoś innego.

— Najlepsza ze wszystkich jest ta Zuzanna Singer. Ona się nadaje po prostu na olimpiadę! Za każdym razem trafia w czarne.

— A jak wyglądają pozostałe? — dopytywał się Crusius. I od niechcenia dorzucił: — Na przykład Monika Hofer?

— Ona także jest niezła, panie poruczniku. Nie jest wprawdzie tak szybka w strzelaniu jak Zuzanna. Potrzebuje trochę więcej czasu, ale za to trafia jeszcze dokładniej.

Gdy Wittmann oddalił się, Eryka Warnke nie mogła powstrzymać ciekawości: — Konstancyne, dlaczego zapytałeś akurat o Monikę Hofer? Czyżby cię interesowała w szczególności?

— W żadnym wypadku, moja kochana! Staram się tylko mieć ogólną orientację pod tym względem. — Zapewniając Erykę o tym, wpatrywał się w nią ze szczególną serdecznością. Nie bez skutku, jak zdołał zauważyć. — Poza tym sama mi przecież powiedziałaś, że musimy się bacznie przyglądać tym dwóm dziewczętom. A one trafiają! I to jak!

— Być może właśnie to — poddała mu pod rozwagę — jest jednak trochę podejrzane!

— Już ja mam wszystko na uwadze, droga Eryko. Ostatecznie jestem tak samo czujny, jak i ty. Na najbliższy czas wszystko wydaje się układać jak najlepiej, tak jak wspólnie zaplanowaliśmy. A więc — tylko tak dalej!

Już następnego dnia zaplanowano — w rozkładzie dnia punkt numer dwa z ćwiczeń obronnych — rzut granatem ręcznym. Instruktor trzeciej grupy, plutonowy Wittmann, był przekonany, że niezwłocznie będzie mógł zabrać się do dzieła. Był przecież niemal pewny, że jego dziewczęta są nadzwyczajne, nawet w ścisłym zakresie techniki wojennej.

— Oto więc, moje panie, jest granat trzonkowy — prezentował go, trzymając w wysoko podniesionej ręce, jakby wystawiał na licytację.

— Użytkowanie tej broni jest całkiem proste. Na dolnym końcu uchwytu znajduje się nakrętka. Gdy się ją tylko odkręci, ukazuje się sznur z pierścieniem. Należy nim szarpnąć, odbezpieczyć głowicę bojową. Potem — po trzech sekundach głowica eksploduje.

Wittmann odliczał: — Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy... to równe trzy sekundy. Musicie więc rzucić tym granatem tak, żeby wybuchł w momencie, kiedy uderzy w cel. A zatem, nie rzucajcie nigdy za wcześnie! Bo może się zdarzyć, że nieprzyjaciel po prostu odrzuci wam wasz prezent z powrotem. A on wam z kolei poszarpie tyłki.

— Jak pan powiedział? Tyłki? — natychmiast padło pytanie. Oczywiście odezwała się Zuzanna Singer.

— Przepraszam, już się poprawiam — wyszczerzył zęby Wittmann. — Chciałem powiedzieć, że przy tej okazji mogłyby ulec uszkodzeniu najszlachetniejsze części waszej powłoki cielesnej. A to byłaby ogromna strata.

Do podobnego poglądu skłaniała też dziewczęta ich wyobraźnia. Jednocześnie zaś zdumiewająco szybko pojęły, na czym rzecz polega. Obchodziły się ze środkami niszczącymi nader sprawnie i w dodatku niemal elegancko, zupełnie jakby się zabawiały piłką.

Plutonowy Wittmann wkrótce znów nabrał przeświadczenia, że w jego wypadku ma się do czynienia z wybitnym instruktorem. Przebiegał ze swoją trzecią grupą z okopu do okopu. Kazał rzucać, rzucać i znów rzucać. Wreszcie fachowo ocenił, że co prawda szczególnie dużych odległości nie osiągają jego podopieczni, ale celność rzutów jest wprost znakomita. Rozpętany przy tej okazji łoskot niszczenia wydawał się niemal magicznie przyciągać porucznika Crusiusa. Dziewczęta z łączności w dość krótkim czasie dokonały zniszczenia znacznej części swego przydziału granatów. Nieustannie rozlegały się odgłosy wybuchów, zupełnie jak wokół budy jarmarcznej na festynie.

Crusius wszedł pomiędzy zawodniczki i zagrzewał je słowami:

— Dobrze, dziewczęta! Tylko tak dalej! — Przy tym oczyma szukał Moniki Hofer, która znajdowała się jednak dość daleko. Potem rozejrzał się za Zuzanną Singer. Ujrzał ją daleko na przodzie. Skierował się więc do niej.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Oczywiście — odpowiedziała Zuzanna. — Zwłaszcza że rozkaz jest tylko rozkazem. Ale rozkazy mogłyby być bardziej sensowne, nie tylko od przypadku do przypadku.

Porucznik już przeczuwał coś niedobrego. Natychmiast odciągnął Zuzannę na bok, jakby chciał odłączyć ją od reszty.

— Ma pani jakieś wątpliwości? Dlaczego? A może ma pani zamiar sprawić mi jakiś kłopot?

— Niezupełnie tak, panie poruczniku. Czuję się jedynie zobowiązana zwrócić pana uwagę na jedną wypowiedź naszego fűhrera. Zawarty jest w niej fragment, na który nie powinien pan pozostawać obojętny.

— Tak? A cóż to takiego?

Zuzanna wyjęła z wewnętrznej kieszeni munduru kartkę papieru. Rozłożyła ją i odczytała zapisane na niej słowa fűhrera:

— „Jak długo mamy jeszcze zdrowych mężczyzn, tak długo my, narodowi socjaliści będziemy dbać o to, by w naszej ojczyźnie nie tworzono kobiecych oddziałów do walki za pomocą granatów ręcznych,



ani też kobiecych formacji strzelców wyborowych. Albowiem byłoby to oznaką nie równouprawnienia, lecz poniżenia kobiety". Koniec cytatu.

Na Crusiusie wywarło to widocznie wrażenie, może nawet był zdetonowany.

Czy Führer rzeczywiście mógł powiedzieć coś podobnego? Zrozumiał, że jego genialnie zaplanowane przygotowanie obrony jest zagrożone, a może nawet podane w wątpliwość.

— Prawdopodobnie to jakiś poeta na tyłach spłodził coś takiego, a potem przedstawił to jako pogląd Führera.

— W tym wypadku, panie poruczniku, marny do czynienia niewątpliwie z oryginalnymi słowami Führera. Cytat został wyjęty z mowy, którą skierował do tak zwanej niemieckiej opinii publicznej.

— Nie do pojęcia! — wykrzyknął wzburzony Crusius. Jednocześnie przyszło mu na myśl coś, jego zdaniem, bardzo istotnego, a co rzeczywiście nie było bez znaczenia. — Kiedy to miało miejsce?

— W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym.

Słyszając to, porucznik odetchnął pełną piersią. Znalazła się przynajmniej słówka, której mógł się uchwycić.

— A więc było to przecież, w czasie najgłębszego pokoju. W tej chwili mamy rok czterdziesty piąty. A to jest już, panno Singer, zupełnie inny świat.

Zuzanna zapytała z kolei z łagodnym uporem, czego prawdopodobnie nauczyła się od Moniki:

— Czyżby pan był zdania, że wypowiedź naszego Führera nie ma już żadnego znaczenia?

— Bardzo panią proszę, niech mnie pani nie pomawia o coś podobnego! Swoją uwagą chciałem jedynie zaznaczyć, że warunki zdążyły się w tym czasie zmienić w sposób zasadniczy. Bo przecież nieprzyjaciele zmusili nas do zastosowania wojny totalnej.

— Ależ przecież nawet w tej sytuacji nie mogą ulec przekreśleniu idee naszego Führera. Wypowiedź Führera należałoby gruntownie rozważyć, może nawet na wyższym szczeblu. — Należało przypuszczać, że ma ona na myśli generała.

— Czy może mi pani dać kartkę z owym cytatem, panno Singer? Zdecydowanym ruchem wyciągnął prawą rękę.

— Ależ chętnie, panie poruczniku. — Podała mu skrawek papieru. — Ostatecznie jest jeszcze kilka kopii tego tekstu.

Crusius spojrział właściwie pro forma na zegarek, a następnie

zapowiedział: — Koniec szkolenia bojowego na dziś. Dziękuję i wyrażam uznanie wszystkim uczestnikom. Dobrze wywiązaliście się, dziewczęta i żołnierze. Zarządzam zwiększenie przydziału żywności na dzisiejszą kolację.

Konstantyn Crusius udał się natychmiast do Eryki Warnke i rozpoczął z nią rozmowę „w cztery oczy”. Oczywiście, zostało to przyjęte nader przychylnie, w dodatku — w „prywatnym” mieszkaniu Eryki. Od samego wejścia Crusius przygarnął ją mocno i długo trzymał w objęciach. Przytuliła się do niego, spojrzała mu w oczy i zapytała zatroskana:

— Masz poważną minę, Konstantynie. Czy ci się nie powiodło?

Pogładził delikatnie i z upodobaniem jej krągłości, a następnie opadł na łóżko polowe. Przysiadła się do niego, przyglądając mu się szczerze zatroskana. Bohaterom wszak wolno ulegać zmęczeniu — od czasu do czasu.

— Wydaje mi się, że masz rację, Eryko. Ta Zuzanna Singer rzeczywiście robi wrażenie podstępnej, dość niebezpiecznej osóбки.

— Podobnie jak Monika Hofer — zapewniła. — Obie trzymają się razem.

— Możliwe, moja kochana. Ale kiedy rozmawiałem z Zuzanną Singer, Monika Hofer stała gdzieś daleko od nas.

— To znaczy, że rozglądałeś się za nią, a może już znów usiłujesz wziąć tę osobę w obronę?

— Nic podobnego, Eryko! Nie doceniasz mnie pod tym względem. Bo ja w tej chwili jestem skłonny uważać, że powinniśmy je obie przenieść, i to możliwie szybko, do najbliższej baterii artylerii przeciwlotniczej.

Te słowa do pewnego stopnia przywróciły Eryce równowagę umysłu. Znów uwierzyła, że może być pewna jego miłości.

— Na co poważyły się tym razem te bydlądka? — zapytała.

Pokazał jej kartkę: — Singer była tak bezczelna, że zwróciła mi uwagę na ten cytat z tekstu Hitlera.

Eryka Warnke ujęła kartkę spiczastymi palcami, odczytała wypo wiedź i powiedziała:

— Przecież to jest szkodliwe.

— To, co powiedział nasz Führer?

— Ależ nie! Sam cytat pochodzi z wypowiedzi przebrzmiałej, kiedyś z pewnością słusznej. — Jej umiłowany führer miał ostatecznie zawsze rację. I wówczas, kiedy coś takiego mówił, i dzisiaj, kiedy żądał rzeczy całkiem innej. — Sądzę, że szkodliwy jest nie ten cytat, tylko fakt, że szermuje nim akurat niejaka Zuzanna Singer.

— Także mnie to zadziwia i to dość mocno. Bo w żadnym wypadku nie uważam jej za osobę szczególnie inteligentną.

— Toteż nie jest ona wcale inteligentna, tylko wyrafinowana, wyrachowana i dba przede wszystkim o własne korzyści. Zatem ta podstępna sztuczka z cytatem najpewniej nie wyrosła na jej własnym półku. Chyba ktoś jej to wetknął w rękę, przekonał i namówił, by się na to powołała.

— Nie wydaje mi się to prawdopodobne — stwierdził Crusius.— Kto, twoim zdaniem, mógłby próbować w taki sposób wejść nam w paradę?

— No, należałoby może mieć na uwadze kapitana Rommelskirchena, adiutanta generała. Jest on niechętny tobie; może to zawiść albo coś podobnego. Ostatecznie brak mu twoich horyzontów myślowych. Poza tym musimy też uważać na dość podejrzaną powiązanie Zuzanny Singer z jej kuzynką. Nie można wykluczać też sierżanta Wegnera, który zawsze chętnie wypowiada osobiste, dość samowolne poglądy. Podobno przeczytał nawet „Mein Kampf” Hitlera i nie opowiedział się bez zastrzeżeń za przekonaniem Führera. No i wreszcie Korallnik, ta chytra gadzina! Po nim można się spodziewać wszystkiego.

— A więc podstępny spisek? Sprzysiężenie wymierzone wyraźnie przeciwko nam?

— Wykluczyć tego naprawdę nie można. Nawet wybitni ludzie stają się nieraz wrogami. Nasza germańska tradycja obfituje w podobne przykłady. Lecz głosi ona również zasadę — im więcej wrogów, tym większy honor! Jesteśmy silniejsi od naszych wrogów. Co do tego żywię niezłomne przekonanie!

## 5. Nawet najpiękniejsza noc kończy się o świcie

Noc ta rozpoczęła się podobnie jak wiele innych przed nią. Wartownicy na posterunku wokół zameczku Friedrichsruh, ziewając, gapili się przed siebie. Od czasu do czasu zdarzało się im opierać karabin o ścianę baraku, żeby się spokojnie wysikać. Nuda przed północą.

W kobiecym baraku dziewczęta brały prysznic przed snem, jeśli nie miały nic lepszego do zrobienia. Tu i ówdzie otwierano lub zamykano drzwi; można było wówczas usłyszeć czyjeś skradające się kroki. Natomiast trudno było dojrzeć kogokolwiek, gdyż księżyc w pełni rzucał gęste cienie, które zręcznie wykorzystywał ten, kto śpieszył na nocne spotkanie.

W kilku pokojach paliło się jeszcze światło. Chociaż zgodnie z rozkazem wszystkie okna były zaciemnione, to jednak na obrzeżach pozostały wąskie szczeliny. Stanowiły one wielką pokusę dla żołnierzy, którzy na pewno mieli ochotę niedyskretnie zajrzeć do pokojów dziewcząt z łączności, a w miarę możliwości nawet do łazienki. Jednakże wszelkie tego rodzaju próby, mimo usilnych starań, kończyły się niepomyślnie.

Zameczek Friedrichsruh sprawiał w świetle księżyca wrażenie czegoś przedziwnie uroczonego, wydawał się przedstawiać zaczarowany świat baśni — wieżyczki jak z cukru, małe, połyskujące jak oczy okna, lśniące szczyty dachu, które przy odrobinie wyobraźni można było uznać za pozłacane. Ponad tym wszystkim potężnych rozmiarów kurek, wielkości chyba kondora, przeżarty rdzą i dlatego całkiem nieruchomy.

W pobliżu lasek — przeważnie świerki i jodły, lecz pomiędzy nimi trochę drzew liściastych, w których mocarnych konarach z wolna zaczynało sączyć się życie. Mieszany las budził się z nadejściem wiosny.

U wejścia do schronu podziemnego świeciła czerwona lampa, od góry osłonięta przed nieprzyjacielskimi samolotami rozpoznawczymi. Lampa jak przed burdelem — żartowali sobie żołnierze. A było to, zwłaszcza ostatnio, jak przypuszczano, coraz bliższe prawdy. W rzeczywistości zaś czerwone światełko miało sygnalizować tylko: zabroniony nie upoważnionym wstęp do stanowiska dowodzenia, które było czynne całą noc, najczęściej pod kierownictwem sierżanta Wegnera.

Zatem całkiem zwyczajna, spokojna noc. Jednakże ta noc miała przynieść kilka przykrych sytuacji. Właściwie, mając jako tako rozwiniętą wyobraźnię, można się było z nimi liczyć, ale któż by się zastanawiał nad tym, co się może dopiero wydarzyć.

Pierwszy, stosunkowo jeszcze nieszkodliwy incydent miał miejsce w zakresie działania starszego szeregowego Helmreicha. Ów fryzjer z zawodu był w tym czasie na polecenie Koralnika zajęty pracą w dziedzinie, delikatnie mówiąc, wewnętrznej obsługi jednostki. Żołnierze funkcję tę określali znacznie bardziej dosadnie — zatrudniał się on w charakterze męskiej burdelmamy.

Było to wprost nieuniknione w obozie, w którym przebywali obok siebie: tłum zdrowych mężczyzn i spora grupka apetycznych dziewcząt. Odbywało się tu wszystko mniej więcej według następującego scenariusza: mężczyzna pragnie dziewczyny, dziewczyna zgadza się, lecz brak im dogodnego miejsca do spotkania. Jednak miejsce znajduje się i wkrótce korzysta się z niego. W baraku żywnościowym co noc odbywały się spotkania miłosne — na trzy do pięciu zmian, w miarę zapotrzebowania. System był nie tylko chytrze obmyślony, lecz również sprawdzony w działaniu.

Tym razem coś zawiodło. Do Helmreicha, który jako nader uprzejmy i pojmujący sytuację organizator zatrzymywał się w pierwszym od wejścia pomieszczeniu, wpadł jak bomba jeden z „klientów”. Był nim sierżant nazwiskiem Schwarzkopf; dość niskie, przysadziste chłopisko, znane zwłaszcza jako pyskacz.

Widać było po nim, że aż kipi.

— Po prostu oburzające! — wrzasnęła do Helmreicha. — To uwłacza mojemu honorowi żołnierskiemu. Co sobie właściwie myśli ta nędzna siksa? Zgrywa się na furię i wali mnie po plecach, kiedy chcę przejść do rzeczy. Czy ona przypadkiem myśli, że ja mam zamiar razem z nią śpiewać nabożne pieśni?

— Powoli, Schwarzkopf, tylko powoli. — Jeśli sierżant i starszy szeregowy byli ze sobą spoufaleri, nie było w tym nic szczególnego; było to raczej ogólnie przyjęte w sferach związanych z burdelem. — Bardzo możliwe, że obszedłeś się z nią niewłaściwie.

— Chłopie, o jakim obchodzeniu tu mowa!? — nie przestawał szaleć Schwarzkopf. — Przecież wyliczyłem ci na rękę pięćdziesiąt marek gotówką za niekrępujący pokój. A co tymczasem robi ta głupia koza? Zachowuje się, jakby należała do Armii Zbawienia. To niesłychana obraza i żądam za to odszkodowania. Co najmniej zwrotu podwójnej sumy.

— Zaraz to wyjaśnimy — Helmreich był poważnie zaniepokojony. — Czuj się tymczasem jak nasz gość.

Podsunał sierżantowi butelkę wódki owocowej, najgorszej z możliwych. Zawiedziony zalotnik chwycił ją skwapliwie, by uśmierzyć niepomierne wezbrane oburzenie. Jeśli to w ogóle było możliwe.

Helmreich w poszukiwaniu pomocy pośpieszył do Koralnika. Ten administrator łóżek był pewny, że jego „system” działa właściwie bez zarzutu — przecież wielokrotnie był sprawdzany. W każdym razie dotychczas wszystko odbywało się „normalnie”. Stąd płynął całkiem logiczny wniosek — tym razem miał on do czynienia z kimś nienormalnym! Nie było tylko jasne, kto wchodzi w rachubę — on czy ona.

System Koralnika opierał się na założeniu, że na scenie gra toczy się na zasadzie dobrowolności; a raczej nie na scenie, lecz w łózkach. Interesanci, zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej, mogli zgłaszać swoje życzenia, a więc — kto z kim. Koralnik, gdy tylko upewnił się co do gotowości partnera, aranżował odpowiednie spotkanie.

Pozostałe sprawy organizacyjne załatwiał starszy szeregowy Helmreich, a więc pobieranie opłaty za pośrednictwo w kwocie trzydziestu marek, a oprócz tego wyrównanie drobnych wydatków, w sumie dwudziestu marek za godzinę. W zamian zapewniony był osobny pokój i świeża bielizna pościelowa. Również urządzenia sanitarne były do dyspozycji. Ogólnie należy przyjąć, że Koralnik na swoim przedsiębiorstwie zarabiał całkiem nieźle.

W każdym razie Helmreich szukał swego „szefa”, aż wreszcie znalazł w jego piwnicy winnej. Siedział tam przy nastrojowym świetle świecy. Wydawało się, że czeka na coś lub kogoś — jak zawsze. Tym razem być może na Zuzannę Singer.

Koralnik przysłuchiwał się temu, co opowiadał Helmreich, z takim spokojem, jakby to była bajeczka o krasnoludkach. Potem powiedział: — Ten Schwarzkopf był zawsze głupim baranem. — Miało to znaczyć: Z tym drapakiem lepiej było się nie zadawać. — Którą to zamyślał przerobić? Winterównę? Ona przecież nie jest dziecięciem smutku. Należy więc przypuszczać, że ten byczek musiał się do niej po świńsku przystawiać. Proponowałbym więc, byś zaraz o szczegóły wypytał Winterównę.

Wywiad odbył się natychmiast na korytarzu w tylnej części baraku kobiecego. Przy tej okazji Helmreich, który miał tam prawie wolny wstęp, przekonał się naocznie, że dziewczyna była po prostu wściekła, prawie tak samo, jak odprawiony przez nią Schwarzkopf.

— Za kogo mnie tu mają, panie Helmreich? Spodziewałam się przyjemnego spędzenia jakiejś godziny, włączając w to miłość. Tymczasem ten facet zachował się jak podniecony buhaj! Po prostu napadł na mnie! Próbował brutalnie zedrzeć ze mnie odzież i obszedł się ze mną jak ze zwierzęciem. No, to trzasnęłam go raz w głowę i uciekłam.

Brzmiało to całkiem prawdopodobnie. Helmreich odszukał więc ponownie Koralnika, by zdać mu relację z tego, co powiedziała Winterówna.

Kapral zaledwie skinął głową. — Tak też sobie myślałem. No, to trzeba się do tego zabrać!

Udał się do czekającego wciąż sierżanta Schwarzkopfa, „buhaja zarodowego”, jak od tej pory nazywano go w jednostce. Ten tymczasem zdążył już zawrzeć bliższą znajomość z butelką wódki, którą mu podsunęto. Rozglądał się teraz dookoła lekko zamglonymi oczyma.

— Posłuchaj no mnie teraz uważnie — przywołał go do porządku Koralnik. — Tu nie załatwia się spraw tak, jak ty to sobie wyobrażasz.

— A dlaczegoż to nie, ty dupo wołowa? — oburzył się bełkotliwie sierżant. — Przecież wybuliłem tu pieniądze za małe spółkowanie. A miałem to? Gównu! Mam być wystawiony do wiatru? Chcecie mnie wycyckać? Nie ze mną takie numery!

Podczas kłótni Helmreich usunął się w najdalszy kąt. Koralnik wprost przeciwnie — usiadł naprzeciw sierżanta. Zmierzył go ni to pogardliwym, ni badawczym wzrokiem, a następnie oświecił na swój sposób:

— Wyobrażasz sobie, ty patentowany idioto, że możesz tu zgłaszać

jakieś pretensje? Że niby zapłaciłeś? Za co i komu? Możesz przedstawić odpowiednie pokwitowanie? Nie możesz. A ja mógłbym udowodnić, że ty nieprawnie skorzystałeś z pokoju kolegi, żeby tam zwabić, a może nawet przemocą ściągnąć dziewczynę z łączności.

— To bezczelność! Wypraszam sobie, ty podły kundlu! — gulgotał Schwarzkopf. — Jak mówisz, śmierdzący gnojku, do mnie, sierżanta?

— Mówię do rozpustnej świni i łatwo udowodnię, że nią jesteś — oświadczył Koralnik, wcale nie zbity z tropu. — Zależy ci na tym, żeby się wszyscy o tym dowiedzieli? Będziesz to miał! A jeżeli nie, to wynoś się!

Sierżant Schwarzkopf w samej rzeczy czynił usiłowania, by się wynieść. Co prawda, zdołał jeszcze oświadczyć płaczącym się językiem: — Jeszcze pożałujesz tego, Koralnik.

— Pan sierżant oczywiście może na pociechę zabrać sobie prawie do dna wypitą butelkę wódki — powiedział drwiąco kapral. — Pozwolę sobie policzyć za nią panu sierżantowi wyjątkowo ulgową cenę w wysokości dwudziestu marek. Płatne natychmiast, a najpóźniej jutro.

— Posłuchaj — odezwał się Schwarzkopf zdławionym głosem. — Powyrywam ci jeszcze nogi z dupy. Już ja znajdę do tego okazję. I wtedy zamkniesz wreszcie swoją bezczelną jadaczkę; na zawsze.

— I wyszedł chwiejnym krokiem.

— Pozwalam sobie — krzyknął za nim Koralnik — życzyć panu sierżantowi przyjemnej nocy.

W odpowiedzi wyższy rangą podoficer wydał w najwyższym stopniu obrzydliwy, a przy tym dość przeciągły dźwięk. Prawdopodobnie uważał to za jedyną odpowiedź, za pomocą której wojskowa osobistość może skwitować wyzwanie ze strony kogoś niżej postawionego. Zniknął.

— Czy to było konieczne? Musiałeś i jemu zaleźć za skórę? — Helmreich miał mocno zatroskaną minę. — Ten drań może nam narobić przykrości!

— Ech, co tam, bracie — odezwał się. Koralnik z niewzruszonym spokojem. — Ta świnią sama sobie narobi przykrości. Jeżeli ktoś z tego podłego gatunku wspiął się jak pluskwa do stopnia sierżanta, to robi i ścierpi wszystko, a żeby tylko nim pozostać. On nie zaryzykuje, by go zdegradowano z powodu dziewczyny, do której chciał się dobrać. A zatem weźmie ogon pod siebie.

Ocena ta była najpewniej trafna. Nie minęła godzina, gdy u Koralni-



ka zjawił się plutonowy, który podał się za wysłannika Schwarzkopfa. Przyniósł czterdzieści marek.

— Sierżant — zakomunikował — przesyła pozdrowienia. Prosi — rzeczywiście powiedział: „prosi” — o jeszcze jedną butelkę wódki.

Do prośby ustosunkowano się oczywiście przychylnie.

O tej samej porze, tuż przed północą, generał Blütenberger znów wypowiedział parę swoich złotych myśli, brzemiennych w niezwykle głębokie treści. Odbywało się to w głównej sali kasyna, przy lekko przyćmionym świetle. Jego sekretarka i towarzyszką zabaw, Marianna Dengler, roztaczała nad nim dyskretną opiekę, a adiutant, kapitan Rommelskirchen, podziwiał go w skupieniu. Za to wolno im było razem z nim delektować się jego szampanem.

— Stoimy wobec nieuniknionej konieczności — filozofował. Mówiąc „my”, przypuszczalnie myślał „ja”. — Konieczność tę dyktują nam czynniki najwyższe. Lecz tego samego żąda się także na samym dole.

— Ten drugi czynnik — zgodził się adiutant—jak się wydaje, coraz mocniej daje się ostatnio odczuć również tu, u nas.

— Wyraża to pan aż nadto zrozumiale, drogi panie Rommelskirchen — w zamyśleniu pokiwał głową generał. — Jednakże z istoty mojej władzy wynika, że nie wolno mi się ociążać przed wywiązaniem się z tych obowiązków. Jakkolwiek sprawi mi to pewne trudności, nawet w sensie po prostu fizycznym.

Już wcześniej, w chwilach większej bądź mniejszej słabości, generał wyjaśniał swoim najbliższym współpracownikom, jak mają to rozumieć. Okazjonalnie nawiedzały go mianowicie silne bóle głowy, dokuczał mu żołądek, a w okolicy serca często odczuwał ucisk. Kapitan doktor Säbisch oczywiście usiłował przeciwdziałać tym objawom, ale prawie bez skutku. Było to spowodowane jego nieudolnością.

Marianna Dengler odezwała się opiekuńczo:

— Może powinien pan, panie generale — nigdy nie mówiła do niego „ty” w obecności innych osób — zrezygnować z rzeczy nadmiernie obciążających organizm, na przykład z mocnej kawy i zbyt tłustych potraw.

— Dziękuję, moja szanowna pani! — Pogłaskał ją po dłoni. Siakznajdowała się w zasięgu jego ręki. — Pani troska sprawia mi ogromną ulgę. Jak dobrze!

Z kolei Rommelskirchen ośmielił się zabrać głos:

— Bardzo możliwe, panie generale, że pańskie nie najlepsze samopoczucie wynika ze zdenerwowania. Mam na myśli irytujące imprezy, które urządził porucznik Crusius. Jego cyrk obronny z dziewczętami z łączności, jak już nazywają w jednostce to przedsięwzięcie, nie może być chyba po pańskiej myśli. A jeśli jest tak rzeczywiście, to wystarczy, by pan po prostu tego zabronił.

— Mógłbym, panie Rommelskirchen, gdybym tylko chciał. — Blütenberger uśmiechnął się z wyrazem głębokiego zamyślenia na twarzy, przez co chciał wyrazić swoją mądrość. — Pomimo wszystko jestem bardzo czujny. Niech pan więc od razu nie sądzi, że cokolwiek istotnego ujdzie mojej uwagi. A już w żaden sposób nie przeoczę ciągłego, ostatnio nawet wzmożonego współzawodnictwa między panem a Crusiusem.

— Panie generale, to, na co Crusius w tej chwili się poważył, można by w ogóle określić jako nadużycie. Dlatego nie mogę się na to zgodzić.

— W tej sprawie — stwierdził generał Blütenberger — zasięgałem już opinii. Zarówno porucznika Crusiusa, jak i komendantki, pani Warnke. — Miało to znaczyć: niczego nie przeoczyłem, dostrzegam wszystko! — Oni zaś oboje zgodnie zapewnili mnie, że dziewczęta całkiem dobrowolnie wzięły udział w tym dodatkowym szkoleniu. Są po prostu zdecydowane, jak przystoi aryjskim kobietom, bronić swojej niemieckiej ojczyzny.

Rommelskirchen z z troskaniem pokręcił głową. — No tak, trudno sobie wyobrazić, by nasze dziewczęta były postaciami na miarę Joanny d'Arc.

— A dlaczegoż by nie? — wmieszała się w rozmowę Marianna Dengler. Nie zabrakło jej przynajmniej żwawości prostodusznej dziewczyny. — Czy pan się już po nas niczego nie spodziewa, nawet odrobiny odwagi?

Generał protekcyjnie uspokoił ją.

— Rozumiem wszystko, moja droga, ale trudno mi uznawać coś, dla czego nie potrafię znaleźć zrozumienia. Trzeba przecież dostrzegać różnicę pomiędzy pewnymi sprawami.

Kapitan uznał, że w odpowiedzi może się posunąć jeszcze krok dalej.

— Panie generale, czy wolno mi zatem przyjąć, że nie pozwoli się pan zwieść Crusiusowi i pani Warnke?

Generał przyłożył rękę do piersi w miejscu, gdzie, jak należało się spodziewać, znajdowało się serce, z pewnością bardzo dużego formatu.

— Nikt nie może mnie zwięść, przynajmniej na dłuższą metę — zapewnił. — Jeśli dniem i nocą czuwa tu ktokolwiek, to nikt inny, tylko ja.

W tej chwili był jednak bardzo blady i wyglądał na zmęczonego. Najwidoczniej niczego tak nie pragnął, jak usunąć się do własnej sypialni.

Opuścił więc kasyno, Marianna poszła za nim. Wprawdzie nie z objawami psiego przywiązania, lecz raczej jak ktoś, kto z oddaniem spełnia swój obowiązek.

Zuzanna i Monika siedziały w obszernych nocnych koszulach z białej bawełny w kącie swojego pokoju, między oknem a szafą. Nachyliły się do siebie, rozmawiając szeptem. Zajadały przy tym tabliczkę mlecznej czekolady; ma się rozumieć — z zapasów Koralnika.

— Moniko, coś cię dręczy — zauważyła Zuzanna. — Ale, cokolwiek to jest, nie bierz tego od razu tak tragicznie. Powiedz sobie, że coś podobnego często zdarza się i przemija. A ten obskurny prowincjonalny cyrk, przypuszczam, już niedługo da swój ostatni występ.

— Nie martw się, Zuzanno, z mego powodu. Wszystko układa się dobrze.

— Mimo wszystko, Moniko, nie podobasz mi się. Może doświadczyłaś czegoś niedobrego z jakimś chłopem? To przytrafia się niejednej. A może masz jakieś kompleksy, na przykład z powodu twego ojca?

— Co wiesz o nim? — zapytała gwałtownie Monika.

— Nic, jeszcze nic. Ale wydaje mi się, że ten temat absolutnie ci się nie podoba, a może nawet drażni. Prawda? Pozostawmy to więc w spokoju.

Monika z wdzięcznością przytuliła się do tak wyrozumiałej przyjaciółki. — Od czasu, kiedy jesteśmy razem, jest mi dobrze. O ile podobny stan jest jeszcze w ogóle możliwy...

— Ale masz tu przecież nie tylko mnie, lecz także innych. A więc sierżanta Wegnera, który wśród tych osiłeków jest chwalebny wyjątkiem. Na Koralnika też możesz liczyć o każdej porze. Co prawda często, a przy tym chętnie zachowuje się on jak wypuszczony na wolność knur. A jednak, jeśli mu się przyjrzeć dokładniej, to okazuje się, że to wspaniały, choć bardzo samowolny chłopak. Ciebie to jednak, jak mi

się wydaje, specjalnie nie interesuje. Dlaczego? Co się z tobą dzieje?

— Sama nie wiem — wyznała Monika. — Wiem tylko tyle, że czasem, a ostatnio nawet bardzo często ogarnia mnie strach.

— Dlaczego? I przed kim?

— Przed wszystkim, co się zbliża.

— Zbyt wiele rozmyślasz — powiedziała Zuzanna — i niepotrzebnie zastanawiasz się! — Po chwili spontanicznie zaproponowała: — Chodź, ubierzemy się i pójdziemy sobie na jaką godzinkę. Koralnik zawsze nam jest rad.

— Nawet o tej porze? — zapytała Monika z powątpiewaniem.

— A dlaczegoż by nie? — Zuzanna była niepohamowana w swojej przedsiębiorczości. — Kto albo co mogłoby nam przeszkodzić? W tym baraku wciąż panuje ruch jak na odpuście. Myślę, że jest tak, jak wszyscy mówią. Komendantka ma być dla nas przykładem; zawsze sama siebie stawiała nam za wzór. Zatem, jeżeli Eryka Warnke sobie na coś pozwala, to i nam wolno to robić. Tyle nam się należy. Nie bądź strachajłą, Moniko. Chodźmy!

Po zażegnaniu przykrego incydentu z sierżantem Schwarzkopffem Koralnik wdał się ze starszym szeregowym Helmreichem w pewnego rodzaju rozmowę informacyjną. Za pomocą butelki dobrego wina. Było rzeczą zrozumiałą, że przy tej okazji rozmawiali o „babach z baraku”. W tej materii August Helmreich, zwany powszechnie po prostu Augustem, był znawcą. Przemawiało za nim też to, że większość dziewcząt uważała go za istotę rodzaju nijakiego. Zdarzało się, że nazywały go swoim „małym rajfurem”; przezwiska tego nie uważały bynajmniej za pogardliwe. Żadnej z nich nie przyszło nigdy do głowy nazywać go na przykład „sutenerem”. Jednym słowem był nieszkodliwy, miły i przy tym bardzo użyteczny.

W każdym razie pewne było, że Helmreich świetnie się orientuje w problemach baraku kobiecego. Toteż Koralnik nie musiał go nawet specjalnie zachęcać do mówienia. Helmreich chętnie i ze znanstwem korzystał z zasobu swojej wiedzy o rzeczach mieszczących się głównie w okolicy bioder.

— A więc, czuć je mocno, czasem po prostu ostro. Zdarza się, że ten fetor przyprawia o zawrót głowy. Wiesz, Koralnik, szczególnie rano,

zaraz po obudzeniu gdybyś tam kiedyś wetknął nos, chłopie! Od razu by cię zważyło z nóg.

— Nasi chłopcy też nie pachną specjalnie różami, kiedy wyciągają tyłki z łóżek — zauważył Koralnik. — A kiedy jeden drugiemu pod nosem smrodzi, to nie przeszkadza im ani trochę. Te śmierzdziele uważają, że to rezultat przebywania zgranej paczki w bardzo ciasnej przestrzeni.

— Dziewczyny mają jednak o wiele delikatniejsze nosy. Przypuszczam nawet, że u nich podobne zachowanie mogłoby wywołać prawdziwy skandal.

Koralnik był tego samego zdania: — Wody nie starcza im, choćbyś ją lał nawet wiadrami. A weź na przykład mydło. Dziewczęta używają go więcej niż im daliśmy, choć wcale nie żałowaliśmy. I więcej proszku do prania, i częściej zmieniają bieliznę.

— Uchwyciłeś sedno sprawy! — zgodził się z nim Helmreich. — Babki są przeważnie bardzo miłe i ładne. Nie chcą śmierdzieć jak kozy, wołają pachnieć jak wiosenne kwiaty i wyglądać jak świeże pąki. Temu, kto im to umożliwi, będą jadły z ręki. I to oględnie tylko mówiąc.

W momencie, kiedy przepijali do siebie, rozległo się pukanie do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, do pokoju weszły Zuzanna i Monika. Bez skrępowania usiadły, a Zuzanna zapytała:

— No, moi panowie, co ma nam do zaoferowania ten lokal?

Koralnik, który jak zwykle od razu opanował sytuację, udał kelnera z najlepszego zakładu:

— Polecani paniom aksamitnego, perliście czerwonego burgunda! Mógłbym też polecić szlachetne, kryształowo przejrzyste wytrawne białe wino ze środkowych Włoch.

Monika poprosiła o wodę mineralną. Zuzanna zdecydowała się na to samo, ale poprosiła jeszcze o kieliszek wytrawnego frascali. Konrad Koralnik uważnie obserwował, czy nie zmiesza przypadkiem jednego z drugim. Nie zrobiła jednak tego, osobno piła wodę i wino. To mu się także spodobało.

— Może pan śmiało pozostać z nami — zapewniła Helmreicha Zuzanna. — Wcale pan nie przeszkadza, naprawdę nie.

Ten jednak właściwie zrozumiał spojrzenie Koralnika i powiedział: — Dziękuję za uprzejmość, panno Singer. Ale mam jeszcze mnóstwo roboty — i wyszedł.

Koralnik spojrział za nim i uśmiechnął się z uznaniem. Nawet ten Helmreich, jak wydawało się, wykazywał nie tylko coraz więcej zręczności, ale także taktu. Koralnik już miał na widoku parę przyjemnych kwadransów, ale okazało się, że cieszył się przedwcześnie.

— Bardzo ciekawa jestem, dlaczego właściwie sierżantowi Wegnerowi najwidoczniej wcale nie zależy na tym, by mieć w swojej nocnej zmianie w schronie mnie i Monikę? — dopytywała się Zuzanna.

— Sądzę, moje panie, że wiem, o co chodzi — odpowiedział Koralnik. — Mój drogi przyjaciel Anton Wegner jest niestety prawdziwym omnibusem, gdyż działa w kilku dziedzinach. Poza tym mogę o nim śmiało powiedzieć, że jest to diabelnie przyzwoity człowiek. W efekcie zresztą i jedno, i drugie ma ten sam skutek. Anton prawdopodobnie unika sytuacji, w której obie panie, a zwłaszcza Monika, pracowałyby w bezpośredniej z nim styczności.

— Żeby nie musiał wydawać nam rozkazów? — zapytała Zuzanna. — No tak, to wydaje się poniekąd taktowne, chociaż mocno przesadzone.

— Nie tylko, to jest niesłychanie głupie, wiem. Ale on już taki jest. — Koralnik dolał znacznie więcej wina niż wody. — W każdym razie ja nie odczuwam podobnych skrupułów. Jestem gotów do usług w każdej chwili — znacząco spojrzął na Zuzannę.

— Wiadomo — skarciła go łagodnie — pan przecież jawnie chce dać do zrozumienia, że w ogóle dziewczęta, a nawet mnie, zalicza do lekkiego autoramentu. Zgodnie z receptą: dopaść, rozłożyć, dać drapak!

— Czyżby pani mnie tak naprawdę oceniała? — zapytał kapral. — Czy dałem pani do tego powody?

— Nie dał pan — zapewniła go Monika.

— Ależ tak, dał! — oświadczyła Zuzanna, wcale nie zbita z tropu. — On uważa, że jest tu jednym z jeleni na rykowisku i ma prawo do własnego stadka łań, z którego w każdej chwili może sobie wybierać według upodobania. Oczywiście postępuje przy tym znacznie sprytniej, a może nawet bardziej podstępnie od innych.

Koralnik roześmiał się na cały głos i z zadowoleniem zatarł ręce.

— Dziękuję za hymn pochwalny pod adresem moich osobliwych uzdolnień, Zuzanno. Lubi mnie pani?

— Takie odnoszę wrażenie — wtrąciła uprzejmie Monika. — Chyba będzie lepiej, jeżeli sobie pójdę.

— Zostań — zadecydowała Zuzanna.

A Koralnik ze śmiechem dorzucił:

— Nie chce pani chyba pozostawić przyjaciółki wśród ciemnej nocy, sam na sam z nieobyczajnym łobuzem! Ale przestaśmy już snuć mroczne przypuszczenia i przejdźmy na trochę inny temat. Jeżeli macie, moje panie, jakiegokolwiek życzenia, to wystarczy, żebyście mnie o tym powiadomiły. Spełnię je natychmiast.

— Wolałabym nie przypuszczać, że ma to być znów jeden z pańskich dwuznaczników — powiedziała Zuzanna. — W każdym razie w pańskim interesie nie będę tak uważała. A więc, prosiłybyśmy o jeszcze jedną tabliczkę czekolady. A do tego może jeszcze o pastę do zębów i mydło.

Nie dłużej niż po dwóch minutach pojawił się z powrotem Koralnik z zamówioną czekoladą i artykułami toaletowymi. Wszystkiego było po tuzinie, w dużym kartonie. Do tego jeszcze flakon perfum. Zuzanna wyjęła korek i powąchała; odstawiła go z wyraźnym obrzydzeniem.

— To przecież ohydnie śmierdzi! — obwieściła. — Jak w najpodlejszym burdelu! I coś podobnego chce nam Koralnik wetknąć. — Podała perfumy Monice. — Co o tym myślisz?

— Ten produkt, panie Koralnik — stwierdziła Monika — ma istotnie niezwykle intensywny zapach.

— No tak — przyznał — na tych pachnidłach specjalnie się nie wyznaję. — I chytrze dorzucił: — A może byśmy tak podsunęli to Eryce Warnke?

Zuzanna machnęła ręką: —Panie Koralnik, nawet ona nie jest taka prymitywna.

— Szkoda. Pomyślałem sobie, że za pomocą takiego śmierdzącego wyrobu moglibyśmy przynajmniej Crusiusa wypłoszyć z jej łóżka.

— To są tylko dziecinne igraszki — powiedziała Zuzanna, rozmyślnie prowokując. — Tą butelką nic nie wskóramy z ludźmi tak niebezpiecznymi jak Crusius i Warnke, jeśli chcemy im pokrzyżować nieczne plany.

— Tak, to będzie bardzo trudne. Powiedzmy... — Koralnik niczym generał wykonał w tym momencie gest świadczący o głębokim namyśle.

— Powiedzmy, co? — dopytywała się Zuzanna.

— Powiedzmy, że stan gotowości już istnieje i rozwija się na cały regulator. I na przykład przy strzelaniu z pistoletu lub rzucaniu granatami... Zdarzają się czasem wypadki na ćwiczeniach z ostrą amunicją?

Zuzanna wpatrzyła się weń jak kotka, która zazwyczaj przyjemnie mruczy, a w tej chwili nagle pokazuje pazury.

— Zabieramy się stąd, Moniko — odezwała się energicznie do przyjaciółki. — Przeważnie nie mam nic przeciwko dowcipom, ale co za dużo, to niezdrowo.

W owych dniach Eryka Warnke żyła w poczuciu całkowitego szczęścia, które okrywało ją jak obłok. Coraz bliższa zażyłość z Konstantynem Crusiusem rozpalala ją i wstrząsała jednocześnie.

— Czuję — zwierzała mu się — że w najskrytszej głębi mojej duszy zostałam cudownie zaspokojona. Tak, jak przystało niemieckiej kobiecie.

Wydawało się jej poniekąd, że znajduje się „w siódmym niebie miłości”, zgodnie z tekstem jednego z ówczesnych przebojów. Do nieba tego nie wchodziła oczywiście tanecznym krokiem, lecz wrażenia te odbierała w pozycji leżącej. Czasem nawet trzy razy w ciągu nocy.

Było jej wtedy tak, jak gdyby rozlegała się oszalala gra skrzypiec i zapalały setki świec w lśniących srebrnych kandelabrach. W takich chwilach jej ciało miało barwę delikatnej czerwieni flamingów.

— Ach, mój Konstantynie — owiewała go swoim oddechem. — Jesteś taki niepowtarzalny.

— Jeżeli jestem jak dwudziestolatek, to dopiero dzięki tobie, dzięki tobie stałem się taki — zapewniał ją. — Ty jesteś spełnieniem mego życia — a po krótkiej przerwie dodawał: — Czy odczuwasz to tak samo, jak ja?

— Dla ciebie, mój ukochany, zrobię wszystko — szeptała do niego. — Wystarczy, byś powiedział, czego chcesz. Nie będę miała żadnych zastrzeżeń.

A więc powiedział jej. I zrobiła to bez zastrzeżeń. Potem wydawało się jej — by posłużyć się zwrotem w żołnierskim żargonie — że słyszy, jak „rozdzwoniły się wszystkie dzwony”.

Potem odpowiedział jej, lekko znużony:

— To cudowne, że tak dobrze się wzajemnie rozumiemy; że pod każdym względem stanowimy jedność.

— Której już nic i nikt nie może zagrozić, a więc też żadna z moich dziewcząt. — Miała przy tym na myśli przede wszystkim Monikę Hofer.



— Ależ, bardzo cię proszę, moja Eryko - uspokoił ją. — Przecież to tylko stado gęgających gąsek. W porównaniu z nimi ty jesteś jak szlachetny, piękny łabędź.

Wierzyła mu. Aż nazbyt chętnie.

Tego dnia wieczorem doktor Säbisch długo siedział przy swoim biurku w izbie chorych. Przebywał w otoczeniu lśniącej, chromowej aparatury, która jednakże niezmiernie rzadko znajdowała zastosowanie. Kapitan szukał tu samotności, nieodzownej w pracy „naukowej”.

Następnego dnia miał on, na polecenie generała, wygłosić wykład popularny dla dziewcząt ze służby pomocniczej. Winien on być poprawny z naukowego punktu widzenia, a jednocześnie zrozumiały dla wszystkich. Temat brzmiał: „Choroby weneryczne i zapobieganie zarażeniu nimi”. Nad tym właśnie pracował, w pełni świadom swojej odpowiedzialności.

W całej swojej karierze wojskowej już wielokrotnie mówił żołnierzom o tryprze i kile, nie odczuwając żadnego skrępowania. Sprawa miała się jednak zgoła inaczej, jeśli idzie o tak zwane zapobieganie zarażeniu. Był to temat niezwykle drażliwy, a może nawet stanowił coś w rodzaju obosiecznego miecza. Przecież, oficjalna propaganda w Trzeciej Rzeszy domagała się, by kobiety dostarczały führerowi jak najwięcej żołnierzy.

Nie dotyczyło to oczywiście w tym samym stopniu dziewcząt z łączności. W ich wypadku gotowość służby była ważniejsza od rodzenia dzieci. Można to było jednakże wyrazić tylko w sposób bardzo dyplomatyczny. Doktor Säbisch wynotował więc najpierw punkty, a następnie rozwijał je i budował pełne zdania.

„Gdyby się zdarzyło, że któraś z dziewcząt ze służby pomocniczej znalazła się w stanie odmiennym, czyli zaszła w ciążę, to nie będzie na to żadnego usprawiedliwienia. Będzie to bowiem oznaczać, że zaniechano zastosowania środków zapobiegawczych, które zaleciłem, a również zlekceważono proponowane przeze mnie zabiegi bezpośrednio post factum. Zatem, jeśli któraś oczekuje dziecka, staje się tym samym elementem zakłócającym działanie naszej wspólnoty i musi z niej odejść”.

Lecz przecież to właśnie — myślał — może dla pewnych nieodpowie-

działnych osób stać się wskazówką. Według zasady: pozwól sobie zrobić dziecko, to pojedziesz do domu. Ewentualnym próbom trzeba zapobiec. Pisał więc dalej:

„Zgodnie z obowiązującymi przepisami ciężarna dziewczyna ze służby pomocniczej nie może jednak liczyć na to, że zostanie natychmiast zwolniona ze swoich obowiązków; co najmniej w ciągu pierwszych trzech do czterech miesięcy. Która więc będzie liczyła na to, że zostanie odesłana do domu, ta będzie się oddawać złudnym nadziejom”.

Doktor Säbisch zachłystywał się własnym konceptem. Przecież tych zdań nie sposób rozumieć niewłaściwie. Mówiły one jasno: Dziewczęta, z mego punktu widzenia, róbcie, na co macie ochotę, do czego was, że się tak wyrażę, ciągnie natura. Ale strzeżcie się! Nie myślcie, że potem będziecie mogły ulotnić się w przyspieszonym trybie — w każdym razie nie wcześniej niż po trzech lub czterech miesiącach. A do tego czasu wiele może się zdarzyć.

Żeby odgadnąć to ostatnie, na początku wiosny roku 1945, nie trzeba było oczywiście być ani kapitanem lekarzem, ani prorokiem.

W okresie tym węzeł łączności w schronie podziemnym w pobliżu zameczku pracował pełną parą. Pod osłoną metrowej grubości betonowych ścian i stropu odbywało się tu stałe rejestrowanie wszystkich nierzyjacielskich lotów nad obszarem południowo-zachodnim. Meldunki odbierali i nanosili specjalnie przeszkoleni żołnierze i dziewczęta.

Napływały drogą radiową, telefoniczną i za pośrednictwem dalekopisów. Natychmiast oceniano je i przekazywano odpowiednim jednostkom obrony przeciwlotniczej, to znaczy stanowiskom dowodzenia lotnictwa myśliwskiego, jednostkom artylerii przeciwlotniczej i szeroko rozbudowanej sieci ostrzegania.

System praktycznie działał bezbłędnie. Opracował go generał Blutenberger. Sierżantowi Wegnerowi udało się potem udoskonalić i uzupełnić wiele szczegółów tego systemu.

Podziemny schron, odporny prawie na każde bombardowanie, składał się w istocie z jednej obszernej sali. Oprócz niej było zaledwie parę toalet i umywalni. Oczywiście była także stacja pierwszej pomocy, z której jednak nigdy jeszcze nie korzystano, przynajmniej do tej pory;

Nad salą dominowało zmontowane na szczytowej ścianie urządzenie

przypominające mapę, na którym paliły się setki różnokolorowych światełek. Symbolizowały miejscowości, drogi, rzeki i lasy, a poza tym lotniska, stanowiska ogniowe artylerii przeciwlotniczej, składy materiałowe oraz wiele innych obiektów.

Naprzeciwko tej ogromnej, błyskającej ściany stało dziesięć stołów, ustawionych w dwa szeregi. Każdy z nich był przeznaczony dla dwóch osób. Stoły wyposażono w aparaty telefoniczne, dalekopisy, aparaturę radiową, klucze telegraficzne, arytmometry. Wszystkie urządzenia stanowiły bardzo przemyślną konstrukcję na najwyższym poziomie ówczesnej wojskowej techniki łączności! Tak właśnie mówiono wokół, a słuchy o tym docierały prawdopodobnie aż do Amerykanów.

W przeciwległej części sali, na nieznacznym podwyższeniu, stał tak zwany stół dowodzenia. Był wyposażony w kilka aparatów telefonicznych, z których część miała połączenia na zewnątrz, a część — z grupami roboczymi wewnątrz sali. Oprócz tego znajdowało się tam urządzenie z mikrofonem do podawania ogólnych komunikatów.

Przy stole dowodzenia stały dwa wygodne, wyściełane krzesła. Jedno pozostawało do dyspozycji kierownika zmiany, a więc także sierżanta Wegnera; drugie zarezerwowane było wyłącznie dla generała. Całe stanowisko dowodzenia uruchamiano punktualnie z wybiciem określonej godziny. Funkcjonowało na trzy zmiany — na każdej obsługiwało je dwadzieścia osób. Dawniej pracowali tu wyłącznie mężczyźni, lecz teraz wypadało po połowie — na każdego żołnierza jedna dziewczyna z pomocniczej służby łączności.

Odpowiedzialnym za planowanie dyżurów, organizacyjne szczegóły i dyscyplinę był porucznik Crusius. Usiłował on jednak stale komenderować wszystkim, czym się tylko dało. W związku z tym próbki jego dowodzenia wypadały mniej więcej tak: „Wypraszam sobie jakiegokolwiek dwuznaczne sytuacje! Zatem przy jednym stole zawsze dwie osoby tej samej płci. W ogóle nie do pomyślenia jest, by żołnierz siedział obok dziewczyny i może ją jeszcze obmacywał. Takie rzeczy odciągają od zadań służbowych, a zatem nie będą tolerowane”.

W pracy stanowiska dowodzenia nocna zmiana była znacznie ważniejsza od obu dziennych. Rozpoczynała się o dwudziestej i kończyła o czwartej nad ranem. W ciągu tego czasu nadlatywała większość angielskich i amerykańskich lotniczych formacji bombowych. Z chwilą ich dostrzeżenia należało natychmiast powiadamiać wojska obrony

przeciwlotniczej. Jednakże zastanawianie się nad nalotami, a zwłaszcza nad wzmagającą się „aktywnością nieprzyjaciela” uznano za „zbędną gadaninę” i oficjalnie jej zabroniono.

Trudno było wyobrazić sobie nocną zmianę bez sierżanta Wegnera. Tylko on jeden orientował się w funkcjonowaniu całej aparatury. Gdy tylko zanosilo się na awarię, od razu interweniował z natychmiastowym skutkiem.

Tej nocy w granicach obszaru południowo-zachodniego wyjątkowo nie działo się nic ważnego. Wegner mógł zatem oddawać się marzeniom, w których dziewczę nazwiskiem Monika Hofer odgrywało niepoślednią rolę. Raz jeden tylko przerwano mu te marzenia — zadzwonił generał i zapisał łaskawym, dość sennym głosem:

— Co tam się dzieje u pana, drogi Wegner?

— Dotychczas nie było żadnych szczególnych wydarzeń, panie generale — zdał relację sierżant. — Nie meldowano o lotach nieprzyjacielskich w bezpośrednim zasięgu naszego stanowiska dowodzenia. Widocznie Amerykanie i Anglicy mają dziś inne plany.

— A to nam bardzo odpowiada, mój drogi Wegner. Bo dzięki temu możemy oczekiwać nocy bez żadnych zakłóceń. Czegóż nam jeszcze trzeba?

Nieco później, około dwudziestej drugiej trzydzieści, na terenie Friedrichsruh doszło jednak do nadzwyczajnego zajścia, można by rzec — kryminalnego incydentu. Miał on wywołać wielką, a przy tym bardzo głośnie wrzawę.

Wszystko zaczęło się pozornie niewinnie, po prostu normalnie. Pewnej dziewczynie z łączności jeden z podoficerów zaproponował wieczorną przechadzkę. Księżyc był już prawie w pełni i stwarzał odpowiedni nastrój. Nie opodal widać było ocieniony skraj lasu.

Dziewczyna, o której względy zabiegał podoficer, nazywała się Ingrid Schnitzler. Było to jędrne, żwawe i rezolutne stworzenie, nie bardzo skore do odmowy. Uznała, że spacer może okazać się nader romantyczny, w każdym razie jednak nie była od razu gotowa na wszystko. Nawet przezornie obstawała przy tym, by jeszcze jeden podoficer przyłączył się do ich towarzystwa. Wydawało jej się, że postępuje bardzo przebiegle. Przypadek chciał, że doszedł trzeci. Ingrid później zapewniała, że uważała to za dodatkową asekurację.

Jednak wkrótce w świetle księżycy rozegrało się coś, czego nigdy wcześniej nie uważałyby za możliwe. Otóż, nie spodziewając się niczego oprócz miłej, poufalej przelotnej pogawędki, stała się ofiarą brutalnej napaści. Jeden z towarzyszących jej mężczyzn przyciągnął ją gwałtownie do siebie, powalił na ziemię i przygniótł całym ciężarem. Wpił się pożądliwie w jej usta, tak że nie mogła nawet krzyknąć.

Dosłownie w jej relacji: „Oślinił mnie spienionym pyskiem; nie mogłam złapać tchu”.

Oczywiście broniła się:

— Usiłowałam odepchnąć go od siebie, biłam i gryzłam, gdzie tylko mogłam dosięgnąć. Lecz daremnie.

Zatem popełniono gwałt i to trzykrotnie, gdyż dwaj pozostali podoficerowie również chcieli mieć udział w zdobyczy.

Ingrid z początku ze wstydu przemilczała jedną rzecz, która wyszła na jaw dopiero przy dalszym badaniu przebiegu wydarzeń. Mianowicie, kiedy gwałciciele wreszcie dali jej spokój, wyzwali ją wówczas najgorszymi słowami: „Dobrze ci tak, ty rozpustna locho” i „Chciało ci się, to masz za swoje”. Na koniec: „Spływaj, ty wstrętna dziwko obozowa, i trzymaj uprzejmie swoją parszywą mordę zamkniętą na kłódkę”.

Wkrótce po północy bezwstydnie zgwałcona dziewczyna usiłowała wśliznąć się do swego pomieszczenia. Niespodziewanie natknęła się na Zuzannę i Monikę, które wracały właśnie ze spotkania z Koralnikiem. Próbowała je ominąć. Zuzanna jednak natychmiast zorientowała się, że stało się coś niedobrego. Spostrzegła rozwichrzone włosy, zabłocony mundur i podarte pończochy.

— Co ci się stało, Ingrid? — zapytała. — Kto cię tak poturbował?

— Daj mi spokój — jęknęła Ingrid.

Monika broniła koleżankę:

— Jeżeli ona chce być sama, to trzeba to uszanować.

— To, czego ona chce — powiedziała Zuzanna — nie ma w tej sytuacji znaczenia. Ważne jest tylko to, co ma robić, by nie nawarzyć sobie piwa. Musisz o tym wypadku zameldować, Ingrid, i to natychmiast.

— Naprawdę muszę? — bezradnie szlochała dziewczyna.

— Bezwzględnie — Zuzanna stanęła pomiędzy Ingrid a Moniką, jak gdyby zmuszona je rozdzielić. — Gdy tylko Warnke się o tym dowie, a ręczę ci, że tak się stanie, to wiesz, co się będzie działo? Wtedy zarzuci ci brak zaufania do wciąż zatroskanej o ciebie przełożonej, za jaką siebie

uważa. Ale do tego dojdzie jeszcze: przemilczenie ważnych faktów, brak godności osobistej i pożałowania godne obłudne postępowanie! A na koniec okaże się, że jesteś dziwką. Nie możesz sama sobie wyrządzać krzywdy, Ingrid.

W taki sposób doszło do tego, że Ingrid Schnitzler, slaniając się, poszła do „prywatnego” pomieszczenia Eryki Warnke. Zastukała do drzwi. Najpierw nieśmiało, potem coraz głośniejsze.

Eryka leżała mocno przytulona do Konstantyna Crusiusa, gdy nagle ocknęła się ze słodkiego rozmarzenia w półśnie. Obydwoma dłońmi przetarła twarz, by oprzytomnieć. Mimo niezręcznej sytuacji, w jakiej się znajdowała, usiłowała zachować się zupełnie naturalnie. Zawołała:

— Co to ma znaczyć o tej porze? Kto tam i o co chodzi?

— Tu Ingrid Schnitzler. Napadli na mnie trzej mężczyźni. — Dziewczyna w tej chwili szlochała niepoohamowanie.

— Nie tak głośno, Ingrid! Postaraj się uspokoić, dziewczyno.

Oczywiście z trudem udało się Eryce Warnke uwolnić z objęć swego towarzysza broni i łoża. Zaróżowiona w całej swojej nagości podeszła do drzwi, lecz uchyliła je odrobinię.

— Nie fantazjujesz przypadkiem, Ingrid? — upomniała ją przyciszonym głosem. — Bądź z tym bardzo ostrożna! Zważaj na własne słowa!

— Kładli się na mnie jak dzikie zwierzęta — żaliła się Ingrid. — Wszyscy trzej.

Eryka Warnke wyprostowała nagie ciało, jakby była kompletnie umundurowana.

— Udaj się do mego pokoju służbowego, Ingrid — zarządziła. — Drzwi są otwarte. Zapal światło, zasłony zaciemniające są już opuszczone. Poczekaj na mnie. Przyjdę najszybciej, jak będę mogła.

Konstantyn Crusius obudził się tymczasem i poczuł się mocno niezadowolony.

— To przecież kompletnie rozhisteryzowana gąska. Znać to po każdym jej słowie. Nie zawracaj sobie nią głowy! Ostatecznie mamy tu coś lepszego do zrobienia.

— Z pewnością mamy, mój najdroższy, i nie pozostawię cię zbyt długo samego — zapewniała go Eryka. Jednocześnie zaczęła się szybko ubierać. Założyła mundur, nie wkładając bielizny. — Nie mogę przecież tej wzburzonej małej po prostu pozostawić samej sobie. Ryzykowałam-

bym wiele, gdyby w pokoju wygadała się bez ogródek. A potem dziewczęta roztrajkoczą to dalej i jeszcze rozdmuchają.

Było to całkiem logiczne i Crusius skwapliwie przyznał jej rację. Przeciągnął się z upodobaniem, wydając jednocześnie krótki, lecz mocno brzmiący dźwięk.

Eryka roześmiała się. Prawdopodobnie schlebiało jej, że przy niej pozwala sobie na najbardziej poufałe odruchy.

— Mój ukochany — szepnęła do niego — jakież z ciebie wspaniałe mężczyzna!

— Czekam, bym ci mógł to jak najszybciej udowodnić. Załatw więc tę głupią sprawę najszybciej i najdokładniej, jak tylko można.

Po chwili Eryka Warnke weszła do swego biura, gdzie czekała na nią Ingrid Schnitzler. Dziewczyna siedziała blada jak ściana, prawdziwy obraz rozpacz, rzucając błagalne spojrzenia. Ręce jej drżały, wręcz dygotały.

Komendantka od razu spostrzegła, że mała naprawdę musiała przeżyć coś nieprzyjemnego. Doświadczenie podpowiadało, że podobna rzecz może wywołać drażliwe komplikacje i dlatego sytuację od razu trzeba odpowiednio rozegrać. Zaczęła więc z rozmysłem:

— To może się zdarzyć. Na szkoleniu niejeden raz ostrzegałam was przed niebezpieczeństwem. Gdy wybierasz się z mężczyznami na przechadzkę w nocy, musisz się liczyć z niespodziankami.

— Ale przecież nie od razu w taki sposób! — zareplikowała gwałtownie Ingrid. — Oni obeszli się ze mną jak z kubłem na śmieci. Przecież my, dziewczęta, spełniamy tu tylko swój obowiązek wobec narodu i nie jesteśmy wyrzutkami społeczeństwa.

Eryka Warnke zawsze życzliwie przyjmowała słowa o obowiązkach. Poglaskała Ingrid po policzku.

— Najpierw musimy zadzwonić do naszego doktora Säbischa. Potrzebne nam jest orzeczenie.

— Akurat on? — Dziewczyna, która dopiero co została trzy razy zgwałcona, z najwyższą niechęcią, jak się wydawało, słuchała o poddaniu się badaniom przez wojskowego lekarza. — Czy to jest konieczne?

Eryka Warnke już telefonowała. Kapitan Säbisch, bliski zaśnieżenia, zgłosił się, ziewając. Prawdopodobnie niezwykle wyczerpała go praca nad referatem z zakresu intymnych spraw kobiecych. Jednak, gdy tylko poznał po głosie, kto dzwoni, z miejsca otrzeźwiał.

— Co, proszę wielce szanownej pani, mogę dla pani zrobić? Wie

pani, przecież, że dla pani zrobię wszystko. — W tym miejscu pozwolił sobie na drobny, poufaly żarcik. — Co ma być tym razem? Specjalny środek ochronny? Czyż dopiero co nie...

— Tym razem nie na ten temat będziemy rozmawiać, panie doktorze — przerwała mu energicznie. — Przyprawdę panu jedną z moich dziewcząt. Powinien pan małą zbadać, i to jak najdokładniej.

— Niestety wypadek, czy coś podobnego?

— Właśnie, coś podobnego! Zobaczymy. Spotkamy się za parę minut w izbie chorych. Polegam całkowicie na pańskim doświadczeniu jako lekarza i na pańskiej, w tym wypadku wysoce wskazanej, dyskrecji.

— Ależ, w moim zawodzie to się rozumie samo przez się, wielce łaskawa pani.

Eryka Warnke już go zobowiązała. Z kolei zwróciła się do Ingrid Schnitzler:

— Zrobimy dla ciebie wszystko, co wskazane. Włóż na siebie mój płaszcz. Tylko nie poprawiaj nic we własnej odzieży i nie zetrzyj z siebie czegoś przypadkiem. Zrozumiałaś, Ingrid?

— Rozumiem — powiedziała dziewczyna i posłusznie poszła za nią.

Pięć minut później obie weszły do gabinetu lekarskiego. Doktor Säbisch zapalił wszystkie światła i stał w pełnej gotowości, w postawie niezmiernie uroczystej, ze słuchawką zawieszoną na szyi. Tak, jak na filmach przedstawiani są skromni, lecz wybitni bohaterowie i dobroczyńcy ludzkości.

Eryka Warnke nie bawiła się w dłuższe przemowy.

— To jest dziewczyna z łączności, Ingrid Schnitzler. Twierdzi, że została zgwałcona. Proszę o badanie w celu wyjaśnienia, panie doktorze. — Przewornie dorzuciła jeszcze: — Ale potrzebne jest tylko badanie, a więc bez wypytywania o szczegóły. Nastąpi ono dopiero wówczas, kiedy będziemy już znali wyniki pańskiej konsultacji, o ile to będzie jeszcze konieczne.

Doktor Säbisch uznał, że pojmuję, co mu przez to dano do zrozumienia, to znaczy, że należy zachować jak największą ostrożność! Skłonił się lekko, zaznaczając w ten sposób swoją uległość, i zapytał uprzejmie:

— Czy pani sobie życzy być obecną przy badaniu?

— Jest to, drogi doktorze, wyłącznie pańska sprawa. Mam do pana



całkowite zaufanie. Gdyby jednak Ingrid przywiązywała wagę do mojej obecności...

Jak można było przypuszczać, Ingrid wcale tego nie pragnęła. Doktor Säbisch po ojcowsku objął ją ramieniem i poprowadził do sąsiedniego pokoju. Miał tam dopiero co zainstalowane specjalistyczne urządzenie — fotel ginekologiczny do badania pacjentek.

Tymczasem Eryka Warnke w gabinecie lekarskim bez skrępowania pogrążyła się w lekturze znajdującej się tam kartoteki chorobowej swoich dziewcząt. Interesowały ją zwłaszcza karty Marianny Dengler, Zuzanny Singer, Moniki Hofer i oczywiście, teraz bardzo aktualna karta, Ingrid Schnitzler. Nie mogła jednak odnotować szczególnych rewelacji. Z medycznego punktu widzenia dziewczęta te były chyba zupełnie nieciekawe.

Po dwudziestu minutach doktor Säbisch ukazał się z powrotem, z mocno zatroskaną twarzą. — No właśnie, wielce łaskawa pani, nie wygląda to zbyt pięknie. Naprawdę nie.

— Chce pan przez to powiedzieć, że rzeczywiście są dowody gwałtu? — Pytanie nie było pozbawione nutki ostrzegawczej.

— Tego nie twierdziłem. Można by tę rzecz dokładniej stwierdzić dopiero po zapowiedzianym przez panią szczegółowym przepytaniu. To, co stwierdziłem jako lekarz, upoważnia do następującej interpretacji. Miał miejsce bardzo gwałtowny, może nawet brutalny stosunek, co może się zawsze zdarzyć, powiedzmy — w szale wyuzdanej namiętności. Szczegóły oględzin mogą sugerować również udział kilku mężczyzn. Jednakże w wypadku wprost zwierzęcego wybuchu pożądania, stan taki może być też skutkiem aktywności jednego mężczyzny.

Rzucił jej wiele znaczące spojrzenie i dodał bardzo oględnie: — Czy to chciała pani usłyszeć, łaskawa pani?

Eryka Warnke w pełni potrafiła docenić gotowość, z jaką doktor pozostawił jej do sformułowania ostateczny wniosek.

— Podziwiam pana, drogi doktorze, usilne dążenie do obiektywizmu. Unika pan przedwczesnych sądów i to przynosi panu zaszczyt.

Doktorowi Säbischowi niezmiernie podobało się uznanie dla jego starań. — Może zainteresuje panią, że przy okazji stwierdziłem jeszcze jeden drobiazg, wcale nie bez znaczenia. U panny Schnitzler w żadnym razie nie nastąpiło to, co zazwyczaj nazywamy defloracją. Pani rozumie?

Naturalnie zrozumiała. Zostało poniekąd urzędowo stwierdzone, że

Ingrid nie była już dziewicą. Nie było to dla niej wcale nowością, lecz takie właśnie stwierdzenie można było ewentualnie dobrze wykorzystać.

— Zajście jest wprost obrzydliwe, drogi panie doktorze — powiedziała. — Ale też w najwyższym stopniu godne pożałowania, gdyż mogłoby wyrzucić mocno negatywny wpływ na naszą gotowość obronną. Jeżeli nie zachowamy w tym wypadku ostrożności.

— A cóż ja, łaskawa pani, mógłbym pod tym względem zrobić?

— Proszę się zaopiekować naszym biednym dziewczęciem z całą troskliwością, na jaką pana stać. Niech ją pan ulokuje jak najwygodniej, tak by nie zakłócano jej spokoju. — Znaczyło to, że nikt nie może mieć do niej dostępu. — Powinien pan dać jej zastrzyk uspokajający, żeby usnęła głęboko i nie miała męczących snów. Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby dano jej wypocząć jeszcze przez całe przedpołudnie.

— Bez zastrzeżeń akceptuję pani propozycję, jeśli chodzi o opiekę nad dziewczyną, a jako lekarz jestem w stanie ją zapewnić. Ale, co potem?

— To dopiero zobaczymy, szanowny doktorze. W każdym razie ja potrafię docenić to, że znalazła w panu godnego zaufania przyjaciela.

Eryka Warnke jak na skrzydłach pośpieszyła z powrotem do swego pokoju, gdzie niecierpliwie czekał na nią Konstantyn Crusius.

— No, jesteś nareszcie! Czy to coś poważnego?

— Można tak uważać — odpowiedziała. — Ale sądzę, że także tym razem udało mi się opanować sytuację.

Jak najszybciej uwolniła się od munduru. Po prostu zrywała z siebie odzież, by szybko znaleźć się przy swoim kochanku, tuż obok — ciało przy ciele. Równocześnie zdawała mu sprawę:

— Rzeczywiście wydarzyło się okropne święństwo. Trzej twoi żołnierze, w dodatku podoficerowie, zgwałcili Ingrid.

Crusius usiadł na łóżku, w dosłownie nagiej gotowości alarmowej.

— Nie do wiary! Taki skandal po prostu nie ma prawa się wydarzyć.

— Właśnie po to, by nie dopuścić do skandalu, niektóre sprawy skierowałam na odpowiednie tory.

Zdążyła się już rozebrać do naga. Wpadła na niego tak gwałtownie, że łóżko omal nie załamało się. Sprostало jednak naporowi. Wiadomo — niemiecka robota.

Lecz w tym momencie Crusiusowi już nie w głowie były igraszki

miłosne. Ostrożnie przytrzymał Erykę w pewnej odległości od siebie i zapytał: — Co zarządziłaś?

— Zapewniłam Ingrid właściwą opiekę. Jednak nie wypytałam jej, na to zawsze mamy czas. Najważniejszą rzeczą było natychmiastowe ulokowanie dziewczyny w bezpiecznym miejscu i w odosobnieniu. Oddałam ją doktorowi Säbischowi, że tak powiem, w pewne lekarskie ręce.

— Zupełnie nieźle — pochwalił ją Crusius i wyciągnął się z ulgą, dzięki czemu Eryka z tym większą przyjemnością położyła się na nim. — Ten Säbisch zawsze idzie za tropem. Trzeba mu tylko poddać ideę końcowego wyniku. Tak było tym razem?

— No tak, zbadał ją; zresztą z całkiem czytelnymi wynikami. Potem zaaplikował jej zastrzyk, po którym Ingrid do południa chyba się nie obudzi. Tak długo więc nie ma nic ostatecznie pewnego. W związku z tym możemy powiedzieć, że właściwie nie wiemy nic konkretnego. Ani ja, ani lekarz, a ty już w ogóle nic nie wiesz.

— Moja kochana Eryko — zapewniał, przygarniając ją z lubością do siebie. — Jesteś nie tylko piękna, ale także niezwykle mądra. Ty, jedynie ty, jesteś mnie godna.

I w tym momencie wierzyli w to. Naprawdę. Oboje.

## 6. Gdy jelenie ryczą, łaniom drżą nogi

Następnego dnia rano generał miał okazję stwierdzić z zadowoleniem, że właściwie wszyscy jego najbliżsi współpracownicy stawili się w kasynie, by zjeść śniadanie i wysłuchać jego porannych mądrości.

Jako pan domu zasiadł u szczytu wielkiego stołu. Po jego prawej stronie wolno było usiąść Mariannie Dengler. Krzesło na lewo przysługiwało adiutantowi, kapitanowi Rommelskirchenowi. Pozostałe miejsca można było zajmować zgodnie z upodobaniami.

Porucznik Crusius zjawił się razem z Eryką Warnke. Lecz, ponieważ mieli zamiar grać różne role, Eryka usiadła obok Marianny, a Crusius usadowił się po przeciwnej stronie, przy Rommelskirchenie. Wreszcie kapitan doktor Säbisch bez ociągania przyłączył się do „drogich szanownych pań”. A w przedpokoju siedział Koralnik.

Uwagi generała wcale nie uszedł nastrój napiętego oczekiwania jego współpracowników. Jednakże wydawało się, że to mu tym razem nie maści dobrego humoru. Wprost przeciwnie, był skłonny do żartów.

— Właściwie — powiedział — byłby tu najbardziej stosowny okrągły stół, jak niegdyś u króla Artura. Okrągły stół doborowego towarzystwa!

Nikt nie uśmiechnął się w odpowiedzi na wycieczkę w krainę baśni. Jeśli adiutant jednak skinął głową, i to kilkakrotnie, to był to jedynie mechaniczny odruch ze względu na obecność generała. Pomimo wszystko podczas śniadania obecni częstowali się niezwykle obficie; jak gdyby po wydarzeniach ostatniej nocy pilnie potrzebowali pokrzepienia.

To, co podano do jedzenia, przypominało ranny posiłek w stylu angielskim. Nie był to wcale przypadek. Blütenberger, jako młody

człowiek, wówczas jeszcze bardziej Feliks niż galdur, studiował w Londynie. Najtrwalszym przeżyciem z Anglii był> upodobanie do angielskiego stylu życia, zwłaszcza w odniesieniu do potraw i napojów. A więc stały tu w zasięgu ręki dekoracyjnie ułożone!, na ciężkich srebrnych półmiskach: pieczone kielbaski, jajka na boczki-i, duszone cynaderki i do tego świeży, biały chleb.

— Proszę się częstować zgodnie z upodobaniami — zachęcał generał swoich współpracowników. — Tymczasem możecie mi opowiedzieć, co słyhać nowego.

Crusius pochłonął całą górę sadzonych jajek na boczku i dopiero potem, z namysłem, wyjąwił pierwszą informuję:

— Wydaje się, panie generale, że ubiegłej nocy wydarzyło się coś, co trudno przyjąć za rzecz nie nasuwającą zastrzeżeń<sup>en</sup> — I szybko dorzucił: — O czym zresztą w tej chwili jeszcze nie jestem poinformowany szczegółowo.

— Niech się pan nie trzodzi wyjaśnianiem tej sprawy, poruczniku Crusius. — Generał obwieścił to, jak mu sic? wydawało, z ojcowską wyrozumiałością. — Jestem już zorientowany- — Należało to znów rozumieć jako „nic nie ujdzie mojej uwagi”.

Nietrudno było odgadnąć, jaką drogą został poinformowany. Nie trzeba było nawet przyglądać się z bliska Mafiannie Dengler. Właśnie uśmiechała się z zadowoleniem, patrząc przed siebie. Bez wątpienia to ona jeszcze przed śniadaniem zasypała swego generała wiadomościami i pogłoskami z baraku kobiecego.

Z kolei zabrała głos Eryka Warnke, w wyczuwalny sposób usiłując zaciągnąć hamulec bezpieczeństwa.

— Panie generale, tych wydarzeń'jeszcze nie sposób uważać za wyjaśnione. Zwłaszcza dopóki nie są jeszcze zbadane ze zrozumiałą dokładnością.

— A zatem, szanowna pani, teraz bez żadnego kołowania! — władczym głosem przemówił generał. — Miało miejsce zgwałcenie i to trzykrotne, czy też nie?

— Może tak — odpowiedziała Eryka Warnke lekko zdławionym głosem — a może nie. Do tego jeszcze dojdziemy.

— Tak jest! — zawołał gorliwie Crusius. ~ I to wspólnymi siłami! To przecież leży w zakresie naszych kompetencji.

— Jestem pełen uznania dla waszej gotowości — zapewnił z godnoś-

cią generał. — Ale obciążanie tą sprawą jednocześnie was obojga nie jest po mojej myśli.

— Panie generale, przyjmujemy to nie jako obciążenie, lecz jako nasz obowiązek — wtrąciła Eryka Warnke.

— Bardzo słusznie! Ale nie wolno nam dopuścić do powstania choćby najmniejszego podejrzenia o stronnicze potraktowanie tak drażliwej sprawy. Konieczne w tej chwili postępowanie odnośnie do tego incydentu musi się odbywać w atmosferze neutralnej i to należy zagwarantować. Mam przy tym na myśli pana, kapitanie Rommelskirchen. Czy jest pan gotów?

— Tak jest, panie generale! — tubalnym głosem wykrzyknął adiutant. Każde życzenie jego pana i mistrza było dla niego rozkazem.

— Czy macie coś przeciwko temu, szanowna pani Warnke, i pan, drogi poruczniku?

Nie mieli nic. I nie powinni byli mieć. Bo Blütenberger był w tym miejscu wciąż jeszcze osobowością górującą nad wszystkimi.

— Zatem postępujemy tak, jak zostało ustalone — rozkazał generał. I z nie ukrywaną przyjemnością usłyszał ogólne „tak jest”.

Śniadanie wcale się na tym nie skończyło. Ponieważ tylko z grubsza ustalono kierunek działania, generał nadal badał teren.

— A teraz całkiem szczerze, poruczniku Crusius! Jak pan się na to zapatruje? Wie pan, że ze mną może pan rozmawiać swobodnie i otwarcie.

Crusiusowi przestała smakować mocna, pachnąca kawa. Również bez upodobania pykał kubańskie cygaro, którym generał poczęstował oficerów.

— Nie byłem jeszcze w stanie wyrobić sobie ostatecznego poglądu, panie generale. Lecz w razie, gdyby się zdarzyło, że kilku spośród moich, spośród naszych żołnierzy uczestniczyło w takim świństwie i gdyby to bezstronnie udowodniono, to wtedy koniec! — Gest, który przy tym wykonał, miał podkreślić: „ukręcić łeb!” — Gdyby jednak ta dziewczyna bezwstydnie przesadzała lub nawet wytrwale kłamała, to rozumie się, że to jej należy się kara. Sprawiedliwość musi wziąć górę.

— Nie od razu tak pośpiesznie i bezwzględnie, mój drogi! — odezwał się Rommelskirchen, zachęcony spojrzeniem generała. — Ponieważ jestem w tej chwili odpowiedzialny za całość sprawy, proszę pozwolić, że przede wszystkim zbadam wszystkie okoliczności.

— W czym życzę panu powodzenia — powiedział ironicznie Crusius. — Czy pan rzeczywiście uważa, że jeszcze lepiej niż ja wie, co się dzieje u moich żołnierzy?

Generał z trudem tłumił uśmiech. Dobrze wiedział, że gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci korzysta. Poza tym sytuacja dawała mu okazję do zacerpnienia jeszcze paru mądrości z bogatej skarbnicy swoich doświadczeń.

— Prawie wszystko, moi drodzy, jest względne. Właśnie przypomi nam sobie interesujący przypadek z czasów, kiedy byłem jeszcze młodym oficerem. Mieliśmy wówczas „dowódczynię”, to jest żonę naszego dowódcy, której nigdy nie było dość, nie powiem już, czego. W każdym razie brała sobie każdego, kto tylko miał na to ochotę. Nie tylko poruczników z batalionu swego męża, ale też ordynansów męża, a do tego jeszcze innych ordynansów. A kiedy już dochodziło do rzeczy, zawsze zachęcała, wołając: „Bierz mnie! Ściskaj mnie! Gwałć mnie!”

Trudno było odgadnąć, dlaczego generał to właśnie opowiedział. Być może chciał dać do zrozumienia, że wyznaje się we wszelkich wyobrażalnych rodzajach stosunków zachodzących między ludźmi; że nic, co ludzkie, nie jest mu obce.

— O ile dobrze pamiętam, był u nas także pewien kapitan, pierwszorzędny kolega i świetny balistyk. Ponadto był obdarzony dzwicznym tenorem. Gdy śpiewał arię carewicza „Czy Ty, tam na górze, zapomniałeś o mnie?”, ludziom łzy z oczu płynęły ze wzruszenia. Lecz i on miał wadę. Pomawiano go o to, że może dokazywać z kobietą tylko wówczas, kiedy jest ona ubrana po męsku, a więc jak do jazdy konnej. I najchętniej robił to w półmroku końskiej stajni.

Obecni podziwiali tak wielką wiedzę o społeczeństwie i okazywali dla niej szacunek. Wciąż jednak nie było całkiem jasne, co generał naprawdę ma na myśli. Przysłuchiwali się więc, wciąż jeszcze mocno niepewni, gdy Blütenberger zabrał się do podsumowania swoich mądrości z dziedziny stosunków płciowych.

— W tych sprawach, moi drodzy, nie ma prawie nic, z czym nie trzeba by się liczyć. Z wszelkimi możliwymi zwyrodnieniami, z fantastycznymi upodobaniami, z chorobliwymi skłonnościami i niechęciami. Do tego należy również, pozwolę sobie powiedzieć, tak zwane obcowanie w trójkącie, podobnie jak też seanse grupowe.

— Niech no pan słuca, kapitanie Rommelskirchen! — wykrzyknął

z radością Crusius. Już węszył nie byle jakie komplikacje, na które natknie się ten bezbarwny potakiwacz, jak go nazwał. — Zaczyna pan już rozumieć, na ile rzeczy ma pan zważać w swoim dochodzeniu?

— Toteż będę na nie zważał — gniewnie ofuknął go adiutant.

Generał pokiwiał w zadumie głową.

— Tak, ale poza tym, moje panie i panowie, nie wolno nam zapomnieć, że toczy się obecnie wojna, matka wszechrzeczy, jak to się mówi. To także nie może pozostać bez wpływu na przedmiot dochodzenia. Do tego może dojść jeszcze zły duch — alkohol; naprawdę zły duch, jeśli ktoś używa go ponad miarę. I tego szczegółu też nie można pominąć.

Żeby go rzeczywiście nie przeoczyć, zawołał Koralnika, o którym wiedział, że znajduje się w przedpokoju.

— Mój drogi, kiedy mieliśmy ostatni przydział wódki? — zapytał.

— Wczoraj po południu, panie generale! — zameldował kapral. — Wcale nie taka zła śliwowica, pędzona przez okolicznych chłopów; z zawartością około czterdziestu procent alkoholu.

— Po ile na żołnierza?

— Po ćwierć litra dla szeregowych. I jedna cała butelka o pojemności trzech czwartych litra na dwóch podoficerów.

Rommelskirchen natychmiast zaatakował; najwidoczniej już się czuł w roli upoważnionego do prowadzenia dochodzenia.

— Czy pan o tym wiedział, panie Crusius?

Porucznik uciekł się do często stosowanej gry w przerzucanie odpowiedzialności. Warknął więc w stronę Koralnika:

— Nie powiadomił mnie pan o tym!

Kapral ani na moment nie stracił spokoju.

— Przecież w tym wypadku, panie poruczniku, chodziło tylko o rutynową czynność, która odbywa się regularnie co czternaście dni. Czegoś podobnego nie musiałem zgłaszać specjalnie.

Koralnikowi pozwolono odejść. Crusius patrzył za nim, jak gdyby chciał powiedzieć: „Co za podstępna szuja! Czyżby próbował przy okazji wywieść mnie w pole? Czego po takim można się spodziewać? Chyba wszystkiego!”

Generał zamierzał teraz zapewne zabezpieczyć się na jeszcze jeden sposób. Zwrócił się do doktora Säbisha, który wciąż jeszcze spożywał śniadanie — widocznie szczerze pragnął do niczego niepotrzebnie się nie mieszać.



— A pan, doktorze? Co pan o tym myśli?

— No tak — odpowiedział wymijająco Säbisch — cóż ja mam o tym myśleć? — Brzmiało to jak pytanie: „Co chcielibyście, żebym myślał?”

Generał powiódł zachęcającym wzrokiem po wszystkich, żeby się szybko przygotować do zebrania dalszych informacji drogą niby to towarzyskiej rozmowy.

— A więc, panie doktorze, badał pan tę dziewczynę. Ale z jakim wynikiem? A teraz, tak całkiem między nami, panie Säbisch! Gwałt, czy nie gwałt?

— Niektóre stwierdzenia, panie generale, wskazują na gwałt; na przykład ślady ukąszeń, zadrapania, zadrażnienia, a też ślady uderzeń — rzeczowo starał się zdać sprawę lekarz. Jednakże gdy tylko spostrzegł, że Crusius i Eryka Warnke przyglądają mu się badawczo, z miejsca postanowił popisać się swoją wiedzą medyczną. — Tego rodzaju szczegóły nie muszą wszakże bezwarunkowo świadczyć o zaistniałym gwałcie. Mogą być też wynikiem gwałtownego wybuchu bezgranicznie spotęgowanego pożądania, do którego mogli się wzajemnie pobudzić wszyscy biorący w tym udział.

— Bardzo to obiecujące — stwierdził generał. — Dobra podbudowa do przyszłych stwierdzeń. — Potem z ufnością spojrzął na Rommelskirchena, Erykę Warnke i Crusiusa. — Teraz proszę spożytkować to jak najlepiej. Możecie przy tym być pewni mego pełnego poparcia — powie dział. I odszedł. Razem ze swoją Marianną.

Eryka Warnke, Rommelskirchen i Crusius zatrzymali się w kasynie. Dość ospale dopijali resztki porannej kawy. Przez kilka minut panowało milczenie.

— Niech to diabli — wybuchnął w pewnej chwili Crusius. — Co to miało być? Znów wygłosił — miał na myśli generała — „mnóstwo cennych myśli. Tylko do czego on zmierzał tym razem?”

— O ile znam pana generała — niezbyt pewnie stwierdził Rommelskirchen — życzy sobie i spodziewa się przekonującego wyświetlenia tych wydarzeń. Bo czegoż innego?

— Tylko jak on sobie wyobraża takie wyświetlenie? — zapytał z niepokojem Crusius. — Wygłosił co prawda całą masę aluzji, ale zrećknie unikał wydania jasnego rozkazu.

— Rozkaz nie jest tu wcale potrzebny. Pan generał życzy sobie energicznego dochodzenia — zapewnił z dystansu Rommelskirchen.

— I zostanie ono przeprowadzone — przeze mnie.

Kapitan był twardy jak skała, Crusius jednak nie ustępował.

— Kto ma za to zapłacić? A może ktoś się spodziewa zniszczyć moich ludzi? A są to podoficerowie najlepszego gatunku i są w tym miejscu niezbędni. W każdym razie, jeśli dochodzenie skończy się dla nich niepomyślnie, to chyba nie zdobędę się na zrozumienie wyniku.

— Ładnie z pana strony, że staje pan w obronie swoich ludzi — odezwała się Eryka Warnke. Nie krępowała się obdarzyć Crusiusa uśmiechem. — Jednak zapewne zrozumie pan, że ja także nie mogę ścierpieć, by którąś z moich dziewcząt niesłusznie nurzano w błocie.

— Oczywiście, zgadzam się z tym — szybko zapewnił ją Crusius tym bardziej ochoczo, że miał nadzieję wciągnąć w ten sposób kapitana w tarapaty. Teraz musiał się zdecydować, po czyjej stronie — jego, czy Eryki Warnke. Nie mógł bowiem nawet przeczuwać, że stanowią oni jedność, i to sprzysiężoną.

W każdym razie kapitan Rommelskirchen usiłował zaprezentować się jako doświadczony taktyk. W związku z tym na razie starał się zyskać na czasie i bajdurzył coś na temat „gruntownego przemyślenia prac przygotowawczych”. Widocznie zamierzał wszystkim bezpośrednio zaangażowanym dać się posmażyć we własnym sosie.

— Najwcześniej dzisiaj po południu — zapowiedział — wejrzymy drobiazgowo w tę sprawę.

Porucznik Crusius postanowił wykorzystać przedpołudnie na podniesienie gotowości obronnej Friedrichsruh. W razie gdyby nieprzyjacieli dotarł aż do tego miejsca, powinien połamać sobie zęby na jego żołnierzach. I, miejmy nadzieję, dodatkowo też na dziewczętach Eryki. Przede wszystkim więc gotowość!

Crusius zatelefonował do znajdującego się w pobliżu składu amunicji. Zażądał, by połączono go z odpowiedzialnym oficerem z kierownictwa. Od tego z kolei domagał się, i to „w imieniu generała”, dostarczenia ręcznej broni palnej, karabinów maszynowych, każdej możliwej do uzyskania ilości amunicji i pewnej liczby skrzyń granatów ręcznych.

— Tylko bez wykrętów, panie kolego. Chodzi o zapotrzebowanie pilne, bardzo pilne, bezpośrednio związane z wojną.

Okazało się, że „pan kolega” jest mocno zmęczonym kapitanem

rezerwy. Ani mu w głowie były jakiegokolwiek wykręty. Wprost przeciwnie — bardzo chętnie uwolni się od balastu nagromadzonej amunicji.

— Zanotowałem pańskie zamówienie — oświadczył niemal z wdzięcznością. — Wszystko w porządku. Coś jeszcze?

Crusius z radością chwycił okazję. — Świetnie, panie kapitanie! Jak wyglądałaby sprawa z minami do urządzenia zapory na drodze?

— Może pan otrzymać. Wystarczą dwa tuziny? I pięści przeciwpancerne? Pięć tuzinów? Już odnotowałem. A może potrzebuje pan także masek przeciwgazowych? Chętnie dam panu trzy skrzynie po pięćdzieś sztuk najnowszej produkcji i możliwie najlepszej jakości. Załatwione. Wszystko przyślę panu jeszcze dzisiaj dwiema ciężarówkami.

Okazało się to niezmiernie proste. Lecz teraz ten pokaźny przydział, który miał dopomóc w zatrzymaniu zwycięskiego pochodu amerykańskich czołgów, należało gdzieś przechować. Ale gdzie? Jeżeli ktokolwiek coś na ten temat wiedział, to tylko Koralnik. Zrobić go odpowiedzialnym za składowanie, to świetny ruch na szachownicy.

Crusius wezwał więc kaprała do siebie, do pokoju służbowego. Ostatnio pokój ten obwieszony był mapami w skali 1:10 000; tkwiły na nich czerwone chorągiewki, które oznaczały oczywiście rozmaite elementy systemu obrony. Koralnik spojrzął na nie z zaciekawieniem, ale na skutek pośpiechu nie mógł się w tym połapać.

Crusius oświadczył mu od razu: — Jeszcze dzisiaj przyjadą tu dwie ciężarówki z uzbrojeniem i amunicją. Gdzie to przechowamy? W pańskim magazynie żywnościowym?

Koralnik był wyraźnie zaskoczony. — Tylko nie tam, panie poruczniku! Mój magazyn jest pełny. Gdybym tam chciał zrobić trochę miejsca, musiałbym wyrzucić skrzynie przeznaczone na użytek kasyna. Tego właściwie nie można zrobić, nie pytając o zdanie pana generała.

Była to ukryta pogrożka, jak zrozumiał porucznik. Ani myślał pozwalać na to.

— Niech pan nie próbuje, Koralnik, utrudniać mi czegokolwiek. Może to być już ostatnia pańska impertynencja!

Kaprał wiedział, że nie może dopuścić do jawnego sporu z Crusiusem. Zmienił więc kierunek.

— W każdym razie pańskiego specjalnego wyposażenia nie da się przechowywać bezpośrednio u mnie, ale być może uda się to zrobić w baraku kuchennym. Nie jest tam zbyt ciasno. Ale, mimo wszystko,

pomieszczenia te nie nadają się znów do składowania amunicji. Mogłoby to zbyt łatwo wpadać w oko.

— No to niech pan wymyśli coś innego, Koralnik — zażądał porucznik — i to natychmiast.

Musiał z tego jakoś wybrnąć, byle tylko pozbyć się Crusiusa.

— Nasuwa mi się jeszcze jedna możliwość, dość dobra, a przy tym pewna. Co by było, gdybyśmy kazali urządzić schron na amunicję trochę na uboczu? Nasi Rosjanie zrobią to w ciągu paru godzin.

— To jest rozwiązanie — podchwycił Crusius. — Tak właśnie zrobimy.

— Za zgodą pana kapitana Rommelskirchena? — zapytał Koralnik ostrożnie, jak gdyby miał ruszyć nadtluczone zepsute jajko.

— Proszę mi nie zawracać głowy. Prawdziwy z pana handlarz! — krzyknął wściekle porucznik. — Już ja dobrze wiem, co tu w trawie piszczy. — Bo ostatecznie Rommelskirchen był mocno zajęty czymś innym. Miał wyjaśnić trudny przypadek, w czym Crusius nie myślał mu przeszkadzać.

Zatem zarządził: — Budujemy ten schron.

— Okropne żarcie! — stwierdziła Zuzanna Singer. Wracała właśnie ze swoją przyjaciółką Moniką Hofer z kantyny, gdzie dostały grochówkę, w której pływało zaledwie parę włókien mięsa. — Wyżywienie jest coraz bardziej podłe. Ale tobie to wyraźnie nie przeszkadza.

— Niewiele — Monika uśmiechnęła się łagodnie. — Tak czy owak, nie jesteśmy głodne.

Usiadły na jednej z wielu ławek, stojących na terenie jednostki — niezdarnych, w ładnym ciemnozielonym kolorze, wyglądających stale jak świeżo pomalowane.

Zuzanna zdjęła trzewiki i masowała sobie stopy. Monika zdawała się wpatrywać swoimi błękitnymi oczami w dal. Było to jednak tylko złudne wrażenie. W rzeczywistości spoglądała na pracujących jak mrówki Rosjan, którzy kopali dół na ładnym kawałku ziemi. Rozpoczynali budowę schronu.

— Przyjrzyj się tylko jeńcom, Zuzanno — powiedziała. — Przypuszczam, że byliby wdzięczni, gdyby im dano do zjedzenia coś takiego, co my dzisiaj mieliśmy...

Zuzanna raczej nie okazała radości z powodu szczególnego rodzaju zainteresowania Moniki — nie dość jej było własnych kłopotów? Czy koniecznie musiała się zainteresować także Rosjanami, a bardzo możliwe, że ma jeszcze jakieś opiekuńcze pomysły! Lecz nim zdążyła powiedzieć cokolwiek na ten temat, pojawił się sierżant Wegner.

Zuzanna zaproponowała mu, by usiadł między nimi. Znać było, że mu to odpowiada, ale jednocześnie wprawia też w lekkie zakłopotanie. W każdym razie na początku wygłosił tylko kilka komunałów — o pogodzie i o stosunkach panujących w jednostce. Plótł jeszcze o jakichś sprawach całkiem bez znaczenia, aż wreszcie Zuzanna przerwała mu:

— I tak dalej, i tak dalej! Wiecie co? Pozostawię was tu sam na sam, razem z waszymi budującymi rozmowami.

Zapewnili ją, że wcale im nie przeszkadza. Powtórzyli to nawet dwukrotnie.

— Ale mnie się chce poprzeshkadzać, tylko nie wam obydwójgu. — Wstała z ławki. — Odwiedzę jeszcze raz dobrego człowieka Koralnika. Musi mi wyjaśnić, dlaczego z dnia na dzień jest coraz bardziej wesoły, prawdopodobnie jako jedyny człowiek w jednostce.

Monika Hofer i sierżant pozostali sami. Siedzieli tuż obok siebie. Widocznie jednak trudno im było znaleźć właściwe słowa, by rozpocząć przyjemną rozmowę. Monika uporczywie przyglądała się Rosjanom, dla których najwyraźniej nie było przerwy obiadowej. Wreszcie zapytała: — Kiedy jeńcy właściwie jedzą? Na rozkładzie posiłków nie ma ich wcale.

Temat prawdopodobnie nie bardzo podobał się sierżantowi. Pomimo to grzecznie odpowiedział: — Dostają jedzenie jako ostatni i muszą zadowolić się tym, co jeszcze pozostało, to znaczy resztkami z kantyny i kasyna. Nie przysługują im ściśle normy żywienia, jak nam.

Monika zareagowała na to z nie spotykaną u niej gwałtownością: — Ależ czegoś podobnego nie wolno robić! Takie traktowanie jeńców wojennych jednoznacznie sprzeciwia się postanowieniom konwencji genewskiej.

— Pani wie, że coś podobnego istnieje? — Wegner był zaskoczony i trochę zaniepokojony, że Monika aż tak stanowczo staje w obronie Rosjan. — O tych układach mało kto tutaj wie. W każdym razie nie zdarzyło mi się dotychczas spotkać kogoś, kto by o to pytał.

— Właśnie dlatego trzeba by na to zwrócić uwagę.

Sierżant próbował delikatnie wyjaśnić jej, że dyskusje na ten temat mogłyby tylko wywołać niepokój, a nie zmieniłyby niczego na lepsze. Mętą wodę wystarczy poruszyć, by stała się jeszcze bardziej mętą.

— Nasi Rosjanie dostają codziennie rano pół litra herbaty i dwieście pięćdziesiąt gramów chleba na osobę. Jest to przydział oficjalny. Korallnik na własną rękę — zrobił to na propozycję Wegnera, o czym ten nie wspomniał — zwiększył tę porcję o sto gramów. Zadbał też o to, by wieczorem dodatkowo dostawali parę dzbanków herbaty.

— To przecież w żaden sposób nie wystarczy.

— Musi wystarczyć. Oficjalnie, jak powiedziałem.

Monika nie mogła oderwać oczu od wynędzniałych ludzi chodzących w strzępach odzieży. — Ależ tu koniecznie trzeba coś zrobić!

— Toteż robi się, panno Hofer, w miarę możliwości. Plutonowy Zander, który nadzoruje Rosjan, na pewno nie jest człowiekiem bez serca. Niejeden raz przymyka oko, a czasem obydwójce oczu naraz. A kilku żołnierzy stara się, by resztki — nie powiedział „odpadki” — z obydwu kuchni nie były przesadnie skąpe. Zdarza się też często, że Korallnik zjawia się w baraku rosyjskim i dyskretnie zostawia tam puszkę masła lub smalcu, a także torebki cukru i soli. Inni znów, i ja także, przechodząc obok, dają im paczkę papierosów, przeważnie dwadzieścia sztuk — po pół papierosa na każdego.

Spojrzenie Moniki przenosiło się to na Rosjan, to na Wegnera. Po raz pierwszy przyjrzała się dokładnie sierżantowi. W oczach jej pojawił się wyraz zainteresowania i, być może, coraz większej przychylności.

— Jak to dobrze, że pan coś podobnego robi! — zawołała.

— Nie warto o tym wspominać — bronił się z zakłopotaniem Anton Wegner. — Przecież sam nie palę. A kilku kolegów pomaga mi w zbieraniu papierosów.

— Nie wyobraża pan sobie, jak się z tego cieszę. — I nagle zadała pytanie: — Czy można by tam zajrzeć? Bardzo bym chciała zobaczyć, jak nasi Rosjanie tu żyją lub raczej wegetują.

— Tak, możemy to zrobić choćby zaraz, bo wszyscy jeńcy są w tej chwili przy pracy. Ich pomieszczenie jest więc puste.

— To niech mnie pan tam zaprowadzi!

Jednak nie doszło do tego, a przynajmniej nie od razu. Nadbiegł bowiem jakiś starszy szeregowy, oddał przepisowo honory i zameldował: — Pan sierżant ma przyjść do pana porucznika.

- A kiedyż to? — trochę gniewnie zapytał Wegner.  
— Powiedział, że jak najszybciej.  
— Nic na to nie poradzimy. — Wegner wstał. — Przykro mi, panno Hofer. A zatem — kiedy indziej.  
— Poczekam na pana.  
— Ale to, zależnie od okoliczności, może potrwać, nawet bardzo długo.  
— Nie szkodzi. Czekam tu na pana.

Porucznik Crusius przyjął sierżanta nad wyraz niełaskawie.

— Nudzi się pan tu niezmiernie, co? Rozsiada się pan na ławkach u boku ślicznych dziewczątek. Nie ma pan nic ważniejszego do zrobienia?

— Jestem po służbie, panie poruczniku. Mam wolny czas.

— Co tam? Człowieku, żołnierz jest wciąż na służbie. A pan jest przecież żołnierzem, a może nie? W zasięgu mojej władzy są tylko żołnierze i żołnierza w tej chwili pytam. Jasne, sierżancie Wegner?

— Tak jest, panie poruczniku — machinalnie odpowiedział Wegner. Potem przypomniało mu się pewne spostrzeżenie: — Czy pana poinformowano, że wczoraj i dzisiaj, za każdym razem koło południa, nad naszym terenem przelatywał amerykański samolot, chyba rozpoznawczy?

Crusius zareagował w sposób wyraźnie nieopanowany. Poczuł, że ktoś go zbił z pantafyku. Coś podobnego było nie do pomyślenia. Miał on przecież do przygotowania sprawy o znaczeniu decydującym.

— Przede wszystkim więc, sierżancie Wegner, jest pan tu nie po to, by mi komunikować swoje spostrzeżenia, ale po to, żeby słuchać moich wytycznych. Poza tym nie powinien pan sobie wyobrażać, że cokolwiek ujdzie mojej uwagi, a więc też te samoloty rozpoznawcze. Leciały na dużej wysokości, około ośmiu tysięcy metrów. Nadleciały i zniknęły. Ostatecznie wokół nas znajduje się mnóstwo innych obiektów, na które Amerykanie ostrzą sobie zęby. Dlatego nie musimy od razu robić w portki.

— Niech mi pan pozwoli zauważyć, panie poruczniku, że zgodnie z najnowszym stanem techniki zdjęcia lotnicze robione z wysokości ośmiu tysięcy metrów...

— Wegner, czy pan chce przypadkiem mnie pouczać?

— Nie, panie poruczniku.

— To niech mi pan nie papie w kółko! Ze mną naprawdę łatwo dojść do ładu. Dobrego przełożonego poznaje się po tym, że mówi niewiele, ale zrozumiale!

I znów padło mechaniczne „tak jest, panie poruczniku”.

— Pańskie zajęcie tam, na dworze — Crusius wskazał przez okno ławkę, na której siedziała, wciąż jeszcze czekając, Monika — może być wcale ciekawe. Ta dama przedstawia całkiem ładny widok. Ale ja chciałbym pokazać panu inny, od którego jeszcze mocniej zabije pańskie waleczne serce, o ile je pan w ogóle posiada. — Porucznik wskazał mapę, która wisiała na ścianie, naprzeciw jego biurka, a więc znajdowała się stale w jego polu widzenia. — Niech pan się przyjrzy temu, sierżancie Wegner, jak najdokładniej. A potem powie mi pan, co pan o tym sądzi.

Anton Wegner bez nadmiernego trudu pojął, co mapa przedstawia. — Jest to wycinek terenu należący do naszego ścisłego obszaru. Są na nim naniesione rejony prawdopodobnej obrony.

— Dobrze! — z zadowoleniem oświadczył Crusius. — Wykazuje pan wprost wojskowe zrozumienie zagadnienia.

Tym razem nie zabrzmiało mechaniczne „tak jest, panie poruczniku”.

Porucznik już nie przywiązywał do tego tak wielkiej wagi. Wyprostowanym wskazującym palcem prawej ręki stuknął szybko raz po raz w trzy punkty, oznaczone czerwonymi poprzecznymi kreskami.

— Zapory na drogach! Na wypadek zagrożenia należy je zaminować. Zapora numer jeden — tak zwana stuletnia jodła. To jest, Wegner, zadanie całkiem specjalne, przewidziane dla pana.

Sierżant był poważnie zaskoczony. Po chwili, gdy minął krótkotrwały strach, odezwał się:

— Niech pan pozwoli, panie poruczniku, zwrócić sobie uwagę, że ja jestem tylko technikiem łączności, a zatem brak mi jakiegokolwiek przygotowania saperskiego.

— Bez wykretów, chłopie! — upomniał go Crusius, w tej chwili już niewątpliwy praktyk wojenny. — W wypadku rzeczywistego zagrożenia podlega mi tu każda para spodni i każda spódnica. — To ostatnie było po prostu delikatniejszym określeniem, gdyż powszechnie wśród żołnierzy dziewczęta były nazywane po prostu „siusiumajtkami”. — Pod-



sumowując, jeśli chodzi o całość, jestem pańskim bezpośrednim przełożonym. Niech pan więc nie usiłuje zasłaniać się generałem; Coś podobnego musiałbym uważać za osobiste wyzwanie.

Wegner jeszcze się opierał, grając na zwłokę: — Panie poruczniku, nie mam nawet najskromniejszego doświadczenia, jeśli chodzi o miny.

— Niech mi pan z tym nie wyjeżdża! Jest pan technikiem, nawet bardzo uzdolnionym, jak powiadają. Niech więc pan to teraz udowodni! A może jest pan zbyt mocno zajęty czym innym? — Nie musiał mówić, kogo miał przy tym na myśli. — Coś podobnego, Wegner, mogłoby panu mocno zaszkodzić.

— Ile mam czasu, panie poruczniku?

— Mnóstwo. Jak wiadomo, taki dzień jak dzisiejszy liczy dwadzieścia cztery godziny. Miny będą tu jeszcze dzisiaj. Jutro przyjrzy się pan im z bliska, by pojutrze je ułożyć. Jak najbardziej pomysłowo i skutecznie.

— Spróbuję, panie poruczniku.

— Nie próbować, tylko zrobić, chłopie! I to w miarę możliwości bez takich ślicznych ubocznych zainteresowań. Kociaki mogą poczekać, pierwszeństwo mają teraz miny.

Monika Hofer czekała długo i cierpliwie. Gdy ujrzała wracającego Wegnera, wstała z ławki i wyszła mu na spotkanie,

— Jest pan — powiedziała. Brzmiało to, jak gdyby powiedziała „nareszcie”. — Możemy teraz pójść?

Przytaknął. Potem szedł kurtuazyjnie z jej lewej strony. Skierowali się do ogrodzenia z drutu kolczastego na tyłach obozu, gdzie gnieździli się rosyjscy jeńcy wojenni. Brama była otwarta na oścież, podobnie jak drzwi zapuszczonego baraku.

Wewnątrz znajdowało się tylko jedno pomieszczenie z kilkoma okienkami, które wyglądały, jakby były czymś zalepione. Trzypiętrowe prycze, zbite z belek i desek, przedzielono na komórki dla dwóch lub trzech ludzi. Na pryczach znajdowały się: przegniła słoma, dziurawe koce, worki zamiast poduszek. Pośrodku stał długi stół; wokół niego wytarte, ale nie brudne ławki.

Na wolnych ścianach powbijano gwoździe, na których wieszano odzież, podartą i śmierdzącą. Ponury obraz nędzy, upadku i dławiącego upodlenia.

Monika patrzyła na to wszystko z męczącym poczuciem bezsilności. Spojrzała na Antona Wegnera, jak gdyby szukając u niego obrony.

Sierżant bardzo ostrożnie objął ją ramieniem. Poczuł, że cała drży. Nie odważył się przygarnąć jej do siebie.

— Niech się pani nie denerwuje, panno Hofer. Przecież robimy, co tylko możemy.

Wyciągnął paczuszkę papierosów i położył ją na stole. Potem z kieszeni spodni wyjął dwie torebki; w jednej było trochę proszku jajecznego, a w drugiej resztki jedzenia z kuchni. Położył je obok papierosów, do tego dołożył jeszcze zapalniczkę.

Monika chciała mu powiedzieć „dziękuję”, lecz wtem usłyszała słabe jęki. Potem nastąpił mocny atak duszącego kaszlu, z najwyższym trudem tłumionego — prawdopodobnie za pomocą chustki.

Monika Hofer podbiegła do pryczy, z której niosło się sapanie i charkot. Ujrzała mężczyznę leżącego w ubraniu — nie zdjął nawet butów. Wychudła twarz była złana potem. Dotknęła czoła tego człowieka, potem chwyciła go za prawą rękę.

— On ma gorączkę — stwierdziła. — Trzeba go natychmiast zabrać do izby chorych.

— Nie ma izby chorych dla jeńców wojennych — z żalem odparł sierżant. — A kapitan Säbisch interweniuje tylko w wyjątkowo ciężkich przypadkach. Jeśli się w ogóle zainteresuje.

— Ależ ten człowiek potrzebuje pomocy natychmiast!

— Niech pani lepiej nie miesza się do tego! — radził jej z coraz większą obawą Anton Wegner. — Powiem, żeby przyszedł tu sanitariusz z lekarstwami. Więcej już naprawdę nie możemy zrobić.

Monika niby to zgodziła się usłuchać jego rady. Ostrożnie osuszyła swoją chusteczką zapoconą, lepką twarz chorego. Potem sięgnęła do kieszeni munduru i wyjęła z niej kawałek tabliczki czekolady. Razem ze swoim szalikiem włożyła ją w drżące ręce Rosjanina.

Usiłował uśmiechnąć się; był wdzięczny, lecz pogodzony ze swoim losem. — Spasibo, dama — powiedział.

Monika Hofer wybiegła na dwór. Anton Wegner wyszedł za nią. Usłyszał, jak powiedziała: — Coś podobnego nie powinno istnieć!

## 7. Ze szczodrego siewu nie zawsze bywa obfity plon

Postępowanie, mające na celu wyjaśnienie nocnego dramatu na tle seksualnym, odbywało się znów w kantine, która jeszcze raz zmieniła charakter. Dokładniej mówiąc, w sali jadalnej dla podoficerów, szeregowych i dziewcząt z łączności. Początek wyznaczono na godzinę szesnastą.

Przewodniczył kapitan Rommelskirchen. Na „asesorów” powołał komendantkę Warnke i, pomimo pewnych wątpliwości, również porucznika Crusiusa. Miał nadzieję, że dzięki temu pomysłowi może być pewny ich pomocy, a nawet współdziałania.

Jednakże, zanim przystąpił do przesłuchiwania, niejako na przygrywkę „wziął najpierw w obroty” porucznika. Robił to oczywiście nie bez chęci zademonstrowania, kto tu właściwie ma coś do powiedzenia.

— Czegóż to muszę wysłuchiwać, panie poruczniku Crusius? Pozwolił pan sobie przywłaszczyć Rosjan, którzy pozostają w mojej dyspozycji? I to nie uzyskując wcześniej mojej zgody?

— Panie kapitanie — powiedział wymijająco Crusius — był pan mocno zajęty wstępnym wyjaśnianiem zaistniałego incydentu. Odniosłem się do tego z szacunkiem. Nie miałem zamiaru niepotrzebnie absorbować pana jakimikolwiek podrzędnymi sprawami.

— Ach, co tam! Głupstwo! Znów usiłował pan wmieszać się w sprawy z mego bezpośredniego zakresu uprawnień i odpowiedzialności! Już ja pana znam! Najchętniej zagarnąłby pan moje rosyjskie towarzystwo w całości. Ale to rzecz nie do wykonania!

— Proszę panów! — wtrąciła Eryka Warnke. — Sądzę, że sprawa polega jedynie na nieporozumieniu i to o znaczeniu drugoplanowym. Tymczasem chodzi o rzeczy znacznie ważniejsze, które musimy wyjaśnić

wspólnie. Zatem razem dążymy do tego samego celu. Czy słusznie się na to zapatruję, panie kapitanie?

— No tak — odpowiedział dość pojednawczym tonem. — Ta harmonijna współpraca z mego powodu na pewno się nie załamie, tym bardziej że, jak wiadomo, można się po mnie spodziewać i szerokich horyzontów myślowych, i zmysłu solidarności.

— Do tego samego dąży też pan porucznik Crusius, prawda?

— Oczywiście — zapewnił porucznik uprzedzająco grzecznie. — Zdam panu, panie kapitanie, dokładnie sprawę ze swego działania, ważnego ze względu na toczącą się wojnę, co chciałbym podkreślić. A następnie będę się starał o pańską dodatkową aprobatę. — Nie powiedział jednak „będę prosił”.

— Naprawdę? — zapytał kapitan z niedowierzaniem.

— Ależ tak! — Crusius sprawiał teraz wrażenie zabiegającego o dobre układy między kompanami z kasyna.

— No więc!? — wykrzyknęła uradowana Eryka Warnke. Oto Crusius tylko ze względu na nią postąpił wbrew swojej naturze. Musiała mu się za to odwdziaczyć. Odwdzięczyła się, każąc zadzwonić.

— W takim razie możemy zaczynać — uważał za wskazane zakończyć Rommelskirchen.

Jako pierwsza została wezwana przed ten trybunał Ingrid Schnitzler, domniemana ofiara. Wiek dwadzieścia jeden lat, w pomocniczej służbie łączności od wiosny 1943 roku, wspaniałały jędrny biust, krowia łagodność, wyraz zapytania w dużych oczach. Zatem z tego gatunku, który żołnierze z upodobaniem nazywali „pełnią rozkoszy”.

Przepytywanie, czyli przesłuchanie wezwanej, rozpoczął Rommelskirchen tonem niemal ojcowskim:

— Proszę nam całkowicie zaufać, panno Schnitzler. Jesteśmy tu po to, by wyjawić prawdę i dojść do właściwej oceny. Liczymy przy tym na pani pomoc, której zechce nam pani z pewnością udzielić. Tak? Więc do rzeczy. Pani twierdzi, że zmuszono panią do odbycia stosunku płciowego?

Schnitzler: — Zostałam zgwałcona.

Rommelskirchen: — Szczegóły wypadku są już nam znane. Natomiast do wyjaśnienia pozostała sprawa następująca — jak mogło do tego dojść?

Crusius: — To znaczy, czy czasem pani nie przyczyniła się do tego? Czy pani zachowanie nie ułatwiło tego wydarzenia?

Schnitzler: — Powiedzieli mi, że mają ochotę pójść ze mną na przechadzkę. Z początku rozmawialiśmy całkiem normalnie. Ale nagle rzucili się na mnie, i to wszyscy trzej. Tak to było.

Warnke: — Powiedz wszystko, co wiesz, dziewczyno! Bez fałszywego wstydu. Znajdujesz się pod moją opieką.

— Pod naszą — uzupełnił Rommelskirchen.

— Rzucili mnie na ziemię. No pewnie, że się broniłam, ale oni byli o wiele silniejsi. Wzięli mnie przemocą.

Crusius: — No dobrze, zaprotokolujemy to.

Rommelskirchen: — Już my wykryjemy, co się przy tym działo.

Warnke: — Wszystko zostanie wyjaśnione bardzo rzeczowo, Ingrid. A teraz odwagi i głowa do góry, dziewczyno. Tak, jak przystoi niemieckiej kobiecie.

Jako następni mieli się niezwłocznie stawić trzej obwinieni podoficerowie — Heinemann, Knoblich i Mayer. Trójce tej udało się na jakiś czas przerobioną z kantyny salę rozpraw zmienić w plac musztry. Trzasnęli obcasami tak mocno, że aż podłoga zadrżała. Wyrzucili w górę prawe ramię i wyprostowali je do niemieckiego pozdrowienia. Wiedzieli przecież, że ich Crusius lubi, by wszystko odbywało się zgodnie z regulaminem.

Rommelskirchen zapytał surowo:

— Czy napadliście, jak tu stwierdzono, na dziewczynę z pomocniczej służby łączności? Żeście zmusili ją potem...

— Ależ to nie my, panie kapitanie! Nic podobnego! Nigdy! — odpowiedział plutonowy Heinemann, nicpoń chytry jak lis, z zębami wilka, a spojrzeniem jagnięcia. Od pierwszego słowa wiadomo było, że gra on rolę rzecznika tej trójki. Cokolwiek powiedział, to jak echo powtarzał jego kamrat Knoblich, natomiast trzeci z tej paczki, mocno ograniczony Mayer, najczęściej potwierdzał tylko kiwnięciem głowy.

Wrażenie, jakie cała trójka wywarła na Rommelskirchenie, w żadnym razie nie było szczególnie dobre. Spojrzał więc, szukając zachęty, w stronę Eryki Warnke. Mrugnęła do niego porozumiewawczo, jak gdyby chciała powiedzieć: tylko naprzód, na wroga! Crusius siedział zupełnie nieprzenikniony.

Rommelskirchen: — Słuchajcie, przestaniemy wreszcie krążyć wokół sedna sprawy. A więc, prosto z mostu — zgwałciliście, czy nie zgwałciliście?

Heinemann: — Ponieważ pan kapitan tak otwarcie pyta, to i ja odpowiem całkiem swobodnie. Chcieliśmy z kolegami tylko trochę pospacerować i nic poza tym. Przyczepiła się do nas ta Schnitzlerowna i też koniecznie chciała iść razem z nami. No to powiedzieliśmy — niech idzie! W każdym razie nie mieliśmy nic złego na myśli, w końcu nie jesteśmy jakimiś potworami. Dobrze mówię, koledzy?

— Bardzo dobrze — zapewnił plutonowy Knoblich. — Tak właśnie było. Przyczepiła się do nas. — Trzeci plutonowy potwierdził to kilkakrotnie kiwnięciem głowy.

Heinemann dalej: — Tak więc szliśmy sobie. Księżyc stał prawie w pełni, na dworze było chłodno, piękny wieczór. Tymczasem baba szwendała się wokół nas, kręciła tyłkiem, gruchała do nas. Potem zachciało się jej nawet siusiu, no to zrobiła. W naszej obecności, chociaż za krzakiem. Ale słyszeliśmy, jak pluskało.

Plutonowy skinieniem głowy potwierdził to, co powiedział. A K noblich uzupełnił:

— To była prawdziwa suka! Po prostu nas sprowokowała. Chciała koniecznie — wiadomo czego. No i potem właśnie obsłużyliśmy ją.

Eryka Warnke miała stanowczo dość opisu, jednoznacznie plugawego.

— Proszę sobie darować tego rodzaju nieprzyzwoite uwagi! Wypowiedzi te odczuwam jako obrazę wszystkich dziewcząt ze służby pomocniczej.

Rommelskirchen: — W pełni podzielam pani poglądy, łaskawa pani. Ten sposób wyrażania się jest w najwyższym stopniu nieodpowiedni.

Rzecznik Heinemann poczuł się sprowokowany:

— Ale kiedy tak właśnie było, to wolno przecież o tym powiedzieć. Nasz pan porucznik — spojrzął przy tym z oddaniem w stronę Crusiusa — z pewnością zrozumie to właściwie. Pan porucznik zna się na tym.

Strzał był celny. Lecz Crusius postanowił chwilowo nie wykorzystywać tego, by nie urazić swojej Eryki. Natomiast zastosował manewr pozorowany, skierowany zupełnie gdzie indziej.

— Byliście chyba pijani do utraty przytomności?

— Nie od razu pijani, panie poruczniku. Coś podobnego przy tych małych przydziałach nie jest możliwe. Ale prawda, byliśmy lekko podchmieleni. Zresztą tej babie oddaliśmy trochę z naszego przydziału; z dobrego serca, jak tu teraz stoimy. Może to był błąd, ale kto mógł przypuszczać, że ona...

— Wynosić się! — krzyknął groźnie Crusius. Był przekonany, że Eryka zaaprobuje jego polecenie. Tak też się stało. Trzej podoficerowie wypadli z sali lotem błyskawicy.

Wydawało się, że i Rommelskirchen jest zadowolony, że nie musi dłużej patrzeć na tych drabów.

— Śmierdzi tu! — powiedział, chwytając się mimo woli za nos. — I to bardzo mocno śmierdzi.

Jak gdyby na zakończenie tego poszukiwania prawdy jeszcze kapitan doktor Säbisch miał możliwość przedstawić swoją „opinię rzeczoznawcy”. Wypadło to dokładnie tak, jak można było oczekiwać. Był to ni pies, ni wydra i nie było w tym ni ładu, ni składu. Säbisch był gotów stwierdzić wszystko, czego się po nim spodziewano, i nie utrzymywać niczego, czego ktoś sobie nie życzył. W efekcie dostarczył wykaz możliwości — do wyboru według upodobania.

Rommelskirchen wreszcie zorientował się, że podsunięto *mu* „czarnego Piotrusia”. Wiedział, że musi wykonać ruch. Problem, który miał rozstrzygnąć, przedstawiał się następująco: Eryka Warnke chciała stanąć w obronie swojej dziewczyny, choćby tylko dla podtrzymania własnego prestiżu. Crusius natomiast dotychczas nie uczynił nic, co by zapowiadało, że uzna on winę swoich podwładnych. Doktor Säbisch wreszcie był chwiejny jak trzcina na wietrze.

— W jaki więc sposób przezwyciężymy przeciwności? — zwrócił się kapitan do swoich asesorów.

— Zeznania są ze sobą sprzeczne — powiedział porucznik. — Żadne z nich nie jest bardziej wiarygodne od innego. Pomimo wszystko jednak pan generał oczekuje od nas rozstrzygnięcia — tak albo tak.

— Moglibyśmy głosować — powiedział Rommelskirchen. — To znaczy wszakże, że ktoś z nas ulegnie dwom pozostałym głosom. Byłoby z pewnością lepiej, gdybyśmy doszli do wspólnego zdania, za które każdy odpowiadałby w równym stopniu.

W ciągu minuty pełnego napięcia milczenia Crusius przyjrzał się swojej Eryce, po czym zapytał Rommelskirchena:

— Czy pan pozwoli, że pani Warnke i ja odbędziemy krótką rozmowę w cztery oczy? Wydaje mi się, że istnieje możliwość uzgodnienia zdań.

— Proszę! Bardzo chętnie! — kapitan z miejsca okazał zrozumienie. — Czy mam na ten czas zniknąć?

— Dziękuję, to nie jest konieczne. — Crusius poszedł w kierunku niszy okiennej. Eryka z całą gotowością udała się za nim. Zaczęli rozmawiać cicho, lecz z niezwykłym ożywieniem.

— Eryko, sama wiesz, jak bardzo zawsze chcę być w porządku wobec ciebie. Dlatego też jestem tego samego zdania, co ty — zapewniał ją. — Twoją dziewczynę wykorzystano w haniebnym sposób. I zrobili to moi ludzie, ci dranie.

Eryka rzuciła na ukochanego promienne spojrzenie. — Konstancynie, to cudowne, że jesteś taki prawy. I masz takie poczucie sprawiedliwości. Nie można ciebie nie kochać!

Crusius położył prawą rękę na jej ramieniu. — Zawsze i o każdej porze oboje bardzo poważnie podchodzimy do swoich zadań, nigdy nie godzimy się na to, by mijać się z prawdą. Ale tak samo nie wolno nam zapominać, że uczestniczymy w historycznych zmaganiach naszego narodu. Cóż z tego wynika? Zatem z jednej strony ponad wszystko cenię cześć i skromność niemieckiej dziewczyny; możesz mi wierzyć. Ale z drugiej — z powodu bezmyślnego wybryku moich podoficerów, nie wolno mi od razu rezygnować z ich doświadczenia i wartości bojowej. Mogę mieć nadzieję, że ty to rozumiesz?

Eryka Warnke nie potrafiła się oprzeć gorącej prośbie mężczyzny, którego kochała.

— Ale jak — zapytała — mamy się potem zachować pod względem, że się tak wyrażę, oficjalnym?

— Zapewnimy o naszym głębokim żalu z powodu tego zajścia, jednocześnie jednak będziemy zmuszeni do przerwania postępowania z powodu braku dowodów. W związku z tym nie będzie, niestety, możliwości, by zapobiec służbowemu przeniesieniu Ingrid Schnitzler.

— No dobrze — skinęła głową Eryka — jeśli ty to uważasz za słuszne, to zgadzam się z tobą.

Udali się z powrotem do kapitana Rommelskirchena. Następnie Eryka Warnke oświadczyła mu ze zdecydowaną, poważną miną:

— Uważam obecnie za wskazane wezwać Ingrid Schnitzler i całym szczerze jej powiedzieć, że ten incydent trudno wyjaśnić w stu procentach. Jednak, chcąc ją uchronić przed przykrościami, nieprzyjemnymi pytaniami i insynuacjami, powiem jej, że dla niej najlepiej będzie, jeżeli jak najszybciej zostanie przeniesiona do jednej zjednostek artylerii przeciwlotniczej.



— Uznaję to za znakomite rozwiązanie — ocenił kapitan propozycję Eryki. — A jak pan się na to zapatruje, panie poruczniku Crusius?

— Również opowiadam się za takim rozstrzygnięciem. Pani Warnke udało się mnie przekonać za pomocą jej trafnych argumentów. Nie przeszkodzi mi to jednak, by dobrać się należycie do skóry tym trzem bezwstydnym zasańcom. Dam im tak w kość, że się do kupy nie pozobierają! Jeszcze pożałują, że się tak po świńsku zachowali, ręczę za to.

Rommelskirchen z trudem powstrzymywał uśmiech zadowolenia.

— Złożę zatem panu generałowi meldunek. Dziękuję państwu za gotowość do współpracy.

Koralnik siedział w swojej jaskini żywności i właśnie zamierzał poprześcić się szampanem z białego termosu, gdy niespodziewanie pojawiła się Monika Hofer. Odnosił przy tym wrażenie, że jest to niemal napad — z tak niezwykłym ożywieniem i tak energicznie wkroczyła do niego.

— Panie Koralnik — zagadnęła bez dłuższych wstępów — czy może mi pan wyświadczyć wielką przysługę?

Kapral zaburczał niczym łagodny pies bernardyn:

— Za każdym razem, kiedy słyszę słowo „przysługa”, zaczynam coś podejrzewać. Ale w pani wypadku, panno Hofer, kusi mnie, bym zrobił wyjątek. Czy pani przychodzi od Zuzanny? — Miało to znaczyć „czy to ona wysłała panią na zwiady?”

— Nie, jestem tu z własnej inicjatywy. Z prośbą, która może zabrzmie dość zuchwale.

— Do takich rzeczy już przywykłem. Ale niech pani na razie usiądzie. Jest pani zupełnie wyczerpana. — Wyciągnął w jej kierunku termos. — A może coś na orzeźwienie?

Monika grzecznie odmówiła. Nie usiadła też. Stojąc, patrzyła na niego, jak mu się zdawało, dziwnie błagalnym spojrzeniem.

— No, to cóż mógłbym dla pani zrobić? To znaczy, czego pani dostarczyć? — zapytał.

— Żywności, panie Koralnik, ile pan tylko może znaleźć — czekolady, cukru, miodu.

Koralnik pozwolił sobie na szeroki uśmiech. — Jeśli chodzi o artykuły, które pani wymieniła, są to raczej używki — powiedział. — Żywność to na przykład masło, jajka, chleb i mąka.

— Wszystko, co tylko może mi pan dać, będzie mile widziane. A jeżeli tego nie uniosę za jednym razem, chętnie znów przyjdę.

Koralnik, dość nieswój, wyciągnął się na krzesło.

— Czy mogę zapytać, panno Hofer, dlaczego pani potrzebuje tego jedzenia, i to do tego w większych ilościach?

— Niech pan lepiej o to nie pyta!

Koralnik wiedział, że taka dziewczyna jak Monika nigdy nie usiłowałaby czerpać jakiejś korzyści dla siebie. Można więc było przypuszczać, że planuje ona akcję dobroczynną. Domyślał się, że może to mieć przykre następstwa nie tylko dla niej, ale być może także dla niego.

— Droga panno Moniko — przemówił do niej tonem niemal ojcowiskim — w niebezpiecznych czasach dobrze jest zaufać swojemu instynktowi, podobnie jak czynią to leśne zwierzęta, by przeżyć. Czy słyszała pani kiedykolwiek, by sarny zbliżały się do ludzi? Nie. Nie robią tego, bo ich mądrość polega właśnie na tym, że są płochliwe. Albo, czy udało się kiedyś pani lub komukolwiek innemu spotkać żbika? Nie. Dlatego, że to najszybsze zwierzę naszych lasów unika dwunożnych stworzeń jak zarazy.

— A jednak musimy współżyć u ludźmi, niezależnie od tego, jacy oni są — dobrzy czy źli, biedni czy bogaci, głodni czy syci.

— Współżyć z ludźmi nierzadko znaczy tyle, co mieć się przed nimi na baczności. Każdy usiłuje się przedrzeć przez dżungłę bytowania, jak tylko się da. A każdy ma przecież prawo do odrobiny szczęścia osobistego, nawet jeśli nosi mundur i żyje w koszarach — może wtedy dopiero je ma? Każdemu trzeba więc pozwolić na określoną dawkę egoizmu, choćby tylko nieznaczną.

— Ale są przecież ludzie opuszczeni przez innych i dlatego jest im nieporównanie gorzej niż nam wszystkim. Im też trzeba pomóc.

— Jeżeli rzeczywiście można pomóc! — Kapralowi zaczęło z lekka świtać w głowie, co Monika zamierza, ale postanowił zachować to dla siebie. Dlatego uciekł się znów do porównania. — Niech pani spróbuje sobie wyobrazić taką sytuację: spotyka pani bezpańskiego, zagłodzonego psa. On patrzy na panią przymilnie, pewnie chciałby od pani dostać coś do jedzenia lub żeby przynajmniej pogłaskała go pani. Co pani robi? Jeśli ma pani coś do jedzenia, daje mu to pani i drapie go po grzbiecie. A jaki będzie tego skutek? W biednym zwierzęciu obudzi się nadzieja, że pani go już nie odtrąci. A tymczasem pani znów pozostawi go samego.

— Wziąłabym go do siebie.

— Należałoby się tego po pani spodziewać, panno Moniko. Jednak, już całkiem niezależnie od tego, że podobna rzecz w pani obecnej sytuacji jest praktycznie nie do pomyślenia, to co się stanie z mnóstwem biednych pieszków, które czekają na czyjąś dobroć i współczucie?

Skierowała na niego promienne spojrzenie, jak gdyby nagle odkryła zupełnie innego Koralnika.

— Ma pan wielkie, dobre serce, chociaż nie chce się pan do tego przyznać.

— O czymś podobnym powinna pani zapomnieć jak najszybciej. Wcale nie uważam, by uszczęśliwianie ludzi było zajęciem odpowiednim dla mnie. Wróćmy jednak do sprawy bardzo konkretnej — do pani zamówienia na artykuły żywnościowe. Mam ochotę przyjąć, że zamierza pani urządzić jakąś okolicznościową imprezę.

— Niech pan tak uważa z całym spokojem, panie Koralnik.

— Proszę więc pozwolić, że poradzę, co powinna pani uwzględnić. — Koralnik postanowił się jakoś zabezpieczyć. — Mógłbym sobie na przykład wyobrazić, że z artykułów, których się pani ode mnie spodziewa, upiecze się dość okazały tort urodzinowy. Taki, by starczyło dla całej damskiej załogi. Przyjmijmy, że może pani chce w ten sposób uczcić komendantkę, pannę Warnke, a może Führera, którego urodziny się zbliżają.

— Bardzo proszę, niech pan nie wypytuje o szczegóły. Proszę już mnie pozostawić odpowiedzialność.

Kapralowi bardzo to odpowiadało. — No, to pięknie. Nie będę już zadawał żadnych pytań. Wydaję, co trzeba.

Własnoręcznie napełnił dwa kartony masłem, jajkami i mlekiem w proszku, kakao, marmoladą i konserwami. Potem jeszcze dołożył trzylitrową bańkę prawdziwej oliwy i paczkę łożu czekoladowego z orzechami laskowymi.

Monika podziękowała mu bardzo serdecznie i, uszczęśliwiona, zabierała się do odniesienia tych skarbów.

— Panie Koralnik, nigdy panu tego nie zapomnę! — zawołała.

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy zapomnieli o tym oboje: i pani, i ja. — Zabrzmiało to jak przyjazne ostrzeżenie. — Jest pani pewna, panno Moniko, że podejmując tę akcję nie popełnia pani czasem jakiegoś głupstwa? Byłaby wielka szkoda, gdyby się pani wplątała w jakieś kłopoty.

— Jeśli wynikną kłopoty — odpowiedziała cicho — to całą winę wezmę na siebie.

W kasynie zameczku tego dnia wieczorem podawano wykwintną kolację. Punktem kulminacyjnym było wniesienie delikatnego, uduszonego combra jagnięcego. Generał rozkoszował się zarówno pogodnym i swobodnym nastrojem, jak i znakomitymi potrawami. Wypadało uczcić szczęśliwe załatwienie przykrego incydentu, jakim była sprawa Ingrid Schnitzler.

— Dobra robota, moi drodzy! — zawołał generał i przepił do swoich najbliższych współpracowników.

Rommelskirchen przybrał uprzejmie-skromną minę.

— Wynik, do jakiego doszliśmy, z pewnością zgodny z pańskim zamysłem, panie generale, stał się ostatecznie możliwy dzięki wzorowemu współdziałaniu wszystkich, którzy w tej pracy uczestniczyli. Nasza szanowna pani Warnke i porucznik Crusius byli mi bardzo pomocni.

— Tak też powinno być! — przytaknął generał. — W końcu wszyscy stanowimy zaprzysiężoną wspólnotę i to naprawdę nie dopiero od czasu tej wojny. A taka postawa ma u nas, w Niemczech, już długą tradycję. Już za czasów cesarstwa była ona sama przez się zrozumiała i nieodłączna od wojska. A później, w Reichswehrze, duch koleżeństwa był jedną z najważniejszych cnót żołnierskich. Mógłbym o tym opowiadać godzinami.

Po chwili, głaszcząc machinalnie dłoń swojej Marianny, zaczął się pławić w radosnych wspomnieniach.

— Przypadł mi też zaszczyt zetknięcia się z panem feldmarszałkiem i prezydentem Rzeszy, Paulem von Hindenburgiem. I mogę oświadczyć, że czystym wymysłem jest twierdzenie, iż dostojny pan w ostatnich latach życia stał się zgrzybiałym, bezradnym starcem. W rzeczywistości było niemal odwrotnie. Hindenburg przekształcił się w mądrego, troskliwego ojca ojczyzny.

Obecni, chcąc zrobić generałowi przyjemność, uśmiechali się z zainteresowaniem.

— Nie jest też zupełną prawdą to, co się czasem po cichu opowiada, jakoby feldmarszałek naszego Führera bez szacunku nazwał „czeskim kapralem”. Wiadomo mi natomiast, że powiedział: „kapral może w tornistrze nosić marszałkowską buławę”. A to przecież zupełnie co innego.

Również ten przyczynek do fałszowania historii towarzystwo przyjęło z uznaniem. Tymczasem, jak dowiedziono, Hindenburg rzeczywiście

pozwoił sobie na uwagę o „czeskim kapralu”. Polegało to zresztą na pomyłce geograficznej. Miejsce urodzenia Hitlera, Braunau nad Inn, pomylił Hindenburg z Broumovem w Czechach.

— Następnie poznałem ówczesnego dowódcę wojsk lądowych, generała-pułkownika von Fritscha. Kilkakrotnie miałem okazję referować mu aktualny stan techniki łączności. Scharakteryzowałbym go jako podobnego bardziej do żółwia niż do człowieka. Był zamknięty w sobie, nieprzystępny i małowówny. Lecz kiedy trzeba było chronić Rzeszę, Wodza i naród, to okazało się, że jest on jednak gotów siebie złożyć w ofierze na rzecz wspólnoty. Ze względu na perwersyjne skłonności seksualne dano mu do zrozumienia, że powinien wcześniej przejść w stan spoczynku. Cóż zatem uczynił generał-pułkownik? Czy może obstawał przy swoim rzekomym prawie? W żadnym razie! Szlachetnie, dostojnie, świadom swojej odpowiedzialności, to jest tak, jak zawsze zwykł postępować, poświęcił się, ażeby nie stwarzać trudności fűhrerowi i Rzeszy.

Jeśli chodzi o dygresję w kierunku historii obyczajowej Trzeciej Rzeszy, to było w niej więcej fałszu niż prawdy. W istocie Goring i Himmler pomówili generała-pułkownika o stosunek z chłopakiem, który uprawiał nierząd homoseksualny, by pozbyć się niewygodnego naczelnego dowódcy wojsk lądowych. A ich fűhrerowi, Adolfowi Hitlerowi, ta brudna, kłamliwa intryga była bardzo na rękę. Zwolnił Fritscha, po czym już bez żadnych przeszkód mógł wprowadzać w czyn swoje plany wojenne. Wprawdzie później sąd honorowy stwierdził, że wyrządzono krzywdę najzupełniej niewinnemu generałowi, ale nie pozwolono zrehabilitować go nawet wobec opinii społecznej. Na skutek tego fałszywe pogłoski o „aferze Fritscha” raz po raz straszyły po wielkoniemieckich kasynach oficerskich.

Generał Blumenberger na pewno jeszcze długo zabawiałby się w najlepsze opowiadaniem na wpół prawdziwych bądź kompletnie zmyślonych historyjek ze swego urozmaiconego życia w wielkiej chwili dziejowej Niemiec. Jednak nagle zauważył, że w tym doborowym towarzystwie kogoś brakuje. A mianowicie kapitana doktora Säbisha.

— A cóż to się dzieje z naszym kapitanem? Czyżby go nie powiadomiono o moim zaproszeniu? — spojrział pytająco rja swoją nieodłączną towarzyszkę.

Marianna Dengler odpowiedziała zwięźle, po wojskowemu:

— Zaproszenie przekazano.

— To gdzież on się pęta? Nie ma zegarka?

— Ciekawe, co on w ogóle ma? — odezwał się Crusius widocznie z nadzieją, że pobudzi obecnych do śmiechu, lecz poza Eryką Warnke nikt nie przyjął tego za dowcip.

W chwilę po tej rozmowie wszedł sztywnym krokiem sam doktor Säbisch. Był mocno zaaferowany, czoło miał pokryte zmarszczkami — mawiał, że zmarszczki te znamionują myśliciela, natomiast Crusius lubił żartować, że ma on twarz jamnika. W każdym razie kapitan sprawiał wrażenie, jakby dopiero co spełnił misję wiele znaczącą dla przebiegu wojny. Skłonił się bardzo głęboko i powiedział:

— Bardzo proszę o wybaczenie, panie generale, panie, panowie. Musiałem się zatrzymać z przyczyn służbowych.

— No, przez co to i przez kogo? — Crusius nie mógł się powstrzymać od pożartowania kosztem lekarza. — Czyżby pan na nowo odczuł nieprzepartą chęć zbadania kilku naszych dziewcząt? Oczywiście z właściwą panu dokładnością?

Generał widocznie pragnął podtrzymać zgodny nastrój. Z tą myślą odpowiedział z odcieniem żalu w głosie: — W każdym razie nie zdążył pan przyjść na smaczną pieczeń z jagnięcia, panie doktorze. A my tymczasem przeszliśmy już do deseru.

— Nic nie szkodzi, panie generale — zapewnił doktor, wycierając chustką lśniące od potu czoło, które uważał za wysokie. — Bo muszę wyznać, że apetyt straciłem zupełnie. Na szczęście teraz już przynajmniej nie zepsują apetytu panu generałowi.

— To coś niedobrego, jak słyszę, doktorze. Co się stało?

— Piekło się rozpętało, panie generale. I to w rosyjskim baraku. Właśnie stamtąd przychodzę. Naturalnie, nie zapomniałem starannie się umyć. Wśród jeńców wojennych zapanował kompletny bałagan.

Porucznik Crusius nie omieszkał szybko przyciąć kapitanowi Rommelskirchenowi:

— Jeśli chodzi o tę rozpuszczoną bandę, to nie ma w tym nic dziwnego.

— Chciał przez to powiedzieć, że: „jeżeli tak się tymi ludźmi kieruje...”

Kapitan mruknął niechętnie: — Niechże się pan uprzejmie nie wtrąca i to po raz któryś z rzędu!

— Tylko spokojnie, moi panowie! — upomniał ich generał. — I bez

insynuacji, bardzo was proszę! — Osobiście podał doktorowi Säbischowi kieliszek szampana. — Niech więc pan opowiada, panie doktorze! Jaka to katastrofa zdrowotna dotknęła pańskim zdaniem Rosjan?

— Będę usiłował, zwłaszcza ze względu na obecność pań, możliwie oględnie złożyć sprawę z tego, co ustaliłem — zapewnił lekarz. — Stwierdziłem gwałtowne kurcze żołądka, ostrą niestrawność, męczące wymioty. W dodatku te w najwyższym stopniu nieapetyczne objawy wystąpiły u wszystkich jeńców.

— Czy przypadkiem ktoś pozwolił tym durniom, żeby się przezarli? — dopytywał się Crusius.

— Całkowicie wykluczone! — stwierdził oziębłe Rommelskirchen.

— Pańska diagnoza, doktorze? — dopytywał się generał.

— A więc, o ile dotychczas mogłem się zorientować, to w wydalinach rzeczywiście mamy do czynienia ze spożyciem dużej ilości ciężkich, to znaczy również ciężko strawnych artykułów spożywczych i używek. W każdym razie ludzie ci nie mogli temu podoleć, wobec czego — bardzo panie przepraszam — wyrzucają to z siebie górą i dołem. Oczywiście sytuację tę uda mi się opanować. Chwilowo zamieniłem rosyjski barak w tymczasowy szpital.

Crusius spojrział na Rommelskirchena: — I kto za to odpowiada?

Generał uspokoił ich: — Jak mogło do tego dojść? Wie pan, panie doktorze?

— Chyba wiem, panie generale. Oczywiście nie mogę na razie za ręczyć. Jednak, zgodnie ze wszystkim, co dotychczas słyszałem, te przykre następstwa dostarczenia jeńcom żywności mamy do zawdzięczenia którejs dziewczynie z pomocniczej służby łączności.

— Nie mogę uwierzyć! — przerwała mu Eryka Warnke.

— Co za świnię! — zawołał Crusius. — To graniczy wprost z sabotażem. Te dranie nic nie robią, tylko rzygają i fajdają! I przez to nie są zdolni do wykonywania zadań wynikających z warunków wojennych.

Czy mu się to podobało, czy też nie, generał musiał uznać tak uroczyście i przyjemnie zapowiadającą się kolację za zakończoną. Zniósł to jednak wyraźnie po męsku, bez słowa skargi. Zdobył się nawet na to, by łagodnym tonem wydać coś w rodzaju rozkazu:

— Proszę zadbać o swój oddział, kapitanie Rommelskirchen!

Crusius znów przepchnął się do przodu: — Chętnie w tym pomogę panu kapitanowi!

— Z pańskiej pomocy, panie poruczniku, mogę zrezygnować — odciał się Rommelskirchen.

Generał rozstrzygnął: — Proszę to załatwić, Rommelskirchen, że się tak wyrażę, protokołarnie. Natomiast porucznik Crusius i doktor wezmą w tym udział.

— Tak jest, panie generale — potwierdzili chórem wszyscy trzej. Następnie, zgodnie z rozkazem, odmaszerowali, gotowi do spełnienia swoich powinności.

Blutenberger pozostał ze swoimi damami. Zatrzymał władcze spojzenie na Eryce Warnke: — Co łaskawa pani sądzi o tej sytuacji?

— Panie generale, przeciwko jednej z moich dziewcząt wysunięto niezwykle poważny zarzut, którego podstawy zbadam najdokładniej. W razie gdyby obwinienie okazało się słuszne, to ani przez chwilę nie zawaham się przed wyciągnięciem wszelkich konsekwencji.

— Tego się po pani spodziewałem, moja droga. A zatem, proszę tak właśnie postępować.

Eryka Warnke wstała, gotowa natychmiast przystąpić do dzieła. Generał skinął jej przyjaźnie głową: — Liczę na panią!

Gdy odeszła, spojrzął na swój zegarek — było parę minut przed dziesiątą. Postanowił pójść do siebie razem z Marianną. Może we własnym salonie nastawi sobie jeszcze płytę, na przykład „Davon geht die Welt nicht unter” („Od tego świat się nie zawali”) w wykonaniu Żary Leander, jej głęboko zmysłowym kontraltem. Była to jedna z jego ulubionych płyt.

Eryka Warnke rzeczywiście była zdecydowana działać bardzo ostro. Zwłaszcza gdy doktor Säbisch szeptem zdradził jej określone nazwisko. Od dłuższego już czasu przygotowana była na to, że któregoś dnia dojdzie do nie uniknionego starcia pomiędzy nią a ową przebiegłą i podstępna osobką. I teraz to nastąpiło. Udała się do swego służbowego pokoju i usiadła przy biurku. Wpatrzyła się w jedyne stojące na nim zdjęcie w formacie 30 na 20 centymetrów. Przedstawiało ono führera, który — wydawało się — spoglądał na nią ze skromnej dębowej ramy. Przytaknęła mu skinieniem głowy. Następnie wyszła na korytarz i głośno zawołała:



— Monika Hofer, natychmiast do mnie!

Monika widocznie czekała na to wezwanie. Stawiła się w ciągu paru sekund, przepisowo umundurowana. I stała oto, niejako oko w oko z führerem i komendantką. Nie spuszczała oczu pod badawczymi spojrzeniami Eryki Warnke, co ta przyjęła za objaw arogancji.

— Czy ty, dziewczyno, rzeczywiście odważyłaś się ingerować w wewnętrzne sprawy jednostki? — rozpoczęła. — Po prostu nie chce mi się w to wierzyć.

— Według mnie nie było to żadne zuchwalstwo — odpowiedziała Monika. — Uważam, że pomoc, jakiej udzieliłam jeńcom wojennym, jest sama przez się zrozumiała. Nie możemy przecież zgłodzić tych Rosjan.

— A więc rzeczywiście dopuściłaś się tego! — zawołała Eryka Warnke. — Nie rozumiesz, w co się wdałaś? To są podludzie зараżeni bolszewizmem! Jako niemiecka dziewczyna musiałaś sobie z tego zdawać sprawę!

— Właśnie jako niemiecka dziewczyna usiłowałam sobie przy tym wyobrazić, co się dzieje z naszymi żołnierzami, gdy dostają się do rosyjskiej niewoli. — Monika ani przez chwilę nie unikała spojrzenia swojej przełożonej. — Czy w podobnej sytuacji traktują ich podobnie, czy tak samo muszą cierpieć głód?

— Milcz, Moniko! Przerwij tę defetystyczną, niebezpieczną, głupią gadaninę.

— Nie uważam, by to gadanie było głupie!

— Sama już nie wiesz, co mówisz! — Eryka Warnke była zdecydowana udzielić Monice ostatecznej lekcji, ponieważ porucznik Crusius prawdopodobnie zwrócił na nią uwagę. Należało ją jak najszybciej usunąć! Pomimo to Eryka uważała za wskazane zachowywać się tak, jak gdyby chciała jej pomóc. — Wystarczy, byś powiedziała: „Popełniłam głupstwo, jest mi przykro i proszę o wybaczenie”. Wtedy mogłabym spróbować jakoś załagodzić sprawę.

Monika nie ustępowała.

— Jeżeli z jakiegokolwiek powodu jest mi przykro, to tylko dlatego, że wiktuały zaszкодziły Rosjanom. Poza tym wszystko, co powiedziałam i zrobiłam, zgadza się z moimi przekonaniem. I za to odpowiadam.

— A więc odtrącasz moją dłoń, którą wyciągam do ciebie? — za wołała Eryka Warnke rozmyślnie płaczącym głosem. — W takim razie zmuszasz mnie, bym odpowiednio zareagowała. Najpierw jednak

chciałabym się dowiedzieć, skąd dostałaś tę żywność? A może ją gdzieś zwędziłaś?

— O tym nie mogę i nie chcę udzielać żadnych informacji.

Eryka Warnke oczywiście mogła sobie wyobrazić, gdzie należy szukać źródeł podobnych dostaw. W jednostce tylko jeden jedyny człowiek był do tego zdolny — kapral Koralnik.

— Przyjmuję zatem do wiadomości, Moniko, że wzbranasz się wspólnie ze mną, w pełnym zaufaniu, wyjaśnić okoliczności sprawy i ostatecznie ją zakończyć. To jednak prowadzi do nie uniknionych następstw!

— Pogodzę się z nimi.

— W takim razie nie będziesz miała prawa egzystencji w zasięgu mojej władzy. Chcesz koniecznie doprowadzić do tego?

— Tak — odpowiedziała Monika po prostu.

— No to pakuj swoje manatki! Daję ci na to pół godziny. Potem służbowy wóz odwiezie cię tam, gdzie zostaniesz przydzielona. — Po czym ironicznie dodała: — Tam, mam nadzieję, poczujesz się lepiej niż wśród nas.

Monika odeszła do swojej izby i zajęła się pakowaniem. Była przy tym całkowicie opanowana, jakby było to jej zwyczajne zajęcie.

Po kilku minutach zastała ją przy tym Zuzanna Singer. Wraciała z kantyny, gdzie z kilkoma koleżankami rozmawiała o aferze zgwałcenia. Wszystkie były zgodne co do tego, że podoficerowie z tej afery wykpiłi się zbyt tanio. I że robienie za to świństwa Ingrid, to znaczy przeniesienie jej, było ukartowanym łajdactwem.

Gdy tylko Zuzanna spojrzała na zajęłą pakowaniem Monikę, od razu wyczuła, że dzieje się znów coś niezwykłego.

— Co to znaczy, dziewczyno? Chcesz się przypadkiem przeprowadzić, nie uprzedzając mnie o tym ani słówkiem?

— Przenoszą mnie, i to jeszcze tej nocy.

— Kto zarządził podobną bzdurę?

— Nasza Warnke, bo któż by inny?

— To zupełnie podobne do tej megery. Chce albo ciebie się pozbyć, albo rozdzielić nas obie. Ale, na jakiej podstawie?

— Nie odpowiadam tutejszemu środowisku, tak mi powiedziała. I właściwie ma rację.

— A cóż takiego popełniłaś? Może czasem kokietowałaś Crusiusa?

O to cię nie posądzam. Dałaś tej Warnke do zrozumienia, że masz ją za nic? Także nie. O co więc chodzi?

— Dostarczyłam naszym Rosjanom żywności.

— O, dobry Boże! Więc to ty zrobiłaś? Już cię prawie o to podejrzewałam. Nasza mała Monika w charakterze świętej Elżbiety! I w dodatku wszystko w tajemnicy przede mną.

— Nie chciałam tym nikogo obciążać, Zuzanno. Ani ciebie, ani Koralnika.

— To wygląda na piekielnie podobne do ciebie! Ale nie powinnaś była zapomnieć, że jestem przecież twoją przyjaciółką. Mogłabym ci przynajmniej pomóc w odniesieniu tego wszystkiego.

— Dziękuję ci, Zuzanno, zawsze jesteś...

— Wcale nie jestem! Za to jestem bardzo zmartwiona, że chcesz mnie zupełnie tak po prostu opuścić.

— Nie chcę, Zuzanno, ale muszę.

— No, to jeszcze zobaczymy! — zawołała wojowniczo Zuzanna.

— Przeciągnij trochę pakowanie, Moniko. Muszę mieć czas na zorganizowanie czegoś.

— Och, Zuzanno, co tu można jeszcze zorganizować?

— Muszę się co do tego zorientować w szczegółach!

Zuzanna Singer spiesznie udała się do Koralnika.

Powitał ją wesoło. — Im później wieczorem...

— ... tym większa niespodzianka — przerwała mu. — Wyobraź sobie, że ta Warnke chce przenieść Monikę, i to w ciągu godziny. Biedactwo wylądjuje prawdopodobnie w którejś baterii przeciwlotniczej, a może pójdzie nawet prosto na front.

— Na co właściwie nasza kochana Monika też sobie zasłużyła — mruknął z niezadowoleniem Koralnik. — Urządza sute przyjęcie u Rosjan i przyprawia ich o wymioty. A ja, idiota, dostarczyłem jej nawet wiktuałów. Myślałem, że potrzebne są one do urządzenia hucznego przyjęcia.

— Człowieku, trzymaj się ziemi! — zawołała Zuzanna. — Masz dobry słuch i świetnie wiesz, co w trawie piszczy! Sam chyba też nie przewidziałeś żałosnych skutków obfitego posiłku i postanowiłeś się ze wszystkiego wyłgać. Wcale to nie jest potrzebne. Monika nie zdradziła, że byłeś dostawcą, a poza tym odmówiła jakichkolwiek informacji. Powinieneś to docenić.

— Zaraz padnę na kolana, żeby odmówić radosną modlitwę dziękczynną.

— Konradzie Koralnik, jeżeli nie wejdiesz w tej chwili na właściwy tor, to potrafię cię kopnąć w ociężały tyłek. — Zuzanna świetnie opanowała ordynarny żołnierski żargon. — A jeśli nawet to nie pomoże, to możesz mnie zaraz...

— Co?

— Spisać na straty! Raz na zawsze, bo przestanę znać Konrada Koralnika.

Kapral wyprostował się w krześle. — No, do tego przecież nie dopuścimy — powiedział, szczerząc zęby. — Musimy zatem znów wdać się z kimś w sprzeczkę.

Łyknął spory haust szampana, lecz jego mózg już bez tego działał na wysokich obrotach.

— W każdym razie jedno jest pewne — Eryki Warnke i Crusiusa nie możemy przestroić na inny ton. Musielibyśmy ich zaskoczyć razem w łóżku. Do tego można doprowadzić, ale nie tak od razu. Najlepiej będzie, jeśli wciągniemy w to generała.

— Myślisz, że to możliwe?

— Możliwe, jeżeli tylko uda się dostać do niego jeszcze teraz, późnym wieczorem. Ale to prawdopodobnie da się zrobić tylko za pośrednictwem twojej kuzynki, Marianny. Musiałabyś ją odpowiednio urobić, by potem ona przygotowała swego generała.

— Dobrze, podejmę się tego — zdecydowanie oświadczyła Zuzanna. — Choćbym miała własnoręcznie wyciągnąć ich z łóżka z baldachimem.

— To chyba nie będzie potrzebne — zapewnił ją Koralnik. — Wystarczy tylko, byś zwróciła uwagę na okna na piętrze po prawej stronie zameczku. Należą one do tak zwanego salonu generała. Dopóki wokół rolet zaciemniających widoczne są wąskie pasemka światła, dopóty nie przeszedł on jeszcze do swojej sypialni.

— Dobrze, w takim razie pójdę do nich w odwiedziny. A co ty masz zamiar robić w tym czasie, Koralnik? Nadal będziesz pił?

— Dokładnie tak, Zuzanno. Ale już nie samotnie. Myślę wziąć sobie do towarzystwa sierżanta Wegnera, by go należycie podkreślić. Bo powinnaś wiedzieć, że nasz Anton jest zagorzałym fanatykiem sprawiedliwości. Szczególnie w wypadku, gdy chodzi o Monikę.

Przed główne wejście do baraku dziewcząt ze służby łączności zajechał samochód osobowy. Był to pomalowany w ochronne barwy mercedes, który zazwyczaj pozostawał w wyłącznej dyspozycji porucznika Crusiusa.

Za kierownicą tego niedużego grata siedział starszy szeregowy Schlehmiel, w jednostce nazywany też „skurczonym Germaninem”, ponieważ był wprawdzie barczystym blondynem o niebieskich oczach, lecz wydawał się jakiś dziwacznie niski. Od czegoś, co przypominałoby myślenie, zdążył się w latach wojny odzwyczaić zupełnie. Jego dewizą było „wozić wszystko, co tylko jest do przewiezienia”. Bez różnicy, czy to wódkę, czy gówno, czy nawet baby. Na wojnie potrzebni byli prawdziwi mężczyźni, a on był jednym z nich.

Eryka Warnke odprowadzała Monikę do tego pojazdu. Wciąż jeszcze udawała, że troskliwie opiekuje się dziewczyną.

— Usiądź tam, Moniko. Kierowca wie, dokąd ma cię zawieźć i gdzie ciebie oczekują. Zajedziecie tam mniej więcej w ciągu godziny. — Nawet dorzuciła jeszcze: — Przykro mi, że musiało do tego dojść. Ale nie pozostawiłaś mi żadnego wyboru. Nie będę ci jednak tego pamiętała.

— Ja pani też nie.

Monika Hofer wrzuciła na tylne siedzenie wozu swój bagaż, składający się z worka podróżnego i zniszczonej walizeczki. Następnie zaczęła przygotowywać się do zajęcia miejsca obok „skurczonego Germanina” Schlehmiela.

Wtedy nadbiegł ktoś pośpiesznie. Z ciemności do trójki przy samochodzie doleciał czyjś zadyszany głos:

— Stać! Nie odjeżdżać!

Monika poznała od razu, czyj to głos. Należał do sierżanta Wegnera, który właśnie dobiegał do samochodu.

— Proszę nie wsiadać, Moniko! — zawołał błagalnie.

Monika nie odpowiadała. Spojrzała tylko na niego wymownie. Wyglądało, jakby chciała go ostrzec.

Eryka Warnke ukryła niepokój pod maską rezolutnego zdecydowania: — Na co pan tu sobie pozwala? Niech pan się ma na bacności! Nie jest pan w najmniejszym stopniu upoważniony do udzielania wskazówek.

— Pani ostrzeżenie jest całkowicie zbędne. Znam swoje uprawnienia.

— Wątpię w to, panie sierżancie Wegner. Proszę odejść na bok! Wsiadaj, Moniko! A wy, starszy szeregowy, odjeżdżajcie.

— Tak jest! — odpowiedział starszy szeregowy.

Głos Eryki Warnke stał się piskliwy. — Chce pan tu czegoś zabronić, sierżancie? Śmieszne! Ten ładunek odjedzie i to natychmiast.

— Pani Warnke, nie ma pani w ogóle prawa wydawania żołnierzowi jakichkolwiek rozkazów. Aleja mam i robię z tego w tej chwili użytek. Pozostaniecie tu ze swoim wozem, starszy szeregowy Schlehmiel, i zaczekacie na dalsze rozkazy.

— Tak jest! — potwierdził mechanicznie kierowca. Rozkaz był ostatecznie rozkazem. Cała reszta obchodziła go tyle, co zeszloroczny śnieg.

— Jeszcze pan tego pożałuje! — zawołała Warnke do sierżanta.

— Bardzo możliwe, że ktoś będzie tego żałował — odpowiedział Wegner — ale które z nas dwojga, to się dopiero okaże.

Komendantka dziewcząt służby łączności odeszła pośpiesznie. Wyglądała jak gotowa do walki Walkiria. W dodatku wiedziała jeszcze, że jej Zygryfd z „Pieśni o Nibelungach” znajduje się całkiem blisko.

Monika Hofer podeszła do sierżanta Wegnera. Stała przed nim i spojrzała przejrzystymi jasnymi oczami.

— Czy to koniecznie musiało się stać?

— A czy to nie musiało się stać? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Nie może mi pan pomóc, a sobie niestety zaszkodzi pan.

Jej proste słowa napelniły Wegnera uczuciem szczęścia. Ona była zatroskana z jego powodu — to wprost cudowne!

— Nie mogę przyglądać się beczynnemu, jak panią ktoś krzywdzi. Muszę temu jakoś przeciwdziałać, a także ze względu na panią.

— Bardzo proszę, niech pan z mego powodu nie nabawi się kłopotów. Ja jakoś dam sobie radę.

— Ale ja tak bardzo chcę być pewny, że pani jest bezpieczna, Moniko.

— Bezpieczna, co za niezwykle słowo w tych czasach. Dziękuję panu za to. — Podała mu rękę. — Mimo wszystko powinien pan trzymać się z dala od tej sprawy. Dlaczego chce pan cokolwiek ryzykować dla kogoś, o kim wie pan tyle, co nic? Nie wie pan, kim jestem, skąd pochodzę, jakie mam za sobą przeżycia, co mnie ukształtowało, a może i napiętnowało.

— Nie jest mi potrzebna żadna wiedza o tych sprawach. Czynię to, co powinienem robić.

Tymczasem zjawiała się z powrotem Eryka Warnke wraz z zaalarmowanym porucznikiem Crusiusem. Kroczył on zamasyżycie, w czapce na głowie, w pasie z pistoletem służbowym. Zapewne był zdecydowany dowieść, kto tu jest panem sytuacji. Natychmiast rozległ się jego ostry, donośny głos, wprost stworzony do rozbrzmiewania na dziedzińcu koszarowym. Miało się wrażenie, że jest to dźwięk piły tarczowej, pracującej na wysokich obrotach. Crusius nie rozkazywał, tylko wydawał komendy, jak na mustrze:

— Dziewczyna z pomocniczej służby łączności wsiada do pojazdu — natychmiast. Starszy szeregowy wyrusza z nią w drogę, a pan, Wegner, w ciągu sekundy znika jak naoliwiona błyskawica.

Sierżant stanął przed mercedesem, zagradzając drogę.

— Proszę pozwolić, że zgłoszę pewne zastrzeżenia, panie poruczniku.

Księżyc był w pełni i jasno oświetlał całą scenę. Crusius stał niby posąg. Komendantka Warnke patrzyła na niego z niemym podziwem. Co za mężczyzna! A sierżant Wegner nie ruszał się z miejsca.

— Niech pan przestanie pleść bzdury, sierżancie, i niech się pan wreszcie odczepi! Czego pan tu, do diabła, szuka i to o tej porze? Dlaczego nie odwała pan swojej służby na stanowisku dowodzenia? Czyżby opuścił pan posterunek? Sprawdź to.

— Zgodnie z instrukcją wolno mi w każdej chwili przekazać obowiązki memu zastępcy, panie poruczniku.

— E tam, człowieku! Gdyby nawet tak było! To nie usprawiedliwia faktu, że wtrąca się tu pan w sprawy, które pana gównem obchodzą. Będzie to pana drogo kosztowało.

— Panie poruczniku, panna Hofer jest jedną z najlepszych specjalistek na naszym stanowisku dowodzenia. Bez niej...

— Niech pan zamknie jadaczkę, sierżancie! — Crusius był niesamowicie wściekły, że wdał się z tym typem w rozmowę. Powinien mu dać mocnego kopniaka w tyłek, choćby tylko w sensie moralnym. — Na jedną rzecz może pan sobie tu pozwolić — obsikać się.

Anton Wegner niewzruszenie stał przed mercedesem i odważnie patrzył na porucznika. Crusius szybko, bezszelestnie podszedł do upartego sierżanta. Oczy błyszczały mu groźnie. Jego głos nagle stracił

ostro-wrzaskliwą tonację z dziedzińca koszarowego i stał się jadowicie syczący.

— Stwierdzam, sierzancie Wegner, że dałem panu wyraźny rozkaz. Usiłował pan nie wykonać go. Oznacza to odmowę wykonania rozkazu. Wie pan, jaka kara za to grozi?

— Panie poruczniku, ja jedynie usiłowałem przedstawić panu możliwość ewentualnego podjęcia błędnej decyzji. I pozwalałem sobie zapytać pana, czy pan generał wyraził zgodę...

— Stul pysk! — Crusius sapał z oburzenia i był bliski utraty resztek panowania nad sobą. — Za swoje rozkazy sam odpowiadam. A pan odpowie za odmowę wykonania rozkazu. Postępowanie dyscyplinarne tu chyba nie wystarczy, zastanawiam się nad postawieniem pana przed sądem wojennym. Zamelduje się pan u mnie za kwadrans w moim pokoju służbowym. W pełnym umundurowaniu i w hełmie.

Wydawało się, że powiedziano już wszystko, co było do powiedzenia. Porucznik odwrócił się od Wegnera i rozkazał:

— Zapaść silnik!

— Tak jest! — powiedział starszy szeregowy Schlehmiel.

Eryka Warnke podeszła bliżej.

— Wsiadaj, Moniko. I wszystkiego dobrego, dziewczyno! Monika wsiadła do samochodu nie ociągając się. I nie patrząc na nikogo.

— A teraz jazda! — zawołał Crusius. — Pełnym gazem, Schlehmiel!

— Tak jest — odrzekł starszy szeregowy. Potem wskazał jednak na Wegnera, który wciąż jeszcze stał przed chłodnicą samochodu. — Panie poruczniku, czy mam przejechać pana sierżanta? — Miał jednak co do tego pewne wątpliwości.

— Niech pan zejdzie z drogi, Wegner! — rozkazał Crusius.

Wegner stał niewzruszony jak głaz.

— Stwierdzam, że jest to kolejna odmowa wykonania rozkazu. Wobec podwładnych! Przy tym oznacza ona bezpośrednie zagrożenie. — Crusius jednocześnie dość mocno uderzył dłonią w futerał, w którym znajdował się służbowy pistolet. — Czy to jest dość wyraźne?

Niewątpliwie było to wyraźne. Anton Wegner zachowywał się jednak tak, jakby tego po prostu nie słyszał. Patrzył na porucznika wzrokiem, który dawał mu do zrozumienia: możesz mi, wiesz co!

Crusius wpadł w szewską pasję.



— Jeśli, bydlaku, będziesz się nadal sprzeciwiał moim rozkazom, usunę cię stąd własnymi rękami. A jakkolwiek opór będzie oznaczał napaść na moją osobę. Jeśli się na to poważysz, głupie bydlę, to palnę ci w łeb na miejscu. To moje prawo.

Wagner wciąż nie ruszał się z miejsca. Ani na krok. Schlehmiel znów wyłączył silnik. Może po to, by zaoszczędzić paliwa, a może, by lepiej słyszeć, co mu rozkażą. Monika ulegle opuściła głowę. Eryka Warnke trzęsa się z oburzenia. Porucznik Crusius, jak wydawało się, nie miał zamiaru zwlekać dłużej z wykonaniem tego, co uważał za konieczne. Zaczął odpinać futerał pistoletu...

Nagle szybkim krokiem zbliżył się kapral Koralnik. Był bardzo ożywiony, rękami wiosłował w powietrzu. Pojawił się w ostatniej sekundzie, jak ów posłaniec w sztuce teatralnej. Jednak, jak się później okazało, Koralnik rozmyślnie pozwolił sobie na ten teatralny gag i nawet dość zręcznie go zainscenizował.

Przybył mianowicie na scenę wydarzeń już przed kilkoma minutami, lecz najpierw, nie zauważony, pod osłoną ciemności delektował się oglądaniem odbywającego się właśnie dramatycznego przedstawienia. Czekał więc, rzecz można, dokładnie do ostatniego momentu, by nie dopuścić, żeby widowisko przerodziło się w prawdziwą tragedię. Ostatecznie należał on do tego gatunku ludzi, którzy chętniej przelewają szampan niż krew.

Gdy Koralnik pojawił się, Wegner odetchnął z ulgą. Nawet na twarzy Moniki pojawił się nikły uśmiech. Eryka Warnke stała jak skamieniała. Natomiast Crusius nie omieszkiał okazać głębokiego oburzenia, że jego efektowny występ został zakłócony tak bezceremonialnie i zuchwale.

— Ma pan tu przypadkiem coś do powiedzenia, Koralnik?

— Ja do powiedzenia? Nigdy w świecie! — zapewniał prostodusznie kapral. — Mam tylko do zakomunikowania panu porucznikowi pilne życzenie pana generała.

— Czego więc życzy sobie pan generał?

— Zobaczyć się niezwłocznie z panem, panie poruczniku, i również z panną komendantką Warnke. — Koralnik pozwolił sobie na małą przerwę w celu spotęgowania wrażenia. — Zaplanowane przeniesienie należy tymczasem, że się tak wyrażę, zawiesić na kołku.

Sierżant Wegner spojrział na Monikę, a ona uśmiechnęła się do

swoje najlepsze lata oddali Trzeciej Rzeszy, prawdopodobnie czyniąc to zupełnie szczerze. Zaciągnęli się kiedyś, odbywali marsz razem z innymi, decydowali na wyrzeczenia i domagali się ich od innych. A wszystko to robili zapewne w dobrej wierze.

Potrafił więc na ogół domyślić się, co się dzieje w wielkoniemieckich umysłach tych ludzi. Zadawali oni sobie w tej chwili pytanie — czyżby to wszystko miało się okazać daremne? Sami sobie też szczerze odpowiadali — nie może i nie ma prawa tak się stać! Ten rodzaj „logiki” był kluczem do ich postępowania.

Blutenberger, mając swój zasób wiedzy o świecie, mógł się tylko uśmiechać na tę myśl. Ale tylko sam do siebie. W każdym razie takie zdanie, jak „zwycięzimy, bo musimy zwyciężyć”, wydawało mu się nad wyraz głupie. Jednakże mądrością, odpowiedzią na te czasy, było zachowanie swojego poglądu dla siebie.

— Przywiązuję wagę do wszystkiego, o czym pani mówiła w związku z ostatecznym zwycięstwem, Führerem i narodem, oczywiście ujmując rzecz kompleksowo — zapewnił. — Pomimo to odczuwam pewną obawę, że przy tych pięknych wzlotach przeoczyła pani coś nader istotnego. I to w dokumentach personalnych pani dziewcząt, droga pani. Czy sądzi pani, że przejrzała je dość dokładnie?

— Zapoznałam się z nimi z grubsza, panie generale. Jednakże dotychczas brakowało mi czasu na szczegółowe studiowanie czterdziestu teczek. W zasadzie wszystkie są do siebie podobne.

— A właśnie nie — stwierdził Blumenberger. — Przed podjęciem decyzji w tak ważnej sprawie, jak natychmiastowe przeniesienie, byłoby wskazane przyrzeć się nieco bliżej dokumentom personalnym osoby, którą ma się zamiar ukarać dyscyplinarnie. Ja to w każdym razie zrobiłem.

Erykę Warnke ogarnęło nagle jakieś niedobre przeczucie.

— Czyżby coś szczególnego?

Generał spojrział na nią takim wzrokiem, jakim Zeus spogląda z Olimpu na ziemię.

— Tak by to można nazwać, panno Warnke. Ja zaś muszę wyznać, że jestem szczerze zdziwiony, iż nie zauważyła pani czegoś tak godnego uwagi. — Podniósł wysoko kartkę papieru takim ruchem, jakby uchylał rąbka tajemnicy państwowej. — Zatem nie wie pani, co tu odnotowano na karcie Moniki Hofer?

— Nie, panie generale — przyznała komendantka dziewcząt.

— Jeśli chodzi o tę dziewczynę, którą powierzono naszej opiece, jest to córka powiatowego przywódcy NSDAP. — Blütenberger rozkoszował się męczącym milczeniem, do którego zmusił tych ideowców. — To zresztą jeszcze nie wszystko. Z kilku rozmów telefonicznych, które dopiero co przeprowadziłem, wynika, że pan Hofer był przywódcą powiatowym przed rokiem. Tymczasem awansował już na kierownika urzędu okręgowego i nawet na zastępcę przywódcy okręgu.

— Cholera! — spontanicznie wyrwało się Crusiusowi. — Nikt tu o tym nie wiedział. — Spojrzał na swoją Erykę z wyrzutem: — A może?

— Monika nigdy o tym nie wspomniała — zapewniła Eryka Warnke z niekłamanym zdziwieniem. — Ale dlaczego właściwie?

— Nasze czasy — filozofował generał — diabelnie często stawiają nas wszystkich wobec zagadek. — Znać było już po nim, że pragnie wypoczynku. Miał za sobą męczący dzień, a na jego zakończenie dał jeszcze komuś nauczkę, i to jaką! — Jutro zobaczymy, co robić dalej.

Uczyli w ich kierunku — ostatecznych zwycięzców — gest przypominający błogosławieństwo i poszedł do siebie, jak gdyby chciał im powiedzieć: „teraz radźcie sobie z tym sami, moi drodzy!”

Eryka Warnke wybiegła na dwór. Potrzebowała w tej chwili świeżego czystego powietrza, by uporządkować myśli. Crusius pośpieszył za nią, podobnie jak ona oburzony na złośliwość losu.

— Cóż złego zrobiliśmy? — skarżyła się Eryka. — Jak mogło się wydarzyć coś podobnego? Zawsze chciałam jak najlepiej!

— Ja tak samo — próbował ją uspokoić Crusius. Spojrzał na drogę między barakami. Ciemno, choć oko wykol, i nie widać było żywego ducha. Chmura łaskawie zasłoniła księżyc. Objęli się, chcąc się wzajemnie pocieszyć. Crusius znał parę pieszczot, które zwykle pobudzały Erykę do aktywności. Także teraz okazały się skuteczne.

— Chodźmy do mnie! — szepnęła mu do ucha.

Szli w kierunku baraku kobiecego, oboje ciałem i duszą oddani wierze w wielkie Niemcy. Jak to powiedział przecież ich umiłowany führer: „Odłożymy oręż nie na pięć minut przed dwunastą, lecz dopiero pięć minut po dwunastej”. A poza tym jeszcze: „To, co nie zadaje nam śmierci, wzmacnia nas tylko”. Wciąż jeszcze takie były hasła prawdziwych bojowników. Pragnęli żyć zgodnie z nimi — teraz dopiero we właściwy sposób.

— To przecież w najwyższym stopniu podejrzane, że ta Hofer podobno ani słówka nie pisnęła o swoim ojcu — zastanawiał się głośno porucznik. — Zapewne więc paru podstępnych typów próbowało położyć nas na łopatki. — Zygfryd z „Pieśni o Nibelungach” wszędzie dopatrywał się ponurych, niosących zgubę Alberyków. — Ale nie z nami ta zabawa! Już ja sobie wypożyczę tę perfidną hołotę.

— O kim myślisz, Konstantynie?

— W pierwszej kolejności o Wegnerze! Ten wyrachowany obrońca zdaje się dobrze wiedział, dla kogo się tak zgrywa. No, ten mi nie ujdzie! A potem Korallnik! To chytry cwaniak, najgorszy ze wszystkich. Ale i jego godziny są tu już policzone.

— A co zrobimy z Moniką?

— Musisz sobie z nią sama poradzić. O ile cię znam, to i tę sprawę załatwisz. W każdym razie okazało się już ostatecznie, że ta mała bestia to przebiegłe ściervo, na czym dobrze się poznałaś. Mimo to obchodź się z nią na razie jak z jajkiem. Pamiętaj o pozycji jej ojca.

— Ale co będzie, jeżeli ona poszczuje go na nas? Może to stać się dla nas problemem. Ostatecznie nie mogę jej przecież zabronić telefonowania do ojca, jeżeli zechce.

— Ja jednak nie przypuszczam, by to zrobiła. Zdaje się, że nawet generał, ten stary lis, doszedł do tego samego wniosku. Bo dlaczego ta Hofer nigdy nie próbowała za pomocą nazwiska swego ojca po prostu wytargować dla siebie jakichś przywilejów? Musi mieć powody. Miej to na uwadze. Być może kryje się za tym coś poważnego...

Eryka zadała sobie wiele trudu, by uspokoić kochanka. Usiłowała przynajmniej skierować jego podniecenie na właściwe tory. Zaciągnęła go do swego pokoju.

— Mamy czas do jutra. Zastanówmy się nad tym jeszcze przez noc. — Rozumiała to zresztą dosłownie.

— Jutro coś się stanie, dzieci! — obwieścił Korallnik głosem tak uroczystym, jakby miał zaintonować kolędę. Zgromadził on kilkoro gości w swojej winnej piwnicy, która służyła mu za schron przeciwlotniczy i ostatnio stała się jego ulubionym schronieniem.

Naprzeciwno siedział sierżant Wegner, obok niego Monika Hofer. Bardzo lekko, ale bez żadnej obawy, przytuliła się do Wegnera.

Dobroduszny Anton nie ośmielił się oczywiście poruszyć, by jej nie spłoszyć. Rozmarzonymi oczyma wpatrywał się w swoją szklankę.

Obok Koralnika siedziała Zuzanna Singer, nie zdradzając jednak zamiaru przysunięcia się do niego bliżej. Oboje byli jednak we wzniosłym nastroju i często spoglądali jedno na drugie.

— Prawda, że się udało? — zapytała Zuzanna.

— No i to jak! Osłupiałem wprost z wrażenia. — Kapral uznał, że jeszcze raz odegra rolę błazna. — Wybitna inscenizacja! W porównaniu z nią galowe przedstawienie w państwowym teatrze można uznać po prostu za nędzną szmirę. Nasz kolega Wegner wykazał się jako szczególnej klasy odtwórca roli bohatera. Po jego występie nikt już tak łatwo nie odegra sceny wyzwania na pojedynek tego nicponia Crusiusa. A naszej czcigodnej panie Singer udało się ugotować pewnego generała we własnym sosie, chociaż to bardzo twarda sztuka. Ale i ja, kochany, dobry Koralnik, dzielny, skromny Koralnik, wzór służbistości! Oto mój numer popisowy — przez idiotyczną dostawę żarcia pobudziłem naszych Rosjan do zbiorowego rzygania.

— Ta historia z Rosjanami — niezwłocznie zabrała głos Monika — jest i pozostanie wyłącznie moją sprawą.

— W każdym razie możemy to przedstawienie rozszerzyć o jeszcze jeden akt — powiedział Koralnik. — A mianowicie o moment, w którym nasza łagodna Monika wprowadza na scenę swego wielkiego niemieckiego ojca. Jak to właściwie jest, Moniko? Sądzi pani, że wkroczyłyby w pani obronie z całą urzędową wrzawą? Jeżeli tak, to już czuję okazję do zyskania czegoś.

— Nie — odpowiedziała Monika.

— Co to ma znaczyć? — dopytywał się Koralnik. — Pani nie chce, czy on nie chciałby?

Odpowiedział na to sierżant Wegner, który odważył się objąć Monikę ramieniem, co ona przyjęła z zadowoleniem: — Wyraźnie powiedziała nie i to ma ci wystarczyć.

— Niech was gęś kopnie! — wykrzyknął kapral, jawnie zmartwiony. — Ja tu na wszelkie sposoby usiłuję położyć na łopatki Crusiusa i tę całą Warnke i potem odstawić ich dokądkolwiek, a wy jesteście zbyt mało rozzgnięci, a może właśnie zbyt szlachetni, by mi w tym pomóc. Wszyscy razem wzięci jesteście marzycielami.

Powiedział to i wypił duszkiem kieliszek szampana. Biła północ.

Tylko odrobinę później, dokładnie o godzinie 0.03, na stanowisku dowodzenia w schronie podziemnym zarejestrowano nieduże zgrupowanie amerykańskich bombowców. Na podstawie napływających meldunków oceniono je na pięć do siedmiu samolotów, a zatem nie było szczególnie imponujące.

Sześć minut po północy trzeba się było liczyć z tym, że zgrupowanie przemieszcza się dość dokładnie w kierunku Friedrichsruh — zapewne tylko po to, by je minąć i odlecieć dalej. Jednak informacja ta automatycznie uruchomiła alarm stopnia pierwszego.

W zastępstwie sierżanta Wegnera jako kierownika zmiany pełnił służbę inny sierżant. Był to doświadczony żołnierz, lecz bez talentu technicznego Wegnera. Chcąc w miarę możliwości zmniejszyć własną odpowiedzialność, starał się niezwłocznie zaalarmować wszystkich, kogo tylko mógł znaleźć.

Najpierw usiłował, tak jak należało, powiadomić generała. Był on jednak nieosiągalny. Prawdopodobnie jego sekretarka Marianna, by nie dopuścić do zakłócenia mu dobrze zasłużonego nocnego spoczynku, nie przestawiła telefonu do sypialni.

Następnie sierżant próbował telefonicznie zawiadomić porucznika Crusiusa, lecz ten także gdzieś się zapodział. Potem raz po raz starał się przywołać kolegę Wegnera, który jako jedyny wyznawał się w tej płataninie kabli. Również bezskutecznie.

— Cholerne świństwo — przeklinał sierżant w sytuacji przerastającej jego możliwości.

Był jednak na tyle przezorny, że dokładnie odnotował każdy ze swoich daremnych telefonów, z podaniem nazwiska i czasu z dokładnością do sekundy. Wreszcie jednak musiał zacząć działać sam.

Najpierw, zgodnie z obowiązującym „czerwonym” planem, „Postępowanie załogi w wypadku zagrożenia”, polecił zamknąć i zaryglować stalowe drzwi do schronu. Miał więc zapewnione bezpieczeństwo dla siebie i swojej zmiany, składającej się z żołnierzy łączności i dziewcząt ze służby pomocniczej. Dopiero potem wydał komendę: „Alarm lotniczy!”

Była godzina 0.11.

W jednostce rozległo się wycie syren alarmowych. Lecz w tym samym momencie, niemal w tej samej sekundzie, rozległ się też huk nadlatujących amerykańskich bombowców. Maszyna pilotująca obramowała cel tak zwanymi choinkami. Pozostałe samoloty na rżęsiście

oświetlony teren wyrzuciły następnie kilkadziesiąt ton materiału wybuchowego. Pozbywały się swego ładunku najzupełniej bez przeszkód. Ponieważ działa przeciwlotnicze zostały niedawno przerzucone gdzie indziej, zabrakło choćby najsłabszej obrony.

Wśród ogłuszającego huku bomb syreny alarmowe brzmiały niczym bezradne kwilenie niemowląt. Przez około trzy minuty ziemia dygotała od detonacji. Płomienie buchały wysoko, jadowity żółty dym unosił się w górę. Kilka budynków natychmiast zmieniło się w sterty gruzu. Lewe skrzydło zamczku płonęło, jak gdyby urządzano tam fajerwerk. Kawałki drewna i strzępy papieru wylatywały aż pod niebo, a potem opadały, łopocąc jak ptaki śmierci.

O godzinie 0.16 huk bombowców umilkł. Dopiero teraz można było usłyszeć krzyki, wołania o pomoc, a tu i ówdzie rozkazy. Żołnierze i dziewczęta ze służby pomocniczej łączności gorączkowo biegali w bezsensownym pośpiechu — upiornie poruszające się postacie na tle straszliwej dekoracji.

## 8. Myśliwi zabijają wiele zajęcy, lecz sami też czasem giną

Rano w Kampfental odbywało się groteskowe widowisko. Dokładnie o godzinie ósmej Eryka Warnke kazała swym podopiecznym stanąć do apelu przed na wpół zniszczonym barakiem kobiecym, o ile wyszły mniej lub więcej cało z bombardowania. Chodziło mianowicie o wciągnięcie flagi na maszt.

Dziewczęta stały w szyku równym jak pod sznur, w trzech szeregach, w pełnym umundurowaniu, ubrane przepisowo i schludnie. Części umundurowania, uszkodzone w czasie nocnego nalotu, zostały już wymienione, a kapral Korallnik o szóstej rano musiał dostarczyć proszku do prania, mydła i pasty do obuwia. Kilka dziewcząt nosiło bandażę i plastry.

— Heil Hitler! — przywitała je komendantka.

— Heil Hitler! — zawołały w odpowiedzi dziewczęta.

Potem nastąpiła dalsza komenda:

— Drużynami do meldunku!

Trzy drużynowe składały meldunek. Potwierdzały to, o czym Warnke już wiedziała. Z czterdziestu dziewcząt brakowało siedmiu. Trzy z nich slraciłyżycie podczas nalotu, „poległy za Führera, naród i Rzeszę”, jak nazwała to Eryka Warnke. Cztery były tak ciężko ranne, że doktor Siibisch polecił je niezwłocznie przewieźć do szpitala we Freudenstadt, gdzie z pewnością były otoczone lepszą opieką lekarską niż na miejscu, w izbie chorych.

Tego rodzaju „ofiary” były „nieuniknione”, jak stwierdzała Eryka Warnke ze swego, wyższego punktu widzenia. A służbę ojczyźnie trzeba było nadać odbywać, zachowując godność i niewzruszoną postawę. Należało też do tego podniesienie flagi. Na ten uroczysty akt zebrało się



sporo widzów, co Eryka Warnke tym razem przyjęła z dumą i niemalą satysfakcją.

Porucznik Crusius, którego bomby brutalnie wyrzuciły z jej łóżka, stał wyprostowany i sztywny na nieco dalszym planie. Obok niego, posłusznie wyprężony, kierownik zmiany ostatniej nocy, który nie okrył się szczególną chwałą. Za nim trzymali się trzech podoficerowie, którzy o mały figiel nie zostali postawieni w stan oskarżenia za zgwałcenie. Od czasu tego incydentu Crusius wykorzystywał ich jako grupę roboczą do specjalnych zadań i ganiał ich jak psy po całej okolicy.

Zza leżącego w gruzach baraku wyglądała jeszcze jedna gromadka ciekawskich, a wśród nich kapral Koralnik. Nie zawahał się on także i tu przemówić uroczyście.

— Przyjrzyjcie się temu, koledzy, i niech zapłoną uniesieniem wasze ospałe umysły. Cóż bowiem tu oglądacie? Czy nikomu niepotrzebne, znieważone, sponiewierane istoty rodzaju żeńskiego? Nie. A może gromadę przebierańców z miękkimi kolanami, drżącymi serduszkami i w mokrych majtkach? Nie. Są to niemieckie dziewczyny o wzniosłym poczuciu obowiązku i stałej gotowości do poświęceń.

— Chłopie, chyba cały gnój zbierasz w swoim gadaniu — odezwał się jeden ze stojących żołnierzy. — Jak ta krowa, co to wciąż robi placki.

— Tym się dobrze nawozi ziemię — odparł Koralnik. — Handlarze bydlą wiedzą o tym, ale bydłeta nie wiedzą.

— Do podniesienia flagi marsz! — zawołała stojąca na czele Eryka Warnke.

Dwie dziewczyny równym krokiem ruszyły z flagą. Płótno, prawie całe czerwone, zostało już wcześniej przepisowo złożone, tak jak czyniono to dotychczas. Dziewczęta podeszły do szczęśliwie ocalałego masztu. Zatrzymały się przed nim w odległości jednego kroku. Przez kilka sekund trwała uroczysta cisza.

Potem rozległa się następna komenda Eryki Warnke:

— Zawołanie do flagi!

Cztery dziewczyny w mundurach, zmieniając się kolejno, recytowały:

*Wzbijaj się wzwyż, ty flago wierności,  
symbolu naszego życia,  
które się wciąż odnawia  
i nigdy na próżno!*

Następnie komendantka zabrała się do wznieślej przemowy:

— Moje niemieckie dziewczęta! Zostałyśmy niecznie zaatakowane. Wróg usiłował nas zniszczyć. Jednak nie zdołał pozbawić nas życia. Nigdy mu się to nie uda. Bo nasze poległe, które oplakujemy w nastroju dumnej żałoby, są dla nas jak znak przestrogi. Nigdy ich nie zapomni my. Oto stoimy tu, na ich miejscu. Z niezłomną stanowczością. Wiernie oddane naszemu Führerowi Adolfowi Hitlerowi.

Wystarczyło tego na razie, by w sercach dziewcząt, którymi dowodziła, zaszczyścić niezłomną wiarę w ostateczne zwycięstwo. Niektóre z nich rzeczywiście miały łzy w oczach. Z miłości do Führera, bądź z żalu za poległymi koleżankami, bądź też z powodu unoszącego się dymu. Nie było to zresztą aż tak ważne. Najważniejsze, że były gotowe becząć. Eryka Warnke mogła to sobie tłumaczyć jako oznakę głębokiego wzruszenia.

Teraz do masztu umocowano wojenną flagę Rzeszy. Następnie wciągnięto ją na sam szczyt. A dziewczęta patrzyły w górę — na flagę. Tak, jak je wyćwiczono.

*Jeszcze jedno zawołanie:  
Witamy cię, flago!  
Wodzowi na chwałę,  
Nam na przestrogę, By  
wierzyć w Niemcy!*

Koralnik zaś nie potrafił oprzeć się chęci dodania od siebie uzupełniającego komentarza.

— Coś podobnego, koledzy, musi niesłychanie podnosić na duchu, nastrajać dziękczynnie, a może i uszlachetniać nawet nas, żalosne stworzenia, zajęte wyłącznie żarciem i piciem. Bo oto mieliśmy okazję przeżycia wspaniałej demonstracji wielkoniemieckiej woli zwycięstwa, o wy, wykolejeńcy, którzy kalacie własne gniazda i załatwiacie się do własnych łóżek. A teraz, wśród ogólnego wzruszenia, możemy tylko zamilknąć. A może nie tak, koledzy?

Dostojny pan Blütenberger zmuszony był przeżyć naprawdę okropną noc. Całkowicie zaskoczony alarmem lotniczym, znalazł schronienie w piwnicy zameczku Kampfental. I to w dodatku w piżamie. Tuż za nim pośpieszyła Marianna Dengler, ubrana jedynie w przejrzystą nocną

koszulę, krzycząc przy tym histerycznie. Musiało mu być nad wyraz nieprzyjemnie z tego powodu, gdyż jemu udało się, nawet w tej sytuacji, zachować wzorową postawę.

Po zakończeniu ataku bombowego generał mógł na szczęście stwierdzić, że tylko lewe skrzydło jego zameczku zostało prawie zupełnie zniszczone, a więc to, w którym znajdowały się pomieszczenia ochrony i administracji.

Zginęły przy tym dwie osoby, lecz tylko spośród niższych stopniem.

Prawe skrzydło stało jednakże prawie nie uszkodzone; dzięki temu nie ucierpiały ani kuchnie, ani kasyno, ani jego pokoje zarówno służbowe, jak też prywatne. Brakowało tylko kilku szyb w oknach. Można je było jednak natychmiast prowizorycznie zastąpić papą. Dla kogoś tak wymagającego pod względem estetycznym, jak generał, przedstawiało to z pewnością odrażający widok. Lecz czyż mógł on oczekiwać czegoś więcej pięć minut przed dwunastą? Lecz może już było pięć minut po dwunastej?

Jeszcze tego samego dnia przed południem Blütenberger wezwał kierownictwo jednostki na odprawę. Jego zaufani spotkali się z nim w kasynie, wszyscy oczywiście bez szkody na ciele i na duchu. Dzielnym kapitan Rommelskirchen, dziarski porucznik Crusius, idealistka Eryka Warnke, a także kapitan doktor Säbisch. Również sierżantowi Wegnerowi rozkazano stawić się w charakterze odpowiedzialnego za obsługę jedynej w swoim rodzaju aparatury łączności i urzędzeń, które generał uważał za dzieło swego życia. Korallnik roztoczył opiekę nad tym doborowym gronem. Jak zwykle, siedział w przedpokoju, tuż obok otwartych drzwi.

Porucznik Crusius także i teraz rwał się do głosu.

— Na ogół, panie generale, nasz system obrony sprawdził się. — Musiało przecież tak być, bo on sam za to odpowiadał. — Wykopanie rowów przeciwlotniczych i urzędzenie schronów dowódczych bezpośrednio przy barakach pozwoliło na utrzymanie strat w rozsądnych granicach. Zginęły zaledwie trzy dziewczyny z pomocniczej służby łączności i czterech żołnierzy. Do tego dodać należy jeszcze dwanaście osób lżej lub ciężko rannych.

— Pomimo wszystko nie jestem zadowolony — zakomunikował generał. — Mało tego, muszę stwierdzić, że alarm lotniczy ogłoszono zbyt późno, co pociągnęło za sobą przykre następstwa. — Proszę sobie

tylko wyobrazić generała w piżamie i Mariannę w nocnej koszuli. — Kto jest odpowiedzialny za ten bałagan? — Należało to rozumieć jednoznacznie: „kogo możemy uczynić kozłem ofiarnym?”

Crusius spojrzął z wyrzutem w stronę sierżanta Wegnera. Z wielką przyjemnością zwaliłby to na niego. Jednak nie sposób było tak postąpić. Przecież w tym czasie, o którym była mowa, nie tylko sierżant, lecz i on był nieosiągalny. I podobnie też generał. Zatem w żadnym razie nie było wskazane wykorzystywanie nieobecności określonych osób.

— Odpowiedzialny za opóźnienie alarmu jest jedynie będący wów czas na służbie kierownik zmiany. Wykazał się on jako bezprzykładny niedołęga — wyjaśnił Crusius. — Sprawdziłem fakty i przekonałem się, że człowiek ten usiłował przede wszystkim ocalić na stanowisku dowodzenia swój własny tłusty tyłek.

Eryka z uwielbieniem wpatrywała się w tego, z którym dzieliła łóżce. Co za mężczyzna! Jak zapanował nad sytuacją! A przy tym jego takt i subtelność — powiedział „tyłek”, a nie od razu „dupa”. To ze względu na obecność damy.

— Już ja wezmę w obroty tego nawalacza — ciągnął Crusius. Nie zważając na niepowodzenia innych, wytrwale montował gmach własnego sukcesu. Sądził, że zdążył już w tym celu zgromadzić mnóstwo cegiełek. — Jednak rzeczą wprost alarmującą są ogromne straty w szeregach rosyjskich jeńców wojennych. Prawie pięćdziesiąt procent. Prawdziwa katastrofa.

Rommelskirchen poczuł się mocno zaatakowany i to nie bez racji.

— Zamierza pan przypadkiem, panie poruczniku Crusius, uczynić mnie odpowiedzialnym za to, że jedna bomba trafiła dokładnie w rosyjski barak?

— Za to w żadnym wypadku, panie kapitanie. Ale zaniedbania i błędy stały się przy tej okazji widoczne. Po pierwsze, poleca pan co noc zamykać tych ludzi w baraku.

— To jest konieczne ze względu na bezpieczeństwo.

— Tym sposobem znaleźli się pod amerykańskimi bombami bez żadnej osłony. Dlatego, że dla tych ludzi, i to jest drugi zarzut, nie wykopano wcale rowów przeciwlotniczych, do których mogliby się schronić.

— Wykazuje pan wprost filantropijne skłonności — stwierdził ironicznie Rommelskirchen.

— W żadnym razie, panie kapitanie — odpowiedział Crusius — z powodu zaistniałych wypadków nie zamierzam wygłaszać skazonych humanizmem lamentów. Muszę jednak poskarżyć się na utratę wartościowej siły roboczej. Zabraknie nam jej akurat teraz, kiedy mamy doprowadzić jednostkę do stanu gotowości obronnej na wypadek ewentualnej ostatecznej walki.

— Przypuszcza pan może, poruczniku Crusius, że potrafi pan coś poprawić? — zapytał zarozumiale Rommelskirchen.

Crusius od razu podchwycił temat, nie bacząc, że jest to sprytna pułapka. — Nie chciałbym być zbyt zarozumiały, panie kapitanie, ale coś niecoś należałoby zmienić.

— No, to niech pan to robi, ale beze mnie!

— Jeśli to jest propozycja, to przyjmuję ją.

Pomimo poważnej sytuacji generał pozwolił sobie na lekki uśmiešek. Uważał on bowiem, podobnie jak niegdyś Wallenstein, że zna swoich wiarusów. Jego kapitan, Rommelskirchen, nie był naprawdę aż tak głupi, by ze względów prestiżowych uparcie obstawać przy dysponowaniu resztką Rosjan. Przecież zostali zredukowani o połowę i było z nimi mnóstwo kłopotów — jednych trzeba było pochować, innych ująć w garść. Jednakże Crusius prawdopodobnie nie zdawał sobie z tego dość jasno sprawy. Czy inaczej podejmowałby się czegoś podobnego?

Generał Blütenberger był ponad takimi głupstwami.

— Akceptuję wasze sugestie, panowie. Zatem- zwalniam pana, kapitanie, z obowiązków w stosunku do jeńców wojennych i czynię to bardzo chętnie. Zwłaszcza, że pilnie potrzebuję pana, drogi kapitanie Rommelskirchen, tu, w moim najściślejszym sztabie.

— To znaczy, panie generale — podchwycił z radością Crusius — że Rosjanie są mi podporządkowani? — Mało brakowało, a dodałby „nareszcie”.

— Ależ tak, od zaraz i to bezpośrednio.

Generałowi wydawało się, że najistotniejsze problemy zostały definitywnie załatwione. Przywołał Koralnika i zażądał herbaty i koniaku. Jedno i drugie podano obecnym niezwłocznie. Dzięki temu nastąpiła przyjemna przerwa, którą wszyscy przyjęli z zadowoleniem.

Przerwa ta nie trwała jednak zbyt długo. Mianowicie porucznik Crusius, wzmocniony koniakiem i kawą, zmieszany w stosunku mniej więcej jeden do dwóch, trzymał coś jeszcze w zanadrzu.

— Powinniśmy jeszcze omówić sprawę stanowiska dowodzenia, panie generale.

— A cóż to ma z nim być? — odparował Blütenberger, mocno niezadowolony. — Przecież pozostało nie uszkodzone. — Zwrócił się do sierżanta Wegnera: — A może jest inaczej?

— Samo stanowisko dowodzenia — referował sierżant — przetrwało atak bombowy bez uszkodzeń. Co prawda...

— No więc! — z ulgą odezwał się generał Blütenberger, a to dlatego, że nie dosłyszał końcowego zastrzeżenia. Najważniejsze, że dzieło jego życia nie ucierpiało na skutek nalotu.

— Co prawda\*— powtórzył jeszcze raz Wegner — wystąpiły pewne trudności...

— Z których wynika, że stanowisko dowodzenia jest na razie niesprawne — wtrącił Crusius. — I nie ma możliwości określenia, na jak długo. Może to potrwać parę dni lub nawet tygodni.

General spojrzał zmieszany na sierżanta. W jego zgasłych w tej chwili oczach widniało pytanie: Czy to prawda? Czy to naprawdę możliwe?

Wegner z wysiłkiem tłumaczył rzeczowo: — Dziś rano przy pierwszych pomiarach stwierdziłem, że zewnętrzne połączenie telefoniczne i dalekopisowe zostało przerwane. Również kable prowadzące do naszego pola antenowego są prawdopodobnie uszkodzone.

Instalacja ta znajdowała się w odległości trzech kilometrów od zameczku. Była ona zamaskowana atrapą komina cementowni. Kable prowadzące do niej zostały położone na głębokości jednego metra pod powierzchnią ziemi.

— Poważne uszkodzenie, Wegner? — dopytywał się generał.

— Do zbadania rodzaju uszkodzeń sformowałem dwa patrole poszukiwawcze. Aby przyspieszyć tę pracę, trzeba by jeszcze dwa...

— Zgoda! — zawołał generał. — Do wykonania tego zadania proszę przydzielić wszystkich żołnierzy, poruczniku Crusius.

— Tak jest, panie generale, wydam odpowiednie polecenie.

— Jest to zadanie absolutnie najpilniejsze — podkreślił raz jeszcze Blütenberger. — W każdym razie wyłączenie naszego stanowiska dowodzenia na dłuższy czas byłoby katastrofą. To, co zostało, trzeba jak najszybciej doprowadzić do porządku. W tej sprawie proszę na bieżąco składać mi meldunki.

— Rozkaz, panie generale! — odpowiedzieli równocześnie Wegner i Crusius.

Następnie dowódca, zmieniając temat, zapytał jeszcze:

— Jak też przedstawia się ogólnie nasza sytuacja pod względem żywienia? Jest gdzieś w pobliżu kapral Koralnik? — Oczywiście generał świetnie wiedział, że kapral, jak zwykle, siedzi przyczajony w przedpokoju i słucha wszystkiego. Nic więc dziwnego, że pojawił się natychmiast i stanął w uprzejmej gotowości do złożenia meldunku.

Pokrzepiające spojrzenie chomika nad chomikami również Blütenbergerowi do pewnego stopnia przywróciło wiarę w przyszłość.

— No, mój drogi Koralnik, te bomby zrobiły chyba wyrwę też w naszych zapasach żywności. Jestem jednak pewien — uśmiechnął się niemal konfidencjonalnie — że nie pomrzemy przez to z głodu. A więc, jak wygląda krótki meldunek sytuacyjny z waszego, ściśle specjalistycznego, punktu widzenia?

Przy tej okazji wyszło oczywiście na jaw, że Koralnikowi piekielną przyjemność sprawia używanie zwrotów w stylu Crusiusa. Udało mu się nawet, ku wielkiemu oburzeniu porucznika, wiernie odtworzyć jego sposób mówienia nie tylko przez dobór wyrazów, lecz także przez naśladowanie jego rezolutnego tonu.

— Obecna sytuacja — oświadczył Koralnik — przedstawia się następująco. Po pierwsze, obie kuchnie — w kasynie i kantynie, są tylko częściowo uszkodzone. Mogą więc być uruchomione jeszcze dzisiaj. Po drugie, zapasy środków spożywczych są wprawdzie nieco uszczuplone, lecz nie powinno to spowodować powstania wąskiego gardła. W sprawie tej telefonowałem do właściwej składnicy. Dostawa nadejdzie. Po trzecie, materiały budowlane do usunięcia zaistniałych szkód zostały „zapotrzebowane”. Pierwsza dostawa jest już w drodze.

— No, to wspaniale! — wykrzyknął generał. A Rommelskirchen stwierdził: — Bardzo dobrze. — Crusius syknął do Eryki Warnke: — Ale przebiegły, szelma. Będzie piekielnie trudno go uziemić.

— Jeszcze nie wszystko — ciągnął Koralnik. — Po czwarte, dla żołnierzy i dziewcząt ze służby pomocniczej przygotowano wymianę zniszczonego lub uszkodzonego umundurowania, włączając w to damską bieliznę. Po piąte, Rosjanom, którzy pozostali przy życiu, zostaną wydane dodatkowe racje żywnościowe. Po szóste, sklepienia piwniczne w zameczku z łatwością dadzą się odbudować. Potem może się tam

przeprowadzić ochrona i administracja, które dotychczas mieściły się w zrujnowanym lewym skrzydle. To wszystko.

Koralnik spojrzał na swego generała. A ten wyraził swoją aprobatę: — Dobrze, wszystko jasne. — Najważniejszą rzeczą było przy tym to, by nic nie zakłóciło mu wygodnego życia.

Gdy kapral odszedł, zameldował się kapitan doktor Säbisch z uprzejmą prośbą o udzielenie mu głosu.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę na to, że w mojej izbie chorych pozostawiono kilkoro poległych. Co mam z nimi zrobić? Chodzi o trzy dziewczyny i czterech żołnierzy. Bardzo możliwe, że jeszcze dwóch lub trzech rannych dołączy do nich na skutek obrażeń.

O poległych Rosjanach nie wspomniał ani słowem. Oni tu się prawie nie liczyli. Wielkoniemieckie zwłoki miały bezwzględne pierwszeństwo.

— Zawsze o wszystkim po kolei — powiedział generał trochę niezadowolony, że znów ktoś mu może zmącić pogodny nastrój, w jaki wprawił go Koralnik. — Najpierw musimy stwierdzić, w jaki sposób można najszybciej odtworzyć gotowość do działania. — Było to skierowane do Eryki Warnke i Crusiusa —jako obowiązkowe ćwiczenie dla nich obojga. Oboje też zgodnie przytaknęli ruchem głowy. — Potem oczywiście musi się odbyć pogrzeb, godny naszych poległych.

Porucznik Crusius czuł się teraz całkiem nieskrępowany, mając chyba najwięcej do powiedzenia w całej jednostce. Podlegali mu nie tylko żołnierze; w tej chwili także Rosjanie mieli słuchać tylko jego komend. Zaś za pośrednictwem Eryki miał dojście do dziewcząt z pomocniczej służby łączności i mógł je także uwzględnić w swoich planach.

Zamierzał dokonać „wielkiej rzeczy”, jak powiadał. Kazał uprzętnąć gruzy, rowy przeciwlotnicze przebudowywać na schrony, odbudować zburzone baraki.

Koralnika zostawił na razie w spokoju. Był mu przecież jeszcze potrzebny, zwłaszcza że okazał się niezawodnym dostawcą wszelkich niezbędnych materiałów. Lecz gdy tylko wywiąże się on już ze swoich zadań, to zawsze będzie można się z nim porachować.

Prawą ręką Crusiusa był ostatnio starszy sierżant Himmelsheimer, który dążył do tego, by stać się niezastąpionym. Był on przedtem na dobre i złe związany z kapitanem Rommelskirchenem, który teraz znajdował się na straconej pozycji. Zorientował się szybko, z kim można



budować od nowa. Crusius, niezłomny bojownik o ostateczne zwycięstwo, był bohaterem chwili dziejowej.

— Jestem całkowicie do pańskiej dyspozycji, panie poruczniku — oświadczył starszy sierżant, chociaż nikt go o to nie pytał.

— Cieszy mnie to — powiedział Crusius. — Ma pan jakieś doświadczenie jako saper? — Nie miał. — Niech się pan więc zapozna z tym przedmiotem.

Crusius zamierzał przy odpowiedniej okazji wykorzystać starszego sierżanta w rozgrywce przeciwko sierżantowi Wegnerowi, z którym miał na pieńku, a może były to nawet grubsze porachunki. Tego dnia po południu spotkał Wegnera w schronie stanowiska dowodzenia, gdzie nadzorował właśnie układanie w skrzyniach bardzo czulej aparatury radiowej.

— Obydwaj, sierżancie, ściśle współpracujemy ze sobą — rozpoczął wyzywająco niedbałym tonem — lecz nie muszę dawać wyraźnie do zrozumienia, który z nas tu rozkazuje.

— Tak jest, panie poruczniku.

— O ile sobie przypominam, Wegner, poleciłem panu opracowanie planów zapór minowych na drogach. Czyżby pan o tym zapomniał?

— Oczywiście nie. — Sierżant wyciągnął z lewej kieszeni munduru arkusz papieru, rozłożył go i podał porucznikowi. — Oto szkic konstrukcyjny i propozycja. Umocujemy po tiyy miny na belce. Jeden jej koniec przytwierdzimy tak, żeby belkę można było odwrócić. W wypadku zagrożenia w ciągu paru sekund odbezpieczamy miny i jednym ruchem ręki odwracamy belkę. Miny reagują na nacisk i wybuchają, gdy tylko ktoś, to znaczy nieprzyjaciół, nadejście na nie. Rozszarpia każdy pojazd i uniemożliwią korzystanie z drogi.

— Zupełnie do przyjęcia. — Porucznikowi udało się jeszcze tym razem nie okazać zbyt wielkiego uznania. Jako technik wiedział ten człowiek jednak sporo. — Zamontujemy zatem te urządzenia i to od razu trzy. Pierwsze z nich ustawimy przy stuletniej jodle. I to jak najszybciej, pod pańskim nadzorem, Wegner.

— Tak jest, panie poruczniku! — zabrzmiało to jak skwapliwe potwierdzenie, lecz wcale nim nie było, gdyż sierżant Wegner dorzucił: — Zabiorę się do tego, gdy tylko wywiążę się ze specjalnego zadania, które mi powierzył pan generał.

*J* Na tego rodzaju stwierdzenie trudno było tokielwiek odpowiedzieć.

Przynajmniej dopóty, dopóki generał miał tu jeszcze co nieco do powiedzenia. Nie musiało to jednak trwać wiecznie, sądząc ze stanu rzeczy, jaki miał przed oczyma.

Crusius udał jowialny ton: — A teraz, tak całkiem między nami, sierzancie Wegner. O ile mi wiadomo, na kablach doprowadzenia istnieją uszkodzenia co najmniej w dwóch miejscach, jeśli nie w czterech albo pięciu. Są one przy tym tak ciężkie, że chyba nie sposób ich usunąć.

— Nie wiem jeszcze nic o tym, panie poruczniku, nie mogę więc tego potwierdzić.

— A kiedy spodziewa się pan, Wegner, wiedzieć coś na ten temat?

— Bardzo możliwe, że już jutro, po kilku koniecznych w tym wypadku próbach włączenia.

— Ale kiedy pan już stwierdzi, że wszystko jest porozwalane, to co wtedy? Ma pan wystarczającą ilość materiałów niezbędnych do naprawy?

— Prawdopodobnie tak, panie poruczniku.

— A jeżeli nie, sierzancie, to co dalej? Niech mnie pan tylko nie próbuje oszukiwać! Nie dostanie już pan potrzebnych specjalistycznych materiałów, które leżą na składzie gdzieś w Monachium albo w Berlinie. Na to zabraknie panu tego, czego nikt tu już nie ma — czasu.

— Pomimo to będę usiłował zrobić wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, panie poruczniku.

— Nie tylko usiłować, ale robić, chłopie! A ponieważ mamy, jak zarządził pan generał, ściśle współpracować, to będzie mi pan składał meldunki o osiągniętych wynikach na bieżąco, to znaczy kilka razy dziennie.

W ten sposób dał do zrozumienia „temu znakomitemu gówniarzowi”, jak go nazywał w rozmowach z Eryką Warnke, kto tu gra pierwsze skrzypce. W poszukiwaniu swojej Eryki w nastroju niemal wesołym udał się do baraku dziewcząt ze służby pomocniczej. Gdy go ujrzała, rzuciła mu się w objęcia i pociągnęła w stronę łóżka.

— Na to musi się znaleźć czas — szepnęła mu do ucha, pewna jego zgody.

Potem przez kwadrans trwały ich namiętne zmagania. Lecz, kiedy się już z powrotem ubierał, bez żadnego skrępowania odezwał się tonem służbowym: — No, a jak tam leci w twoim interesie?

— Zupełnie dobrze — zapewniła. — Po okropnościach ostatniej nocy dziewczęta są posłuszne jak owieczki. Czują to jeszcze w kościach.

— Wszystkie? — zapytał.

— Wszystkie — stwierdziła trumfalnie. — Nawet Zuzanna Singer zamknęła swoją beczelną buzię. Zresztą razem z Moniką Hofer przydzieliłam ją Koralnikowi.

— Po cóż to?

— Mają od tego szubrawca wyciągnąć wszystko, co tylko się da. I to dla nas wszystkich. Powiedziałam im to całkiem otwarcie, a one obiecały, że tak zrobią. Masz coś przeciwko temu?

— Nie, już wszystko w porządku — powiedział. — Ale zapisuj sobie wszystko, co od niego dostaniesz. Kolejno Każdą pozycję dokładnie — ilość, dzień, godzinę. Może to jeszcze dobrze wykorzystamy i ukręcimy mu kark.

— Dobrze, Konstantynie. Zrobię wszystko, co uważasz za wskazane.

— Czym jeszcze, prócz tego, zajmujecie się teraz?

— Szkoleniem światopoglądowym — Eryka Warnke nie bez dumy pokazała swoje notatki. Zresztą notatnik miała stale w zasięgu ręki, nie rozstawiała się z nim nawet w łóżku.

— Tym razem — wyjaśniła — przygotowałam uroczystość z okazji urodzin naszego Führera! — Miało to nastąpić za dwa tygodnie; 20 kwietnia 1945 roku Hitler kończył pięćdziesiąt sześć lat.

— Nigdy nie mogłam się pogodzić z tym, co mówiono, że Adolf Hitler jest właściwie Austriakiem, ponieważ miejscem jego urodzenia jest, jak wszystkim wiadomo, Braunau nad Inn. Ale nie każdy wie, że to Braunau jeszcze w ubiegłym stuleciu należało do Bawarii. Zatem Adolf Hitler, nawet gdybyśmy się kierowali wyłącznie przesłankami geograficznymi, jest z pochodzenia rdzennym Bawarczykiem.

— Moja kochana Eryko, to jest ogromnie ciekawe i wspaniale przemawia do wyobraźni.

— Niestety — mówiła dalej Eryka Warnke — muszę odłożyć ten temat szkolenia na później. Bo najpierw należy uczcić naszych poległych, których jutro mamy pochować. Prawda?

Crusius objął Erykę ramieniem i przyciągnął do siebie.

— Co dzień spadają na nas nowe obowiązki- A my oboje mamy zbyt mało czasu dla siebie — zajrzał jej głęboko w oczy. — Ale wojna kiedyś się skończy i wtedy wynagrodzimy sobie to wszystko, czego teraz się musimy wyrzekać.

— Konstantynie, to, co wspólnie przeżywamy, jest takie cudowne

— powiedziała po cichu. — Stanowimy nie tylko jedno serce i jedną duszę. Jesteśmy jak dwa spojone ze sobą ogniwa łańcucha.

Na twarzy Koralnika ostatnio pogłębiły się zmarszczki, czyniąc go coraz bardziej podobnym do jamnika. Jego najczęściej wypowiedaną odzywką, teraz dopiero słuszną, było: „Słuchaj, co w trawie piszczy!”

Któregoś dnia znów zgromadził on w swojej odpornej na bomby winnej piwnicy tak zwany związek czworga. Poza nim, jako przewodniczącym, należeli do tego związku: jego przyjaciel Anton Wegner oraz dziewczęta ze służby pomocniczej: Zuzanna Singer i Monika Hofer. Czy można było polegać na nich bez reszty? Koralnik miał nadzieję, że tak. W każdym razie on sam gotów był wiele zrobić dla swoich przyjaciół.

— Zatem, szanowni państwo — zagaił — teraz was naprawdę zaskiwę. Nigdy nie byłem małostkowy, sami o tym wiecie. Ale dziś udowodnię wam, jak ogromnie wspaniałomyślny jestem w rzeczywistości. Zgłaszajcie więc swoje życzenia, a ja będę je spełniał.

— Co ci się stało? — zapytał Anton Wegner. — Masz zamiar urządzić tu coś w rodzaju wyprzedaży posezonowej?

— Wierzyć mi się nie chce, że jesteś także jasnowidzem. Rzeczywiście mam taki zamiar! — Koralnik rozejrzał się, czekając na pochwały. Jednakże troje jego przyjaciół miało miny śmiertelnie poważne. Nawet Zuzanna nie była szczególnie rezolutna, a cóż dopiero trupio błada Monika. Chcąc ich rozruszać, kapral dorzucił: — Ten Crusius może się okazać twardym orzechem do zgryzienia, ale postaram się nawet jego rozłupać.

— Wcale to nie takie łatwe. — Zuzanna poczuła się widocznie sprowokowana. — Odnoszę raczej wrażenie, że ty, dostarczając mi obficie materiałów budowlanych i żywności, zacząłeś powoli sam jeść prosto z jego ręki. Ani mowy o rozłupaniu orzecha, kiedy ty go właśnie pozłacasz!

— Znów zajrzałaś, dziecinko, głęboko w zajęcze serce starego Koralnika. Uznałaś go za cudaka, słabego na umyśle i człowieka bez charakteru. Po prostu za skończonego idiotę.

Teraz dopiero osiągnął to, do czego zdążał — roześmieli się wszyscy, nawet Monika. Zaczął się rozwiewać przygnębiający nastrój. Koralnik nalał szampana; wypili na zdrowie.

Od razu po toaście kapral zachęcił swego przyjaciela sierżanta:

— Rozejrzyj się, mój drogi, nieco uważniej wokół siebie. Znasz piwnicę o wiele lepiej niż dziewczęta. Nic cię nie zastanowiło?

— Zdaje mi się, że już wiem. Chyba brakuje tu mnóstwa butelek, i to ze szlachetnymi trunkami, które trzymałeś dla siebie i dla generała.

— Trafiałeś! — Koralnik wprost promieniał ze szczęścia.

— I co z tego wynika? — zapytała Zuzanna.

— Pewna drobnostka nie bez znaczenia, śliczna panienko. Bo to przecież sam potężny pan Crusius oddał mi do dyspozycji dwie ciężarówki, żebym miał czym zwozić materiały, które on zamówił. Ale za każdym razem, kiedy te wozy wyjeżdżały stąd, za nic w świecie nie były puste.

— Od początku do końca jedno wielkie oszustwo. — Wegner podsumował matactwa swego przyjaciela. — Dokąd to kazałeś odwozić te rzeczy?

— Już od kilku tygodni prowadzę coś w rodzaju filii mego przedsiębiorstwa i to blisko, we Freudenstadl. Jest tam restauracja hotelowa „Pod zielonym wieńcem” znajdująca się w samym centrum tej sielankowej dziury, w dodatku przyjemnie urządzone, z dobrą klientelą. Niedawno zostałem właśnie jej współwłaścicielem na zasadzie pół na pół i jest to już notarialnie zalegalizowane.

— Zmyślasz, Koralnik! — zawołał Wegner z nutką podziwu.

— Mało mnie obchodzi, jak to nazwiesz. W każdym razie fakty przedstawiają się następująco. Właściciel „Zielonego wieńca”, niejaki Berner, przed dwoma laty stracił na wschodnim froncie swego jedyne go syna i spadkobiercę. Teraz ja zostałem tym, kogo ulokował w swoim wielkim sercu oberżysty; oczywiście nie całkiem przypadkowo. Bo ja tymczasem wypełniłem mu po brzegi piwnice i spiżarnie. Dzięki temu tak on, jak i ja bez trudu przetrwamy niedostatek pierwszych lat powojennych. I wy też, jeśli tylko zechcecie.

— Już od dawna uważałem ciebie za niebywałego skąpca — musiał mu oddać sprawiedliwość Wegner. — Ale w rzeczywistości jesteś kimś wybitnym. W porównaniu z tobą strażnik piekieł. Cerber, jest zaledwie drobnym, ujadającym kundlem.

Zuzanna spojrzała na Koralnika tak, jak gdyby on się jej oświadczył.

— Czy mówisz poważnie, Konradzie, że możemy w tym uczestni czyć? — Jej głos nabrał nagle nowej, bardziej miękkiej barwy.

— Tak długo, jak długo tylko zechcecie. Spotkamy się tam, kiedy tu się wszystko z trzaskiem zawali. Właściwie nie potrwa to już długo. Zapamiętajcie więc sobie adres, przyjaciele: Hotel i restauracja „Pod zielonym wieńcem” we Freudenstadt, Rynek 7. Właściciel — dotychczas jeszcze Berner, ale niedługo już zupełnie oficjalnie — Berner i Koralnik.

— Kto wie — powiedziała Monika, która siedziała znów błada jak ściana i sztywna — czy my się stąd w ogóle wydostaniemy żywi.

— Wydostaniemy się — zapewniła Zuzanna — choćbyśmy się musieli ostrzeliwać.

— Tak czy owak, będzie tu wiele huku — powiedział Koralnik.

— Postara się już o to nasz Crusius. Szczególnie gorąco pragnie on urzeć fajerwerk z okazji ostatecznego zwycięstwa.

Sierżant Wegner mógł z własnego punktu widzenia tylko zgodzić się z tą opinią: — Crusius wydaje się nie przywiązywać najmniejszej wagi do tego, by nasze stanowisko dowodzenia doprowadzić z powrotem do pełnej sprawności. Na szczęście mamy tu jeszcze generała!

— Pytanie tylko, jak długo jeszcze. — Koralnik wykonał ruch umywania rąk na znak niewinności. — Generał nie czuje się dobrze. Doktor Säbisch musi go codziennie wzmacniać zastrzykami. Poza tym został bardzo ciężko znieważony w sposób najbardziej osobisty, bo Amerykanie zniszczyli bombami dzieło jego życia.

— O urzędzeniu tym można bądź co bądź powiedzieć, że jest niepowtarzalne — zapewnił Wegner. Nie wspomniał jednak, że jego własny udział w tym osiągnięciu był naprawdę niemały. — Rozumiem doskonale, że włożył w to serce. Ale teraz aż do końca wojny stanowisko dowodzenia jest właściwie stertą złomu.

— A Crusius wie o tym? — zapytał Koralnik.

— W każdym razie nie ode mnie. Ale wie. Także generał, wydaje się, zdaje sobie z tego sprawę.

— Jeżeli rzeczywiście tak jest — stwierdził Konrad Koralnik — to nasz generał spakuje wkrótce manatki.

— To wykluczono! — Wegner zareagował zgodnie z powszechnym mniemaniem, że nie może się dziać nic, co się dziać nie powinno. — Generał z pewnością nie porzuci nas.

— Przypuszczam, że Konrad ma rację — włączyła się Zuzanna. — Także moja kuzynka Marianna, jak mi się zdaje, jest tego samego

zdania. Usłyszała już od swego Feliksa—Baldura takie zwierzenie, jak na przykład: „Dalej tak być nie może... Muszę więc rozejrzeć się za czymś gdzieś indziej... spróbować ratować to, co jeszcze da się uratować...” A poza tym wspaniałomyślnie zaoferował mojej kuzynce dłuższy urlop wypoczynkowy, a zatem praktycznie zerwał z nią związek.

— Biedna Marianna — wtrąciła Monika.

— W każdym razie — podsumował rozmowę Koralnik — musimy się liczyć z tym, że pozbedziemy się generała, ale za to wsiądą nam na kark Crusius i ta jego naczelna wrona. Gotów jestem zaręczyć wam, że wspólnymi siłami będą próbowali nas wykiwać, wykończyć i usmażyć żywcem.

— Kiedy, twoim zdaniem, generał zabierze się stąd? — zapytała Zuzanna. — Może już dzisiejszej nocy?

— Nie — żywo zaprzeczył Koralnik. — Bo jutro przed południem ma się odbyć uroczystość, której wielkiemu, staremu Blumenbergerowi ( pewnie nie uda się uniknąć. Będzie to pogrzeb tych, którzy stracili życie podczas bombardowania. W związku z tym porucznik Crusius kazał właśnie urządzić coś w rodzaju cmentarza poległych. W miejscu najlepszym z możliwych — pośród kwitnących rabatek przy zameczku.

— A co się dzieje z zabitymi Rosjanami? — dopytywała się Monika.

— Na nich przyjdzie kolej dopiero później, najprawdopodobniej po południu. Jeśli to panią w jakimkolwiek stopniu uspokoi, panno Moniko, to postanowiono ich także pochować w jakiś godny sposób. Tak przynajmniej zarządził Crusius.

W tym momencie Zuzanna zareagowała niczym uparty muł: — Co to ma znaczyć, Konradzie Koralnik? W co drugim zdaniu wyrażasz się o Crusiusie: zarządził, rozkazał, zorganizował. Kapitulujesz przed nim? A może w ten sposób przyznajesz, że on może sobie teraz pozwolić na wszystko, na co tylko przyjdzie mu ochota?

W samej rzeczy, może, chociaż nie zna jeszcze treści pewnego telegramu, który nadszedł po południu. Wie o nim tylko generał i, ma się rozumieć, także ja.

— No, mam nadzieję, że nie chodzi od razu o telegram od samego Führera — odezwała się znów Zuzanna — i to w dodatku z takimi na przykład uprzejmymi wyrazami: „Ostatnie pozdrowienia, mój Baldurze. Mam wszystko gdzieś. Twój Adolf.

— Coś mniej więcej w tym duchu — musiał przyznać Koralnik.

— Napisali mianowicie, że porucznik Crusius otrzymał awans do stopnia kapitana. Tego nam właśnie jeszcze brakowało.

Następnego dnia miała się odbyć najbardziej podniosła i poważna uroczystość, jaka kiedykolwiek miała miejsce w jednostce Friedrichsruh, to znaczy pogrzeb poległych.

Jedną z czynności wstępnych przed pochówkiem, i to wcale nie najmniej ważną, było śniadanie u Blütenbergera w kasynie. Obfite i solidne jak zawsze, jednakże tym razem bez alkoholu.

Wydawało się, że Crusius w ciągu nocy odrobinę urósł i nabrał tężyzny. Ostatecznie był w tej chwili kapitanem. Eryka w sposób najbardziej osobisty, z dumą i tkliwością umocowała mu na naramiennikach drugą, przysługującą mu teraz gwiazdkę. Był to też dowód jej miłości.

— Panie generale — zapewnił Crusius — wszystkie przygotowania do wielkiej ceremonii zostały opracowane w najdrobniejszych szczegółach. Wystarczy, by pan wygłosił mowę pożegnalną.

Wydawało się, że przygotowane zostało rzeczywiście wszystko, co tylko można było przewidzieć. Po pierwsze, czynności wstępne. Po drugie, właściwa uroczystość. Po trzecie, organizacja zakończenia. Punktem kulminacyjnym była oczywiście część druga, która miała się rozpocząć o godzinie jedenastej, a zakończyć o jedenastej trzydzieści.

Starszy sierżant Himmelsheimer, teraz nieodstępny totumfacki Crusiusa, otrzymał zadanie nadzorowania czynności przygotowawczych. Polecił on już, by dwunastu Rosjan wykopało zbiorowy grób pomiędzy rabatkami, przed zameczkiem. Zadbał również o to, by dwaj sanitariusze i sześciu żołnierzy o świcie złożyli do trumien siedem ciał. Służące do tego drewniane skrzynie zostały dostarczone w nocy. Crusius zamówił osiem sztuk, o jedną więcej. Był po prostu człowiekiem przezornym. Na koniec Himmelsheimer skompletował pododdział do oddania salwy honorowej, składający się z plutonowego i ośmiu szeregowych. Gromadka ta już od wczesnego ranka ćwiczyła w pobliskim lasku.

Już leżały przygotowane flagi wojenne Rzeszy — po jednej na każdą trumnę. Wystarać się o wieńce, jak się okazało, było istotnie dość trudno. Potrzebne były bowiem trzy, a mianowicie po jednym od



generała, od kapitana Crusiusa i od wspólnej delegacji żołnierzy i dziewcząt służby pomocniczej.

W baraku pomocniczej służby łączności wydawała w tym czasie swoje specjalne rozkazy Eryka Warnke: — Ogólne mycie! Kąpiel pod natryskiem. Świeża bielizna i podkolanówki. W wypadku używania podpaski wymienić ją na nową. W razie potrzeby chętnie udzieli pomocy.

W zasięgu władzy Eryki Warnke obowiązywały jeszcze zrozumiałe reguły, dobrze obmyślane zasady higieny. Należał do nich też jej własny nakaz — każda dziewczyna za każdym razem używa osobnego natrysku. A zatem, nigdy nie wolno stać we dwie pod jednym strumieniem. Wzajemna pomoc przy myciu jest dozwolona, ale tylko, jeśli chodzi o plecy. Przodu, a zwłaszcza dołu, nie wolno dotykać. Bo to, co w jednym przypadku jest koleżeńską pomocą, w innym może się przerodzić w nieobyczajną usługę. Komendantka zawsze pilnie zważała nawet na tak drobne szczegóły. Osobiście pilnowała ścisłego przestrzegania swoich zaleceń.

W każdym razie zużycie wody tego ranka było ogromne. O to, by dopływ nie ustał, zadbał starszy szeregowy Helmreich, i to z tak dobrym skutkiem, że doszło do zalania baraku.

Monika Hofer zauważyła to pierwsza. Zwróciła uwagę Zuzannie Singer, po czym obie udały się do komendantki, która właśnie zastanawiała się nad treścią przysłowia o „zdrowym duchu w zdrowym ciele”. Wpadła przy tym na pomysł pięknie brzmiącej wersji, stosownej dla jej dziewcząt spod znaku błyskawicy. Miało to brzmieć: „Błyskawicznie czyste ciało, błyskawicznie czysty duch!” Zatem trudno się oczywiście dziwić, że w jej własnym odczuciu Monika i Zuzanna zakłóciły jej górnolotne rozważania.

— Prawdopodobnie — referowała Monika — zatkany jest gdzieś odpływ.

— Jeżeli więc tak jest — odezwała się do nich zjadliwie Eryka Warnke — to zabierajcie się cło roboty tam, gdzie trzeba. Wykażcie wreszcie trochę własnej inicjatywy. Sprawdźcie, gdzie jest zatkany odpływ i przetkajcie go. Weźcie ze sobą też ścierki i wiadra i zbierzcie wodę. Od tej chwili macie za zadanie dbać tu o czystość!

„Zadanie” było jednym z jej ulubionych wyrazów. Do każdego śmiecia, który trzeba było uprzątnąć, wynajdywała odpowiednie „zadanie” — talerzowe, toaletowe, a nawet podpaskowe.

— Wywiążcie się z tego starannie, dziewczęta, bez względu na to, jak długo to potrwa. Nasz barak i wszystko, co do niego należy, musi być zawsze na wysoki połysk...

Obie dziewczyny ulotniły się. Zuzanna nie mogła się wprost doczekać, kiedy będzie mogła wreszcie dać upust swemu oburzeniu.

— Co ta naczelna wrona właściwie sobie myśli? — narzekała. — W jej wiernoniemieckiej głowie lęgną się tylko pomysły, jak się bardziej puszyć przed nami.

— Bardzo możliwe — odezwała się spokojnie Monika. — Dobrze się jednak stało. Jeżeli będziemy tu bardzo zajęte, to nie będziemy musiały uczestniczyć w komedii pogrzebu.

Impreza ta coraz mocniej absorbowwała wszystkich w jednostce. Starszy sierżant Himmelsheimer wpadł, cały spocony, do Koralnika. Powodem było to, że wciąż jeszcze nie potrafił wystarać się o trzy wieńce, i to ze wstęgami.

— Jesteś przecież w dobrych stosunkach sam Bóg wie z kim — przyprochlebiał się Koralnikowi. — Nie mógłbyś się też o to wystarać? Bo te wieńce muszą być bezwarunkowo!

— Dostaniesz je — odpowiedział niedbale kapral, chociaż sam też był mocno obciążony przygotowaniami. Ostatecznie to on musiał się zatroszczyć, by uczestnicy pogrzebu, zgodnie z powszechnie przyjętym zwyczajem, bezpośrednio po nim mieli się czym pokrzepić.

Koralnik przygotował w tym celu wieprzowe kielbaski z rusztu — po dwie na osobę. Oprócz tego jeszcze po dwie butelki piwa i trzy kieliszki ziołowej wódki dla żołnierzy, a po butelce piwa i dwa kieliszki likieru klasztornego dla dziewcząt.

Dzięki temu nie wydawało się, by żałobnym obchodom cokolwiek jeszcze mogło stanąć na przeszkodzie.

Nawet pogoda dostosowała się do uroczystości — szarobiałe chmury na niebie przysłaniały słońce, a temperatura była w sam raz — około siedemnastu stopni. Wiatru prawie nie odczuwało się.

O dziesiątej czterdzieści pięć gwizdki trelowe dały sygnał do wymarszu. Rozległy się komendy, wydawane przyciszonym głosem. Jednocześnie z pola widzenia zniknęli jeńcy wojenni. Zdążyli oni jeszcze w pośpiechu wyrównać kawał terenu przed wspólnym grobem, by mieli gdzie stanąć żałobnicy.

Teraz ich ciemne postacie stały nieruchomo u skraju lasu, podobne do pniaków. Wiedzieli, że wkrótce będą znów potrzebni — do przysypania trumien ziemią — gdy tylko skończy się ceremonia.

Najpierw nadeszli żołnierze — sześćdziesięciu szeregowych plus kilku plutonowych i sierżant. Na czele maszerował Himmelsheimer, zupełnie jak przystało na prawdziwego szefa kompanii. Stał w trzech szeregach za wykopanym dołem, mając za swymi plecami zameczek. Następnie pod komendą Eryki Warnke przybyły dziewczęta. Przewidziane dla nich miejsce znajdowało się przed wykopanym grobem; stały więc twarzą w twarz z żołnierzami, którzy ponad trumnami spoglądali na nie z zainteresowaniem. Trzeci bok czworoboku — na prawo — zajął pododdział, który miał oddać salwę honorową. W hełmach nasuniętych na czoło, połowych mundurach mocno ściśniętych pasami, z bronią u nogi.

Na lewo, początkowo jeszcze samotnie, stał kapitan Crusius. Ma się rozumieć — w mundurze połowym. Trzy pokaźne wieńce leżały za nim, każdy osobno. Kapitan zdawał się być zadowolony. W jego organizacji działało wszystko jak w zegarku. Spojrzał na własny zegarek — była jedenasta.

Prawdziwie po żołniersku, punktualnie, a więc z dokładnością do sekundy, nadchodził z zameczku generał Blütenberger. Miał na sobie mundur galowy z imponującą liczbą odznaczeń, wstęg orderowych i odznak honorowych. Ponieważ były wykonane z metalu, to odnosiło się wrażenie, że pobrzękują z cicha przy każdym jego kroku.

Generałowi towarzyszyli kapitan Rommelskirchen i kapitan doktor Säbisch, idąc za nim w dokładnie odmierzonej odległości trzech kroków. Przy okazji nie uszło uwagi Crusiusa, że obaj odznaczeni byli Krzyżem Zasługi Wojennej pierwszej klasy. Prawdopodobnie generał wręczył im je po śniadaniu. Właśnie tym wymuskany bywalcom kasynowym, a nie jemu, gotowemu do walki o ostateczne zwycięstwo. Pocieszył się myślą, że zapewne nadejdzie też jego kolej. Musiała nadejść.

Uroczysta cisza. Żołnierzom udało się nawet mężnie powstrzymać rozmaite odgłosy związane z trawieniem. Można to było z pewnością uznać za dowód wysokiego zdyscyplinowania.

Kapitan Crusius wyszedł sztywnym krokiem na spotkanie generała, podniósł prawe ramię do niemieckiego pozdrowienia i złożył meldunek o „zbiórce załogi Friedrichsrüh”.

Blütenberger z godnością podziękował i z widocznym zdziwieniem

zajrzał do wykopanego grobu. Trumny ze zwłokami poległych nie znajdowały się, jak to się praktykuje, obok dołu, ustawione z szacunkiem na marach. Skrzynie zostały złożone już do ziemi, tyle tylko, że nie były przysypane. Generał ze zdumieniem spojrzął na kapitana.

— Przy wstępiej próbie — wyjaśnił dyskretnie Crusius — okazało się, że opuszczenie trumien spowodowałoby poważną zwłokę w przebiegu ceremonii, gdyż czterej żołnierze potrzebowaliby na każdą trumnę dwie do trzech minut, co należałoby pomnożyć przez siedem! Uważałem, że nie byłoby to po myśli pana generała.

Blutenberger przyjął tę wiadomość bez sprzeciwu. On też umiał liczyć i wyobrazić sobie podobną sytuację. Dlatego też tylko lekko skinął głową:

— Zatem zaczynamy!

Na to dziewczęta pod kierownictwem Eryki Warnke zaintonowały pieśń, która miała chyba wzbudzić w obecnych uczucie wzniosłej żaloby:

*Żyjemy po to, aby polec,  
giniemy, byśmy się sprawdzili,  
poddając się bez reszty woli  
naszego Wódza w każdej chwili.*

Odśpiewały trzy zwrotki w tym samym stylu. Dźwięczne dziewczęce głosy rozbrzmiewały donośnie, oczy Eryki Warnke błyszczały, a Crusius przyglądał się z upodobaniem dyrygentce. Generał raczej wpatrywał się w czubki swoich butów, wyczyszczonych na wysoki połysk.

Następnie zapalono dwa stosy — na prawo i lewo od dołu — grobu bohaterów. Miały one stanowić namiastkę tak zwanych pylonów, które zazwyczaj zapalano za pomocą pochodni na pogrzebach dostojników państwowych w Trzeciej Rzeszy. Jeśli był przy tym obecny Führer, prawie zawsze wołał w tym momencie: „wejź do Walhalli!”

Stosy były pomysłem Eryki Warnke, która podeszła teraz do grobu, z wypiętym do przodu obfitym biustem. Niektórzy żołnierze z trudem powstrzymywali się od śmiechu, a komendantka zdecydowanym gestem wskazała na trumny.

— Nasz umiłowany Wódz, Adolf Hitler, powiedział, że po wieczne czasy pisane nam jest być narodem bohaterów. Pozostawanie nimi bez względu na to, co się dzieje wokół nas, jest naszym nieuniknionym zadaniem, naszym przeznaczeniem. Któż by chciał bądź mógł uchylić się od tego obowiązku? Nigdy nie dopuści się tego ktoś, kogo serce bije dla Niemiec. Oznajmiamy to i ślubujemy, także tym męczennikom, których

mamy przed sobą. Chylimy przed nimi głowy! Czynimy to ze wzruszeniem i wdzięcznością za ostatnią ofiarę, którą złożyli w naszym zastępstwie i za nas.

Teraz z kolei miał zabrać głos również generał. Z początku sprawiał wrażenie, że brakuje mu właściwych słów. Być może dlatego, że oszołomiły go nieco wyraziste słowa Eryki Warnke, lecz może zirytowało go to, że osoba ta zbyt wypycha się do przodu, zabierając głos nawet przed nim. Jednak z wolna zaczęła płynąć jego mowa.

— Szanowne koleżanki, drodzy koledzy! — rozpoczął. Potem nastąpiła znana już dłuższa przerwa. Stał ze spuszczoną głową, jak gdyby w głębokiej zadumie nad wydarzeniami. Nagle wyprostował się jednak i przemówił: — W moim żołnierskim życiu wielokrotnie dane mi było widzieć, jak giną żołnierze. Już jako młody podporucznik w latach pierwszej wojny światowej, w walkach pod Verdun, byłem świadkiem, jak na prawo i lewo ode mnie padało mnóstwo kolegów...

W tym stylu przez dłuższy czas rozwodził się nad śmiercią za ojczyznę, nad sławą i honorem. A następnie przeszedł do tematu ataków bombowych i wspominał „żołnierzy i kobiety, którzy walcząc ramię w ramię z nami musieli zginąć za swój naród i naszą ojczyznę”.

Mowę swoją zakończył z patosem: — Groby są jak kamienie graniczne w naszej jedynej w swoim rodzaju historii.

Kapitan Crusius uznał, że wypowiedzi te są zbyt mdłe i nie pobudzają dostatecznie. Przecież polegli winni zobowiązać żywych do dalszej walki. Dlatego jego słowa, które wygłosił nad grobem, brzmiały niczym uderzenia młotem:

— Nie zginęliście daremnie! Nigdy was nie zapomnimy! Jesteśmy z was dumni! Staliście się przykładem dla nas wszystkich.

Nie dość tego — energicznie podniósł rękę do niemieckiego pozdrowienia i zawołał donośnie:

— Przez groby naprzód do zwycięstwa!

Po tym kulminacyjnym punkcie szybko uporano się z resztą uroczystości. Złożono na wspólnym grobie wieńce. Rozległa się komenda:

— Do salwy honorowej — ładuj — salwą — pal!

Trzy razy wystrzelił pododdział ślepyimi nabojami w powietrze. Wojenną flagę Rzeszy, dotychczas opuszczoną do połowy masztu, wciągnięto.

No, i to było już wszystko.

Nieco później Rosjanie, zgodnie z poleceniem, zdjęli z trumien wojenne flagi Rzeszy i zasypali grób. Na koniec, na niedużym wzgórku ułożono wieńce. Duży drewniany krzyż, kształtem podobny do Żelaznego Krzyża, z tabliczką na nazwiska poległych, dopiero przygotowywano.

Żołnierze i dziewczęta z pomocniczej służby łączności przenieśli się tymczasem do kantyny, gdzie usiedli obok siebie parami. Początkowo panowało jeszcze przygnębienie, lecz wkrótce stosownie do okazji melodie, które wygrywał na akordeonie szef kuchni, zaczęły się coraz bardziej przeradzać w wesołe śpiewki. Przecież życie toczyło się dalej, po cóż więc od razu opuszczać głowy? Dlaczego nie poweselić się trochę, dopóki jeszcze nadarza się okazja? Niedługo już wszyscy lub prawie wszyscy chóralnie wyśpiewywali melodię, którą podsuwał „artysta”. Jego numerem popisowym była piosenka: „Gdy w niedzielę wieczór muzyka przygrywa, hajdideldaj...” Odegrał ją, z krótkimi przerwami, aż trzy razy. Natomiast żołnierze, rozochoceni piwem, wódką ziołową i spojrzzeniami dziewcząt, śpiewali na tę melodię: „Gdy w niedzielę wieczór pan kanclerz się zgrywa — jedno danie raz, jedno danie raz...”

W kasynie sztabu najściślej szemu gronu podano pieczeń cielęcą, która była niewątpliwie znakomita, a jednak spożywano ją niemal w milczeniu, nie tylko ze względu na pamięć poległych, lecz także dlatego, że poniekąd było to przyjęcie pożegnalne Marianny Dengler. Generał głaskał jej rękę jeszcze częściej niż zwykle i wyrażał niezmierny żal, że musi ona udać się „do swojej poważnie chorej matki”.

— Dziecinko, uważaj na siebie — upominał ją zwierzchnik.

Crusius i Eryka Warnke wkrótce opuścili towarzystwo, gdyż nie odpowiadał im nastrój rozstania. Udali się do pokoju Eryki, gdzie oczekiwał ich wystawny poczęstunek — salami, szynka i ser, dekoracyjnie ułożone na posrebrzanej tacy z kasyna, a do tego chianti classico. Smakołyki te dostarczył, jak zwykle, kapral Koralnik, który wolał, by dwoje zajmowało się sobą, a nie patrzyło mu na ręce.

Gruchali jak para turkawek i jedno drugiemu wkładało smakowite kąski do ust. Ona raz po raz powtarzała „mój kapitanie”, a on nazywał ją swoją „szefową”, co oczywiście mogło nasuwać przypuszczenie, że oprócz szefowej jest także jakiś damski personel.

Crusius niby mimochodem zauważył: — Na pogrzebie zameldowała swoje dziewczęta w pełnym składzie, chociaż paru brakowało.

— Zwróciłeś na to uwagę? — zdziwiła się. - Zabrakło ci wśród nich przypadkiem twojej Moniki?

— Ależ, proszę cię, moja kochana! — przerwał jej. — Jak możesz to uparte cielątko nazywać moją Moniką? Nie obchodzi mnie w najmniejszym nawet stopniu, przysięgam ci. Pewien problem mógłby nam stwarzać najwyżej jej ojciec, kierownik urzędu okręgowego. Zajmując pozycję, jest on w stanie utrudnić nam życie.

— Nie zrobi tego — oświadczyła z przekonaniem.

— Skąd masz tę pewność?

— Po głębszym zastanowieniu zatelefonowałam do ojca tej Hofer. I muszę ci powiedzieć, że rozmowa była zaskakująco pozytywna.

— Jaki był jej wynik?

— Wyjaśniłam mu ostrożnie, ale jednocześnie odpowiednio wyraźnie, że jego córka, Monika, sprawia mi pewien kłopot. Opisałam mu jej nieśmiałość, skłonność do niezdyscyplinowania, brak poczucia przynależności do wspólnoty. Zapewniłam go naturalnie, że staram się i nadal będę się starała roztaczać nad Moniką opiekę.

— A jak on na to zareagował?

— Wyraził zrozumienie i wdzięczność. Kierownik urzędu okręgowego Hofer jest widocznie jednym z tych Niemców, którzy obdarzeni są głębokim poczuciem obowiązku. Nade wszystko ceni sobie otwartość i szczerłość. Zwierzył mi się, że jego Monika zawsze była rozmarzonym, nieśmiałym i wrażliwym dzieckiem, trzymała się z dala od innych i tylko z trudem nawiązywała przyjaźnie. Wielokrotnie usiłował podobno to łagodnością, to surowością, naprowadzić ją na właściwą drogę. Spodziewał się, że służba w mundurze pomoże jej włączyć się do wspólnoty. Na koniec prosił mnie, bym go nadal wspierała w jego wysiłkach. W razie konieczności — nawet bezwzględnością i surowością.

— To przecież wspaniale! — Crusius wyraźnie odczuł ulgę. — Dopóki żyją jeszcze tacy ludzie, jak ten partyjny towarzysz Hofer, dopóty możemy nie tracić nadziei. Zatem wobec jego córki masz wolną rękę.

— Tak, i będę z tego korzystała.

Była to niewątpliwie wygrana i trzeba ją było oczywiście odpowiednio uczcić. W jaki sposób należy to uczynić, wyjaśniła mu to prawie namacalnie. Oboje opadli na łóżko Eryki. Przez następną godzinę tego popołudnia byli bardzo zajęci.

Niemal o tej samej porze pozwolono również jeńcom radzieckim pochować ich zmarłych. Na miejsce pochówku wyznaczono im skrawek ziemi między ich barakiem a laskiem. Drewna na trumny nie dostali, jednak Koralnik ofiarował im wybrakowane sienniki. Owinęli więc swoich poległych kolegów w workowy materiał. Musieli pochować osiemnaście trupów, to znaczy prawie połowę jeńców, którzy znajdowali się w ogóle we Friedrichsruh. Gdy zwłoki spuścili już do dołu, Rosjanie zasiedli dookoła niego i zaczęli śpiewać — cicho, stłumionym głosem, chwilami tylko nucąc. Po kolei nabierali pełne garście piasku i wrzucali do grobu.

Potem zaszło coś nieprzewidzianego. Zbliżyły się do nich dwie dziewczyny. Przyszły z kwiatami — miały ich tyle, ile zdołały objąć rękami. Były to Monika Hofer i Zuzanna Singer. Sierżant Wegner sztywnym krokiem i z pustymi rękami szedł za nimi, jak gdyby chciał je osłonić — przed kimś bądź przed czymś.

Rosjanie zamilkli. Siedzieli bez ruchu, jak skamieniały, i patrzyli z niedowierzaniem na Monikę i Zuzannę, zbliżające się do grobu i rzucające kwiaty na zmarłych, owiniętych w obskurne płótno. Sierżant również podszedł do grobu, pochylił głowę i cicho powiedział: — Jesteśmy tu, by smucić się razem z wami.

Stali tak w milczeniu przez minutę. Potem odezwał się jeden z Rosjan. — Spasibo damy, pan. — A potem dodał w zupełnie zrozumiałej niemieczyźnie: — Nie zapomnimy, dziękuję!

Monika zaczęła płakać. Zuzanna objęła ją i pociągnęła za sobą. Anton Wegner poszedł za nimi.

Kolacja tego dnia wieczorem w kasynie została zapowiedziana jako „święto awansów”. Miało się wszakże okazać, że już po raz drugi chodzi o przyjęcie pożegnalne. Tym razem z okazji odejścia generała.

Po raz pierwszy od kilku miesięcy Blumenberger siedział u czoła sam, bez Marianny Dengler, a na jego twarzy malował się wyraz melancholii. Pomimo to ze swoich obowiązków wywiązywał się, jak zawsze, w sposób wytworny. Przed podaniem ryby, a był nią tego dnia pstrąg błękitny, poprosił o chwilę uwagi i przemówił:

— Dzisiaj przed południem mieliśmy powód do żałoby, a wieczorem mamy znów podstawę do radości. Pan, drogi panie Crusius, został



awansowany do stopnia kapitana. Proszę przyjąć gratulacje od nas wszystkich.

Crusius, mile połączony i wdzięczny, skłonił się generałowi. Eryka Warnke z trudem opanowała się, by nie uściskać go na oczach wszystkich. Rozległy się oklaski. Nawet kapitan Rommelskirchen kilkakrotnie złożył dłonie, co prawda — niemal bezgłośnie.

— Poza tym mam przyjemność — kontynuował Blütenberger — pogratulować naszemu drogiemu kapitanowi Rommelskirchenowi i naszemu niezawodnemu we wszystkich kłopotach kapitanowi doktorowi Säbischowi z okazji odznaczenia Krzyżem Zasługi Wojennej pierwszej klasy.

Nowe oklaski. Tym razem Crusius powstrzymywał się od głośnego klaskania. A jednak twarz mu się rozjaśniła, gdy generał wyjął z kieszeni jeszcze jeden Krzyż Zasługi Wojennej, również pierwszej klasy.

— Teraz pragnąłbym również panu, mój drogi panie Crusius, wręczyć to wysokie, a z pewnością dobrze zasłużone odznaczenie. A może będzie lepiej — jakież piękny rycerski gest! — gdy przekażę je w nadobne ręczki, które je panu wręczą.

Eryka Warnke rozpromieniła się z dumy, gdy generał podawał jej Krzyż Zasługi. Przypięła go swojemu Konstantynowi na szerokiej piersi.

— Panie, panowie, wnieśmy toasty. Wypijmy za zdrowie nas wszystkich.

— I za zdrowie Führera — napomniła Eryka Warnke.

— Również za jego zdrowie, rozumie się.

Generał zatoczył półkole swoim kieliszkiem szampana. Wypili. Crusius, jak zawsze prawie, do dna; miał mocną głowę.

— Być może jest to — obwieścił Blütenberger — ostatni, w każdym razie na jakiś czas, toast, który wspólnie spełniamy. Ponieważ już jutro rano będę musiał wyruszyć.

— Pan generał chce nas opuścić?

— O jakimkolwiek chceniu, mój drogi panie Crusius, nie może być mowy. Muszę, jak powiedziałem. Czuję się osobiście zobowiązany zbadać wszystkie możliwości przywrócenia pełnej sprawności naszemu stanowisku dowodzenia. Nasz dowódca zgadza się ze mną pod tym względem i przyrzekł mi swoje całkowite poparcie. Proszę więc, trzymajcie kciuki, żeby mi się udało.

— Tak jest, panie generale, będziemy trzymać — Crusius potrafił nawet okazać coś w rodzaju żalu z powodu rozstania z generałem.

— Na razie nie jestem w stanie określić, ile czasu będę na to potrzebował. — Blütenberger spojrział w dał, jakby wyruszał w świat w poszukiwaniu rycerskiej przygody. — Jednego jestem wszakże całkowicie pewny. Tego mianowicie, że tu nadal wszystko będzie przebiegać tak, jak dotychczas — dokładnie, z zachowaniem należytej dyscypliny. Aż do chwili mego powrotu — chciał to rzeczywiście wmówić obecnym — kapitan Rommelskirchen przejmie w moim zastępstwie prowadzenie prac w sztabie.

— Tak jest, panie generale! — służbiście odpowiedział Rommelskirchen. W ten sposób zostały sformułowane dwa stwierdzenia o znaczeniu może nawet decydującym: „w zastępstwie” i „prowadzenie prac”. Znaczyło to tyle, co ograniczone pełnomocnictwo.

— Całą resztę obowiązków będzie pełnił kapitan Crusius w dotychczasowym trybie.

Znów rozległo się obowiązujące „tak jest, panie generale”. Crusius nawet dodał od siebie: — Pan generał może na mnie polegać, w stu procentach.

Na to znów Rommelskirchen nie potrafił powstrzymać się od sarkastycznej uwagi: — Co pan właściwie sądzi, panie Crusius, o tych kwiatnych owacjach i objawach sympatii, jakich doznali Rosjanie, którzy obecnie pozostają pod pańskim zwierzchnictwem?

Crusius zaczerwiecił się jak burak.

— O czym pan właściwie mówi, panie kolego? — zapytał ostro.

— Nie wie pan, o czym? — Rommelskirchen udał niezmiernie zdziwienie. — Jeśli pan istotnie nic o tym nie wie, to proszę tylko zapytać o to pannę Warnke. Powinna chyba wiedzieć, co niektóre z jej dziewcząt urządziły dzisiaj.

— Sama się o to zatroszczyć — ucięła Eryka Warnke. — I można mi całkowicie zaufać, że w przypadku niewłaściwego zachowania potrafię z tego wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

— Ufamy pani — powiedział łagodnie generał i uśmiechnął się. Nie było wcale źle, kiedy Rommelskirchen, Crusius i Eryka Warnke pilnie spoglądali jedno drugiemu na ręce. Konkurencja podnosi wydajność. Względnie — jak to nawet Lenin powiedział — dobre jest zaufanie, ale lepsza kontrola.

Blütenberger wstał, podał wszystkim po kolei rękę, spoglądając, każdemu uważnie w oczy. Przed odejściem powiedział jeszcze: — No, to dobranoc.

## 9. Zawsze lepszy jest okropny koniec niż okropność bez końca

Następny dzień był ponury. Ciężkie chmury wisały nad ziemią. Temperatura obniżyła się znacznie, lecz było bezwietrznie — prawdziwa cisza przed burzą.

Nad głowami Moniki Hofer i Zuzanny Singer oczywiście zdążyła się rozpuścić istna nawałnica. Jeszcze ubiegłej nocy Eryka Warnke wezwała je na przesłuchanie. A one, rzeczywiście zasługujące na to, by uznać je za „wrogi narodowi” element, istotnie przyznały się, i to całkiem bezczelnie, że przyniosły kwiaty na grób poległych Rosjan.

— Jak też możecie, jako niemieckie dziewczęta, zniżyć się do okazywania aż takiej czci wrogom naszego narodu? — darła się komendantka.

Na to Monika Hofer oświadczyła całkiem spokojnie: — Ludzie ci zginęli od amerykańskich bomb, podobnie jak nasi żołnierze i nasze przyjaciółki. Zatem należą do naszych poległych, a ja nie mogę dopatrzeć się w nich wrogów.

Eryka Warnke uznała te dziewczęta za tak bardzo niepodatne na pouczenia, że postanowiła dać im dostatecznie dużo czasu na zastanowienie się. Powierzyła im więc „zadanie toaletowe”, to znaczy czyszczenie ustępów za pomocą ścierek, szczotek i chemikaliów. Leczenie smrodu smrodem.

— Zaczniecie robotę natychmiast!

Pracę tę zakończyły aż po północy. A Eryka Warnke kilkakrotnie kontrolowała, czy wszystko jest dostatecznie czyste. Przy okazji zapytała: — Zdołaliście zrozumieć, jak niezmiernie szkodliwy był wasz postępek?

— Ja — powiedziała Monika — nie mam sobie nic do zarzucenia.

Zuzanna Singer pozostawała podobnie nieugięta:

— Ja sobie też nie.

— Wobec tego muszę was ze względów wychowawczych wyznaczyć do „służby stajennej” aż do rana — postanowiła komendantka.

„Służba stajenna” polegała na utrzymywaniu spokoju i porządku w baraku dziewczęcym, a więc gaszeniu świateł, zamykaniu wody, sprawdzaniu urządzeń do zaciemniania, przepędzaniu ewentualnych intruzów rodzaju męskiego i zapobieganiu dziewczęcym wycieczkom.

— Ta krowa może z nami robić, co tylko zechce. Mnie ona nie złamie — zapewniła Zuzanna.

— A mnie — dodała Monika — jej szykany są najzupełniej obojętne.

— Ona nas w ciągu nocy z wszelką pewnością skontroluje jeszcze parę razy. Za każdym razem jedna z nas mogłaby sobie uciąć drzemkę. Masz ochotę, Moniko? Będę już uważała, by cię nie przyłapała.

— Nie jestem zmęczona, Zuzanno.

Wspólnie przetrwały noc. Pomógł im w tym starszy szeregowy Helreich, który wprowadził trochę urozmaicenia. Lubił on umilać sobie noc, między innymi troskliwie okrywając dziewczęta, które się przez sen rozkopywały w łózkach. Monice i Zuzannie też złożył propozycję, że zastąpi je na służbie. One jednak zdecydowanie odmówiły.

Również Koralnik nie mógł sobie odmówić przyjemności odwiedzenia ich. — Zamierzam nasycić oczy waszym widokiem — powiedział, mrugając przy tym znacząco. Należy przyznać, że obie przyjaciółki nie wyglądały w tym momencie zbyt atrakcyjnie. Stosownie do polecenia jedna i druga ukryły powódź włosów pod ciasno zawiązanymi chustkami. Ubrane były w niezgrabne kombinezony.

— Wiecie, moje panie, jak wyglądacie? — zapytał ze śmiechem Koralnik. — Jak para hermafrodytów.

Nie powinien był tak mówić, bo ścierka od podłogi natychmiast wylądowała na jego głowie. Roześmiał się: — Oszczędziłem przynajmniej waszego widoku naszemu przyjacielowi, Antonowi Wegnerowi. Kazał was zresztą pięknie pozdrowić. Nasz przyjaciel rad byłby ujrzeć dwie Madonny, a nie szare wrony.

— Bądź co bądź, ty, Konradzie, możesz tego rodzaju widok znieść bez cierpień, co?

— Jedynie dzięki temu, że przygotowuję się na to, co przyniesie

przyszłość, szanowna panno Zuzanno. Przewiduję mianowicie powstanie całych gór gruzu. Będzie się kurzyło tak mocno, że włosy nam się skołtunią, a twarze nasze będą wyglądały jak maski. Nawet największe eleganki przybiorą wygląd kocmołuchów. Ale wy będziecie wtedy miały prawo twierdzić, że coś podobnego macie już za sobą.

Po męczącym dniu i wobec perspektywy bezsennej nocy przerwany ten był niemal radosny. Tym bardziej że Koralnik przyniósł ze sobą i po koleżeńsku pozostawił im jeden ze swoich termosów. Wewnątrz znajdowała się aromatyczna kawa.

Ostatnie godziny „stajennej służby” ciągnęły się nieznośnie. Wydawało się, że nie skończą się nigdy. Obie dziewczęta odczuwały ciężar ołowiu w całym ciele, oczy im się zaczerwieniły. Lecz, gdy tylko przez megafony ogłoszono pobudkę, poczuły się znów rześkie. Sądziły, że przetrwały już najgorsze...

Dla Eryki Warnke noc ta także była męcząca, chociaż w całkiem inny sposób. Nadal świątowała w łóżku, z Konstantynem Crusiusem.

Jedynie ciągłemu treningowi sportowemu zawdzięczała Eryka, że rano, pomimo wszystko, była zdolna do działania. Umyła się sama i Konstantyna w lodowatej wodzie. Potem się jeszcze opryskali wodą kolońską. Wydawało się im, że są odświeżeni jak źródło życia.

Ponieważ, zaś stanowili jedno serce i jedną duszę i jeszcze coś więcej, zamienili się płaszczami kąpielowymi. On włożył jej płaszcz, a ona jego — ależ komiczny pomysł! W tej oprawie zasiedli na łóżku i raczyli się wcale nie znikomymi resztkami z półmiska włoskich specjałów, dostarczonego przez Koralnika. Przy tej okazji Eryka nie omieszkała oświecić kapitana nowymi wiadomościami, które sobie przyswoiła dzięki lekturze zeszytów ze szkoleń światopoglądowych.

Chodziło mianowicie o naukę płynącą z wojen toczonych przez Fryderyka Wielkiego. W trzech wojnach stawiał on bowiem czoło całej gromadzie nieprzyjaciół! W wojnie siedmioletniej już go prawie powalili. A jednak wytrwał. Czekало go za to zwycięstwo.

— Wielki Fryderyk — mędrkował Crusius — był podobny do Adolfa Hitlera. Podobnie więc jak Fryderyk swoich Prusaków, tak samo też Führer wielkoniemiecką Rzeszę doprowadzi do zwycięstwa.

Takim to sposobem wzajemnie „zbroili się moralnie”. Działo się to w chwili, gdy Rosjanie stali już pod Berlinem, a Amerykanie nad Łabą. Na zakończenie Crusius zaproponował nawet Eryce: — Byłbym rad,

gdybyś — począwszy od dziś, przejęła szkolenie światopoglądowe w jednostce. A więc, włączając w to także moich żołnierzy.

— Uważasz, Konstantynie, że jestem zdolna, by tym się zająć? — zapytała wzruszona.

— Bez wątpienia, Eryko. Uważam, że taki podział obowiązków będzie miał sens. Ty będziesz się troszczyła o wszelkie zagadnienia światopoglądowe, a ja będę doskonalił w rzemiośle wojennym naszych żołnierzy i twoje dziewczęta.

Eryka promieniała zapalem. Konstantyn podszedł do okna i spojrzął w stronę zameczku. Zajechała tam właśnie ciężka limuzyna generała. Ordynansi załadowywali trzy duże i dwie mniejsze walizy.

— Chodź tu, moja kochana! — powiedział Crusius. — Oto widok, któremu powinnaś się przyjrzeć.

Stojąc tuż obok swego kapitana Eryka Warnke obserwowała, jak generał podchodzi do samochodu. Odprowadzał go jedynie adiutant Rommelskirchen. Jeszcze tylko podanie ręki. Potem Blütenberger wsiadł i odjechał.

— A więc odchodzi i słuch po nim zaginie! — odezwał się Crusius. Miało to brzmieć żartobliwie, lecz Eryka Warnke dosłyszała w tych słowach jakiś ponury, zdeteminowany dźwięk.

Crusius włożył mundur. Zapinając pas, oświadczył: — Oto, moja Eryko, nadeszła nasza godzina. Teraz się zacznie!

Kapitan Konstantyn Crusius w pełnym umundurowaniu, w czapce polowej i pasie, z pistoletem u boku nie zwlekał z wykazaniem swojej gotowości do działania. A tym samym — z przetworzeniem w czyn swojej ogromnej wiedzy teoretycznej. Już wcześniej starannie obmyślił i opracował swoje plany, a potem kilkakrotnie je udoskonalał.

Wezwał do siebie starszego sierżanta Himmelsheimera i zarządził:

— Plan obrony bezpośredniej A — stopień pierwszy! Czynności przygotowawcze na wypadek bezpośredniego zagrożenia, czego obecnie należy oczekiwać w każdej chwili.

— Rozkaz, panie kapitanie — odpowiedział Himmelsheimer.

— Regulacja zegarków! Jest w tej chwili dokładnie dziewięta trzydzieści pięć... nie, już trzydzieści sześć. — Minęło prawie dwadzieścia minut od momentu, gdy generał opuścił Kampfentał. — Punktualnie

o dziesiątej trzydzieści chcę zobaczyć wszystkich ludzi z jednostki zebranych na placu apelowym.

— Wszystkich, panie kapitanie?

— Źle pan słyszy? Kiedy mówię wszystkich, to mam też na myśli wszystkich. Pominąwszy wartę, ma się tu znaleźć całość, wraz z wałęsającymi się po terenie jednostki. Bez wyjątku! Nie ma żadnych wymówek. Usprawiedliwień nie będę uznawał. Wszelkie pozostałe służby, bez względu na to, jakie — w kuchni, w izbie chorych i gdziekolwiek indziej — zostają przerwane. Zarządzenie dotyczy zarówno żołnierzy, jak i personelu kobiecego. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie! — ryknął starszy sierżant.

— Tymczasem proszę przygotować się do wydawania broni i amunicji; dokładnie tak, jak przeciwczyliśmy to wczoraj. Spodziewam się, że odbędzie się to bez komplikacji, jak w zegarku. Wszyscy mają się wywiązać bez zarzutu. Kto teraz nie zdobędzie się na wysiłek, temu nie damy odetchnąć. Ja to zrobię. Jasne? A więc odmaszerować!

Himmelsheimer zasalutował. Poleciał jak oparzony. Myśląc jedynie, jak dalej dokładnie przekazać rozkaz, to znaczy nie wdawać się w dyskusję. Jednak już w wypadku sierżanta Wegnera wynikła pierwsza przeszkoda.

— Mnie to zarządzenie właściwie nie może dotyczyć — oświadczył. — Ponieważ ja i ludzie, których mi przydzielono, jesteśmy zajęci poszukiwaniem uszkodzenia. Pracujemy nad tym bez przerwy.

Jednak Himmelsheimera nie można było pozbyć się w ten sposób.

— Żadnych tam zakichanych specjalnych zadań! — przyturlać się.

— Czyżbyś chciał być odpowiedzialny za to — odparł Wegner — że ważna, wyznaczona przez generała praca zostanie przerwana, a może nawet uniemożliwiona?

— Wegner, chłopie, chyba sam nadstawiasz tyłek? Nie próbuj mi tu podskakiwać! To wyraźny rozkaz. Jeżeli ci nie odpowiada, możesz to powiedzieć kapitanowi, o ile się odważysz.

Nie czekając na odpowiedź, pognał dalej. Trafił akurat na kłótnię komendantki Warnke z kilkoma jej gdaczącymi kurkami. Powtarzając rozkaz stawienia się na apelu, dołał tylko oliwy do ognia.

Znów Zuzanna miała tu wiele do powiedzenia. Stwierdziła mianowicie:

— Zgodnie ze wskazaniami dotyczącymi organizacji służby w for-

macjach kobiecych należy unikać pełnienia jej przez czas dłuższy niż dwanaście godzin bez przerwy.

— A my byliśmy zajęte pracą przez blisko dwadzieścia cztery godziny prawie bez odpoczynku — uzupełniła jej protest Monika Hofer. — Jesteśmy śmiertelnie zmęczone.

Komendantka Warnke omal nie pękła z furii, krzycząc:

— Akurat wy dwie uważacie za wskazane łaskawie mnie pouczać! Wypraszam sobie podobną gadaninę, sprzeczną z zasadami dyscypliny! Nie znajdujemy się w domu wypoczynkowym, lecz wykonujemy zadania bojowe dla Führera i ojczyzny. Przepisy, które wygrzebałyście, są odpowiednie w zwyczajnych warunkach, a nie w sytuacji, kiedy zbliża się nieprzyjaciel. A więc dość tych głupstw. O dziesiątej trzydzieści jest apel dla wszystkich i chciałabym zobaczyć moje dziewczęta przygotowane na medal!

Tak też się stało. Dokładnie o dziesiątej trzydzieści cała jednostka stanęła na apelu, żołnierze na prawym skrzydle, a dziewczęta ze służby pomocniczej — na lewym. Przed frontem zjawiał się kapitan Crusius. Starał się nadać swemu głosowi płomienny, porywający ton:

— Żołnierze! Niemieckie dziewczęta! Nadeszła rozstrzygająca chwila. Front nieubłaganie się zbliża. Genialne pod względem taktycznym odrywanie się naszych oddziałów od nieprzyjaciela może doprowadzić do tego, że w dającym się przewidzieć czasie wejdziemy z nim w styczność. Udowodnimy wówczas, że jesteśmy świetnie przygotowani i nie pozwolimy się zgnieść wrogowi. Wydamy też broń i to zaraz. Każdy żołnierz dostanie pistolet maszynowy i sześć granatów ręcznych, a każda drużyna — karabin maszynowy. Dziewczęta ze służby pomocniczej zostaną uzbrojone w ręczną broń palną i trzy granaty. Od tej chwili broń ta należy do stałego wyposażenia i każdy ma obowiązek wzorowo o nią dbać.

— Bacność! — zakomenderował Himmelsheimer na znak dany przez Crusiusa. — Do odbioru broni rozejść się!

Dowódcy drużyn zbierali teraz swoich ludzi, a Eryka Warnke usiłowała zapanować nad dziewczętami. Następnie wszystkie pododdziały, jako tako uporządkowane, udały się do schronu, w którym mieścił się magazyn broni i amunicji. Wreszcie, kiedy zakończyło się uzbrojenie, wszyscy znów spotkali się na placu apelowym.



Byli teraz objuczeni bronią. Wyglądali jak muły przyodziane w mundury. A kapitan przyglądał się im jak handlarz bydlętem tuż przed licytacją.

— Nie stójcie jak zdechłe kaczk! — zawołał do nich. — Jesteście żołnierzami, a nie szmatami. Teraz dopiero osiągniemy prawdziwą gotowość bojową. Ale musimy ją ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć! Nie widać jeszcze laurów, na których moglibyście spocząć.

Po krótkiej odprawie z dowódcami pododdziałów i komendantką dziewcząt zajęto stanowiska, przewidziane w planie obrony. Pierwszy pluton miał za zadanie przeciąć szosę z kierunku północnego i północno-zachodniego. Drugi stanowił odwód i jednocześnie był pododdziałem zaporowym. Zadaniem trzeciego plutonu było obsadzenie pofałdowanego terenu, opadającego w kierunku południowym, począwszy od lasu aż do szerokiej drogi.

Z tego właśnie obszaru prawdopodobnie zbliży się nieprzyjaciel. Po prostu nadawał się on do tego. Gdyby to przewidywanie sprawdziło się, a Crusius był pewny, że tak będzie, to dzięki świetnie pod względem taktycznym obranemu stanowisku zaistniałaby możliwość opóźnienia, a może nawet zatrzymania natarcia nieprzyjaciela. W takim razie kapitan, jako organizator obrony, mógłby liczyć na wysokie odznaczenie.

— Plutonem pierwszym — zarządził kapitan — dowodzi starszy sierżant Himmelsheimer, plutonem drugim — sierżant Wegner, plutonem trzecim — sierżant Schwarzkopf przy pomocy komendantki dziewcząt służby pomocniczej Eryki Warnke.

Trzeci pluton był istotnie najważniejszy w całej ewentualnej walce. Na nim spoczywał główny jej ciężar. Dlatego też był najsilniejszy liczebnie. Składał się z dwudziestu dwóch żołnierzy i trzydziestu dwóch dziewcząt. Uzbrojony był w osiem karabinów maszynowych, trzydzieści sześć pancernownic, dwadzieścia siedem pistoletów maszynowych, sto dwadzieścia granatów ręcznych i mnóstwo amunicji. Wszystko to przedstawiało znaczną siłę ognia.

— Wszystkie plutony udadzą się niezwłocznie na swoje podstawy wyjściowe — rozkazał Crusius. — Pluton trzeci poprowadzę osobiście. Zabrać broń! Musicie się nauczyć właściwego rozłożenia ciężaru. Kiedy zrozumiecie, jak to się robi, broń nie będzie wam ciężka wcale bardziej niż chlebak wpychany jedzeniem... A teraz, marsz! Za mną chłopcy i dziewczęta!

Kapitan osobiście stanął, wraz z sierżantem Schwarzkopffem, na czele lekko kołyszącej się karawany wojaków, oznaczonej numerem trzy. Szyk zamykała Eryka Warnke. Wyglądało to, jakby gnała przed sobą stado wielbłądów.

Mocno stawiając nogi, z obojętnym przeważnie wyrazem twarzy, człapali żołnierze i dziewczęta przez las. Po przejściu około ośmiuset metrów w kierunku południowym wyszli na odkryty, pofałdowany teren. Z miejsca tego świetnie była widoczna droga.

— Stój! — zawołał Crusius. Obejrzał się badawczo i od razu zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał. Dziewczęta i żołnierze już zaczęli uwalniać się od ciężaru.

— Powiedziałem „stój!” — wykrzyknął do nich — ale nie rozkazałem odłożyć broni!

— Bądźcie uprzejmi wziąć wszystko z powrotem! — zawołała sopranem także Eryka Warnke. Niedwuznaczny rozkaz wywołał niechętny pomruk, który po chwili ucichł.

Kapitan uważał za wskazane zachować się teraz jowialnie. Stanął przed dziewczętami, po części wyglądającymi już na mocno wyczerpane.

— Naprawdę nie jestem wcale potworem, dziewczęta! — oświadczył. — Moi żołnierze wiedzą o tym i możecie ich o to zapytać. Najchętniej zawołałbym do was: „Odłóżcie obciążenie, usiądźcie i wy ciągnijcie swobodnie nogi!” Ale, niestety, nie mogę. Bo teraz musimy być gotowi do walki. W tej chwili wy też jesteście żołnierzami wielkiej wojny całej wspólnoty naszego niemieckiego narodu.

Dalej mówił już zupełnie sensownie: — Przyjrzyjcie się dobrze terenowi. Wprawdzie ćwiczyliśmy tu już, ale stanowiska zostały rozszerzone i rozbudowane. Zapoznajcie się możliwie dokładnie ze wszystkimi szczegółami. Musicie tu teraz poznać każdą piędź ziemi, byście mogły poruszać się po niej bez trudu nawet po ciemku. Od tego może zależeć zwycięstwo, a może i wasze życie.

Gdy Crusius udał się następnie do drugiego plutonu, by dopilnować porządku, i zobaczył, co tam się dzieje, własnym oczom nie chciał wierzyć. Ci dranie pod dowództwem sierżanta Wegnera wciąż jeszcze stali wokół magazynu broni i amunicji. Wyglądało na to, że nawet nie myślą zabierać się do czegokolwiek.

— Co tu się dzieje, człowieku!!! — ryknął kapitan do sierżanta.

— Czekają pan, aż nogi wrosną panu w tyłek? Dlaczego miny nie są jeszcze ułożone?

— Bo nie mogę jednocześnie wykonywać wszystkich zadań, panie kapitanie — odpowiedział Wegner, przy czym robił wrażenie upartego osła. — Zgodnie z poglądem pana generała ponowne uruchomienie stanowiska dowodzenia ma absolutne pierwszeństwo.

— Ma pan chyba kaprawę oczy, co? — rozżołościł się Crusius.

— Niech się pan uważnie rozejrzy wokół siebie, przemądrzały maniak! od łączności! Dostrzega pan gdziekolwiek jakiegoś generała? Ani śladu! A kogo pan widzi przed sobą w pełnym wymiarze? Mnie, dupo wołowa! Ja tu dowodzę i nikt poza mną. Zrozumiano?

— Ale...

— Proszę zamknąć jadaczkę, sierżancie! Wydałem jasny, jednoznaczny rozkaz i ma go pan wykonać, bez zastrzeżeń i bez żadnych „jeżeli” i „ale”. Jeśli więc pan natychmiast nie odmaszeruje razem ze swoimi ludźmi, postawię pana przed sądem wojennym. Jasne?

Anton Wegner uczynił wysiłek, by przyjąć postawę zasadniczą.

— Tak jest, panie kapitanie!

— No, to do dzieła! Plan obrony, stopień drugi. Ułożenie potrójnej zapory minowej. Pierwsza bezpośrednio przed północnym wjazdem na teren naszego obozu, tam, gdzie stoi stara jodła. To kluczowa pozycja. Niech pan tam rusza biegiem. A może czeka pan na zaproszenie na piśmie?

Sierżant zasalutował i odszedł z ośmioma wybranymi żołnierzami. Trzej z nich nieśli miny talerzowe, jeszcze nie uzbrojone. Zachowywali przy tym wzruszającą wprost ostrożność, zupełnie jakby mieli do przeniesienia szczególnie krucho szkło. Pozostali objuczeni byli bębniakami kabla, narzędziami i innym sprzętem. Kierowali się w stronę stuletniej jodły rosnącej przy drodze wjazdowej, około stu pięćdziesięciu metrów przed bramą obozu.

Drzewo to, stojące samotnie, było ogromne. Wyrastało wysoko, aż pod niebo, a jednocześnie sękatymi, skłębionymi ramionami bezlitośnie uwiązane było do ziemi. Nosiło na sobie głębokie blizny po uderzeniach piorunów, lecz nigdy nie pozwoliło się zniszczyć. Potężne korzenie, wydobywając się na powierzchnię ziemi, wydawały się dążyć w śmiertelnym wysiłku do rozerwania, połamania i zniszczenia drogi, przy której przez wiek stało na straży.

Gdy sierżant Wegner i jego ludzie zabierali się do pracy, to znaczy

odmierzania i przycinania drewnianych listew oraz wykopywania ziemi, nieoczekiwanie pojawił się kapral Koralnik.

— Patrzcie, patrzcie! — zawołał. — Także ty, mój synu, Antoniuszu, poszedłeś wraz z zaślepięcami. Nie zbiera ci się na wielkie rzyganie?

— Możesz mnie, wiesz gdzie... — zamruczał Anton Wegner — a jeżeli jeszcze głośniej będziesz wypowiadał swoje wrogie hasła, to wkrótce usmażysz się w charakterze świątecznej gęsi w obozie koncentracyjnym lub wylądujesz jako tarcza strzelnicza w karnej kompanii.

— Bądź co bądź — zarechotał Koralnik — wspaniale wrażenie robi twoje stawianie min na użytek naszego wielkiego bohatera ostatniej godziny.

— Mimo wszystko lepsze to, niż zaopatrywanie go w wikt — odciął się sierżant.

Potem bez oporu pozwolił się kapralowi odciągnąć trochę na bok, by żaden z żołnierzy nie podsłuchiwał ich rozmowy. Koralnik spoważniał: — Anton, przyjacielu, czy ty tego nie rozumiesz? Jedzenie i picie jest zawsze potrzebne; i na wojnie, i w czasie pokoju. Te rzeczy pochłania się, potem wydała i wszystko jest w porządku. Ale układanie min na drodze to sprawa co najmniej niebezpieczna, jak sądzę.

— Montujemy je na razie nie bezpośrednio na drodze, lecz obok drogi. Mogę zaręczyć, że nikt na nie nie wejdzie, bo przecież obok jest droga. A ostatecznie nikt nie stanie na minie, żeby się wysikać pod tym wielgachnym drzewem, bo jeśli dojdzie tu rzeczywiście do czegoś, to nie będzie czasu na sikanie. Można najwyżej robić w spodnie. To, co my tu urządzamy, tak czy owak jest tylko zabawą. Chyba nie wierzysz, że za pomocą fajerwerku można zatrzymać Amerykanów choćby na godzinę?

— A jednak nie doceniasz naszego kapitana — odparł Koralnik.

— Dla niego nadeszła chwila próby. Co, twoim zdaniem, ma zamiar tu urządzić?

— No, właśnie — dodał sierżant — ostatnio jest niepohamowany i rzeczywiście marzy o tym, by zostać narodowym bohaterem. Jednak nie przeczuwa nawet, co nas rzeczywiście spotka. Przecież on w ogóle nie wie, jak działa mina. Zarządza tylko coś bez ładu i składu i nurza się w swoich własnych rozkazach jak wieprz w błocie. A w ogóle on coś knuje, ale co?

— To nie jest tuzinkowy intrygant, lecz obłąkaniec, opanowany

manią bohaterstwa, a to rzecz o wiele gorsza i bardziej niebezpieczna. Posłuchaj tylko kiedyś jego głosu. Przecież on lubi zniecka wydawać przeraźliwy krzyk według najwyższego wzorca. A widziałeś jego oczy? Nie świecą i trudno powiedzieć, by błyszczały; one po prostu zaczynają płonąć jak ogień w wilgotnej słomie. Słowem jest nieobliczalny.

— Wolałbym nie przyznawać ci racji, ale rzeczywiście muszę. Cóż jednak na to poradzić? Dać mu coś do zjedzenia, żeby dostał sraćki? Chyba się nie uda. A może byśmy się mu, że się tak wyrażę, po męsku sprzeciwili? To byłoby już zwyczajne samobójstwo, a my nie jesteśmy idiotami. Ale może by tak włączyć w to kapitana Rommelskirchena?

— Tylko nie jego! On zupełnie świadomie trzyma się poza zasięgiem ognia — machnął ręką Koralnik. — Czeka na telefon od swego generała, czego prawdopodobnie nigdy się nie doczeka. Tymczasem przegląda dokumenty sztabowe, zażera się, pije i przesyfia ostatnie godziny. Możemy go spisać na straty.

— Wobec tego wszystko jest beznadziejne.

— Niekoniecznie wszystko. Przyjmijmy, że jesteśmy zdecydowani pomieszać szyki najwierniejszemu bohaterowi Hitlera. W takim razie powinno się znaleźć jakieś wyjście. Co myślisz o takim wariacie — podłożysz mu jedną minę pod jego bohaterski tyłek. Ręczę, że wybuch przetruci go od razu do jego tysiącletniego nieba. Jedna detonacja i koniec wszystkich naszych problemów.

Anton Wegner patrzył na przyjaciela z niedowierzaniem.

— Powiedz, zwariowałeś?

— Prawie — skinął głową Koralnik. — Inaczej nic tu nie zwojujemy. Jeśli ktoś jeszcze dzisiaj chce się zachowywać normalnie, to ryzykuje wydanie wyroku śmierci na siebie samego. Albo jesteś obłąkany, albo zginięsz pod łopocącymi sztandarami ostatecznych zwycięstw.

— Bardzo możliwe — oświadczył sierżant. — Ale pomimo wszystko nie umiem po prostu przeskoczyć do innego świata. Nie jesieni mordercą.

— To jesteś dupkiem — stwierdził kapral Koralnik. — Jednym spośród wielu dupków. Ale pożałujesz tego. Bo Crusius, gdy tylko nn» zwierzy, rozerwie na strzępy.

I rzeczywiście Crusius miał ochotę rozszarpać wszystkich napotkanych dupków, zwłaszcza gdy znów się zbliżał do swego „głównego rejonu obrony”, to znaczy do pofałdowanego terenu po stronie południowej. To, *co tam* zastał, po prostu nie mogło być prawdą. Nie dostrzegł ani jednego żołnierza i ani jednej dziewczyny ze służby pomocniczej. Wszyscy schowali się w wykopanych tam rowach strzeleckich.

Zanim zdążył skutecznie przepłoszyć tę niezdyscyplinowaną zbieranię, spoza znajdującej się na południe od niego kępy drzew nadeszła komendantka Warnke. Wyglądała na kompletnie załamaną. Zameldowała, że żołnierze stali się bardzo przedsiębiorczy, a dziewczęta ich naśladują. Nie trzeba było długo czekać, rozpoczęła się żwawa gonitwa po rowach. Niektórzy żołnierze rozzuchwalili się niepomiernie i, zachęceni nawoływaniem i śmiechem dziewcząt, to tu, to tam, swobodnie stojąc, sikali. Jej, Eryki Warnke, rozkazów nie słuchali, a może umyślnie udawali, że nie słyszą.

— Gdzie jest sierżant Schwarzkopf, którego wyznaczyłem na dowódcę?

— Prawdopodobnie leży pijany w którymś rowie. Nie wiem tylko, czy przypadkiem nie z dziewczyną.

Kapitan Crusius z trudem pohamował swój gniew z powodu tego rodzaju stosunków. Ręce mu się trzęsły jak skrzydła otrutego gołębia w ostatnich podrygach. Oczy miał zwężone jak szparki. W tej chwili przypominały obciążone maskującymi pokrowcami reflektory samochodowe wśród ciemnej nocy. Głosem oznaczającym ponurą groźbę obwieścił:

— Wezmę teraz to wszystko we własne ręce.

Następnie, przeraźliwy jak wycie syreny, rozległ się jego głos:

— Uwaga! Pododdział na moją komendę!

Podobnie jak obraz na przyspieszonych zdjęciach w filmie przyrodniczym, przedstawiających w skrócie wyrastanie z ziemi i rozkwitanie roślin, tak w tej chwili podnosili się ze swoich kryjówek żołnierze i dziewczęta. Po części ze zdziwieniem, po części z niechęcią patrzyli na awanturnika, który pojawił się ni stąd, ni zowąd.

— Cała gromada do mnie! — darł się kapitan szczekającym głosem z dziedzica koszarowego.

Posłusznie, jakkolwiek z najwyższą niechęcią, truchtem biegli do niego na skraj lasu, razem ze swoim wojennym oprządzeniem.

Przypominali stado krnąbrnych osłów, czekających tylko na moment, kiedy będą mogli zrzucić z siebie ładunek. Stanęli przed Crusiusem.

Kapitan, pozornie opanowany, czekał, aż przywłókł się ostatni żołnierz i ostatnia z ostatnich dziewczyn. Dopiero wtedy wybuchnął straszliwym wrzaskiem:

— Świńska banda!

Następnie zawiesił głos, niejako pozostawiając wyzwisko w przestrzeni. Nastąpiła dłuższa przerwa — dokładnie na wzór uwielbianego przezeń führera, Adolfa Hitlera. On bowiem też zwykł był z wyrachowaniem potęgować wrażenie swoich przemówień za pomocą zwięzłych wykrzykników „Rodacy! Rodacy!” i zalegających potem długich chwil ciszy.

W przerwie Crusius pełnym pogardy spojrzeniem mierzył żalostną zbieraninę ostatecznych zwycięzców. Potem zaczął mówić dalej krótkimi, urywanymi zdaniami.

— Zachowaliście się jak zasańcy i szczyły. Nie jesteście żołnierzami i służbą pomocniczą, tylko smarkaczami i przekupkami. Stosunki te nie są godne niemieckiego żołnierza i ja nie myślę ich tolerować. Mamy tu nie wesołe życie towarzyskie, lecz przygotowujemy się do walki. Jest to sprawa życia lub śmierci, chodzi o los naszego narodu! Czy wciąż jeszcze nie rozumiecie?

Znów przerwał, zupełnie jakby chciał sprowokować ludzi do okazania niechęci. Gdyby ktoś się ośmielił przeciwstawić, byłaby to świetna okazja do rozprawienia się z nim. Odstrasżające przykłady działają skutecznie.

Nie znalazł się oczywiście nikt tak głupi, by dać się na to nabrać. Kapitan był z tego powodu wyraźnie rozczarowany. Nie zbiło go to jednak z pantałyku, więc rozkazał:

— Rozpoczynamy ćwiczenia od początku. Teraz jednak z ostrą amunicją. Uważajcie więc na swoje gnaty. Granaty ręczne w pogotowiu! Odbezpieczyć broń maszynową! Nasze założenie: nieprzyjacieli usadowił się w pobliżu drogi i stamtąd na nas naciera. Lecz my odpieramy go na południe. Żołnierze w pierwszym rzucie granatami i ogniem karabinów maszynowych torują drogę nacierającej w ślad za nimi służbie pomocni czej. A więc do natarcia!

Pododdziałowi nie pozostawało nic innego, jak tylko ruszyć na przód. Wyrzucono pierwsze granaty, lecz poleciały niezbyt daleko.

Zaszczekał jeden karabin maszynowy. Ospała seria zabrzmiała dość żałośnie. Żołnierze i dziewczęta bezgłośnie skradali się po polu.

— Zaraz im poprzyprawiam nogi! — krzyknął gniewnie kapitan. Wyjął z futerału pistolet i pobiegł za ospałymi wojakami. Być może wspominał wówczas swoich kolegów oficerów spod Verdun. Strzelali oni wtedy ostrą amunicją do ociągających się bohaterów, zgodnie z żelazną zasadą — kto nie jest gotów z radością paść na polu chwały, ten zasługuje tylko na to, by marnie zginąć.

Crusius więc, uważnie mierząc, wystrzelał teraz cały magazynek. Jego pociski uderzały w ziemię, parę centymetrów od stóp powoli poruszających się żołnierzy. Utykające postacie zaczęły nagle gnać jak spłoszone zające. Cały pododdział poruszył się żwawiej. Kurz unosił się wysoko, ręczne granaty wybuchały, lufy karabinów maszynowych rozgrzewały się od ciągłego strzelania.

Eryka Warnke była zachwycona. — Konstantyn ma ich w garści! — wołała w uniesieniu.

Wtem, gdzieś z głębi szyku, doleciały wołania: — Jeden żołnierz ranny... ranny!

— Przerwać ogień! Wszyscy kryć się! — rozkazał kapitan. — Ranny do mnie!

Starszy szeregowy, zataczając się lekko, podbiegł, oddał honory i zameldował się: — Na rozkaz, panie kapitanie!

Odłamek lub rykoszet trafił go w lewe przedramię. Rana mocno krwawiła. Zapewne była bolesna. Lecz żołnierz ten — nazywał się Seibold — dzielnie się trzymał. Brawo!

— Oto skutek tego, że wystawiacie z ciekawości głowy, a nie kryjecie się jak należy — zażartował Crusius rozmyślnie rubasznie. — Miałeś przy tym szczęście, kolego, że nie uszkodzili ci czegoś delikatniejszego. Bo cóż to wielkiego lewa ręka? Do picia i jedzenia potrzebna jest prawa, a może nie?

— Tak jest, panie kapitanie! — wyjąkał starszy szeregowy. Był błądy jak płótno i wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć.

— Jak najszybciej zabrać go stąd, do izby chorych! — zarządził Crusius. A Eryka Warnke, która także nadbiegła, przywołała dwie dziewczyny ze służby pomocniczej.

— Odprowadźcie tego żołnierza do doktora Säbischa. Potem natychmiast wróćcie.



Do stojących z boku przyglądających się żołnierzy kapitan wykrzyknął: — Nie gapcie się jak te krasę byki! Ćwiczmy dalej, aż się wszystko uda i to na sto procent.

Było już wpół do piątej, a więc późne popołudnie. Co tu było jeszcze do zrobienia? Może trzeba bez przerwy robić to samo dopóty, dopóki się wszystko nie rozleci.

— W każdym razie nie wyobrażam sobie większego gówna niż to, które mamy tutaj — powiedział kapral Koralnik do sierżanta Wegnera. W związku z tym obaj postanowili udać się do kapitana Rommelskirchena i zaprotestować zwłaszcza przeciwko bezsensownej, ich zdaniem, zabawie oszalałego Crusiusa w wojnę. Gdy weszli do zameczku, zobaczyli Rommelskirchena siedzącego przy biurku generała. Przed nim leżały stosy papierów. Obok nich — butelka burgunda. Kapitan trzymał w ręku szklankę, widocznie napelnianą wciąż od nowa. Z niewinnym uśmiechem człowieka zamroczonego alkoholem spojrzął na przybyłych. Następnie, z trudem przewyciężając bełkot, zapytał:

— Czego pan tu chce, Koralnik? Mnie zaopatrzyć? To... to bardzo miłe, ale niepotrzebne. Mam tu wszystko. Zapasy, do których mam dostęp, całkowicie mi wystarczą... że tak powiem, na całe życie. Więcej tu się nie zmieści.

— My obaj, sierżant Wegner i ja, jesteśmy tu zupełnie innego powodu — odpowiedział Koralnik. — Prosimy, by wysłuchał pan naszego zażalenia.

Na to kapitan, zdziwiony, spojrzął na kaprala szklistymi oczyma.

— Zażalenie? A po cóż to? Na kogo?

— W sprawie kapitana Crusiusa. Przekracza on w jawny sposób swoje uprawnienia. Bez zgody pana generała zarządził ćwiczenia ze strzelaniem ostrą amunicją. Na skutek tego mamy już jednego rannego.

— Czyja dobrze słyszę? — przerwał Rommelskirchen. — Śmiecie krytykować jednego z naszych oficerów? Brakuje wam chyba piątej kleпки.

Koralnik wypchnął teraz do przodu sierżanta Wegnera, mimo że ten daremnie się wzbraniał. Kapitan potrząsnął głową.

— Co, jeszcze i pan? — zapytał takim tonem, jakby się opędział od natrętej muchy. — W co pan się wdaje?

— Przyłączam się do zażalenia kaprała Koralnika. Jednocześnie melduję, że nasze stanowisko dowodzenia nadal jest niezdatne do użytku, ponieważ nie mogę już wykonać rozkazu, wydanego w tej sprawie przez pana generała. Przeszkodził mi w tym kapitan Crusius.

Rommelskirchen próbował się podnieść ze swego krzesła przy generalskim biurku. Usiłował stanąć na nogach. Jednakże jego członki nie były w stanie dać sobie rady z problemem równowagi, co należało przypisać działaniu wypitego wina. Opadł więc z powrotem na krzesło, po czym stwierdził:

— Kapitan Crusius ponosi wyłączną odpowiedzialność za to, co zarządził, a także za to, co rozkazał wbrew rozkazowi pana generała. Lada... lada chwila oczekuję telefonu od naszego pana Blumenbergera, będę mu mógł złożyć meldunek. Po prostu o wszystkim.

Koralnik wstał. Pociągnął za sobą sierżanta Wegnera i, z trudem panując nad sobą, powiedział:

— On jest przecież pijany jak bela! Nie ma sensu z nim rozmawiać. Trzeba się zabierać! Chodź, machnijmy na to ręką!

Sierżant i kapral szybko oddali honory niemieckim pozdrowieniem. Następnie wykonali w tył zwrot i, nic nie wskórawszy, opuścili zameczek Kampfental. Teraz było oczywiste, że na drodze służbowej nie sposób dać rady temu Crusiusowi. A zatem mógł on nadal dawać upust swoim dyktatorskim zachciankom.

W tym samym czasie na terenie południowego rejonu obrony pojawił się starszy szeregowy Helmreich, ciągnący w kierunku stanowisk ręczny wózek. Na pojeździe tym stały brzuchate pojemniki z zupą grochową. Helmreich, wciąż jeszcze mając pod swoją opieką dziewczęta, z przyjemnością ją dla nich gotował. Dodał do niej sporo wędzonki i sadła.

— Mały posiłek! — wołał na całe gardło, jak gazeciarz na dworcu kolejowym. — Nie ma walki bez jedzenia! — Jednocześnie wywijał chochlą; uderzał nią w pojemniki jak w kotły. Wyznawał zupełnie zrozumiały pogląd — ten, kto musi walczyć, ma prawo najeść się.

Jednej okoliczności wszakże nie uwzględnił, a mianowicie reakcji kompetentnego w tym miejscu pod każdym względem dowódcy obrony Crusiusa. Ten bowiem uznał, że hałas, jaki czyni starszy szeregowy, i jego zachęcanie to świństwo niedopuszczalne w warunkach wojennych. Mogło to przecież pokrzyżować, utrudnić wykonanie lub wprost

udaremnić jego geriaalne pod względem taktycznym posunięcia. Podobny rwetes może zwrócić uwagę nieprzyjaciela, który niewątpliwie zastosuje odpowiednie środki ostrożności. Lecz cóż może o tym wiedzieć głupi, prymitywny starszy szeregowy? Uważa on niewątpliwie, że jego zupa grochowa jest ważniejsza niż los narodu niemieckiego.

Wkrótce przed Helmreichem i jego wózkiem z zupą jak spod ziemi wyrósł Crusius. — Czym macie zapaskudzoną głowę, że wpadliście na taki pomysł? Kto wam podsunął niedorzeczną myśl pętania się z tym głupim wózkiem na polu walki?

Helmreich stał wyprostowany.

— Kapral Kofalnik polecił mi, bym kolegom...

— Tak sobie *też* pomyślałem! — wrzeszczał kapitan. — Ten smętny pomyleniec Koralnik. Nie myśli o niczym, tylko o piciu, żarciu i łajdaczeniu się. Powtórzcie temu natrętnemu świntuchowi, że jeżeli spróbuje mi raz jeszcze wejść w paradę, to pożałuje, że go matka na świat wydała. A teraz wynoście się wreszcie, bo was popędzę!

— A co będzie z jedzeniem? — zapytał Helmreich zbity z tropu.

— Nie mam nic przeciwko temu, byście sami wychleptali tę breję. Możecie ją też wylać — po prostu na ziemię. Robaki się ucieszą, że znalazła się taka kapuściana głowa, jak wy!

Starszy szeregowy nie uznał za wskazane postąpić zgodnie z tą zachętą. Uciekł, ciągnąc za sobą wózek. Crusius, rozwścieczony, patrzył w ślad za nim.

W czasie kiedy rozgrywała się ta scena, kilkoro wojaków obojga pici, zgłodniałych i zmarzniętych, odważyło się wychylić ze swoich ukryć, by z ciekawością i złośliwą radością popatrzeć na kapitana kłócącego się ze starszym szeregowym- A przynajmniej posłuchać, bo niewiele już było widać — zbliżała się ósma i słońce już dawno zaszło.

Gdy Helmreich został zmuszony do wycofania się — wraz z zupą, po całym polu przebiegł cichy, lecz wyraźny i dość jednoznaczny pomruk. Stało się to dla Crusiusa jeszcze jednym pretekstem do ponownego wyjaśnienia tym typom powagi sytuacji.

— Na pewno zmęczyło was życie, co? — ryczał do gapiących się cieni. — Nie wychylać się z ukrycia! Bo możecie trafić do szpitala albo od razu do samego diabła.

Zmęczeni żołnierze ze skrajną niechęcią zastosowali się do rozkazu, przechodząc z powrotem do pozycji horyzontalnej.

— Jak długo będziecie układali obolałe tyłki?! — darł się Crusius. — Macie padać jak by kto wami splunął. Poruszajcie się szybciej, z łaski swojej, to nie będziecie marzli. Rozgrzewajcie się sami — przytkajcie i poruszajcie palcami rąk i nóg, napinajcie mięśnie. Leżąc, ćwiczcie pompki... w górę, w dół... w górę, w dół... Ale nie wystawiajcie swoich facjat i zadków, żeby wam nie zrobili jeszcze jednej dziury. Zresztą wstaniemy tu na całą noc, abyście się przyzwyczaili do tego, co was czeka. I biada temu, kto jutro nie będzie gotów do walki.

Po tak pokrępiających słowach także Eryka Warnke zapragnęła „podnieść na duchu” swoje dziewczęta. Weszła pomiędzy stanowiska służby pomocniczej z zamiarem odwołania się do ducha wspólnoty, do odwagi i dyscypliny. Nie wydawało się jednakże, by wypadło to szczególnie przekonująco. Dziewczęta potrzebowały bowiem czegoś zupełnie innego. — Jesteśmy zmęczone... zimno nam... jesteśmy głodne... śmierdzimy z brudu i ledwie patrzymy na oczy.

Eryka Warnke uznała za wskazane okazać im zrozumienie.

— Dobrze wiem, jak się czujecie, moje drogie. Musicie to jednak przetrwać. Jeśli nie można inaczej, to zaciśnijcie zęby.

W ciemności dobiegł skądś przytłumiony, zachęcająco brzmiący głos: — Nie mogłybyśmy przynajmniej rozpaść małego ogniska, by ogrzać łapy i w ogóle?

— Wykluczone! Na ćwiczeniach w warunkach wojennych nie ma miejsca na słabości i mazgajstwo. Tu każdy musi wykrzesać z siebie wszystko, bez względu na to, ile go to kosztuje. Zatem, weźcie się w garść.

Po wygłoszeniu tak pokrępiającego hasła Eryka wróciła na swoje stałe miejsce pod drzewem na wzniesieniu. Czekał tam już na nią Konstantyn.

— Jak ci idzie? — przywitał ją. — Wszystko w porządku?

— Przecież ty jesteś przy mnie — odpowiedziała — więc nie może się dziać źle. Ale dziewczęta są bardzo wyczerpane. Marzną. Mam nadzieję, że nie rozchorują się, bo to mogłoby zagrozić naszym ćwiczeniom. Może byś tak polecił wydać posiłek? Z pełnym żołądkiem wszystko znosi się łatwiej.

— Co to, to nie! — odzegnał się Crusius i w najlepsze wygłosił kilka swoich tak zwanych zasad, opartych na praktyce.

— Kto się naje zbyt wiele, ten jest ociężały i nieuważny, a więc nie

nadaje się do walki w pierwszym rzucie. Poza tym uczucie zimna jest najczęściej sprawą wyobraźni, którą trzeba przewyciężyć. Na przykład dziś mamy dziesięć stopni powyżej zera. Moja kochana, gdy tylko przypomnę sobie, że wtedy, pod Tuła, kiedy okrążaliśmy Moskwę, musieliśmy przez całe doby trwać na swoich stanowiskach przy prawie czterdziestu poniżej zera, to w porównaniu z tym dzisiejsza noc wydaje się niemal orzeźwiająco chłodna.

Doniosła rozmowa została przerwana pojawieniem się dwóch niepożądanych intruzów. Crusius zaśwycił latarką i w stożku jej światła rozpoznał sierżanta Wegnera i kaprała Koralnika.

— Czego tu szukacie? — zapytał szorstko. — Opuściliście swoje posterunki. Dlaczego?

— Chciałem zameldować — odpowiedział Wegner — że trzy zapory minowe są gotowe zgodnie z rozkazem.

Kapitan zmierzył go takim wzrokiem, jakim się patrzy na zwierzę rzeźne, któremu nie wiadomo dlaczego nie poderżnięto jeszcze gardła.

— Człowieku, to, że o tej porze, a jest właśnie północ, miny są już położone, jest rzeczą zrozumiałą — udzielił mu reprimendy. — Poza tym, po pierwsze, powinien pan być już dawno o tym zameldować. Po drugie — nie musiał pan tego robić osobiście. Po trzecie — postępuje pan nieodpowiedzialnie, pozostawiając swoich ludzi. W obliczu sytuacji, w której należy oczekiwać bliskiej styczności z nieprzyjacielem, jest to karygodny błąd, a może coś znacznie gorszego!

Wegner nie tracił opanowania.

— Oprócz tego chciałem przedstawić propozycję, panie kapitanie. Pozostało jeszcze sześć min. Można by nimi zaminować ten oto południowy rejon obrony. Można by przy tym, jeśliby pan sobie życzył, do pańskiego stanowiska dowodzenia doprowadzić kabel do zdalnego odpalania. Dzięki temu obecne ćwiczenie stałoby się w pewnym stopniu zbędne i przynajmniej dziewczęta ze służby pomocniczej mogłyby...

— Aha! — przerwał mu Crusius głosem ostrym jak brzytwa. — Pan sierżant raczy zwracać mi głowę. Czego temu człowiekowi się zachciewa! Chce pan doprowadzić do tego, by nasi żołnierze i dziewczęta w trakcie walki wpadali na pańskie miny? To głupota, w dodatku nieodpowiedzialna!

— Myślałem...

— Wie pan przecież, że myślenie pozostawiamy koniom. Ale ja widzę przed sobą tylko dwa osły bezsensownie poruszające pyskami! — Następnie, wściekły, wrzasnął do kaprała. — A pan, po co pan tu właściwie sterczy?! Dlaczego nie bierze pan udziału w ćwiczeniu?

— Zadbalem o zaopatrzenie i wyżywienie, panie kapitanie — odpowiedział Koralnik. — Zupę grochową podgrzano i może być wydana w każdej chwili. Poza tym przygotowane są koce, po jednym dla każdego uczestnika ćwiczenia. Pan, kapitanie, może zarządzić wydanie racji rumu, ewentualnie z gorącą herbatą...

— Dość mam już tego i to powyżej uszu! — krzyknął Cru-sius. — Nie urządzamy tu zabawy w kółko graniaste. Bierzemy udział w walce! I jeszcze niejeden raz będziemy musieli nie spać całą noc. Jasne?

— Jakie tam jasne, jest ciemno jak w dupie, ale zimniej. — Sierżant hamował się jeszcze, ale już z największym wysiłkiem. Jednak jego próby zachowania spokoju okazały się daremne. Crusius wrzasnął:

— Co pan mówi?! Co pan się waży mówić, szczyłu jeden!

Na to sierżanta ogarnęła szewska pasja.

— Właśnie w warunkach frontowych należy dbać o należyte zaopatrzenie i poprawne planowanie działań — powiedział. — Jeśli oddział nie ma uczucia, że wszystkiego mu się troskliwie dostarcza, to z wszelką pewnością upada jego morale.

Kapitan nadął się jak balon. Wyglądał, jakby miał lada chwila wznieść się w górę lub pęknąć. Na całe pole rozległ się jego przeraźliwy wrzask: — Plutonowy Heinemann z dwoma ludźmi do mnie!

Gdy trzy przywołane postacie wynurzyły się z ciemności, kapitan rozkazał: — Sierżant Wegner jest aresztowany. Należy go doprowadzić do aresztu i trzymać pod strażą. Proszę zameldować kapitanowi Rommelskirchenowi, że kazałem zatrzymać tego typa za nieposłuszeństwo i osłabianie siły obronnej. Resztę zakomunikuję w odpowiednim czasie!

Kapitan Rommelskirchen nie był w stanie przyjąć tego meldunku. Zmógł go alkohol i leżał pogrążony w głębokim śnie w zameczku Kampfental, na generalskiej sofie. Śnił być może o lepszych czasach.

Plutonowy Heinemann ani przez chwilę nie zastanowił się, czy ma to

jakikolwiek sens, ale oddał honory śpiącemu przelożonemu i odbębnił tekst Crusiusa. Rommelskirchen wybełkotał tylko „tak, tak” i znów zasnął. Następnie plutonowy zaprowadził całkiem obojętnie zachowującego się sierżanta do aresztu, urządzonego w piwnicy na węgiel, i tam go zamknął. Klucz od drzwi oddał żołnierzowi, który miał pozostać na posterunku przed nimi. Sam wraz z drugim żołnierzem odmaszerował, ale został w pobliżu, by nie wracać do kolegów oczekujących nieprzyjaciela.

Zamieniona w więzienny loch piwnica miała jedno otwarte na oścież okienko. Wkrótce zjawił się przy nim Koralnik z wałówką i kilkoma dobrymi radami.

— Mam nadzieję, chłopie, że nie jesteś głupi i nie zapuścisz tu korzeni. Możesz przecież nawiać stąd w każdej chwili. Nie trzeba do tego szczególnej odwagi, bo ostatnio nasz Führer wraz ze swoją tysiącletnią Rzeszą skurczyli się mocno i oboje są jak ta wyschnięta cytryna, w której pozostało ledwie parę kropli soku. A ty znasz przecież mój prywatny adres — Freudenstadt, Rynek 7, hotel i restauracja „Pod zielonym wieńcem”. Będę tam czekał na ciebie. Trzymaj się aż do spotkania, kolego!

Po tych słowach odszedł. Po wejściu do swego magazynu żywnościowego Koralnik zabrał jeszcze parę toreb, plecak i kilka kartonów. Zastanowił się przez moment, którą z dwóch ciężarówek, jakie miał do dyspozycji, wygodniej będzie zwiewać.

— Może to i problem — uśmiechnął się sam do siebie.

W rejonie obrony na wzgórzach od strony południowej wciąż jeszcze trwali, pod przymusem, żołnierze i dziewczęta ze służby pomocniczej. Siedzieli lub leżeli na swoich stanowiskach pogrążeni w apatii. Czekali na następną próbę ataku, która z całą pewnością miała nastąpić.

Zuzanna i Monika, prawie nieprzytomne z wyczerpania, leżały dokładnie wciśnięte w ziemię. Przytuliły się mocno do siebie i na przemian to zasypiały, to się budziły. Torby z granatami służyły im za poduszki.

Konstantyn okrył Erykę własnym płaszczem. Oboje siedzieli pod rozłożystym drzewem, plecami opierając się o jego pień. Milczeli niemal uroczyście, czując się zjednoczeni duchem i pozostając bez ruchu. Od czasu do czasu spoglądali sobie w oczy, o ile to było w ogóle możliwe

przy słabym świetle księżycy. Słyszeli swoje oddechy. Byli świadomi swojej wierności wobec ojczyzny, na wzór dawnych Nibelungów, i wyobrażali sobie, że oto są owymi dumnymi bohaterami na zamku króla Hunów Etzela i wkrótce ma wybuchnąć wielki pożar. Otaczają ich wrogowie, lecz oni są gotowi dzielnie stawić czoła ich atakom.

Zacząło świtać. Oni zaś nie wiedzieli, co im przyniesie nowy dzień — śmierć i klęskę czy też wybawienie i wolność. Zarówno na jedno, jak i na drugie byli, a zresztą powinni być, gotowi.

— Widzisz zorzę poranną? — zapytał Crusius patetycznym głosem, jak gdyby miał zamiar deklamować wiersze. — Najcudowniejsze zjawisko przyrody. Z nocy rodzi się dzień. Słońce pokonuje ciemność. Zaczyna się nowe życie.

Eryka spojrzała na niego czule. — Jak pięknie o tym mówisz, Konstantynie. Coraz lepiej rozumiem, dlaczego ciebie kocham, tylko ciebie.

Jej słowa zapadały mu głęboko w serce — germańskie serce. Teraz popuścił wodze swojej twórczej wyobraźni. Nie odstąpił jednak od poruszonego tematu.

— A więc, zorza poranna! To podobno pora wielkiego umierania, kiedy krew leje się do ostatka, a Walkirie wprowadzają do Walhalli wszystkich bohaterów, którzy padli, nie wypuszczając broni z ręki. O tej też porze morza stają się zwierciadłami losów wszechświata, skowronki wlatują ku niebu, a góry w pierwszych promieniach słońca obwieszcza ją piękno boskiej wszechmocy. Kiedyś, w podobnie podniosłej chwili, przy gasnącym ognisku, nawiedziła mnie niezapomniana wizja — na wprost przed sobą ujrzałem Führera — wyznał. — Potężnego i szlachetnego w swojej wielkości, otoczonego jasnym blaskiem, jak niegdyś Chrystus. I wydawało mi się, że przywołuje mnie do siebie...

Crusius, upojony własnymi słowami, wstał i wyprostował się. Wpatrzył się w lekką mgiełkę łagodnie okrywającą okolicę. Lecz cóż to za dziwne cienie w dali? Czyżby nieprzyjaciel korzystał z brzasku, żeby zaatakować z zaskoczenia?

Kapitan wyszarpnął z kieszeni wibrujący gwizdek. Poranną ciszę rozdarł przeraźliwy gwizd. Następnie ryknął głosem prawdziwego boga wojny:

— Alarm!!! Nieprzyjaciel naciera!! Naprzód! Za mną!

Crusius ruszył biegiem. Podrywając z ukryć żołnierzy i dziewczęta, wydawał w biegu komendy:



— Karabiny maszynowe na stanowiska! Odbezpieczyć broń! Przygotować granaty ręczne! Ogień dowolny!

Skostniali od nocnego chłodu, wyrwani ze snu lub półsnu ludzie wynurzali się ze swoich dołów. Zataczając się, biegli truchtem przed siebie, przecierali oczy i gapili ze zdziwieniem na kapitana. A on pędził przed nimi z pistoletem w dłoni. Od czasu do czasu strzelał. Wkrótce rozjazgotały się karabiny maszynowe, rzucono granatami, które wybuchając rozpryskiwały odłamki na wszystkie strony. Przelatywały one z sykiem nad polem.

Nagle rozległ się krzyk, który przeszedł w zdławiony skowyt i natychmiast umilkł. Doleciał z miejsca, gdzie dopiero co znajdował się Crusius odpierający atak swego nieprzyjaciela. Rozszarpały go dwa granaty ręczne; prawdopodobnie wyrzucono je równocześnie. Czy był to przypadek, czy rzecz zamierzona?

— Sanitariusze! — wołano. — Kapitan oberwał. Sanitariusze!

Nadbiegli dwaj żołnierze z noszami. Za nimi pędziła Eryka Warnke. Gdy zobaczyła, że Crusius nie żyje, padła na kolana. I stało się to, czego nigdy przedtem nie uważano za możliwe. Zaniosła się niepohamowanym płaczem.

— No, to na tym ćwiczenie się kończy? — spytało kilku żołnierzy. A ponieważ nikt im nie odpowiedział, widocznie tak było rzeczywiście.

— To wykpiemy się teraz komuś i wsuniemy tyłki do łóżek. — Czuli się mocno zmęczeni, lecz zarazem przyjemnie rozluźnieni.

— Nic nam już nie trzeba, tylko położyć się i pokimać — stwierdzili zgodnie. — Ale przedtem musimy dopaść Koralnika, bo przecież obiecał nam specjalną zupę grochową, no to trzeba ją zjeść!

Podczas gdy żołnierze, dość ożywieni, śpieszyli do swoich pomieszczeń, dziewczęta szły za nimi bez słowa. Pozostawiły swoją broń w rowach i niczego nie pragnęły bardziej od kąpieli. A potem spać. Byleby im tylko nie przeszkodziła Eryka Warnke.

Koralnika udało się przyłapać w głównej bramie. Bardzo niechętnie rozmawiał z wysokości szoferki ciężarowego samochodu. Jednakże, gdy tylko usłyszał wiadomości o śmierci kapitana Crusiusa, zareagował całkiem jednoznacznie:

— W takim razie muszę na jakiś czas wrócić!

Udał się następnie do izby chorych, dokąd Eryka Warnke kazała zanieść zwłoki Konstantyna Crusiusa. Wyglądało to tak, jakby Koral-

nik chciał się upewnić, że jego kapitana nie ma już na świecie. Zobaczył go leżącego na noszach. Siedziała przy nim, odrętwiała z rozpaczy, niedawna orlica formacji kobiecej służby pomocniczej. Doktor Säbisch zaaplikował jej silny zastrzyk uspokajający i była to jego ostatnia na tym miejscu czynność urzędowa. Po chwili wyniósł się. Rzekomo w celu odwiedzenia swoich rannych w jednym z okolicznych szpitali.

Koralnik jeszcze sprawdził, czy Wegnera wciąż jeszcze można zastać w piwnicy. Istotnie, spał on snem sprawiedliwego w swojej celi. Koralnik obudził go bezceremonialnie i odpowiednio oświecił, po czym obaj udali się do kapitana Rommelskirchena, z miednicą zimnej wody i dzbankiem mocnej kawy.

Kapitan z trudem uświadomił sobie, co właściwie się stało. Otrząsnął się dopiero, gdy usłyszał od Koralnika, że on tu znów wszystkim dowodzi.

— To co zrobimy teraz? — dopytywał się.

— W miarę możliwości już żadnych głupstw — poradzili mu. — Kto nic nie robi, nie może popełnić żadnego błędu. Czekajmy dopóty, dopóki się nie znajdziemy ostatecznie w wielkoniemieckiej odbytnicy tego świata. Może się jednak zdarzyć, że dostaniemy się do całkiem innej odbytnicy, połączanej.

Wkrótce potem, zaledwie po paru godzinach, zjawili się Amerykanie.

## Epilog

Amerykanie nadsunęli niby owe szybko mknące obłoki, które z prędkością wiatru przelatują przed słońcem. Jak chmara szarańczy, która niepowstrzymanie tłoczy się ze wszystkich stron. Nadjechali z hukami i łoskotem.

Wozy pancerne z grzechoczącymi gąsienicami, grzmiącymi silnikami i gotowymi do strzału działami, a jednocześnie też żołnierze armii Stanów Zjednoczonych, trzymający w pogotowiu pistolety maszynowe, wnet otoczyli rejon stanowiska dowodzenia obszaru południowo-zachodniego. Żołnierze wielkoniemieckiego Wehrmachtu razem z dziewczętami hitlerowskiej służby pomocniczej zostali wymownymi ruchami pistoletów maszynowych zegnani na niedużej przestrzeni w gromadę.

W każdym razie można było stwierdzić, że niewiele już dziewcząt miało na sobie „coś z munduru”, ponieważ za radą Koralnika, podchwyconą natychmiast przez Zuzannę i Monikę, pozbyły się prawie wszystkich rzeczy wojskowych. Dzięki temu przybrały naraz powierzchowność zadziwiająco cywilną. Nawet amerykańscy żołnierze pytali ze zdziwieniem, czego *the girls* szukają w niemieckim Wehrmachcie.

Ale też stojący na placu mężczyźni nie sprawiali szczególnie wojskowego wrażenia. Byli już bez broni, pozdejmowali czapki z głów. Zastygli w uległości, pokornie czekali na to, co nastąpi. Jedyne kapitan Rommelskirchen, wpatrzony przed siebie szklistym wzrokiem, jakkolwiek na pierwszy już rzut oka gotów do kapitulacji, starał się jednak do końca zachować resztki godności.

Kiedy Amerykanie zgasili już silniki czołgów, zapanowała nagle cisza. Wszystko zamarło w bezruchu. Sceneria przypominała zakończe-

nie przedstawienia w teatrze kukielkowym, a przy tym przeświecona była łagodnym blaskiem wiosennego słońca.

Zwycięzcy i zwyciężeni przyglądali się sobie, nie wiedząc, jak się mają zachować. Trwało to do momentu, w którym gdzieś z zewnątrz zbliżył się warcząc jeep i wjechał na skrawek ziemi niczyjej pomiędzy budynkami. Zahamował ostro, wzbijając kłęby kurzu. Zatrzymał się. Kierowcę na pierwszy rzut oka trudno było zauważyć. Wydawało się, że chowa się za kierownicą. Obok niego siedział niedbale rozparty oficer. Pułkownik. Na tylnym siedzeniu przycupnął, z pistoletem maszynowym w rękę, chłop potężny jak szafa, o ponurej twarzy z wydatną szczęką.

Pułkownik wysiadł. Okazało się, że jest to szczupły i jednocześnie niezwykle ruchliwy mężczyzna. Pod lewą pachą trzymał notatnik. Lekkim, niemal tanecznym krokiem podszedł do niemieckich żołnierzy i zaczął się im przyglądać jak główkom kapusty na placu targowym. Po chwili, posługując się dobrą, pozbawioną jakiegokolwiek obcego akcentu niemiecką, zapytał:

— Kto tu jest dowodzącym oficerem?

Kapitan Rommelskirchen wystąpił jeden krok do przodu, zasalutował, jak za dawnych dobrych czasów, i zwięźle, po wojskowemu wymienił swój stopień i nazwisko.

Pułkownik zerknął do swego notatnika i stwierdził:

— Jest pan zatem adiutantem generała Blütenbergera. Ale gdzież on sam się podziewa?

— Chwilowo jest nieobecny, panie pułkowniku. Pan generał właśnie przed dwoma dniami udał się do Kwatery Głównej.

Pułkownik Sanders — tak się nazywał — ledwie skinął głową. Nie wydawało się, by ta informacja szczególnie go zaskoczyła. Co generał, to generał. Generałowie niezależnie od armii, w jakiej służą, miewają oryginalne pomysły, dopóki to jest możliwe. Znacznie ważniejsza była chyba w jego mniemaniu odpowiedź na następne pytanie:

— Gdzie znajduje się inżynier Wegner?

— Jestem! — odezwał się sierżant Wegner. Precisnął się przez gromadę żołnierzy i podszedł do Amerykanina.

Pułkownik odczytał ze swego notatnika: — Anton Wegner, urodzony czwartego grudnia tysiąc dziewięćset czternastego roku w Królewcu, inżynier dyplomowany. Czy to pan?

— Zgadza się!

— Dobrze... bardzo dobrze! — stwierdził pułkownik Sanders. — Niech mi pan więc pokaże najpierw swoje stanowisko dowodzenia w podziemnym schronie. — Zwracając się zaś do kapitana Rommelskirchena, rozkazał: — Tymczasem wszyscy Niemcy pozostaną na tym placu tak długo, aż zostaną przeszukane wszystkie budynki. Żołnierze armii ZSRR, dotychczas traktowani jako jeńcy wojenni, są od tej chwili wolni. Dalsze zarządzenia wydam później.

Gdy pułkownik poszedł z Antonem Wegnerem do podziemnego schronu, kilka ekip amerykańskich żołnierzy zaczęło przeszukiwać baraki i zameczek. Nie znaleźli nic szczególnego, z jednym wyjątkiem — w izbie chorych natknęli się na trupa w mundurze kapitana, a u jego stóp zwłoki kobiety. Była to Eryka Warnke. Popełniła samobójstwo, zażywając cyjankali.

Schodzili do schronu gęsiego. Najpierw, jako swego rodzaju pan domu i gospodarz, sierżant Wegner. Za nim pułkownik Sanders. Następnie, z bronią gotową do strzału, groźny sierżant z wydatną szczęką.

Wchodząc do stanowiska dowodzenia, Wegner włączył wszystkie światła. Duża sala wyglądała niesamowicie — nie było w niej żywego ducha. Nikt nie zasiadał przy stole dowódczym na podwyższeniu, nie było też nikogo przy dziesięciu stołach z aparatami telefonicznymi, dalekopisami, radiotelefonami i kluczami Morse'a. Na olbrzymiej mapie na ścianie czołowej zabłyśły różnokolorowe światełka. Odnosiło się wrażenie, że to niewidzialny uczeń czarnoksiężnika urządza jakieś pozbawione sensu igraszki.

Pułkownik armii Stanów Zjednoczonych stał i przyglądał się temu pokazowi pobłyskujących świateł. Dziwne było, że nie okazał żadnego podziwu. Z jego spojrzeń można było -raczej wnosić, że ocenia on ten system wojskowej techniki łączności w sposób nader fachowy, a jego uwagi nie uchodzi nawet nadrobniejszy szczegół pozornie tajemniczego pokazu. Po kilku minutach powiedział z uznaniem: — Skonstruował pan tu rzecz imponującą. O ile wiem, zasadniczy pomysł pochodzi od generała Blütenbergera, a pan, panie Wegner, wcielił go w życie

— Pan jest o tym poinformowany? — zdziwił się Anton Wegner.

— Działam w tej właśnie dziedzinie — wyjaśnił pułkownik. — Pra-

cowalem między innymi nad konstruowaniem przenośnych radiotelefonów. Uzyskaliśmy zasięg do trzydziestu kilometrów.

— Jestem pełen uznania! Podejmowałem podobne próby konstrukcyjne. Jednak nie uzyskałem wyniku lepszego niż dziewięć do dwunastu kilometrów.

Pułkownik spojrział badawczo na Niemca.

— Panie inżynierze Wegner! — powiedział. — Czy byłby pan gotów z nami — ze mną — współpracować?

Wegner oniemiał na dłuższą chwilę. Potem niepewnym głosem zapytał: — Pod jakim względem i na jakich warunkach?

Amerikanin uśmiechnął się w sposób wyraźnie serdeczny.

— Musi pan już mnie pozostawić ustalenie, jakiego rodzaju współpracy będę od pana oczekiwał i na jakich warunkach lub, powiedzmy lepiej, według jakich zasad gry. Jeszcze dzisiaj przybędzie tu kilku moich kolegów, z którymi będzie pan współpracował, czego ja bardzo sobie życzę.

— Żebym im objaśnił ten system?

— Nie tylko to. Pańska współpraca będzie sięgała znacznie dalej. Ten obiekt będzie miał szczególny status. Naszym zamiarem jest przywrócenie stanowisku dowodzenia jego wartości użytkowej. Czegokolwiek będzie pan do tego celu potrzebował, proszę tylko zażądać, a dostanie pan.

— Podejmując się tego przedsięwzięcia, trzeba będzie pokonać mnóstwo trudności — poddawał pod rozwagę Wegner. — Już obecnie istnieją pewne projekty ulepszeń, a nawet rozbudowy, opracowane jeszcze przez generała Blütenbergera i przeze mnie. Jednakże ich wykonanie to przede wszystkim zagadnienie kosztów i dostaw materiałowych.

Pułkownik machnął niedbale ręką: — To nie są wcale problemy. Przynajmniej nie dla nas. Dostanie pan do dyspozycji dostatecznie dużo pieniędzy i materiałów. Będzie pan potrzebował do pomocy któregoś Niemca? Proszę tylko powiedzieć, ilu i kogo.

Wegner zastanowił się na chwilę. — Szczególnie potrzebny byłby, jak mi się wydaje, kapitan Rommelskirchen. To on zajmował się całą dokumentacją generała Blütenbergera, a poza tym jest wprowadzony w planowanie prac technicznych i sprawy finansowe. Jego udział ułatwiłby koniecznie obecnie organizowanie wszystkiego od nowa.

Pułkownik z zakłopotanym wyrazem twarzy zapytał:

— Czy ten oficer jest członkiem partii hitlerowskiej?

— Nie wydaje mi się. Raczej przeciwnie.

— To dobrze. Godzę się na to. Moglibyśmy Rommel... Rommelskirchena mianować niemieckim komendantem obozu, tu, na miejscu. W takim razie podlegałby on bezpośrednio mnie.

— Dlaczego właściwie nie pyta mnie pan, czy jestem narodowym socjalistą? — poddawał pod rozwagę Wegner.

— Ależ proszę, jeśli pan sobie życzy, to już pana o to pytam. A więc, jest pan nim?

— Co by się stało, gdybym musiał odpowiedzieć „tak”?

— Wtedy, pomimo wszystko, współpracowałbym z panem, jakkolwiek z zachowaniem pewnego dystansu. Jednakże wiadomo nam, że nie jest pan hitlerowcem. Już dość wcześnie zainteresowaliśmy się pańską osobą i odkryliśmy pewne rzeczy nie bez znaczenia. Między innymi także to, że Blütenberger, chcąc swego czasu pozyskać pana jako specjalistę w dziedzinie techniki łączności, musiał wystarać się o zwolnienie pana z batalionu karnego. I wiele innych. Ale, rozmawiając o tym, tracimy tylko czas. Zatem do rzeczy. Kogo poza tym jeszcze pan ceni?

— Kaprała nazwiskiem Koralnik, panie pułkowniku. Nie ma rzeczy, o którą nie potrafiłby się wystarać — czy to wino i kiełbasa, czy też maszyny do pisania i aparatura pomiarowa. Ten człowiek ma talent organizacyjny.

— Jest to więc osobnik tego typu, bez którego nic nie może przebiegać bez zakłóceń. Od dłuższego czasu już czekaliśmy na kogoś takiego — zawołał rozpromieniony pułkownik i odwrócił się w stronę swego opiekuna z pistoletem maszynowym: — To będzie twój człowiek, Sam.

Zorientowawszy się chyba dopiero w tej chwili, że dotychczas w ogóle nie przedstawił Niemcowi swego nieodstępного towarzysza, powiedział do Wegnera: — To jest sierżant Sam Runner, że się tak wyrażę, moja prawa ręka i mój strażnik. Sam mówi po niemiecku, a przynajmniej rozumie każde niemieckie słowo. On też zatroszczy się o pańskiego organizatora Koralnika.

Sierżant energicznie przytaknął ruchem głowy. Wegnera natomiast zaniepokoiło to z lekka, więc odezwał się krytycznie:

— Nie jestem pewny, panie pułkowniku, czy to dobre rozwiązanie. Ten Koralnik to człowiek raczej nieprzystępny, a przy tym potrafi być piekielnie uparty.

Sanders roześmiał się w głos: — To świetnie! Nasz sierżant jest dokładnie taki sam. Dobrali się więc jak w korcu maku. Niech pan pozwoli, że mój Runner załatwi to już, ot tak sobie, od niechcenia.

Na zewnątrz, na placu apelowym, w świetle wiosennego słońca wciąż jeszcze stali bądź siedzieli twarzą w twarz Niemcy i Amerykanie. Uważnie przyglądali się sobie. Bez słowa. W wyczekiwaniu i niepewności.

Wiedzieli, że pułkownik i sierżant Wegner zniknęli w podziemnym schronie stanowiska dowodzenia. W miarę upływu czasu Koralnik coraz mocniej się niepokoił. Szepnął też do stojącego przed nim kapitana Rommelskirchena: — Zdaje mi się, że tam się zanosi na coś ciekawego.

— Bez rozmów! — krzyknął natychmiast porucznik siedzący na masce jeepa i machający nogami.

— Amerykaniec rozkazał, to słuchamy — mruknął Koralnik sam do siebie. Głośno zaś powiedział: — Naturalnie, *mister*, trzymamy gębę zamkniętą na kłódkę. Przywykliśmy do tego już od tysiąca lat.

Kapral pozwolił sobie wszakże potraktować gburowaty okrzyk amerykańskiego oficera jak zaproszenie do rozmowy.

— Czy mogę zadać pytanie? — i, nie czekając na zezwolenie, od razu ciągnął dalej: — Jak długo jeszcze będziemy musieli tu czekać i na co?

— *No fraternisation!* — powiedział mrukliwie porucznik z amerykańskim akcentem. Nie brzmiało to tak całkiem odmownie, lecz nawet poniekąd żartobliwie.

Koralnik już sobie upatrzył tego człowieka, nawet przyjaźnie skinął głową swemu rozmówcy. — O ile mi wiadomo, znaczy to, że nie ma bratania się! Nie musi wcale tak być, przynajmniej na razie.

— Ostrożnie! Znów chce pan sobie sparzyć język? — Kapitan Rommelskirchen ostrzegł go po cichu, lecz na tyle wyraźnie, że amerykański porucznik mógł go zrozumieć. Toteż odezwał się w odpowiedzi do Koralnika: — Na pewno jest pan ciekaw naszego języka. Może pan się zapisać na naukę angielskiego.

— Byłaby to piękna rzecz, *mister — sir!* Zrobię to migiem, na jednej nodze. Kiedy się zaczyna?



— Cierpliwości, człowieku — powiedział Amerykanin. — Najpierw jedno, potem drugie.

— *Sir*, co tu jest pierwsze, a co drugie'?

— Wydaje się panu to wszystko aż tak zabawne? — odpowiedział tamten surowo pytaniem na pytanie.

Szukanie odpowiedzi na nie zostało Koralnikowi oszczędzone. W tym momencie bowiem wyszedł ze schronu pułkownik wraz ze swoim sierżantem i Antonem Wegnerem. Najpierw zatrzymali się, żeby przyzwycząić oczy do światła dziennego. Wegner przy tej okazji zerknął w stronę dziewcząt, wypatrując Moniki Hofer. Zdawało mu się, że i ona spogląda na niego. Dopominała się o coś. Pozostając wśród dziewcząt, spodziewała się od niego czegoś; sama nie wiedziała czego.

Pod wrażeniem jej spojrzenia Wegner zwrócił się do amerykańskiego oficera: — Niech mi będzie wolno, panie pułkowniku, przedstawić jeszcze jedną sugestią, a raczej prośbę.

— A o co chodzi?

— Te dziewczęta, które tam stoją, tak zwane błyskawiczne dziewczyny, zabłąkały się tu wprost beznadziejnie. Jak niewypierzone pisklęta wpadły w wir tej obłąkanej, bezlitosnej wojny. Zaledwie przed kilkoma dniami przybyły tu, by wykonywać prace podrzędnej siły pomocniczej. Czy nie można by ich po prostu odesłać do domu?

— Byłaby to wielka strata dla nas! — wmieszał się sierżant, nagle już nie tak bardzo służbisty i ponury. — Jakie tam pisklęta. Mnie się wydaje, że to zajęczki, z którymi można sobie rozmaicie...

— Nie prowadzimy wojny z kobietami — przerwał mu pułkownik wręcz surowo. — Spiszemy więc personalia tych *lightning girls* bądź *war girls*, a potem wydamy im zaświadczenia o zwolnieniu. Zadowolony pan?

— Tak, bardzo! — powiedział Wegner. — Dziękuję najmocniej.

Następnie pułkownik podszedł do grupy otoczonych przez wojsko Niemców, w tej chwili już jeńców wojennych, i zakomunikował:

— Cały teren jednostki należy od tej chwili do armii Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie powołuje się niemiecką komendanturę pod kierownictwem kapitana Rommelskirchena, który będzie odpowie działny bezpośrednio przede mną. Z zasady surowo zabrania się opuszczania terenu obozu, wyjąwszy wypadki wyraźnego pisemnego zezwolenia wydanego przez armię Stanów Zjednoczonych. Dnl.szydl zarządzeń należy oczekiwać już wkrótce.

Widoki były dość ponure. Jednak to, co pułkownik powiedział zaraz potem, świadczyło niemal o wyrozumiałości:

— Obecne tu kobiety ze służby pomocniczej zostaną zwolnione po sprawdzeniu ich personaliów. Jednocześnie oczekuję w każdych okolicznościach zachowania dyscypliny — słynnej niemieckiej dyscypliny! Jednakże w razie, gdyby ktoś próbował wyłamać się z szyku bądź nawet uciekać, będziemy strzelać bez ostrzeżenia. Wtedy nie będzie już żartów.

Jakkolwiek obowiązywał zakaz bratania się, to jednak niebywale szybko nawiązało się sporo niemiecko-amerykańskich przyjaźni lub przynajmniej wzajemnych sympatii. Podobne uczucie sympatii zrodziło się między amerykańskim sierżantem Samem Runnerem a niemieckim kapralem i geniuszem organizacji Koralnikiem. Gdy Runner po raz pierwszy pojawił się u Koralnika, z niezmiernym zdumieniem spoglądał na wciąż jeszcze pokaźne zapasy żywności. Położył na stole swój pistolet maszynowy.

— Nie musimy sobie zaprzętać głowy stanem materialnym naszych nowych *german helpers* — stwierdził.

— Tam, gdzie jest Koralnik, jest zawsze co jeść i pić — zaśmiał się kapral. — Zresztą to, co tu mam, to — od dawna już — nie wszystko. Mogę też zaferować pewne wykwintne specjały, na przykład dla pańskiej kuchni.

Wydawało się, że ponura twarz Runnera przybiera wyraz jeszcze groźniejszy. Lecz jednocześnie w jego przebiegłych rysach oczach błyskało zadowolenie. Powodem tego „szczęścia” był fakt, że w kieszeni wygodnej, nie po wojskowemu obszernej kurtki Koralnika dojrzał płaską, srebrzystą butelkę.

— Whisky? — zapytał radośnie podniecony.

— Bourbon — odpowiedział Koralnik. Wydobył butelkę, otworzył ją i podał sierżantowi.

Sam Runner pochwycił ją, powąchał, skosztował, a następnie pociągnął parę większych łyków, tak jak ktoś mocno spragniony.

— Najlepszy gatunek — stwierdził, łapiąc oddech. — Co masz do zaferowania poza tym, ziółko?

Koralnik zaakceptował przewisko „ziółko” bez żadnych wewnętrznych oporów tym bardziej, że Runner wymawiał je niemal serdecznie.

— A gdyby tak — odezwał się Koralnik — znalazł się wysokiej klasy szampan albo świetne niemieckie piwo, oczywiście dobrze schłodzone?

— Szampan? Piwo? — zdziwił się sierżant. — Musisz wiedzieć, że mam dość bystry wzrok, ale podobnych delicji u ciebie nie dostrzegam.

— Bo to nie jest moja winna piwnica. Urządziłem ją trochę na uboczu. Przyjmuję tam tylko dobrych przyjaciół i miłych gości.

Sam Runner, wytracony z równowagi, pokręcił potężnym końskim łbem. — Chłopie, kto właściwie przegrał tę wojnę? — zapytał.

— Moją dewizą jest: „nigdy z nikim nie tracić, zawsze z każdym zarabiać” — mówiąc to, Koralnik uśmiechnął się zachęcająco. — Przejdźmy się tam, do mojej kryjówki.

— Słuchaj, ziółko! — zawołał sierżant, mrugając oczami — coś mi się zdaje, że zaczynamy się dobrze rozumieć.

Poszli do Koralnikowej winnej piwnicy, znajdującej się na głębokości trzech metrów pod okutymi opuszczanymi drzwiami. Wydarzyło się przy tym coś niewiarygodnego, czego na szczęście nie mieli możliwości ujrzeć przełożeni Sama Runnera. Sierżant po prostu zapomniał zabrać swój pistolet maszynowy! Czujny jak zwykle Koralnik poniósł za nim broń. Wyglądało to, jak gdyby jeniec pilnował zwycięzcy.

Następnego dnia starszemu sierżantowi Himrroelsheimerowi udało się dokonać wspaniałego wyczynu administracyjnego. Do południa były gotowe wszystkie dokumenty niezbędne do zwolnienia dziewcząt, które służyły w służbie pomocniczej. Teraz były to już dziewczęta bez mundurów. Zaświadczenia odpowiadały wymaganym przepisom. Kapitan Rommelskirchen sprawdził je, sierżant Runner ostemplował, a pułkownik Sanders podpisał.

Tak łatwe było to w zamieszeniu pierwszych powojennych dni. Amerykanie nader pobieżnie sprawdzali odpowiednie dokumenty. Zwycięzcy, jeśli są rozsądni, okazują wspaniałomyślność.

Podstawiono również samochody, które miały podwieźć dziewczęta do najbliższej stacji kolejowej. Wszystkie dostały nawet coś w rodzaju kieszonkowego; co prawda w markach, z którymi i tak niewiele można było wskórać. O wiele cenniejsze były przygotowane przez Koralnika paczuski żywnościowe.

Pożegnanie wzbudziło mieszane uczucia. Była to trudna do zdefiniowania mieszanka: radość, nadzieja, smutek, obawa i żądza przygód. Przyszedł także sierżant Wegner, w tej chwili zwany już poprawnie inżynierem Wegnerem, któremu amerykański pułkownik przydzielił pokój w dawnym apartamencie generała w zameczku Kampfental. Chciał na pożegnanie uściskać Monikę, a także Zuzannę, jakkolwiek nie zanosilo się na długie rozstanie, ponieważ Korallnik zameldował obie dziewczyny w hotelu „Pod zielonym wieńcem”, oddalonym od jednostki zaledwie o parę kilometrów. Dlatego też zrezygnowały one z jazdy ciężarówką razem z koleżankami. Wołały, korzystając z wiosennej pogody, odbyć przyjemny spacer do swojego nowego miejsca pobytu.

Gdy odchodziły, Wegner i Korallnik zawołali za nimi wesoło: „do widzenia” i jeszcze „dobrze uważajcie na siebie!” One zaś odkrzyknęły: „Cóż by się nam teraz mogło stać?”

Na pożegnanie pomachały im ręką i przeszły razem przez bramę, otwartą na oścież. Poczuły się w tym momencie szczęśliwe, że uszły z życiem i że są wolne. Miały ochotę głośno śpiewać.

Jednak droga prowadząca z jednostki na północ, którą zamierzały przejść do Freudenstadt, była zablokowana — szczerlnie zastawiona kolumną amerykańskich ciężarówek. Wokół, w oczekiwaniu na nowe rozkazy, siedzieli, a nawet leżeli żołnierze. Nudzili się już od dłuższego czasu.

Gdy tylko spostrzegli zbliżające się młode niemieckie *girls*, ożywili się nagle, zaczęli im dawać znaki rękami i jeden przez drugiego z podnieceniem nawoływać: — Chodź tu, panienko... Ty chodź do mnie... Tylko jeden słodki całus... My dobrzy!

Były to po prostu wesołe dzieciaki udające mężczyzn. Zapewne myśleli sobie, że wojna uczyniła z nich bohaterów i nie oprze im się żadna kobieta.

Zuzanna i Monika zaśmiały się z daleka do żołnierzy i też pomachały im dłońmi. Nie chciały psuć zabawy, ale miały ochotę ominąć pozornie tak bardzo przedsiębiorczych chłopców.

Zbliżyły się do potężnej, majestatycznej jodły. Jej szeroko rozpostarte gałęzie obiecywały pewną osłonę. Obie dziewczyny zeszyły z szosy i, potykając się, ruszyły w stronę starego drzewa pokonując wystające korzenie, splątaną trawę i gęstwą zarośli.

Znalazły się na wolnej przestrzeni, roześmiały się i jeszcze raz

pomachały Amerykanom. Nadepnęły przy tym na jakiś dziwny przedmiot. Nie przeczuwały, że są to miny, które po wyzwoleniu zapomniano rozbroić.

Właśnie teraz wybuchły z jaskrawym błyskiem. Wielka ściana ognia bluznęła na wszystkie strony odłamkami żelaza. Piekielny huk detonacji zagłuszył ludzkie krzyki. Po paru sekundach widać było już tylko cuchnący, groźnie unoszący się w górę dym.

Wydawało się, że Moniki Hofer i Zuzanny Singer nigdy nie było.

Można było powiedzieć, że dla nich wojna się skończyła, chociaż wciąż jeszcze daleko było do końca wszystkich wojen na świecie.

# Spis treści

Prolog .....	7
1. Mężczyźni lub po prostu chłopcy .....	13
2. Dziewczęta lub po prostu babki .....	37
3. Nie ma dymu bez ognia .....	68
4. Trudno wykąpać kota, nie mocząc go w wodzie .....	92
5. Nawet najpiękniejsza noc kończy się o świcie .....	122
6. Gdy jelenie ryczą, łaniom drżą nogi .....	146
7. Ze szczodrego siewu nie zawsze bywa obfity plon .....	161
8. Myśliwi zabijają wiele zajęcy, lecz sami też czasem girią .....	192
9. Zawsze lepszy jest okropny koniec niż okropność bez końca .....	219
Epilog .....	243